

EDMUND NIZIURSKI
TAJEMNICZY NIEZNAJOMY
ZZOO

Wydawnictwo Zielona Sowa Kraków 2001

Projekt okładki: Paweł Kołodziejski

Opracowanie graficzne:

Jolanta Szczurek Joanna Czubrychowska

Redakcja: Edyta Wygonik

© Copyright by EDMUND NIZIURSKI, Warszawa 2001 Wyдание V

MIEJS

70(33

WfłO|D

ISBN 83-7220-378-4

Wydawnictwo Zielona Sowa

30-415 Kraków, ul. Wadowicka 8 a

tel./fax (012) 266-62-94, tel. (012) 266-62-92,

(012) 266-67-98, (012) 266-67-56

www.zielona-sowa.com.pl wydawnictwo@zielona-sowa.com.pl

ROZDZIAŁ

likt od zarania długich dziejów szkoły Kromera nie popisał się taką liczbą przewagarowanych dni jak paczka Małorolnych owej pamiętnej, urokliwej i kolorowej jesieni, siódmej, którą spędzali w tej szacownej budzie.

Niewątpliwie była to zasługa Kaflarzy. Tak przezwano trzech chłopaków z Mysiadła, którzy na początku września przenieśli się z bliżej nieznanymi powodami do Kromera i wstrząsnęli stęchłą nieco atmosferą szkoły. Dawno już jej mury nie widziały tak rzutkich, obrotnych, wyrobionych życiowo młodzieńców, jak panowie Bryk, Filomon i Kukulski. Matematyk Tupałka wiązał z nimi pewne nadzieje, ponieważ byli biegli w arytmetyce i operowali dość swobodnie takimi pojęciami jak procent, dyskonto i saldo. Nazywał ich nawet pieszczotliwie „Trzema Muszkieterami”, rychło się jednak zorientował, że „Muszkieterowie” wystawiają go do wiatru, a ich rachunkowa biegłość ma charakter czysto praktyczny i handlowy.

U Kromera, gdzie uczniowie otrzymywali od starych najwyżej skromne kieszonkowe, panowie Bryk, Filomon i Kukulski zadziwili wszystkich ogromem sum, jakie przechodziły przez ich ręce. W szkole, gdzie do tej pory uchodziło za nietakt chwalić się zyskiem z jakiegokolwiek transakcji handlowej, a sprzedaż, kupno czy wymiana odbywały się wstydliwie i cicho, gdzieś po kątach lub zgoła za bramą szkoły, panowie Bryk, Filomon i Kukulski wprowadzili jawny obrót pieniężny na niespotykaną skalę i rynek otwarty. Na wszystkich przerwach zamieniali korytarze szkolne w giełdę hobbystów. Szczególnie atrakcyjnym towarem okazały się płyty i taśmy, plakaty i fotosy z idolami, sprzęt sportowy i szalowe koszulki z nadrukami. Codziennie dokonywali jakiejś „transakcji stulecia” - tak nazywali każdy korzystny interes ubity z ogłupiałymi tubylcami, nie kłopocząc się bynajmniej przechwalać tym głośno i bębnić, ile zarobili.

Ale najbardziej imponowało klasie ich swoiste lekceważenie pieniądza. Nie każdy w ich wieku wiedziałby, co począć z fortuną. Oni mieli na ten temat wyrobione zdanie. Chowanie pieniędzy, oszczędzanie było dla nich w złym guście. Zarobionej forsy należy się pozbyć jak najszybciej. Nazywali to „przerabianiem utargu”. Rzecz jednak w tym, by przerobić utarg w możliwie efektowny, brawurowy sposób, na przykład:

przy pomocy pana Dzidzia, korepetytora Kukulskiego, wynająć na jeden dzień komfortowy pokój w komfortowym hotelu „Yictoria”; wpakować się tam

-5-

I

i przyjmować co pięć minut delegacje podekscytowanej tą sensacją szkolnej wiary;
albo w teje „Victorii” zamówić i opłacić rozmowę telefoniczną z salonem samochodowym „Peugeot” w Paryżu, zapytać o najnowsze modele wozów i nadesłanie prospektów, to samo z salonem firmy „Datsun” w Londynie, „Toyota” w Amsterdamie i „Porsche” w Hamburgu (przydały im się na coś lekcje w „Lingwiście” na Królewskiej);
albo w teje „Victorii” zjeść bażanta w towarzystwie znanego smakosza klasowego, Cyngla;
albo kupić najdroższe bilety na występy najdroższego Idola w „Kongresowej”;
albo załatwić sobie jazdę taryfą, a ściślej wyścigi dwu taksówek przez cztery mosty z metą na Powązkach (druga brama), żeby było zabawniej;
albo — pięć godzin hippiki, czyli jazdy wierzchem na koniach w Lesie Ka-backim;
albo nabyć na Polnej dziesięć ananasów i tyleż kokosów, rozdać kumplom z paczki i wkroczyć z nimi triumfalnie w szyku gęsim na imieniny niespodzie-wającej się gości Tekli;
albo... Pomysłów nie brakowało, czasem tylko, mimo tych transakcji stulecia oraz mimo że co tydzień byli przez swoich starych ciężko nadziewani, brakowało im gotówki i wtedy bezceremonialnie szturchali łokciem chłopców z paczki: „Stary, pożycz kafla”, co oznaczało zwykle pożyczkę minimum stowy. Stąd właśnie nazwano ich Kaflarzami. Nikt nie śmiał odmówić pożyczki Kaflarzom, zresztą większego ryzyka nie było, oddawali w terminie, nawet bez przypominania. Byli pod tym względem solidni i drobiazgowi, swoje długi zapisywali w specjalnych kalendarzach zwanych agendami, nieraz zdawało się, że już... już... są na krawędzi bankructwa, ale w ostatniej chwili zawsze zdołali wymyślić jakiś prosty sposób ocalenia, bywało nawet, że perfidną złośliwość losu, ba! ewidentne nieszczęście umieli obrócić na swoją korzyść. No, choćby ta przykra sprawa z doniczkami. Wtedy to zresztą do całej paczki przylgnęła owa głupia nazwa Małorolni...

A było to wtenczas, gdy pani Nowicka dzieliła ziemię po ogórkach i pomidorach w ogrodzie szkolnym i dawała do uprawy zespołom na bieżący rok szkolny. No i zdarzyło się, że tego dnia ludzie z paczki Kaflarzy znów byli na wagarach i zabrakło dla nich ziemi. Dopiero potem, gdy jęczeli i skarżyli się na niesprawiedliwość, jaka ich spotkała, pani Nowicka z litości przydzieliła im doniczki na pierwszym piętrze, te po pelargonjach, co uschły w czasie wakacji, i od tego czasu przezywano ich Małorolnymi w odróżnieniu od Obszarników, którzy mieli prawdziwe grządki. Było to przezwisko pogardliwe i szydercze, ale wkrótce, o dziwo, stało się symbolem energii i zaradności. Okazało się bowiem po raz n-ty, że Kaflarze noszą głowy nie od parady i nawet z małorol-

ności potrafią wyciągnąć zyski. Od razu wpadli na pomysł, żeby w tych trzydziestu donicach „pędzić” natkę pietruszki i zakontraktować ją dla stołówki szkolnej. W słonku babiego lata, za szybą od południowej strony, w próchniczej ziemi, w wilgoci, chuchane i podlewane rosło „toto” jak diabli. Po trzech tygodniach, gdy w ogrodzie na otwartych grządkach zamierało już życie, Małorolni zrobili pierwsze postrzyżyny natki i opylili cały zbiór stołówce. Poszła wprawdzie fama, że wymusili na kucharce ten zakup szantażem, grożąc, że wrzucą jej do kotła mysz, a na dodatek dwa mydełka „Bambino”, ale oni dementowali te oszczerstwa, wyjaśniając, iż cała tajemnica transakcji polegała na jakości towaru, konkurencyjnej cenie i dogodnych warunkach dostawy loco kuchnia. Dlatego i tylko dlatego była to oferta nie do odrzucenia. Po trzech zbiorach naci nawet najbiedniejsi z paczki byli podobno tak nadziani, że jeździli taryfą na wagary. Co więcej, zapowiadali, że na wiosnę potroją zyski, zarabiając krocie na rozsadach.

Nie wiadomo, ile w tym wszystkim kryło się prawdy, a ile propagandy, w każdym razie wystarczyło, aby rozbudzić zawiść Obszarników. Jak widzimy, była to nader obiecująca młodzież. W Małorolnych tkwiły duże pozytywne możliwości i należy głęboko żałować, że nie poświęcili swych niewątpliwych talentów badylarstwu. Tak byłoby korzystniej, przyjemniej i zdrowiej. Niestety, chyba tę pietruszkę zaczęli hodować odrobinę za późno, kiedy wstręt do nauki zbyt głęboko wżarł się w ich młodociane dusze i jak to określił nauczyciel matematyki, Tupalka - osobliwy pociąg do czmychania z lekcji przerodził się w nieuleczalny nałóg.

Czy jednak to, co robili, było w tej szkole naprawdę aż tak osobliwe, jak sądził matematyk? Fakty historyczne temu przeczą. Wagarowanie miało tu stare i ugruntowane tradycje. Zanotowały to

wyraźnie kroniki szkolne, acz niechętnie i jakby nieco wstydliwie. Musiały zanotować. Jak można było bowiem ukryć... no, na przykład wyczyny znanej paczki „Challenge” sprzed pół wieku - pięciu trzynastoletnich lebków, zaprzysięgłych wariatów na punkcie lotnictwa, co przejęci triumfem Żwirki i Wigury na Międzynarodowych Zawodach Samolotów Sportowych zwiali z budy na Pole Mokotowskie, tam przez trzy dni koczowali w starych hangarach, próbując na różne sposoby zakraść się do jakiegokolwiek samolotu i zadekować w nim skutecznie, by zakosztować emocji pierwszego lotu i podpatrzeć tajniki pilotażu. Dwóm z nich podobno się to w końcu udało. Albo słynne wagary Baloniarzy — zaprzysięgłych rywali paczki Czelyn-dżystów! W roku 1933 chłopcy ci, namiętni poszukiwacze przygód i wielbicielowie powieści Juliusza Verne'a, dostali prawdziwej gorączki balonowej, a to z powodu głośnego zwycięstwa Hynka i Burzyńskiego w zawodach o puchar Gordona Bennetta. Czterech z nich dokonało wtedy nawet zuchwałej próby

_ 7 _

uprowadzenia balonu. Uciekłszy z lekcji i zmyliwszy strażę, podpełzli do balonu na uwięzi, bynajmniej nie na wariata zresztą, lecz solidnie wyekwipowani i przygotowani do dłuższego lotu bodaj na Alaskę, z wypchanymi prowiantem i ciepłą odzieżą plecakami tudzież z nożami w zębach, żeby przeciąć liny... Wśliznąwszy się szczęśliwie do gondoli, pomyślnie odcięli mocujące sznury i próbowali wzlecieć w przestworza. Niestety, gazu w powłoce było za mało i wznieśli się tylko na dwa metry. Choć wyrzucili cały balast - wszystkie worki z piaskiem, a potem z samozaparciem po kolei: buty, pięć kilo salcesonu, wszystkie kiełbasy i serdelki, a na końcu najgrubszego kolegę, niejakiego Kupścia (mimo jego rozpaczliwych i chyba uzasadnionych protestów), przelecieli zaledwie sto metrów, w dodatku szorując raz po raz dnem gondoli po ziemi, po czym wylądowali z wielkim brzękiem tłuczonego szkła w pobliskim składzie butelek. Rzecz jasna, stali się z miejsca pośmiewiskiem Czelyndżystów, którzy cały czas szpiegowali ich zza płotu.

A wagarujący Hippocykliści? Czyż wolno o nich zapomnieć? To była dopiero ferajna! Do dziś oglądać można w muzeum szkolnym, w pokoiku przy kancelarii pamiątkę po nich - sławny bocykl, czyli pra-pra-rower z końca zeszłego wieku, wysoki wehikuł bez przekładni, z ogromnym kołem przednim. Ale zanim go dosiedli, byli amatorami jazdy konnej i bywało, że z rana, zamiast do szkoły, pędzili prosto do tatarsalu, czyli ujeżdżalni przy Okólniku. Hippika należała do najdroższych ówczesnych hobbies, toteż rychło zadłużyli się po uszy, a gdy stracili resztę kredytu u bogatych kumpli, przenieśli swoje pasje na bicykle. Mimo że były wtedy nowinką techniczną, „ujeżdżanie” ich kosztowało o wiele taniej. No i ta akrobatyczna niemal jazda, zupełnie jak w jakimś cyrku! Wkrótce nabrali w tym sporcie mistrzowskiej sprawności i zapominając o nauce, co dzień szaleli na torze na Dynasach.

No i wreszcie nie sposób pominąć najślawniejszej ze wszystkich paczki Józia Owerły. Siedmiu odważnych chłopaków, co poszli na wagary w zgoła niecodziennych okolicznościach. Zaczęło się od tego, że pamiętnej nocy listopadowej 1830 roku skombinowali jakimś cudem, a może chytrym przemyśleniem, dwa karabiny ze zdobytego właśnie arsenału. Uzbrojeni w te karabiny, zamiast do szkoły udali się rano do Strzelców Piesznych na Ordynackiej i chcieli wstąpić w ich szeregi, a kiedy ich przepędzono z powodu nieletniości, ponowili próbę zaciągnięcia się do „Czwartaków”. Gdy i tu oferta ich została odrzucona, rozgoryczeni postanowili podjąć działania bojowe na własną rękę i przez dwa dni buszowali w okolicach Wierzbna, gdzie stał wtedy Wielki Książę Konstanty z resztą wojska. Oczywiście zaplanowali sobie naprawić błąd porucznika Wysockiego i porwać Wielkiego Księcia.

Wprawdzie w zastawioną pułapkę zamiast tyrana wpadł tylko powóz wiernego mu generała Gerstenzweiga, a w tym powozie zamiast generała tylko

jego: cyrulik, ordynans i kot, ale i tak stali się sławni, gdy rozbroiwszy ordy-nansa, wjechali triumfalnie tymże powozem i ze związanymi jeńcami na dziedziniec szkoły.

Sława paczki Owerły przetrwała lata niewoli, a w wolnej ojczyźnie, w stulecie powstania, siedmiu wagarowiczów dostąpiło nie byle jakiego honoru: ich nazwiska wyryto złotymi zgłoskami w granitowej płycie, a następnie wmurowano ją w ścianę szkoły.

W tym miejscu, wracając do współczesności, należy z przykrością zauważyć, iż jest nader wątpliwe, by paczka Małorolnych została kiedykolwiek uhonorowana podobną tablicą. Aczkolwiek,

jak wykazał dalszy rozwój wypadków, ich wagary mogą mieć w konsekwencji wielkie, powiedziałbym kosmiczne, znaczenie dla ludzkości, to przecież stało się to zupełnie niezależnie od ich woli i intencji, i tylko dlatego, że napędzili stracha pewnemu niefortunnemu chłopcu noszącemu przezwisko Bubel. Wątpię, by zwykły kronikarz szkoły dopatrzył się tu jakichkolwiek związków, by w ogóle przyszło mu na myśl doszukiwać się ich. Wątpię także, by w ogóle zaszczycił Małorolnych jakimkolwiek wpisem do kroniki szkoły. Z jednego zasadniczego powodu: motywy ich wagarów były zatrważająco niskie!

O ile bowiem absencja szkolna Owerlaków była uzasadniona wyższą racją i w perspektywie historycznej przyniosła im zaszczyt, o ile wagary Czetyndży-stów, Baloniarzy i Hippocyklistów dadzą się łatwo jeśli nie usprawiedliwić, to przynajmniej wytłumaczyć właściwymi młodzieży „ciągotami ikarowymi i pegazowymi” do pędu i lotu, tudzież swoistym „wyzwaniem rzuconym czasowi i przestrzeni” - jak to ładnie określił Tupałka w stu pięćdziesięciolecie szkoły — to w wagarach uprawianych przez Małorolnych uderza nas brak jakiegokolwiek uszlachetniającego celu, chyba że za taki cel uznamy chęć zagrania na nosie wrogiej paczce Obszarników oraz zaimponowania Mamelukom, jak nazywano zbiorowo całą pogardzaną większością szkolną, wszystkich tych uczniów, którzy znosili potulnie rygory i niedogodności stanu sztubackiego, starając się w miarę możliwości nie nadużywać cierpliwości Tupałki, nie wychylać zanadto, nie opuszczać lekcji i uczyć przynajmniej dla pozorów. Niektórzy z pedagogów rozpuszczali ponure wersje, że te masowe wagary podejmowano wręcz na złość szkole, a zwłaszcza na złość Tupałce, lecz bardziej prawdopodobna wydaje się wersja, że było to coś w rodzaju sportu, gry czy zabawy uprawianej dla niej samej. W każdym razie w umiejętności bezkarnego opuszczania lekcji Małorolni doszli do perfekcji i pobili na głowę wszystkich swoich sławnych poprzedników. Świadczy to wymownie, jak mądrą i pojętną mamy młodzież. Można śmiało powiedzieć, że jak we wszystkich dziedzinach życia, także i na tym polu zaznaczył się zdumiewający postęp, choć niezupełnie dokładnie w tym kierunku, w jakim byśmy sobie życzyli.

-9-

Przede wszystkim mogła zaimponować przemyślana i staranna organizacja tych eskapad. W odróżnieniu od wagarów urządzanych w przeszłości na zasadzie „genialnej improwizacji”, w której celuje ponoć nadwiślańskie plemię. Małorolni nic nie pozostawiali przypadkowi, niczego nie „puszczali na żywioł”, natomiast zgodnie z duchem czasu oparli swą przestępczą działalność na magicznej mocy blankietu, podpisu i pieczętki.

Wystarczyło, że kiedyś niejaki Widerszpil przyniósł do klasy podwędzoną matce-lekarce większą ilość blankietów z wezwaniem do stawienia się w sanepidzie, a udało się dzięki nim zwalniać „legalnie” na wagary po kilku ludzi z paczki (i to parę razy w tygodniu!) z powodu „badań okresowych”, „podejrzenia o nosicielstwo”, „zagrożenia epidemią” czy wreszcie „szczepień ochronnych”.

Rzecz wydawała się od początku do końca nader zajmująca. Już sam świat zagadkowych bakterii kusił sam przez się tajemnicą i przygodą. Małorolni z prawdziwą ciekawością przewertowali artykuły w encyklopedii na ten temat i obejrzeni ilustracje, a także przeczytali specjalną książkę o bakteriach, którą dostarczył im Widerszpil. Po kilku dniach niektórzy prominenci paczki nabrali takiej biegłości w tej dziedzinie, że na lekcji biologii zakasowali samego Pie-śniewicza, prymusa i groźnego kujona.

Tak, to było pasjonujące, a do tego te dźwięczne, egzotyczne, działające na wyobraźnię nazwy! Ileż przeżywali emocji podczas przydzielania każdemu odpowiedniej bakterii lub wirusa (aby utrzymać porządek i uniknąć ewentualnych kolizji).

Beata była nosicielką gronkowca złocistego (sama go sobie wybrała z powodu złocistej nazwy). Pałeczka coli przypadła grubemu Łysiakowi, salmonella miała dużo reflektantów z powodu ładnej nazwy, więc zarządzono losowanie i złośliwy los przydzielił ją Tymoteuszowi Cyglewiczowi, czyli Tyn-dziowi Cyngłowi, czyli Matołowi Klasowemu, raczej nisko notowanemu na giełdzie szkolnej. Nippo Poniński z racji żółtawej karnacji wyglądał od początku na nosiciela żółtaczkowej zakaźnej, więc dostał odpowiedniego wirusa. Paulina Wdolak wybrała sobie paciorkowce, widocznie skojarzyły

się jej ze sznurami pereł. Giga Szpańska - streptokoki. Widerszpil - proteusa. Leszek Kit, zwany Bulem, i Bobek Macuła nie mogli dojść do porozumienia i obaj dostali dwa takie same zarazki o sympatycznych imionach: pseudomonas fluorescens oraz staphylococcus aureus, ten ostatni do spółki z Beatą. Bryk, Filomon i Kukulski wybrali dla siebie różne maczugowce, laseczniki tudzież krętki...

No i zaczęło się! Blankiety sanepidu poszły w ruch. Bakterie i wirusy zaczęły „zbierać żniwo”, a szczęśliwi „zarażeni” ku zazdrości kolegów co dzień legalnie, na oczach wszystkich opuszczali bardziej niebezpieczne lekcje.

Wprawdzie Matoł Klasowy zalecał wstrzemięźliwość w stosowaniu sposobu i proponował parodniową przerwę „dla higieny psychicznej”, ostrzegając

-10-

przed przedwczesną euforią, ale kto by słuchał Matoła, gdy akcja rozwijała się tak gładko i pomyślnie. To były wielkie dni! W Małorolnych wstąpił nowy, ożywczy duch. Co dzień przeżywali świeże emocje, wprowadzając do „gry” coraz to inne bakterie i wirusy, wypełniając kolejne blankiety i podsuwając je nauczycielom z bijącym mocno sercem: czy uda się jeszcze raz? Udawało się! Gogowie nie zwracali uwagi na mnożące się zwolnienia: formalnie wydawało się, że wszystko jest w porządku - były przecież podkładki, pisemka i pieczętki, zresztą jak zwykle na początku roku „ciało” było okropnie zajęte i „bez czasu”, Tupałka zaś, jedyny nauczyciel „z czasem”, nie dziwił się żadnym zakażeniami ani epidemiom, gdyż uważał je za naturalne przy, jak się wyrażał, „horrendalnym stanie higieny w tej nieszczęsnej szkole”. Każde nowe „zakażenie” kwitował wzruszeniem ramion i zgryźliwą uwagą nie bez smutnej satysfakcji: „Co takiego?! Więc i ty, Widerszpil? No, proszę! Proteus! A nie mówiłem? To się musiało tak skończyć”. Zdawało się, że w takim układzie rzeczy nic nie może zagrozić tak świetnie obmyślanej machinacji, a jednak trzynastego dnia akcji (jak tu nie wierzyć w przesady?) nastąpił niespodziewany krach i, co było nie mniej zaskakujące, spowodował go właśnie... Tupałka. Kiedy Bobek Macuła jako piąty z kolei tego dnia (!) przedłożył mu wezwanie do sanepidu, Tupałka nie zajrzał nawet do papierka, błysnął tylko dziwnie okiem zza swoich szkielek i z nosem utkwionym w dzienniku zapytał:

- No, co tam tym razem, synu? „Imbecillitas crescens”?

- Nie, proszę pana - odparł Bobek. - Pseudomonas fluorescens. Wzywają mnie... pan przeczyta... Tupałka machnął ręką.

- To zbędne. Zwalniam dziś całą klasę. Nie będzie lekcji.

Tego się nikt nie spodziewał. Wszyscy zbaranieli i patrzyli jeden na drugiego, a potem spojrzeli na Kaflarzy, myśląc, że oni coś powiedzą. Ale Kafla-rzy chyba też zatkało, bo nic nie powiedzieli. W tej sytuacji najprzycytniej zachował się Matoł Klasowy, czyli Tyndzio Cyngiel, może dlatego, że od dwu dni ćwiczył jogę. Zerwał się z miejsca i poprawiając nerwowo okulary, zapytał właściwym mu głosem zachrypniętego kura:

- Czy to znaczy, proszę pana, że możemy iść do domu?

- Do domu? - Tupałka uśmiechnął się ni to smutno, ni szyderczo, w każdym razie dziwnie. - O nie, to zbyt poważna sprawa.

- Pan mówił, że lekcji nie będzie - zauważył Kaflarz Kukulski, wychodząc ze stanu zbaranienia.

- Nie będzie, bo zabieram was do szpitala - oznajmił spokojnie Tupałka.

- Co takiego?! - w klasie zapanowało wielkie poruszenie.

- Na próżno czekałem, aż wasze organizmy same uporają się z epidemią-rzekł Tupałka. - Niestety - westchnął - infekcja postępuje. Dłużej zwlekać nie

11

wolno. Z dniem dzisiejszym przystępujemy do kontrofensywy. Maszerujemy do kliniki!

-Do kliniki?!

- Mówię chyba wyraźnie. Klinika, oddział zakaźny. Wszyscy!

- Ależ... Po co?!... Nie ma chyba powodu... - klasa zaniepokoiła się nie na żarty.

- Nie ma powodu?! - Tupałka wyciągnął notes. - Siedem zakażeń pałeczkami duru i czerwonki, osiem - paciorkowcami, sześć - streptokokami, pięć - maczugowcami, tyleż samo lasecznikami i przecinkowcami. Aerobacter, sta-phylococcus aureus, pseudomonas aeruginosa, salmonella,

proteus, escherichia coli, wirus żółtaczk, streptococcus fekalis! Obrzydlistwo! Zaraza szerzy się w tej klasie! To chyba wystarczający powód!

Pieśniewicz zaprotestował.

- Ja nie jestem zarażony, proszę pana, ja myję ręce. Tupąka nie przyjął jego protestu.

- Stykasz się z kolegami, mój chłopcze.

- Nic podobnego, nie stykam się, a ściślej, nie dotykam ich - Pieśniewicz spojrział ze wstrętem na klasę i otarł odruchowo ręce o spodnie.

- Ale mogłeś się zarazić drogą wziewną, dziecko.

- Stale płuczę sobie gardło wodą utlenioną- oznajmił Pieśniewicz.

- Czy to pomoże? - Tupąka miał wątpliwości. - W tej klasie bakterie fruują aż pod sam sufit!

Wszyscy automatycznie podnieśli głowy, jakby chcieli zobaczyć te frujące bakcyle.

- Więc będę musiał iść z nimi do szpitala? - jęknął Pieśniewicz.

- Będziesz musiał.

Pieśniewicz usiadł rozgoryczony niesprawiedliwością Tupąki.

- Czy są jeszcze pytania? - matematyk rozejrzył się po klasie. „Nosiciele” naradzali się gorączkowo, a potem wypchnęli Zdeba, zwanego

Bełkotliwym z powodu niewyraźnej mowy.

- Ja w imieniu nosicieli, proszę pana - wybełkotał Zdeb, wstając z krzesła.

- Mów, tylko krótko i węzłowato.

- My... my... to znaczy nosiciele, nie jesteśmy chorzy i nie ma potrzeby nas do szpitala... My nosimy wprawdzie zarazki w sobie, ale one nie robią nam krzywdy - uśmiechnął się łagodnie. - One nas polubiły...

- Co ty pleciesz?

- Na przykład ja mam oswojonego streptokoka - bełkotał cierpliwie. - I razem żyjemy sobie w zgodzie.

-Co?

- Każdy chce żyć, proszę pana...

-12-

- Dość tych bredni - zgasił go matematyk. - Nosiciele są jeszcze groźniejsi od obłożnie chorych! To oni zdradziecko szerzą zakażenie! Jak się nazywasz?

- On się nazywa Zdeb -jak zwykle posypały się usłużne informacje.

- Będziesz izolowany, Zdeb, póki twój organizm nie zrezygnuje z nosicielstwa! - oznajmił Tupąka. — Siadaj!

Zdeb usiadł z nieszczęśliwą miną, a Tupąka grzmiał dalej:

- Nie będę dłużej narażać na zakażenie grona nauczycielskiego, i tak już cherlawego i dychawicznego, ani młodzieży z innych klas, nieodpornej i bezbronnej. Wszyscy pójdziecie do szpitala! Tam wezmą się za was energicznie i wypędzą z was te bakcyle. Już ja się o to postaram! Mój siostrzeniec jest tam ordynatorem, uprzedzam was! Lecz co, u licha, z waszą odpornością?! Żeby tak łatwo ulegać zakażeniu?! Zupełnie fatalnie, moi drodzy. Niewesołe rokowania na przyszłość. Bo to się tak zaczyna, przyjaciele, najpierw atakują nas bakcyle, a potem, nie daj Boże, Kosmici...

Tupąka dosiadł swego ulubionego konika i przez kwadrans straszył młodzież najeźdźcami z kosmosu, którzy z pewnością podbiją w końcu znikczem-niałą i zdegenerowaną ludzkość.

- Żebyście to jeszcze złapali bakcyła Pi - westchnął na zakończenie. - Ale takie pospolite zakażenia - skrzywił się pogardliwie.

Kaflarze szturchnęli się łokciami.

- Co to jest bakcyl Pi? — zapytał Bryk w wyraźnym celu przeciągnięcia sprawy.

- To bardzo silny i dla wielu bardzo niebezpieczny bakcyl, przeważnie nie do pokonania - odparł Tupąka. - Ale wam raczej nie zagraża.

- Dlaczego, proszę pana?

- Bo jesteście nicponie i lenie. A na niego chorują tylko ludzie wielkiego serca lub wielkiej pasji...

- A zwykli ludzie nie?

- Kto powiedział, że zwykli ludzie nie mogą mieć wielkiego serca albo wielkiej pasji?
Kaflarze udali nadzwyczajne zainteresowanie bakcylem. Mieli nadzieję, że matematyk zacznie dryfować i zapomni o swym niefortunnym pomysle ze szpitalem.

Klasa odetchnęła. Skoro Kaflarze wzięli w swoje ręce zagadywanie Tupalki, można być pewnym, że „zrobią” go, jak będą chcieli. W tej sztuce są niezrównani.

- To znaczy, że my jednak też się możemy zarazić - zgrywał się dalej Bryk, mrugając do kumpli. - Możemy połknąć bakcyła przynajmniej teoretycznie.

- Możecie, choć raczej wątpię, czy w jego najbardziej szlachetnej odmianie, odmianie S, a szkoda, bo wtedy uzyskalibyście trwałą odporność na inne, szkodliwe zakażenia.

-13

- Ale jak poznać, że połknąłem tego bakcyła, proszę pana? - zapytał Lolo, strojąc za plecami kolegów miny.

- Jeśli odkryjesz coś, co ci się nigdy nie znudzi, co cię nigdy nie zmęczy i na co zawsze znajdziesz czas... a co przyniesie ci szacunek u ludzi, a nawet podziw...

- E, pan się nabija z nas - powiedział Kukulski. - To nie żaden bakcyl, ale po prostu jakieś fajne hobby...

- To się nazywa pasja życiowa - wycedził z miną znawcy Bryk. - Ja czytałem o tym książkę. Różni maniacy to mają.

-1 artyści - dodał Filomon.

- Uczeni, wynalazcy i różni tacy... - dorzucił Kukulski.

- Ko... ko... - nie mógł wykrztusić Bryk.

- Kolekcjonerzy - podpowiedział Filomon. - Moją ciotkę, proszę pana, zaatakował kiedyś taki bakcyl. Ona była dentystką, ale porzuciła pracę, proszę pana, taką dobrą pracę dentystki, i została listonoszką.

- Dlaczego listonoszką? - Tupalka dał się wziąć na przynętę.

- Żeby mieć dostęp do znaczków zagranicznych. Odlepiała je nad parą, proszę pana, jak gotowała rosół, bo bardzo lubiła rosoly. Skargi na nią były, ale nic jej nie zrobili. Dopiero jak trafiła na adresatów takich samych filatelistów jak ona, to powinęła jej się noga. Bo ci filateliści ją śledzili i raz zaczęli się na nią, jak gotowała obiad. I jak poczuli zapach rosółu, wtargnęli do mieszkania i przyłapali ją, jak odklejała z koperty rzadki znaczek z Papui Nowej Gwinei. Ale ona nie dała sobie odebrać tego znaczka i była bójka, proszę pana, i ona oblała ich rosółem, a już poparzonych biła jeszcze tłuczkiem do ziemniaków. I poszła do więzienia, proszę pana...

- Dosyć! - przerwał Tupalka. - Zmyślasz!

- Było w „Kulisach”, proszę pana... I jeszcze było...

- Powiedziałem, dosyć! Idziemy do szpitala!

Uformował struchlałą młodzież w dwójki i wymaszerował z nią na korytarz.

Dreptali możliwie jak najwolniej, żeby zyskać na czasie. Liczyli jeszcze, że dyrektorka usłyszy ten dramatyczny exodus, że wyjrzy z gabinetu, zainteresuje się, przeciwstawi szaleństwu Tupalki i zawróci ich z drogi do szpitala, ale były to nadzieje płonne. Los chciał, że akurat przyjechała do szkoły komisja ze strażakami, demonstrowano najnowszy sprzęt przeciwpożarowy i instruowano, jak się z nim obchodzić. W chwili, gdy przerażona siódma B przechodziła koło pokoiów gogicznych, dyrektorke zakładano właśnie maskę przeciwgazową na głowę. Całkowicie pochłonięta tą czynnością, nic nie widziała i nie słyszała.

W tej sytuacji Kaflarze zdecydowali się zastosować wyjście awaryjne. Było ustalone, że w razie wpadki będzie się wciskać kity obronne celem wyłgania

14-

I

u/ opresji. Jako pierwsza miała wystąpić gruba Mamińska, bliźniacza siostra Mysia, a to z powodu budzącego zaufanie tłustego, poczciwego oblicza, a tak-/(• jako niespalona dotychczas żadnymi drakami, na razie „niezakażona” oraz nienotowana w notesie Tupalki. Była przy tym dobrą aktorką i zdobyła wicemistrzostwo klasy w hipokryzji.

A więc na schodach Mamińska zablokowała ofiarnie swym ciałem cały

• mdukt i zawołała do Tupalki dramatycznym głosem, łapiąc się za głowę:

- O Boże, a nasza klasówka z polskiego?! Mieliśmy dziś pisać klasówkę Dfl lekcji pani dyrektor! Zgodnie z awaryjną instrukcją, od razu podniosły się głosy zrozpaczonych dziewcząt:

- To straszne! Taka ważna klasówka...

- Decydująca!

- Pani dyrektor chciała nam dać ostatnią szansę!

- Bo ostatnio kompromitowałyśmy panią dyrektor...

- Pani dyrektor uważa, że mamy papuzie mózdzki... -I dzisiaj miałyśmy się zrewanżować...

- To znaczy zrehabilitować...

- Inaczej pani dyrektor przestanie zniżać się do naszej klasy. Tak powiedziała.

-I odda nas panu Muchówce...

- I my się bardzo boimy.

- Pan Muchówka jest nieźrównoważony nerwowo.

- Pan Muchówka pieni się z byle powodu.

Tupałka obserwował spokojnie dramatyczny występ Mamińskiej oraz popisy jej dwunastu koleżanek, po czym powiedział:

- Rzeczywiście, fatalnie się składa z tą klasówką, ale trudno. Los tak chciał. Może to i dla was lepiej. Pan Muchówka ma sporo zalet i skuteczne sposoby na rozwój ptasich mózdzków... To mądry, solidny nauczyciel, co prawda bardzo wymagający i trochę niecierpliwy, ale przecież nie musicie wyprowadzać go z równowagi - uśmiechnął się znów jakby szyderczo, a może im się tylko zdawało...

Kaflarze słuchali go z posępną miną. Kiedy skończył, Bryk i Filomon tręcili Tyndzia Cyglewicza.

- Z Muchówką nie zagrało, Matoł, uderz w pokorę.

Tyndzio zrobił płaczliwą minę. Chciał się bronić, ale wypchnęli go do przodu. Ich zdaniem, Matoł nadawał się najlepiej do pertraktacji, ponieważ wyglądał na takiego, co nie potrafi dwu zdań zmyślić... I był dla Tupalki „wiarygodny”.

- Klasówka z polaka, to jeszcze nic, proszę pana - wybełkotał Matoł. - Ale fizja, ale chemia, ale matma! Pan profesor uczy nas dopiero dwa miesiące, pan

-15-

profesor nie zna całej prawdy, pan profesor zorientował się już, że z matmajest źle, ale naprawdę to jest dno i kabaret zarazem, proszę pana. Powiem szczerze. My nie umiemy nic. Nie rozumiemy nic. I nie pamiętamy. Nie tylko z klasy siódmej, ale także z szóstej i piątej. Nic! Oszukiwaliśmy przez ostatnie dwa lata. Mamy umysł zablokowany, proszę pana, zaśmiecony rockiem, fałszywymi idolami... tremolami... dyrdymaikami... Tak powiedziała pani dyrektor i my to przyznajemy, i mówimy panu otwarcie, to nas oczyści moralnie... Dopiero jak pan przyszedł, kapnęliśmy się, że tak dalej nie można, że już się nie uda, z panem na pewno się nie uda... że się wszystko wyda. I chyba z tych strachów i stresów te choroby... I te bakcyle nas zaatakowały... Więc my dzisiaj postanowiliśmy z siebie to wszystko zrzucić i powiedzieć panu całą prawdę, i wiemy, że od razu poczujemy się lepiej, wszystko powiemy... - uśmiechnął się do Tu-palki matołowato i zaczął poprawiać okulary.

- Zainteresowałaś mnie, amigo - rzekł Tupałka. - Jestem pełen podziwu, że mimo tego zablokowania umysłu znaleźliście się w siódmej klasie.

- Technika nam pomogła - odparł Matoł. - Mieliśmy aparat do podpowiadania... Zainstalowany w klasie. My żałujemy -jęknął - my się poddajemy... składamy broń. Może... może wrócimy na chwilę do klasy i pokażemy panu, jak to wszystko działa - kusił Tupalkę, ale matematyk nie dał się skusić, tylko przyglądał mu się z zaciekawieniem.

- Zaraz... jak ty się nazywasz, synu? - mimo że uczył w tej klasie już drugi miesiąc, wciąż miał trudności z rozpoznawaniem uczniów.

- Nazywam się Tymoteusz Cyglewicz, proszę pana. Tupałka grzebał w notesie.

- Czy to ciebie przezywają Matołem Klasowym? - zapytał. Tyndzio spuścił głowę.

- To absurdałne i krzywdzące! - zasapał Tupałka. - Nazwać matołem tego chłopca?! Wygłosiłeś

orację, synu, godną wawrzynów Cycerona. Co za zdumiewający potencjał intelektualny.

Przezwicka mylą! Przepowiadam ci wielką przyszłość!

Klasa znieruchomiła jak porażona, a najbardziej zbaraniał sam Matoł. Wiadomo było, co znaczą takie pochwały Tupałki. Przejrzał ich i dokończy bezlitośnie operacji...

- No, cóż, Cyglewicz. Przyszłość przed tobą, ale... ale najpierw musisz się wyleczyć z salmonelli - mówił z oczyma wlepionymi w notes. - O ile się nie mylę, salmonella cię zaatakowała. Szkoda byłoby, gdyby tak obiecującego młodzieńca przedwcześnie zjadły salmonelle. Do szatni! - zakomenderował. - Daję wam pięć minut na ubranie się.

I wtedy podejrzenia Małorolnych zmieniły się w pewność. Tupałka bierze ich do szpitala, żeby ich zdemaskować! On wie, dawno już wie, może nawet od

-16-

początku, że wstawiali z tymi zwolnieniami kity, on tylko czekał... czekał, aż araza" obejmie większość klasy, żeby efekt zdemaskowania był wspaniał-izy. Od początku miał na celu skompromitowanie ich raz na zawsze, ośmieszanie przed całą budą, przyparcie do muru! Oni, Kaflarze i Małorolni, uważali się za wielkich aktorów, ale czy przypadkiem Tupałka nie postanowił zostać wiel-im reżyserem i skłonić ich podstępnie do grania w swym teatrze? Kukulski przygryzł wargi.

- Trzeba skończyć zabawę - mruknął do Kaflarzy. - To się robi niebezpieczne.

- Ale jak kończyć? - jęknął zdeprimowany Bryk.

- Zastosujemy wariant ostateczny -, powiedział Kukulski.

Bryk i Filomon umilkli. Wariant ostateczny był wariantem krwawym.

- Nie rób tego! - przestraszył się Filomon. - To... to bardzo niebezpieczne.

- Muszę! - Kukulski zacisnął zęby, patrząc posepnie na matematyka, który wyraźnie bimbając sobie z ich próśb, czekał kilka stopni wyżej oparty o poręcz schodów i przeglądał gazetę. Z harcówki mieszczącej się obok szatni dobiegały dźwięki muzyki. Instrumentalny zespół rockowy ćwiczył wciąż ten sam rytmiczny kawałek. Tupałka w takt melodii beztrudno uderzał butem w cokół schodów.

- Zdaje się, że nieźle się bawi - zauważył Bryk.

- Otóż to - wycedził Kukulski. - Dlatego muszę mu popsuć tę zabawę! Wiesz, co masz robić stary? Bryk skinął głową.

- Tylko bez litości, to ma być zrobione z pełnym rozmachem, jak tylko się ustawię — dodał Kukulski.

- Nie, nie... - zaprotestował Bryk. - Ty jesteś zupełny wariat.

- Człowieku, czas ucieka... Przysięgałeś, że zrobisz to!

- Tak, ale włóż lepiej kamyk. Wtedy wystarczy lekko stuknąć - Bryk wyciągnął z kieszeni parę ostrych kamyczków używanych jako pociski do procy. Podsunął je na dłoni Kukulskiemu. - Weź ten najmniejszy - powiedział.

Kukulski po chwili wahania wziął kamyczek i wcisnął sobie do nosa. Zaraz w następnej chwili, nim jeszcze zdolał się ustawić, otrzymał krótki cios w twarz. Bryk uważał, że będzie dla delikwenta lepiej, jak załatwi go szybko i niespodziewanie.

Oszołomiony Kukulski chwiał się na nogach, trzymając się za nos, który krwawił obficie.

- Co ty, Kukul?! Kładź się i krzycz! Zapomniałeś, co masz robić?! - syknął /denerwowany Filomon.

Ponieważ Kukulski wciąż stał ogłupiały i nie chciał się ani położyć, ani krzyczeć, rzucili się na niego i położyli go siłą, a potem sami narobili krzyku:

-17-

- Proszę pana, proszę pana! Coś się stało Kukulskiemu! Leży cały we krwi! Matematyk drgnął. Rzucił gazetę i zbiegł po schodach na dół.

- Pokażcie mi go - rozgarnął gromadę podnieconych wypadkiem uczniów. Klęknął przy Kukulskim i obejrzał go zdumiony.

- Jak to się mogło stać?! Ktoś go uderzył? Spadł ze schodów?

- To nie to, proszę pana - Bryk pociągnął nosem. - Jemu tak się zawsze robi z silnego wzruszenia.

- Musiał się bardzo przestraszyć i dlatego - dodał Filomon. - On ma słabą krzepliwość krwi. Nie można go teraz ruszać. Trzeba mu zrobić zimne okłady na nos...

- Położymy go na kanapce w gabinecie lekarskim - zaproponował Bryk. - Pomóżcie! Zaniesiemy go!

- Najlepiej w sześciu! - powiedział zaafierowany Tupałka. - Trzech z tej strony, trzech z tamtej...

- Niebezpiecznie go ruszać - ostrzegął Filomon, mrugając okiem do Małorolnych.

- Zaniesiemy go w pozycji poziomej - wysapał Tupałka. - Bierście go! Tak, głowa niech będzie wyżej! Ostrożnie!

Dyrygując „sanitariuszami”, pomógł zataszczyć pacjenta. Za jego plecami Filomon i Bryk dawali znaki, żeby wiać. Akurat zabrzmiał dzwonek. I kiedy Tupałka z sześcioma dryblasami zniknął w gabinecie lekarskim na pierwszym piętrze, reszta klasy czmychnęła do pracowni chemicznej na parterze pod opiekę pani Jasiuk i ze zdumiewającym zapałem zabrała się do mycia szkła laboratoryjnego i czyszczenia aparatury, cały czas drżąc ze strachu, czy za chwilę Tupałka nie stanie w drzwiach.

Ale Tupałka nie przyszedł. Zamiast niego przyszli ratownicy i Kukulski z opuchłym nosem.

- Puścił was? - zdziwili się Filomon i Bryk.

- Podejrzanie łatwo - wybełkotał Kukulski.

- On chyba robił nas w konia z tym szpitalem - rzekł rozdrażniony Filomon. - On w ogóle nie miał zamiaru z nami tam iść.

- Myślisz?

- Chciał tylko napędzić nam strachu...

- Bzdury! To ja mu napędziłem strachu-rzekł chętnie Kukulski. - A jeśli nawet bawił się naszym kosztem, to mu popsulem tę zabawę.

- Tak, popsuleś mu - mruknął Bryk, zerkając na jego nos. Wszyscy też spojrzeli i nagle zrobiło się żałośnie i smutno.

-18-

Tegoż dnia na dużej przerwie, pod fortepianem w sali gimnastycznej, Ka-Ilarze odbyli poufną naradę w rozszerzonym gronie z udziałem Mysia Mamiń-skiego i Matoła Klasowego. Bryk i Filomon przyszli pierwsi, wciąż pod wrażeniem fatalnego rozwoju wypadków. Wyraźnie byli w kropce i nie wiedzieli, co dalej robić. Natomiast Kukulski nie miał żadnych wątpliwości. Uważał się za bohatera dnia i nie spiesząc się pod fortepian, obnosił po całej szkole swój napuchły nos i wstawiał dęte fabuły na temat ostatnich wypadków. Puszył się swą dzielnością otoczony tłumem żądnych sensacji smarkaczy, barwnie nawijał, pomijając niewygodne szczegóły, jak przez dwa tygodnie robili gogów w konia tymi bakcylami, jak w ostatniej chwili on, Kukulski, udaremnił niecny manewr Tupałki, stosując odważnie wariant ostateczny. Nabijał się przy tym z „niedowładów umysłowych” matematyka i zapowiadał, że jeszcze nie koniec rozgrywki i że wkrótce zrobi go w „dużego konia z podkowami”.

Gdy w końcu zjawił się pod fortepianem, rozgrzany i dobrze podładowany energią, od razu narzucił naradzie bojowy ton.

- Bez popłochu, panowie. W końcu nic się takiego nie stało - powiedział. Wyszliśmy obronną ręką z kabały. To był mały wypadek przy pracy. Zdarza

się najlepszym fajterom. Za długo graliśmy tą samą kartą. Nawet taki fujara jak Tupałka się połapał. Najwyższy czas wyjść w co innego!...

- Co ty! Chcesz dalej to ciągnąć!? - skrzywił się Bryk.

- Jesteśmy spaleni, bracie - mruknął posepnie Filomon.

- Z Tupałka już nie wygramy -jęknął Mysio Mamiński.

- Skończmy grę...

- A tyle! — Kukulski pokazał im figę. — Typ nam rzucił wyzwanie. Mamy uciekać? Płoszyć się? Poddać? Nigdy. Musimy się rozliczyć i wyrównać rachunki. Rzecz wymaga rewanzu...

- Ależ, człowieku - zauważył przytomnie Matoł Klasowy. - Ciebie zjada lakaś ambicja sportowa, tymczasem siedzenie w budzie to nie sport, to nie gra z gogami...

- A jeśli gra, to tylko do jednej bramki - zauważył gorzko Mysio. - I oni strzelają, nie my.

- Szkoła to jest, bracie, po prostu konieczna nieprzyjemność — filozofował Matoł. - Nie ma sensu pojedynkować się z Tupałką. Nie mamy równych praw, uczciwy mecz jest wykluczony, jesteśmy z góry na spalonej pozycji.

- O, nie, panowie! Nie będzie jego na wierzchu. Nie będzie więcej strugał wielkiego mędrca szkolnego, fachowca od młodzieży. Bo nie jest. Gra musi toczyć się dalej. I do diabła z przepisami! Sam powiedziałeś, że nie mamy równych praw, ja powiadam więcej, nie mamy żadnych praw, ale tym lepiej dla

-19-

nas. Każdy chwyt dozwolony. I zobaczycie. Zrobimy Tupałkę na szaro. Odechce mu się grać rolę cichego reżysera wrednych sztuk o młodzieży... I bawić naszym kosztem.

- Coś się tak zawzięł na Tupałkę?! - zapytał z krzywym uśmiechem Bryk.

- Bo on stroi sobie z nas żarty. Czy ty nie widzisz tego, chłopie? Każde jego odezwanie na lekcji to są mniej lub bardziej ukryte kpiny. I na jakiej zasadzie, pytam, jakim prawem?... Żeby jeszcze był naprawdę kimś, coś znaczył, żeby przynajmniej miał lepiej od nas ułożone w głowie.

- No, w końcu przyskrzypił nas jednak na tych bakcylach - zauważył Matoł Klasowy.

- Raz mu się udało - odparł Kukulski - przypadkowo i z naszej winy.

- W każdym razie ze wszystkich gogów tylko on zauważył.

- Bo, jak każdy nudziarz, ma nawyk notowania.

- Mój dziadek jest straszny nudziarz, a nie notuje, nie ma nawet na czym, a jak zaczniesz mówić o pszczołach albo o Cyganach, to mówi dwie godziny - rzekł Filomon.

- O Cyganach?

- Jako dziecko się zgubił i był przez trzy lata wychowywany przez Cyganów.

- To może być ciekawe - zauważył Matoł Klasowy.

- Ale nie jak się słucha po raz dziesiąty i dwudziesty.

- Panowie, do rzeczy - przerwał Kukulski. - Tupałka mógł sobie wyrobić nawyk notowania nie tylko dlatego, że jest nudziarzem, ale także dlatego, że ma zanik pamięci i wielkie trudności w najprostszym kojarzeniu. To jest, proszę was, wrak pedagoga, nie wiem, czemu jeszcze trzymają go w szkole. Chyba przez braki kadrowe, a może po prostu z litości...

- To fakt, że nie może spamiętać nawet trzech twarzy i dwóch nowych nazwisk - przytaknął Bryk.

- Gość bez refleksu - zgodził się Filomon.

- Roztargniony jak przysłowiowy profesor — dodał Mysio.

- To jest w ogóle facet z marginesu życia - oświadczył z pogardą Kukulski. - Bez żony, bez rodziny, bez ambicji. Nie kombinuje, nie szpanuje, nie handluje, on nawet nie daje prywatnych lekcji i chyba nie stoi w kolejkach. Widzieliście kiedyś, żeby stał?

Potrząsnęli głowami.

- Nie pije wódki - dorzucił Bryk.

- W ogóle nic nie robi - rzekł Filomon.

- I dlatego jest niebezpieczny - orzekł Kukulski. - Nie jest niczym zajęty...

- Eee... podobno hoduje myszy - wtrącił Matoł Klasowy.

-20-

- Hoduje czy po prostu ma? — skrzywił się pogardliwie Kukulski. — Nie wiercie w te bajki. Po prostu z niechlujstwa zagnieździły się u niego myszy. Zwykle szare myszy.

- Karmi je, to jest stwierdzone.

- No cóż, może dokarmiać, to nie jest człowiek normalny. Faktem jest, że nic ma nic do roboty, dlatego nam się przygląda i notuje, nie ma żadnych rozrywek, dlatego postanowił bawić się naszym kosztem... Drażnić się z młodzieżą, to duże emocje dla takiego starszego pana... Ciężki wapniak kambryjski! Ma-słodont z pliocenu! — Kukulski wyrzucił z siebie gorycz, sypiąc epitetami i zdradzając dużą wiedzę paleontologiczną. - Trylobit! Fagocyt szkolny! Spo-rofitek! Jednym słowem - piernik, a w ogóle to grzyb!

Z podniecenia wałnął głową w spód fortepianu. Rozległ się żalony jęk.

- Fis-moll - wykrzyknęli chłopcy. Kukulski trzymał się za głowę.

- Panowie, trzeba zmienić miejsce narad. Po jakie licho my tu, pod tym fortepianem! —wykrztusił.

- Miejsce jest dobre - rzekł Filomon. - Tylko ty się za bardzo podniecasz. Zamiast skakać, powiedz, co konkretnie proponujesz... W miejsce bakcyli.

Kukulski milczał przez chwilę, rozcierając guz na głowie.

- Proponuję wezwanie do sądu!

- Do sądu?! - Bryk i Filomon osłupieli. Matoł Klasowy zaśmiał się histerycznie, a Mysio Mamiński wytrzeszczył swoje małe oczka.

- Oczywiście w charakterze świadków. Dużo ludzi dostaje wezwania... to nic wzbudzi podejrzeń... - wyjaśnił Kukul.

-Ale małolaty?!

- Małolaty też - odparł Kukulski. - Do sądu dla nieletnich. Żeby było prawdopodobne, wymyślimy dwie, trzy sprawy, które będą się ciągnąć. Dużo spraw ciągnie się miesiącami. Mówię wam, przemyślałem to dobrze. Sprawy sądowe są lepsze od zakażeń.

- Ale blankiety — zauważył przytomnie Matoł Klasowy. — Skąd weźmiemy blankiety... Wezwania do sądu są na specjalnych druczkach.

- O blankiety postarasz się ty, Cyngiel - Kukulski wbił wzrok w Matoła Klasowego.

- Ja... dlaczego ja?! - zmieszał się Matoł.

- Bo niejaki pan Cyglewicz, czyli twój stary, jest sędzią - odparł zimno Kukulski. - To tyle na dziś. Narada zakończona, panowie.

Dumnie i dziarsko poderwał głowę i rąbnął znów w fortepian, który odpowiedział mu szyderczym brzękiem.

- Ces-dur! — wykrzyknęli chłopcy.

-21-

I

Niestety, niezbędnych blankietów nie udało się zorganizować- Cyngiel objawił w tym wypadku zenującą niemożność. Najpierw odwlekał sprawę, a przyciśnięty do muru przez zniecierpliwionych Kaflarzy tłumaczył zaczerwieniony, mętnie i bełkotliwie, iż żadnych druczków u swego ojca-sędziego nie znalazł i że chyba te wezwania na rozprawy wypełniają dwa straszne koczkodany w kancelarii sądowej, a z nimi ma na pieńku od czasu, jak go przyłapały na próbie podwędzenia poduszki i tuszu do pieczętek, więc woli nie ryzykować...

Zdawało się, że nowa akcja nie ruszy z miejsca, gdy nagle w piątek po lekcjach Kukulski zatrzymał towarzystwo.

- Na chwilę pod fortepian proszę.

- Co się stało? - zapytał zaskoczony Mysio, gdy znaleźli się w miejscu narad. - Masz blankiety?

- Mam pomysł — powiedział Kukulski.

- Sam powiedziałeś, że pomysł nie jest nic wart bez blankietu i pieczętki. Taka teraz obowiązuje zasada - zauważył Matoł Klasowy. - Blankiet i pieczętka w każdym zakątku życia.

- Jest jeden wyjątek od tej zasady, Cyngiel - powiedział Kukulski--Niby jaki?

- Rodzina, bracie. Życie rodzinne staje się z powrotem modne- Czytałem w jednym piśmie, a w rodzinie obchodzisz się bez jakiegokolwiek biurokracji... Będziemy dostawać zwolnienia z powodu ważnych wydarzeń rodzinnych-

- Myślisz, że to chwyci?

- Na pewno chwyci. Gogowie, nawet najbardziej groźni, wzruszają się ważnymi wypadkami w rodzinie, na przykład pogrzebami, i dają zwolnienia na cały dzień albo nawet na dwa dni, i jeszcze ci współczują, bracie.

- No, dobrze, ale jak to sobie wyobrażasz w praktyce?...

- Zwyczajnie. Na zwykłej kartce piszesz, oczywiście zastępując opiekę domową, żeby cię zwolnili z powodu pogrzebu, chrzcina czy na przykład ślubu...

- Ślubu? - ożywił się Cyngiel. - Czyjego ślubu? -jak zwykle był głupio dociekliwy.

- Jak to czyjego? - wzruszył ramionami Kukul. — Wszystko jedno, byle z bliższej rodziny, na przykład ciotki, babki, matki...

- Matki?! Ja nie życzę sobie - wybuchnął Cyngiel.

- Na ślub matki nawet Olimpia puści cię obowiązkowo.

Kaflarze zachichotali. Wiadomo było, że pani Cyglewiczowa straszyla męża rozwodem i poślubieniem prokuratora Siupińskiego, a Matoł miał uraz na tym punkcie.

-22-

- Głupi, daj spokój - poklepał go po łopatkach rozbawiony Filomon. - Kukul tylko żartuje.

- Żartujesz? - zapytał Matoł.

- Jasne - rzekł Kukulski. - Nie bój się nic, Tyndziu. Każdy wymyśli sobie laki ślub, jaki mu odpowiada. Nie będziemy na siłę wydawać ci za mąż mamy ani żenić taty. Wszystko musi być dokładnie przemyślane, mamy na to całą wolną sobotę, a w niedzielę opracuje się dokładny harmonogram, kto i z jakiego powodu będzie się zwalniał w przyszłym tygodniu, żeby nie było wpadki...

- Na przykład żeby kogoś nie pogrzebać dwa razy - mruknął Mysio.

- Albo, co jeszcze gorsze, ożenić pogrzebanego niedawno nieboszczyka - zarechotali Bryk i Filomon.

Ponieważ tym razem nikt nie wyrznął głową w fortepian, więc żeby tradycji stało się zadość, na zakończenie Bryk i Kukulski przytrzymali zaskoczonego Mysia, a na ten znak Filomon wyjął sprawnie z pudełka od zapalek chrząszcza szeliniaka i wpuścił Mysiowi za koszulę. Mysio wrzasnął i podskoczył jak oszalały. Struny zajęczały boleśnie.

- Ais-moll! - wykrzyknęli trzej muzykalni chłopcy.

WZDZIAŁ II

I ak jak zostało ustalone, sobota i niedziela zeszła im na starannych przygotowaniach. Najpierw postarali się o próbki pisma rodziców. Potem opracowali kilka wzorów próśb o zwolnienie syna lub córki z lekcji z powodu ważnych spraw rodzinnych. Postanowili, że każde będzie inne, żeby nie budzić podejrzeń. Będą pisane nie tylko innym długopisem czy flamastrem, na innym papierze, z innymi odstępami, z innym marginesem, nie tylko innym charakterem pisma, ale także innym stylem. O niczym nie zapomnieli. Nawet o tym, żeby listy od mniej wykształconych rodziców zawierały parę błędów ortograficznych i gramatycznych. Potem podzielono pracę. Jedni przez pół dnia preparowali teksty, inni mozolnie ćwiczili podpisy. A w niedzielę, zgodnie z planem, ułożyli dokładny harmonogram zwolnień, to znaczy kto, kiedy i z jakiego powodu będzie prosił o zwolnienie. Ustalili, że w grę będą wchodzić tylko luby, chrzciny i pogrzeby, oraz, aby nie doprowadzić gogów do szału, że każ-ily uczeń będzie miał prawo zwalniać się tylko dwa razy w miesiącu, że każde-go dnia może się zwalniać tylko dwu uczniów i to u dwu różnych nauczycieli. \

ponieważ Małorolnych było dwudziestu, przestrzeganie harmonogramu po-

-23-

winno zapewnić wszystkim sprawiedliwy rozdział zwolnień i równe szansę w ich uzyskaniu.

Akcję rozpoczęto w poniedziałek na pierwszej lekcji; była to lekcja historii z dyrektorką. Na pierwszy ogień poszedł Mysio Mamiński mimo protestów, że robiąz niego „mięso armatnie” i że eksperymentują na jego skórze. Ale jeśli to był eksperyment, to udał się nadspodziewanie:

dyrektorka bez trudności zwolniła Mysia na „pogrzeb wujka”, i to na całe dwa dni, ponieważ, jak podano w prośbie, wujek mieszkał daleko, aż w Gryfmie. Godzinę później również bardzo łatwo Olimpia zwolniła Filomona na „ślub siostry”. Następnego dnia udało się bez problemów załatwić Gigę Szpańską i Paulinę Wdolak, trzeciego - Darka Bryka i Kukulskiego...

Tak, to było świetnie przygotowane i zagrało bez pudła. Wszystko wskazywało na to, że tym razem problem mają z głowy. Wprawdzie Matoł przestrzegał przed przedwczesną euforią, radził uspić lepiej czujność gogów i zalecał dwudniową przerwę w akcji dla „higieny psychicznej”, jak to określał, ale kto by słuchał Matoła, gdy wszystko szło jak po maśle.

Choć co bystrzejści nauczyciele odnotowali z pewnym zdumieniem, że po epidemii zakażeń bakteryjnych tę osobliwą klasę nawiedziła z kolei epidemia uroczystości rodzinnych, to jakoś nikomu nie przyszło do głowy zbadać bliżej sprawę. Zresztą absencja rzadko przekraczała dwie osoby, a zachowanie ogólne uczniów nie dawało żadnych powodów do niepokoju; przeciwnie, zmieniło się jakby na korzyść. Klasa zafundowała gogom pewien komfort, stała się wyraźnie „łatwiejsza”, zapewne z powodu nieczystego sumienia, przycichła, przyczaiła się i dla zmylenia

tropu zabrała do nauki; jednym słowem - idylla. Nauczyciele brali za dobrą monetę to, co według słów Kukulskiego, było tylko „perfidia i maskaradą”. Kaflarze zacierali ręce, a Kukulski do tego stopnia urósł w pychę, że próbował rzecz podbudować naukowo i zaczął pretendować do zaszczytnego tytułu teoretyka. Jego zdaniem wszystko polegało na rym, że udało mu się wytworzyć w klasie ciekawy i nader rzadki układ równowagi, czyli tak zwany balans. Był to układ zdrowy i obustronnie korzystny, bo zapewniający dobre samopoczucie zarówno uczniom, jak i gogom, i dlatego stabilny.

Zapewne przy odrobinie szczęścia dzięki tej „perfidii i maskaradzie” sielanka i idylla mogła trwać miesiącami. Byłby to z pewnością największy „numer” w dziejach szkoły, a może nawet w dziejach wszystkich szkół w naszym kraju; niestety, już po dwu tygodniach wszystko się rozbiło o tego pomyłonego faceta, o tego niewydarzonego bzdyla, przeklętego fantastę i Jonasza — jednym słowem o Bubla. Tak przezywano w klasie — i okazało się, że bardzo słusznie -niejakiego Leszka Kita. To on właśnie zburzył beczelnie ów subtelny układ równowagi, ów złoty, nieodżałowany balans!

-24-

Nicpoń wyglądał z pozoru dość niewinnie: lekko roztargnione oko, szeroki ucziwa, zaledwie sześcioma piegami napiętnowana twarz, konopiasta, u kowanie zapuszczona czupryna. Nie był lizusem ani podskakiwaczem, nil cicho w ostatnim rzędzie, z nauką był na bakier, zwłaszcza z matmą. kejach myśl jego błędziła osobliwymi torami w różnych okolicach, ale idy w tych, jakie aktualnie proponował Tupałka. Rozlazły umysł Bubla w żaiposób nie dał się uwiezić w torach ścisłego myślenia, którego wymagał 11 miot. A że nie dbał o ściagi i zamiast podpowiedzi słuchał raczej muzyki icgającej z klubu po przeciwnej stronie ulicy, zajął szybko pierwsze miej-i >d końca i już po paru tygodniach nauki w siódmej klasie Tupałka zaliczył | bez wahania do imbecylów kwadratowych. Ale Bubla to mało dotknęło; -i 'i I wrażenie, jakby mu ani trochę nie zależało na stopniach. W każdym razie nał się lepiej na księżycach Jowisza czy Saturna niż na geografii ojczystego I raju, lepiej na interwałach i akordach niż na najprostszych algebraicznych funkcjach, lepiej na sprzęcie hi-fi niż na zwykłych geometrycznych figurach. On jeden nie uległ presji ciasnej ekonomii ani pokusie łatwych zarobków. I. iedy wszyscy Małorolni sadzili w doniczkach pietruszkę, on zamiast pietruszki wsadził nasienie palmy daktylowej; podlewał je codziennie i czekał, aż mu coś wyrośnie, ale jak dotąd nic mu nie wyrosło.

Po kieszeniach nosił zagadkowe przedmioty: drobne elementy ceramiczne, rurki, wałeczki, kulki o niejasnym przeznaczeniu, plastikowe detale o zaskakujących kształtach, delikatne metalowe części precyzyjnych urządzeń — Bóg raczy wiedzieć, gdzie je znajdował, być może po prostu na śmietnikach... Gdy go pytano o sens tego głupiego kolekcjonerstwa, nie raczył nawet odpowiadać: uśmiechał się tylko z wyższością i gapił półprzymkniętymi oczyma w niebo, niedwuznacznie podsuwając myśli o nieziemskim pochodzeniu tych rzeczy.

Kiedys pokazał Kaflarzom tajemniczą, metalicznie połyskującą chropowatą bryłkę wielkości orzecha włoskiego.

- Śmieszny kamyk - stwierdził Kukulski.

- Kamyk? — Bubel z uśmiechem pokręcił głową: — To nie kamyk, zobacz, jakie to ciężkie. Kukulski zważył w ręce.

- Faktycznie, ciężkie jak metal; ciekawe, jak to wygląda w środku. Pobiegli do pracowni technicznej. Po rozłupaniu bryłki młotkiem ukazało się pod szarobrunatną skorupą błyszczące złotawo srebrzyste jądro, o wyraźnie krystalicznej, promienistej strukturze.

- Do licha! - Kukulski nie mógł ukryć zaskoczenia. - To jest chyba...

- Meteoryt — dokończył triumfalnie Leszek.

- No właśnie, meteoryt - Kaflarze spojrzeli nieco innym wzrokiem na Bubla. - Skąd go masz?!

Ale on nie chciał powiedzieć.

Spore wrażenie robiły na nich także muzyczne skłonności Leszka i pewna wiedza w tej dziedzinie, zwłaszcza że sami uważali się za melomanów. W każdym razie na tle raczej bezbarwnych neptków zaludniających szkołę był to niewątpliwie „człowiek z właściwościami”, uznali więc, iż może się przydać, i przyjęli go nieopatrnie do paczki, a potem pluli sobie w brodę, że byli tacy niemądrzy. „To wskutek chwilowego zaćmienia umysłowego - usprawiedliwiał się przed Małorolnymi zde gustowany Filomon. - Niepotrzebnie zjedliśmy tego dnia w »Victorii« sześć porcji mózdków cielejących w sosie winnym. Mózdzki cielejące nigdy nam nie służyły...”

Mózdzki, nie mózdzki, faktem jest, że tym razem rachuby zawiodły tych bystrych chłopaków.

Owszem, Bubel był niewątpliwie „człowiekiem z właściwościami”, ale okazało się rychło, że jedna z tych właściwości przytłacza zdecydowanie wszystkie pozostałe. Miał szczególny talent do pakowania tych, co z nim obcowali, w nader żenujące sytuacje. Potrafił na przykład wciągnąć najbardziej trzeźwych ludzi w swoje urojenia i fantazje; wierzyło mu się dziwnie łatwo, a potem wychodziło na grupka. Kiedyś dał Kaflarzom do przesłuchania taśmę z bardzo dziwną muzyką i kazał im zgadnąć, co to jest. Oczywiście nie wiedzieli.

W tajemnicy wyznał im wtedy, że usłyszał ją w zoo. Wychodziła z wody, z basenu hipopotamów.

Pytał, co sądzą o tym. Czy to w ogóle jest muzyka? Czy w zoo przypadkiem nie działa jakaś specjalna echosonda i nie odbiera sygnałów któregoś ze sztucznych satelitów?... Tyle ich już umieszczono na orbitach! Kaflarze sami poszli do zoo nagrywać te zagadkowe sygnały... Niestety, nagrały się tylko pospolite głosy, ryki i pomruki zwierząt. W dodatku jakiś głupi natarczywy baran czy muflon wytrącił im z rąk magnetofon, skop-sał i poważnie uszkodził. Wściekli na Bubla i siebie, że dali się nabrać na tego rodzaju „fantastykę”, przyrzekli sobie, że nigdy już nie będą tak łatwowierni... A jednak parę dni później dali się wrobić w podobną aferę.

Otóż w sobotę, jak mieli w zwyczaju, wybrali się do Lasu Kabackiego, by zażyć niewinnego „relaksu w siodle”, i niepomni nauczki zabrali ze sobą Bubla. Bubel oczywiście zgrywał się na doświadczonego jeźdźca, w niczym nie chciał być gorszy i za przykładem kolegów on także wypożyczył sobie w pobliskiej stajni pięknego wierzchowca gniadej maści, po czym całą czwórką popędzili w las...

Nie wiadomo, co się dokładnie stało: czy konisko poznało, że wiezie pełnego nowicjusza, czy też głupek coś zrobił koniowi, dość że przejażdżka skończyła się dramatycznie. W pewnym momencie wierzchowiec nagle stanął dęba, wierzgnął, a potem rzucił się do desperackiego galopu. Wkrótce zniknął zupełnie Kaflarzom z oczu, unosząc z sobą Bubla w nieznane rewiry... Zamiast

/ażywać rozkoszy hippicznych, zdenerwowani Kaflarze musieli szukać po całym lesie niefortunnego jeźdźca; przedzierając się przez zarośla i brodząc w podmokłym terenie, znaleźli Bubla wreszcie po dwu godzinach, półżywego i zamroczonego, koło zepsutego mostku. Bełkotał, że koń go zrzucił. Kolejną godzinę musieli poświęcić na łapanie złośliwego gniadosza, który nie dawał się podejść i uparcie bawił się z nimi w chowanego. W rezultacie odprowadzali konie do stajni już po ciemku, a ci z klubu okłeli ich straszliwie i łupnęli im słońą karę za przekroczenie czasu.

Kaflarze z najwyższym trudem przełknęli tę przykrość, a gdy spojrzeli na I kibla, w ich oczach była żądza mordu. Od dokonania zbrodniczego czynu powstrzymało ich nienormalne zachowanie delikwenta. Nie zdradzał ani strachu, ani przygnębienia, ani wstydu, wciąż znajdował się w stanie dziwnego i 'szolomienia, a może raczej - zamyślenia... I milczał, milczał nader zagadkowo.

- On ma chyba uraz czaszki - orzekł Kukulski. - To się właśnie tak objawia.

- E tam, zwykły szok organizmu - Filomon złapał Bubla za brodę i próbował zajrzeć mu w oczy.

- Szok? Ja go zaraz wyprowadzę z szoku, drania - Bryk odepchnął Filo-mona i chciał zaprawić Leszka pięścią, ale ten uskoczył przytomnie.

- Czego chcecie ode mnie? — wysapał. - Wy byście też pospadali. Wiecie, dlaczego spadłem?

- Bo jesteś patałach.

- Nie. Bo zobaczyłem UFO.

- UFO? - Kaflarze zdębieli.

- Tak, i koń zobaczył. Przeleciało mu przed chrapami. Dlatego się przestraszył i poniósł... Opowiedział dokładnie, jak wyglądało. Było złotopomarańczowe i błyszczące. Leciąco bardzo nisko. Musiało wylądować gdzieś niedaleko w lesie. Można by je łatwo odnaleźć. Zapamiętał dobrze to miejsce.

I wtedy wydarzyło się to, czego później najbardziej się wstydzili: nie tylko mu przebaczyli całą nieszczęsną przygodę z koniem, ale jeszcze dali się omamić do tego stopnia, że zaraz następnego dnia, w niedzielę wczesnym rankiem, udali się powtórnie do tego zakątka lasu i rozpoczęli poszukiwania. Stracili niemal pół dnia i... Owszem, znaleźli, ale... Złocisty model odrzutowca „Mira-1”. Zapewne wymknął się spod kontroli jakichś pechowych modelarzy i prze-I.iłując w słońcu nad lasem, udawał UFO.

Jeszcze parę razy nacięli się z powodu urojeń Bubla, ale tak naprawdę to nie o to poszło. Nie byli przecież głupimi chłopcami i rozumieli, że skoro się włazi na teren z pogranicza fantastyki, to błędy, pomyłki i rozczarowania są

-27

nieuniknione; wszyscy wielcy odkrywcy też błądzili i mylili się, często wiele razy, zanim trafili na właściwy trop. Więc niechybnie darowaliby Bublowi te poślizgi i nie byłoby sprawy, ale gdy łobuz zaczął im kopsać zwykłe, realne interesy, no to zrobiła się sprawa. Miarę przepełnił ten ostatni skandal z Genem Swarem, idolem rocka.

Kiedy w końcu września idol przyjechał na występy, Kaflarze od razu zwęszyli okazję ubicia dużego interesu. Wpakowali czterdzieści płyt do toreb i poszli witać idola, zabrawszy z sobą Bubla jako biegłego w tej branży. W istocie chodziło o zdobycie jak największej liczby autografów mistrza na specjalnych karteluszkach oraz na owych czterdziestu płytach (takie płyty z podpisami znanego idola rosną w cenę dwu-trzykrotnie, a bywa nawet, że dziesięciokrotnie, również na karteluszkach można nieźle zarobić). Zrazu wszystko poszło wspaniale i zanosilo się, że zrobią „interes stulecia”. Dopadli Gena Swara we właściwym momencie, gdy wysiadł przed hotelem „Victoria” z taksówki, i pomogli mu wnieść do hallu bagaże. Bubel zagaił bezbłędnie, wstawiając fachową gadkę na poziomie. Geno, ujęty dogłębną znajomością jego zawilej kariery, tudzież poznawszy, iż ma do czynienia nie z jakimiś fąflami, ale z kulturalną, wyrobioną muzycznie młodzieżą na wysokim poziomie, pozwolił odstawić pod ścianę swoje wspaniałe walizy, kolorowe torby i gitarę w zielonym futerale, oraz zgodził się załatwić prośbę chłopców od ręki i nabazgrać na poczekaniu osiemdziesiąt (!!!) autografów, czterdzieści na karteluszkach i czterdzieści na płytach (rzecz raczej nienotowana). Kaflarze przeżywali swe wielkie chwile, „interes stulecia” był już tak bliski, niestety, akurat wtedy Bubel wykręcił swój niesłychany numer!

Gdy Geno w pocie czoła gryzmolił przy stole owe osiemdziesiąt zawija-stych podpisów, Leszek niczym jakiś współczesny Janko Muzykant dobrał się łapczywie do jego gitary. Wyciągnął ją z zielonego futerału i próbował wykonać na niej bliżej nieokreślony utwór. Usłyszawszy jęk instrumentu, idol zerwał się z miejsca i osłupiał na widok koncertującego Bubla. Bezczelna profanacja gitary odebrała mu na moment mowę. Przeczulony jak wszyscy artyści, od razu powziął przykre podejrzenie, że rzecz była z góry ukartowana, że padł ofiarą niecnej zgrywy małaolatów. Osłupienie ustąpiło gwałtownemu wzburzeniu. Z bełkotliwym okrzykiem rzucił się do Bubla, odebrał mu instrument, po czym z istic artystyczną pasją podarł wszystkie niedawno złożone autografy, co więcej, zabrał się do tłuczenia płyt, choć nie były jeszcze podpisane; ale zdążył stłuc tylko jedną, bo Kaflarze przytomnie wrzucili „towar” do torby i dali dyla.

To wydarzenie przekonało ich ostatecznie, że obcowanie z Bubleem przynosi nieuchronnie nieszczęście, że taki typ może zgubić najbardziej zgraną i pomyslową paczkę i że trzeba z tego wyciągnąć konsekwencje. Więc, jak

-28-

przystało na mądrych chłopców, wyciągnęli je bezzwłocznie. Najpierw dali I, eskowi duży wycisk, a następnie wykluczyli go uroczyście z grona Małorolnych i pod karą nowego wycisku nakazali mu trzymać się z daleka od wszystkich poczynań paczki.

Ale to go nie powstrzymało. Nie przyjmując do wiadomości faktu, że nie icst już Małorolnym, i

bimbając sobie z Kaflarzy, bezczelnie i samowolnie włączył się do nowej akcji zwolnień zaledwie w parę dni od jej rozpoczęcia. (o więcej, z właściwym mu nieumiarkowaniem łobuz zafundował sobie zaraz aż trzy imprezy rodzinne, dwa pogrzeby i jeden ślub. Igrając z ogniem, czyli / cierpliwością Tupalki, trzy razy w jednym tygodniu wystąpił o zwolnienie, i lo wszystko na chama, metodą zaskoczenia, bez uprzedzenia kogokolwiek...

Już wtedy o mało nie spowodował wsypy. Kiedy w czwartek na początku Irkcji wstał i podał Tupalce „pisemko od rodziców”, prosząc o zwolnienie na i li ugi pogrzeb, matematykowi jakby się coś przypomniało.

- Czekaj no, amigo - mrugając krótkowzrocznymi oczyma, przyglądał się •ilumiony kartce — czy nie za duże tempo wzięliście w tej waszej rodzinie?

- Tempo?! - Leszek udał niesmak z powodu niestosownego wyrażenia pedagoga. — Nie rozumiem, proszę pana - wyprostował się z godnością.

- Czyżbym się pomylił? - Tupalka sięgnął do notesu. - Niestety, nie! Mam ni zanotowane. Piątek - pogrzeb dziadka... Zwolnienie na jeden dzień... tak... poniedziałek — ślub babki... Zwolnienie na dwa dni...

Mimo grozy sytuacji klasa zarżała iście końskim śmiechem.

To pomyłka, proszę pana - rzekł spokojnie Bubel. - Był to ślub mojej miki, a nie babki.

- A teraz znów jakiś pogrzeb — zasapał Tupalka.

- Właśnie tej babki — wyjaśnił Leszek.

Czyli w przeciągu jednego tygodnia aż trzy wypadki w rodzinie: pogrzeb, ślub, znowu pogrzeb... Takie jest życie - rzekł chłodno Leszek. - Śmierć nie wybiera, proszę pnia. Po prostu najpierw był ślub, potem ktoś umarł...

Może pasztet na weselu był nieświeży? - w oczach Tupalki pojawił się ilerczy błysk.

Małorolni wymienili niespokojne spojrzenia. Zrozumieli, że rzeczy mają się źle, skoro Tupalka żartuje. Czyżby przestał wierzyć w te uroczystości rodzinne? Wbili przerażony wzrok w Leszka Kita. Co teraz robi? Co będzie, jak ipcszy się i sygnie?

A le Leszek nie speszzył się bynajmniej i nawet im tym trochę zaimponował. Przykro mi, proszę pana — powiedział posepnie z urazą w głosie — że pan i uje z tak smutnej rzeczy jak pogrzeb w rodzinie — i zrobił grobową minę, . rając rękawem suchy kąt oka.

-29-

Tupalka zmieszał się.

- No dobrze, puszcze cię zaraz po mojej lekcji - zamruczał - ale powiedz matce, że to ostatni raz... I jeśli utrzymacie to tempo i za trzy dni znów będziesz prosił o zwolnienie, bo wyprawiacie chrzciny, to pamiętaj, daję słowo, że ja też tam będę gościem, i niech was ręka boska strzeże, jeśli nie zobaczą gotowego do ceremonii noworodka!

Małorolni odetchnęli z ulgą. Sprawa wyglądała trochę lepiej. Wprawdzie Tupalka przestał chyba wierzyć w zdarzenia, ale jeszcze wierzył w podpisy. Jednakże była to poważna przestroga, by nie przeciągać struny, i gdy tylko matematyk skończył lekcję, rzucili się do Leszka z pretensjami.

- Ty skunksie! Jak mogłeś! Kto ci pozwolił?! Trzeba na głowę upaść! Trzy zwolnienia w tygodniu! Kretynek!

Bubel przygryzł wargi. Kombinował, jak się wydostać. Zerknął na Cyngla, który nerwowo poprawiał okulary. Tam, gdzie stał, pierścień wydawał się najstabszy. Z Matolem nie będzie kłopotów — mięczak, w razie czego odstawi go na bok jednym pchnięciem i czmychnie. Ale może to nie będzie potrzebne... Może uda się zbagatelizować sprawę?

- Panowie, bez przesady - powiedział. - Nic się przecież nie stało. Tupalka trochę się wkurzył, ale mu przeszło...

— Brać go! — usłyszał głos Kukulskiego.

Nie czekał dłużej; odepchnął gwałtownie gapiowatego Matola i chciał się wydostać na korytarz, ale Kaflarze przewidzieli ten manewr. Bryk błyskawicznie podstawił mu nogę, a Kukulski i Filomon rąbnęli go boleśnie w plecy. Gdy upadł, ułapili go od razu za ramiona i podnieśli obezwładnionego.

— Zepsuleś już nam interes z Geno Swarem i znów psujesz, gnojku? — sapał rozwścieczony Kukulski.

- Miałeś przykazane cicho siedzieć i nie mieszać się do niczego - syczał

Bryk. - Wiesz, co cię teraz czeka...

Przycisnęli go do ściany, a Filomon chwycił oburącz za szyję.

— Dlaczego to zrobiłeś? — warknął. — Mów!

Leszek milczał. Palce Filomona wpiły mu się w gardło, aż zacharczał i wykrztusił:

— Mu... musiałem. -Co?

- Musiałem się zwolnić. Miałem zajęcia w klubie.

- O tej godzinie?

- Tylko teraz gitara jest wolna.

— Gitara? — Filomon zwolnił uścisk.

— W klubie „Pinokio”... ćwiczę tam...

— Ty?! Nie wciskaj kitów!

-30-

•- Trafiła mi się szansa... powstaje nowy zespół... Muszę ćwiczyc... A nie mam własnej gitary... — tłumaczył beładnie. — Codziennie trzy godziny, inaczej odpadnę z eliminacji... A to taka szansa... życiowa szansa - bełkotał.

Wszyscy w klasie wiedzieli o muzycznych zainteresowaniach Bubla i korzystali na prywatkach z jego instrumentalnych usług: brzdąkał nie najgorzej na mandolinie i gitarze, walił z wyczuciem w bęben i nawet potrafił dwa, trzy kawałki odstukać na pianinie. Powinni więc byli zrozumieć, dlaczego musiał sobie załatwić to zwolnienie. I pewnie nawet zrozumieli, bo spuścili oczy, .1 Filomon przestał go dusić; nikt jednak nie odważył się otworzyć dzioba w jego obronie. Tylko milczeli. Długo milczeli. Wreszcie odezwał się Kukułski:

Do „Manaamu” i tak cię nie przyjmą, a przez twoją gitarę szlag trafi nasze wagary! Chciałoby się być idolem, co? - poklepał Leszka niby przyjaźnie po łopatce. - Nie, Bubel, idolem to ty nie zostaniesz!

- Myślisz, że nie ma szans? - mrugnął złośliwie okiem Filomon.

- Z taką twarzą? Na idola? Przejrzyj się w lusterku, Bubel - zaszydził Kukułski. - Bryk, podaj mi przeglądałkę.

Wśród chichotów Małorolnych Bryk wyciągnął lusterko z damskiej ko-indyczki, którą dla kawału zawsze nosił przy sobie. Leszek szarpnął się i próbował oswobodzić, ale nadaremnie.

Nie da się ukryć, twarz do niczego — Filomon przymrużył kocie oczy. — \lc gdybyśmy ją podrasowali, kto wie...

- Podrasować Bubla! - od razu rozległy się ochocze okrzyki.

Bryk wy dostał kredkę do brwi i czerwoną szminkę, a następnie ku uciesze i-branych wymalował Leszkowi wielkie kobiece usta oraz wyraziste, diabo-lu/ne oczy.

- Lepiej, co? - zapytał.

- Nie, jemu nic nie pomoże - orzekł pogardliwie Filomon. - Nikt go nie lupi z taką twarzą, Bubla trzeba dać do przeceny!

- Do przeceny! Uplynnici go! Na przemiał! Na złom! - znów zabrzmiały "krzyki.

- Dosyć, nudzi mnie to - skrzywił się Kukułski i obrócił się do Leszka. -r.imiętaj, jesteś u nas pod krechą, pod bardzo grubą krechą. Spróbuj jeszcze i ,i/. z czymś wyskoczyć albo wmieszać się do czegoś, to zobaczysz! Porachujemy się z tobą wtedy serio, jeszcze nie wiesz, co potrafimy! A zwłaszcza żadnych zabaw w zwolnienia, bo zostaniesz przerobiony na pulpę! Tu masz zada-H'k! •- kropnął go w żołądek.

13 ryk zaraz poprawił mu sierpowym, aż Leszek się zatoczył i byłby wpadł i i.i struchlałe dziewczęta, ale Filomon przytomnie lewym prostym odesłał go ilu ściany.

-31-

Tu każdy z Małorolnych próbował „odprasować” Bubla i dołożyć mu solidnie od siebie. Niewiele by z niego zostało, gdyby nie Łękotka, który zajrzał do klasy zwabiony wrzaskiem podochoconych łebków. Nie chcąc ze złośliwym gimnastykiem mieć do czynienia, czmychnęli całą bandą na korytarz.

Leszek chciał wstać z podłogi, ale czuł, że brakuje mu tchu, więc żeby dojść do siebie, przez parę

chwil dyszał ciężko na czworakach.

- Co ci jest? - zapytał z niepokojem Łękotka.

- Nic... po prostu... po prostu bawiliśmy się w wielbłąda - wysapał Leszek.

- Raczej w klowna - Łękotka patrzył z odrazą na umalowaną twarz Leszka. - Ja ciebie znam. To ty chodzisz do zoo drażnić się ze zwierzętami?

- Ja... j a j e nagrywam, proszę pana.

- Czyżby? Podobno strzelasz do nich. Poskaczysz u mnie na koniu, to ci się odechce takich zabaw - pogroził Leszkowi palcem. Nagle coś mu się przypomniało: — Czy to nie ty chorowałeś z brudu na pałeczkę coli? — skrzywił się ze wstrętem.

- To nie ja, to Łysiak, ten gruby, proszę pana. Ja chorowałem na pseudomonas fluorescens, tak jak Bobek.

Mimo to Łękotka nie pozbył się obrzydzenia, skrzywiony opuścił klasę.

Leszek wstał z trudem i powłókł się do umywalni. Na szczęście nikogo tam nie było, mógł spokojnie wsadzić rozpalony łeb pod kran i zmyć z twarzy haniebne ślady malarskich poczynań tego łotra Bryka.

Jeszcze nikt go tak nie sponiewierał! Nigdy im tego nie daruje! Najgorsze, że Giga stała z dziewczynami pod oknem i widziała. Taka hańba! Ale odpłaci im za wszystko, a najbardziej za to, że go upokorzyli na oczach Gigi. Zbliża się dzień, kiedy pożałują gorzko tego, co zrobili. I do końca życia będą się wstydzić...

To prawda, na pierwszy rzut oka nie sprawia korzystnego wrażenia, jest denny w nauce i leniwy jak pieróg; sam o tym wie najlepiej i o tym, że nie potrafi w klasie błysnąć inteligencją i dowcipem, i w ogóle dać się poznać od lepszej strony. W rezultacie nikt nie traktuje go poważnie (z wyjątkiem Tyn-dzia Cyglewicza, ale mała to pociecha, Cyngiel jest matosem klasowym i kto się liczy z Cynglem? Sam jest poniewierany). I to także prawda, że miał czasem „obłądne” pomysły, jak wtedy z tą gitarą Gena Swara, i nieraz się zdrowo wygłupił jak z tym UFO w Lesie Kabackim, więc Kaflarze mogli faktycznie być wściekli, ale do stu zabajtanych bajtów, nie mieli prawa wyrzucić go z paczki ani tak go sponiewierać, jak to dzisiaj zrobili. Nie jest byle jakim nicponiem i chłystkiem. To wielki błąd z ich strony przezywać go Bulem. Dobrze wie, co jest wart. Są rzeczy, które zna lepiej niż ktokolwiek w szkole i są takie, które tylko on zna!

Uśmiechnął się przez łzy z wyższością i wytarł umorusaną twarz, a w jego oczach pojawił się nowy wyraz pewności siebie i dumy. Już zbliża się dzień,

-32-

kiedy wyrówna rachunki, wielki dzień rekompensaty! W tym dniu Giga i Ka-Ilarze, i wszyscy w szkole zobaczą, jak rzeczy się mają naprawdę i kto co naprawdę w tej klasie znaczy. To będzie dla nich straszne zaskoczenie, bo nie wiedzą, że on, Leszek, od niedawna jest na tropie wielkiej tajemnicy, może najbardziej intrygującej zagadki stulecia: niewykluczone także, iż stoi na pro-i'.u pewnego naukowego odkrycia o nieocenionym znaczeniu dla ludzkości... W każdym razie sprawa ma duże wymiary, to rzecz absolutnie pewna (Cyngiel u-ż jest tego zdania). Mógł się mylić w przypadku UFO, ale te zagadkowe sygnały dźwiękowe, które nagrał dwa tygodnie temu, są przecież faktem, nie /myślił ich, nie sfiingował, a taśma magnetofonu nie kłamie!

Ma na ten temat swoją teorię. Dalszy rozwój wypadków potwierdzi ją niewątpliwie. Trzeba tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać na ten w i e l k i i i z i e ń. A kiedy nadejdzie, wszystkie problemy Leszka zostaną rozwiązane. W jednej chwili stanie się znany i sławny. Nareszcie będzie mógł robić to, co i-hce. I na przekór kpinom Kukula, zostanie idolem rocka. Czemu nie? Spojrzał na swoją twarz w lustrze. Teraz — umyta, zaróżowiona nieco prezentowała się całkiem nieźle. To prawda, że jest podobna do twarzy Tadeusza Kościuszki, ale i/y to przeszkodzi artyście?

Przeciwnie. Twarz charakterystyczna jest lepsza ml takiej zwykłej, tuzinkowej. Gładysze, przystojniacy, lalusie o zbyt regularnych rysach nie są teraz w modzie. Wielu idoli, którymi zachwycają się dziew-i /yny, ma właśnie charakterystyczną, a nie klasyczną twarz... Więc nie ma problemu i ambitny plan może się urzeczywistnić. Bardzo by tego pragnął, i ilównie z powodu Gigi, żeby utrzcć jej nosa. Giga zawsze najbardziej mu się podobała ze wszystkich dziewcząt w

klasie. Kiedyś nawet myślał, że on też - wskazał jej sympatię. Nigdy nie wyśmiewała się z niego, a czasem nawet zamieniała z nim parę słów na temat najnowszych nagrań, listy przebojów czy głośnych zespołów i pożyczala od niego modne płyty; ale wkrótce zorientował się, że rozmawia z nim tylko wtedy, kiedy nikt nie widzi, a w towarzystwie wyraźnie go unika, i powziął przykre podejrzenie, iż chodzi jej tylko o te płyty, po prostu tylko o to. Zrobiło mu się nadspodziewanie smutno, o wiele smutniej, niż mógł przewidzieć, sam był zaskoczony, że to go aż tak dotknęło... I dlatego musi zostać koniecznie sławnym idolem. Musi zostać i zostanie. Jego twarz będzie na wielkich afiszach koncertowych w ilustrowanych pismach, na kopertach płyt, na kasetach i na wystawach sklepów muzycznych, tak jak Mi-ke'a Oldfielda, Dana Fogelberga, Gena Swara czy Pawła Mścislawskiego...

Chciałby wtedy zobaczyć minę Gigi, no i miny Kaflarzy, oczywiście... Inna i atz - uśmiechnął się do siebie - że głupie miny Kaflarzy będzie można zoba-i /vć, nie czekając na jego triumf artystyczny; będzie je można zobaczyć już iiiiro, w piątek, kiedy Leszek wykona swój popisowy numer w klasie, co praw-il.i nie muzyczny ani specjalnie artystyczny, choć bardzo emocjonujący.

Tu

-33-

będzie początek rewanżu, bardzo widowiskowy zadatek na przyszłość. Uśmiech zgasł mu na twarzy. Zaciśnął zęby.

Już wtedy, kiedy go trzymali przy ścianie z wykręconymi rękami, a ten sadysta Bryk smarował mu twarz, wiedział, co jutro zrobi. Poprzysiął sobie, że musi to zrobić, choćby go to kosztowało pół życia! I zrobi! Tylko w ten sposób może się na nich odgiąć przed całą klasą. Tak się bali, żeby nie popsuł im zabawy, no więc właśnie na złość im popsuje; tak się bali, żeby nie spalił im sposobu, no więc im spali!! Tak się bali, żeby nie wzbudzić czujności Tupałki, więc ją wzbudzi. Zrobi dokładnie na odwrót niż chcieli, i właśnie to, czego mu zakazali. Sprawdzą się. Udowodni wszystkim i sobie, że się nikogo nie boi. Z głupia frant poprosi Tupałkę o jeszcze jedno zwolnienie, nieważne, co go później czeka! Oczywiście to już nie przejdzie. Tupałka wpadnie w gniew. Pomyśli, że rodzice bezczelnie wyłudniają od niego zwolnienia dla swych dzieci pod zmyślonymi pretekstami, i przestanie zwalniać. I cały proceder weźmie w łeb. Kaflarze będą musieli się pożegnać z wagarami. Tak właśnie trzeba zrobić. Zapamiętają go na całe życie. To będzie wielkie przedstawienie - uśmiechnął się do siebie.

Sądził, że projekt tak wspaniałej zemsty przyniesie mu ulgę, ale ulgi nie poczuł. To nic — pocieszył się — z pewnością ją poczuje potem, jak już będzie po wszystkim. A teraz do dzieła! Jeszcze dzisiaj spreparuje pisemną prośbę o zwolnienie... Z powodu... Powód wymyśli potem. Z podpisem też nie będzie kłopotu. Wprowił się dostatecznie na poprzednich prośbach. A jeśli Tupałka domyśli się, że podpis jest podrobiony, że wszystkie podpisy były podrobione? Z pewnością wtedy zechce sprawdzić i wezwie rodziców do szkoły... No i będzie granda, jakiej ta buda nie widziała od lat! Ale niech tam... Gotów jest ścierpieć nawet to, byle dopiec Kaflarzom. Zresztą, cóż takiego mu w końcu grozi? Z budy go przecież nie wyleją, razem z nim musieliby wylać większość klasy... A burza i gromy w domu? Wyładowania energetyczne, niże uczuciowe, depresje, wezbrane potoki słowne? Pestka! Żadnych zjawisk atmosferycznych nie będzie. Ojciec o niczym nie musi i nie będzie wiedzieć, bo jest za granicą na kontrakcie „Dromexu”, a mama? Mama jest zahartowana, biedaczysko. Wyjaśni wszystko, jak było, zdradzi całą prawdę, a mama słowa nie powie. Nie takie XTC, czy zniosła. W końcu nie urywał się na wagary, tylko żeby ćwiczyć na instrumencie. Tak krzepiąc się i pocieszając, wybiegł ze szkoły. Wiedział, że wszyscy go obserwują, więc umyślnie zrobił dwa „wesołe” podskoki, kiedy znalazł się na dziedzińcu, i wymachiwał beztrosko książkami.

Kaflarze patrzyli na to zdumieni.

-34-

ROZDZIAŁ

IM.

I następnego dnia od rana przeżywał wielką treść, jak niedoświadczony nklor przed premierą chciał mieć już całe to przedstawienie za sobą. Dla dodania sobie odwagi wy dobył pistolet pneumatyczny,

prezent od ojca z Maroka, /nładował go sześcioro kulkami łozyskowymi i umieścił wzorem tajnych agentów na specjalnych szelkach pod pachą. Kiedy włoży sweter, nic nie będzie wulać. Ta spluwa to na Kaflarzy, na wszelki wypadek, gdyby próbowali go /łapać. Ale mimo tak wspaniałej broni, spokoju nie odzyskał. Trochę jednak pi/cliczył się z siłami psychicznymi. Nie był tak odporny, jak sądził. Nerwy go porządnie zjadły. Był nawet moment wieczorem, gdy leżał w łóżku i nie mógł /;isnąć, że ścisnął go za gardło paniczny strach i chciał odwołać swój „wyr A" P"> a'e rano wstydził się tej słabości: by się umocnić w postanowieniu, przypominał sobie, jak się nad nim znęcali i jak Giga widziała to wszystko. Teraz itiz nie bał się niczego. I wiedział, że na pewno zrobi to, co sobie przyrzekł, /eby tylko Tupałka nie nawalił i przyszedł, żeby mu coś nie wypadło o tej porze. Żeby nie trzeba było odwlekać...

Nie trzeba było. Tupałka przyczłapał do klasy punktualnie. Gdy tylko otwo-i /ył drzwi, Leszek wyciągnął kopertę z torby, wyjął z niej kartkę i jeszcze raz przeczytał, co tam napisał. „Dobry tekst — pomyślał. — Nawet ojciec nie wymyśliłby lepszego". Ten początek akurat pod Tupałkę. „Ostatni raz, mam nadzieję, nadużywam cierpliwości Pana Profesora i proszę o zwolnienie Leszka / lekcji w piątek z powodu..." Zakończenie też na poziomie: „Muszę wyjaśnić, /c rodzina nasza przeżywa obecnie poważny kryzys. Są to sprawy bolesne, które Leszek nie w pełni rozumie, a które źle wpływają na jego system nerwowy. Proszę być wyrozumiałym dla niego i..."

Uśmiechnął się z satysfakcją. To jest list na poziomie. Czy Kaflarze potrafiliby spłodzić coś takiego przy całym ich tupecie i oblataniu? Bardzo wątpliwe. Ani Tupałce, ani nikomu z gogów nie przyjdzie nawet do głowy, że to mógł napisać sam Leszek.

Włożył z powrotem list do koperty i gdy tylko Tupałka, rozłożywszy swoje inanele, zabrał się do wpisywania lekcji do dziennika, wstał i śmiało ruszył /. kopertą w ręce w kierunku stołu nauczycielskiego.

Cała klasa zamarła z wrażenia. Wszyscy poczuli, że zanosi się na duży spektakl. Najbardziej osłupieli Kaflarze. Dopiero po chwili, gdy Leszek był już w połowie drogi, rozległy się ich rozpaczliwe szepty i syki.

- Co ty wyrabiasz?! Stój! Gdzie cię niesie, idioto!

-35-

Ale Leszek nie słuchał. Szedł z podniesioną głową i kamienną twarzą aż do stołu. Gdy już był na miejscu, chrząknął głośno.

Matematyk podniósł ze zdziwieniem głowę znad dziennika.

- Czego chcesz, Kit?

Leszek w milczeniu wręczył mu kopertę i otarł o spodnie spocone z emocji ręce.

- Co to jest? - w oczach Tupałki pojawił się dziwny błysk. - Chyba nie prosisz znów o zwolnienie?

- Niestety, tak, proszę pana - odparł Leszek, patrząc wyzywająco matematykowi w oczy.

I wtedy stała się rzecz wysoce niepokojąca. Tupałka powinien był wpaść w gniew, a nie wpaść.

Przeciwnie, uśmiechnął się i nie zaglądając do koperty, zapytał ze spokojem, który nie wróżył nic dobrego:

- Więc jednak nowe wydarzenie rodzinne, amigo?

- Tak proszę pana - odparł równie spokojnie Leszek.

- Cóż tam mamy tym razem? Chrzyciny?

- Nie, rozwód.

Tupałka roześmiał się i cała klasa niebacznie też się roześmiała. Dopiero po chwili Kaflarze i co bystrzejsi Małorolni pojęli, że śmiech matematyka nie jest zwykłym śmiechem, lecz że jest to śmiech złowrogi. Jeden za drugim drętwieli i przestawali się śmiać. Wkrótce w klasie zapanowała nieprzyjemna, pełna napięcia cisza. Wszyscy wlepili oczy w Tupałkę i czekali, co powie i co zrobi. A on wygramolił się pomału zza stołu i poklepał struchlałego Leszka po ramieniu.

- Nieźle, Kit, zupełnie nieźle - zasapał. - To była celna riposta. Masz dobry refleks i poczucie humoru, amigo. Humor to duża rzecz! Cenię go u moich uczniów i jestem ci wdzięczny, żeś okraszył nim naszą lekcję. Bo na rynku coraz trudniej o humor, to kolejny deficytowy artykuł, nie sprzedają

go nawet na kartki - sposepniał nagle. — No cóż, moi drodzy — oświadczył niespodziewanie - jestem w takim nastroju, że gotów wszystko puścić wam płazem.

Klasa poruszyła się niespokojnie.

- Puścić płazem? — wykrztusił Leszek. — Co niby? Tupałka westchnął ciężko i powiedział:

- Mielicie trochę pecha, przyjaciele. Wczoraj, jak pamiętacie, był deszcz i wiatr, więc nie poszedłem na spacer, a do tego okropny program w telewizji, więc wcześniej niż zwykle wlałem do wanny i dłużej niż zwykle w niej siedziałem. Otóż musicie wiedzieć, że niektórym ludziom przychodzą w wannie różne myśli do głowy, cenne myśli, jak Archimedesowi. Należę do tych ludzi... Wiesz, kto to był Archimedes? - zapytał nagle Leszka i spojrzał na niego z nadzieją w zmęczonych oczach, ale niestety, Leszek nie wiedział. Stał z głu-

-36-

pią miną coraz bardziej zawstydzony i zbity z tropu. Czuł, że to przedstawienie łączy się w innym i niebezpiecznym kierunku, i nie wiadomo jeszcze, kto będzie w nim głównym aktorem.

Tupałka popatrzył na niego, jak mu się zdawało, że wstrętem, a potem podjął na nowo:

- Zostawmy Archimedes w spokoju. W każdym razie mnie też wczoraj nawiedziło w wannie coś w rodzaju olśnienia i nabrałem strasznych podej-i/cń...

- Podejrzeń?! -jęknął Leszek. - Jakich podejrzeń?

- Rozważyłem obie epidemie, które trapiły tę klasę. Niebezpieczną epidemię zakażeń oraz nader kłopotliwą epidemię ważnych wydarzeń rodzinnych, la pierwsza szczęśliwie wygasła owego pamiętnego dnia, kiedy wasz kolega I.ukulski...

- Kukulski - sprostowało kilka głosów z sali.

- Kukulski?... A, tak, przepraszam, zawsze mam kłopoty z pamięcią... Otóż kiedy Kukulski miał wypadek z nosem, ta epidemia cudownie się skończyła, ale zaraz wybuchła druga... Oba te zjawiska rozważyłem spokojnie w wannie i moje straszne podejrzenie umocniło się. Tak, skarby i pociechy moje, powinienem teraz wezwać opiekę domową i oddać sprawę w ręce pani dyrektor. Tak się zwykle załatwia te sprawy. Aleja nie lubię banału i pospolitości. A poza tym szkoda mi czasu, gdyż byłby to czas stracony bezproduktywnie po to tylko, by narobić kłopotu wam, waszym czcigodnym staruszkom i naszemu nadpe-dagogowi, ciężko dyszącej pod jarzmem obowiązków pani dyrektor. Dlatego pomyślałem sobie — Tupałka wyciągnął ręce gestem czarnoksiężnika odganiającego złe moce - niech to zostanie moim snem, który mi się przyśnił owego wieczoru w wannie, niech pozostanie strasznym podejrzeniem, którego nie chciało mi się sprawdzić, choć byłoby tak łatwo. Prawda, że byłoby łatwo, I ukulski? — wbił ciężki wzrok w przywódcę Kaflarzy.

Kukulski zbladł.

- Wstań, amigo, i odpowiedz — powiedział matematyk, zbliżając się do niego.

Kukulski wstał wystraszony.

- Dlaczego mnie pan pyta? - starał się trzymać fason.

- Bo ty mi się dziwnie plątałeś w tym moim śnie - sięgnął do notesu. - Ty uraz panowie Bryk i Filomon. Czy dobrze zanotowałem?

Więc jednak nie docenili Tupałki. Niby z „niedowładem czaszki”, niby mastodont z pliocenu”, „sporofitek” i „grzyb”, ale wyczuwał układy klasowe i wiedział mniej więcej „who is who”.

Kukulski przygryzł z wściekłością wargi i nerwowo zacisnął ręce na opar-' ni krzesła.

-37-

- Więc mam sprawdzić? - naciskał matematyk.

- Jak pan chce - odparł hardo Kukulski, patrząc w ścianę ponad głową Tupałki.

- Le... lepiej niech pan nie sprawdza —jęknął Mysio Mamiński, kuląc się przy pierwszym stoliku.

Kukulski rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

- Siadaj - powiedział do niego matematyk. - Wiem, że jesteś graczem...

- Ja?!

- Jeszcze trochę niewyrobnym, ale zamiłowanym... Prawdziwy namiętny gracz nie lubi kończyć gry. Chcę ci pójść na rękę, Kukulski. Grajmy dalej!

- Co?! — Kukulski spojrzał podejrzliwie na matematyka.

- Moglibyśmy, jak powiedziałem, zakończyć tę rundę już teraz, ale to byłoby banalne; ja mam ciekawsze rozwiązanie. Daję tobie i wszystkim szalbie-rzom w tej klasie szansę... Wszystkim naciągaczom, nicponiom i wagabundom daję ostatnią szansę! Będziemy pisać klasówkę. Za trzy dni.

- Klasówkę?! - podniósł się gwar zaskoczonych uczniów.

- Po prostu klasówkę - oświadczył niewinnie Tupałka. - Widzicie, jak wam idę na rękę...

Oczywiście żadnych zwolnień! Wszyscy piszą. Trzy dni czasu na przygotowanie. Kto ma luki z powodu wagarów, niech wypełni je szybko. Zielińska, Dynas i Widoracka oraz geniusz szkolny Emerle z ósmej są do waszej dyspozycji, pomogą każdemu, kto czegoś nie rozumie. Ale jeśli zmarnujecie tę szansę, marny wasz los, przyjaciele, nie chciałbym być w waszej skórze. Mówię zwłaszcza do panów Trzech Muszkieterów: Bryka, Filo-mona i Kukulskiego, do pana Leszka Kita, humorysty, oraz do następujących wagabundów, których mam tu zapisanych — wyczytał z notesu najbardziej waga-rujących delikwentów. — Jeżeli ci panowie nie uzupełnią wiadomości i nie wyjdą obronną ręką z tej klasówki, to znaczy nie napiszą przynajmniej na czwórki, wtedy sprawdzę, czy moje straszne podejrzenia były słuszne i nietrudno odgadnąć, że będzie wielka wsypa, wsypa stulecia w tej szkole... Lecz jeśli im się powiedzie i wyjdą obronną ręką ze sprawdzianu, nic nikomu nie powiem, nic nie zrobię - uznam, że to był tylko przykry sen zmęczonego pedagoga w wannie. I ostrzegam uczciwie: Albo... Albo! Trzymam was w rękę! To nie są żarty, panowie Małorolni! To jest szantaż! Prawdziwy black mail, jak mówią Anglicy.

Wszyscy słuchali jak porażeni. Niektórzy zerkali na Kaflarzy i Kita z ciekawością, ale z ich zachowania nie mogli niczego odgadnąć. Kukulski siedział z kamienną twarzą wpatrzony nieruchomo w portrety laureatów Nobla na ścianie, a ściśle w binokle W. S. Reymonta i jego bródkę, Filomon bawił się wyciąganiem skręconego włosa ze swej czupryny afro, Bryk rysował nerwowo szkaradne figury kosmitów, a Leszek Kit ukrył twarz w rękach jak skazaniec po odczytaniu wyroku.

-38-

Na pewno wszyscy zdawali sobie sprawę, że matematyk gotów jest spełnić swoją groźbę. Wbrew pozorom był to typ niebezpieczny. Posiadał dociekliwy i przyklepny umysł naukowca i nie znośił, by coś obrażało jego poczucie miary i proporcji. Jeśli coś mu się nie zgadzało w obliczeniach, jeśli coś, mówiąc delikatnie, z logiką było na bakier lub rażąco odbiegało od norm, także od norm przyzwoitości, natychmiast ogłaszał stan alarmowy i wiadomo było, że me spocznie, nie popuści, póki nie wyjaśni całej sprawy, że użyje wszystkich środków i nie będzie miał skrupułów.

- Terrrrrorysta - wycedził Kukulski, nie przerywając nieruchomej kontemplacji binokli Reymonta.

- I do tego maniakalny - dodał Filomon, bawiąc się włosem.

- No, cóż - zauważył Bryk, dorysowując kosmicie makabryczne przyssawki — on też idzie z duchem czasu, trudno mieć pretensje.

Tak, nikt nie miał wątpliwości, że wielka wsypa wisi nad głową i że są w rękach „terrrrrorysty” Tupałki. Więc co robić? Przygotować się do klasów-ki?

O nie! Tupałka był jednak zbyt wielkim optymistą. Takie proste rozwiązanie w ogóle nie przyszło Kaflarzom do głowy.

Pierwsza rzecz, jaka im przyszła do głowy, to rozprawić się z Bulem. Na min chcieli wyładować złość, uważając go za sprawcę całego nieszczęścia.

Ale Leszek oczywiście nie czekał, aż go dopadną, lecz równo z dzwon-licm, nim jeszcze Tupałka wygramolił się zza swojego stołu, zerwał się z ław-licm i dał nura w korytarz, a stąd do pokoju gogów, udając, że szuka pani dyrektor, a gdy wróciła pani Bójko od biologii, czmychnął do jej pracowni. Jeszcze podczas lekcji obmyślił, gdzie się skryje - najlepiej w starym terrarium przyle-ijającym do pracowni, gdzie hodowano różne płazy i gady. Dla chłopców wstęp i.nn był wzbroniony od czasu, gdy wykradli węża Kubusia.

W pracowni tego dnia miała dyżur Mamińska. Leszek niedawno pożyczył hl longplaya „Lady Punk” i był z nią w dobrych stosunkach. Toteż, nie pytając i | nic, od razu wpuściła go do terrarium. Powiedziała jej, że jest chory, i poprosił, ihy mu przyniosła książki i zeszyty, które zostawił w klasie. Przesiedział w terrarium całą przerwę, a zaraz po dzwonku na lekcję, gdy u lko korytarze

opustoszały, wymknął się na ulicę.

-39-

ROZDZIAŁ IV

Biegł długo ulicami, aż do utraty tchu, lawirując między zaaferowanymi, śpieszącymi przechodniami, między kobietami z wypchanymi siatkami i torbami, między nieruchawymi emerytami obstawiającymi sklepy, między zaparkowanymi samochodami; biegł, potrącając ludzi w kolejkach, ocierając się o konwojentów wyładowujących towary, o śmieciarzy opróżniających pojemniki,

0 robotników dyskutujących nad wykopem... Biegł przez park po szeleszczących liściach między wózkami z niemowlakami, przez wielki kamienny plac,

1 zwolnił dopiero, gdy znalazł się wśród dostojnych pałaców, kamienic i kościołów Krakowskiego Przedmieścia.

Ten pęd dobrze mu zrobił. Emocje opadły. Ochłonął. Spojrzał na zegarek. Zajęcia muzyczne w Klubie miał dopiero o dwunastej. Co robić z dwiema godzinami? Nie zastanawiał się długo.

Niedaleko był przystanek autobusu pośpiesznego D. Od razu wiedział, co robi. Pojedzie do zoo na Pradze. Lubił to miejsce. Zawsze działało na niego odprężająco dzięki silnym emocjom, jakich tu doznawał. Najchętniej odwiedzał ogród w powszednie, pochmurne dni, kiedy było mało gości, a czujność dozorców wybitnie malała. Mógł wtedy robić to, co dostarczało mu najprzyjemniejszych przeżyć tych z dreszczykiem, a mianowicie drażnić się z niebezpiecznymi zwierzętami.

Groźne drapieżniki, pensjonariusze ogrodu, zwykle wydawały się raczej ignorować ludzi; milczące, apatyczne, nieprzeniknione, tworzyły sobie jakby wewnętrzny azyl, odgradzając się od zwiedzających nie tylko stalową klatką, ale także niewidzialnym murem, który same wznosiły. Zabawa Leszka polegała właśnie na przełamaniu tej „obojętności” dzikich zwierząt. Kiedy podrażnione przez niego warczały, fukały, ryczały, skakały, kłapały zębami i pokazywały pazury, doznawał przyjemnego uczucia wygranej, znaczyło to bowiem, że raczyły go zauważyć, że przestał im być obojętny i że zmusił je do nawiązania kontaktu. Traktowały go teraz jak godnego siebie przeciwnika, a to było niezwykle podniecające. Zwłaszcza gdy nagrało się te wszystkie głosy strasznych bestii na taśmę i można było przestraszyć nimi w domu mamę albo ciotkę podczas spokojnego obiadu.

Od niedawna zaś, to znaczy od dnia, gdy złapał i zarejestrował te niezwykle muzyczne sygnały, wizyty w zoo nabrały szczególnego znaczenia i łączyły się z nimi jeszcze większe emocje. Liczył na nowy, niewspółmiernie ciekawszy i ważniejszy kontakt z nieskończone wspanialszymi i potężniejszymi partnerami.

-40-

i

Szczerze mówiąc, cały czas głowę miał tym nabitą. To właśnie było przy-o/yną, że ostatnio robił tak nikłe postępy w nauce gry na gitarze, i żeby zdążyć na eliminacje, musiał brać dodatkowe godziny, a więc zwalniać się z lekcji sposobem WUR (Ważne Uroczystości Rodzinne) i w konsekwencji nadużyć cierpliwości Tupałki. Lecz nie mógł się uwolnić od kołowrotu myśli. Cały czas wracał do tamtego zdarzenia i rozpalał wyobraźnię do białej gorączki. Anali-ował każdy szczegół i na nowo odczuwał dreszcz sensacji. Zupełnie obłądana ustoria! I pomyśleć, gdyby nie pseudomonas fluorescens, pewnie ominęłoby o lo wszystko. Tylko dzięki niemu dostał od Tupałki zwolnienie „na badania”, jedyne zresztą, o które odważył się wtedy wystąpić. Taki był jeszcze nie-miały w tej pięknej, choć krótkiej „Epoce Sanepidu”.

Podniecony dokonaniem przestępstwem udał się wtedy dla relaksu do zoo, 'V nagrać hipopotamy. Od dawna był ciekaw, czy potrafi rozdrażnić również te |pokojne, pocziwe grubasy, czy w ogóle wpadają one w złość i czy wydają wówczas jakieś specjalne głosy. Pamięta wszystko dokładnie. Ustronna alejka. Itasen. Nikogo w pobliżu nie było, obejrzał się jeszcze raz i upewnił na wszelki \ypadek, że jest sam; wyciągnął pistolet, włączył magnetofon i wypatrywał iicwidocznych w czarnej wodzie zwierząt. I wtedy nagle rozległa się ta prze-l/iwna muzyka. Jej źródła nie było widać, wychodziła jakby spod wody. Do icha, skąd się tam brała? Tam nic nie miało prawa grać.

Hipopotamy nie mo-ly mu przecieŹ zafundować podobnego koncertu. Zamacił kijem wodę, cieka-
y, co będzie. Ale muzyka nie uległa zamaceni i rozbrzmiewała dalej. Rozej-/iil się
zdezorientowany, dookoła ani żywej duszy. CzyŹby jakieś zabłąkane i ho? Nie, to w Źaden sposób
niepodobne do echa. A więc po prostu złudzenie, iikicś omamy słuchowe, czysty wytwór jego
własnej wyobraźni muzycznej? i .tlwo sprawdzić, magnetofon był przecieŹ włączony...

l'rzewinał szybko taśmę i przesłuchał ją z dala od basenu. To było niesa-tiowitc! Tajemnicze
dŹwięki zapisały s ięna taśmie. Zaintrygowany mci! szybko na poprzednie miejsce: to coŹ wciãŹ
grało, a nawet jeszcze gło-i-l Nagrywał dalej.

Mvła to fantastyczna, cudowna muzyka, niepodobna ani do muzyki kla-
ni'j, ani do współczesnej, ani do rocka, ani do jazzu, ani do niczego, co
koi wiek słyŹał. Przypominała rŹesisty deszcz zmieszanych, pozornie
! Inych sygnałów, ale kiedy się dobrze wsłuchał, wyłoniła się z nich melo-
• kna i sugestywna. Czuł, Źe wciãga go coraz bardziej, przenika i zmusza
I nacji kaŹde włókno jego ciała. Raz tylko przeŹył coŹ podobnego w cyrku
nos", kiedy hinduski zaklinacz węży zagrał na swoim srebrnym flecie.

!l/iwne uczucie, Źe stał się czymś w rodzaju odbiornika i łapie specjal-
V. lecz nie jest w stanie ich przetworzyć na normalny język i odczytać:
iic je tylko jako muzykę, ale one mogã mieć głębsze i bardziej kon-

-41-

kretnie znaczenie. WraŹenia muzyczne sã tu tylko niewaŹnym efektem ubocznym...

CzyŹby chodziło o przekaz zakodowanych informacji jakimś muzycznym szyfrem? Kto je wysyła?
Do kogo? W jakim celu? Dlaczego sã uchwytne akurat w tym miejscu? Czy on, Leszek, mógłby je
rozszyfrować? Warto pokusić się o to... Być moŹe to tylko kwestia koncentracji bioenergii i
dostrojenia. Tak, na pewno kwestia dostrojenia! Z pewnością to jest moŹliwe, trzeba tylko wsłuchać
się maksymalnie w tę muzykę, poddać się jej bez reszty i pozwolić przeniknąć na wskroś...

Krew pulsowała mu coraz szybciej, muzyka potęŹniała, wypełniała powietrze. Dostroić się, szybko
dostroić do tej fali! Poczul nowy przyjemny dreszcz. Cały świat zajaśniał oślepiającym blaskiem i
nabrał ŹwieŹych, intensywnych barw. Jeszcze tylko chwila koncentracji, jeszcze maleńki wysiłek, a
pęknie ostatnia ścianka, ostatnia cieniutka błonka dzielãca go od tajemnicy i od razu zrozumie
wszystko...

Przymknãł oczy i czekał w skupieniu, ale nic się nie stało. Muzyka po prostu ucichła w pewnym
momencie. Otworzył oczy. Świat był znów zwyczajny i szary.

Mimo Źe przyrzekł sobie nikomu nie wspominać o tym zdarzeniu, nie wytrzymał i wypapłał
Kaflarzom. Język go niemoŹliwie Źwierzbił, a poza tym chciãł podreperować u nich swoje konto i
czymś im w końcu zaimponować. No i gorzko poŹalował. Przyszli do zoo, ale nic nikomu się nie
nagrało, nikt nie słyŹał muzyki, nikt nie odebrał Źadnego „przekazu", nie poczul dreszczu ani w
ogóle Źadnych sensacji, nawet on sam. Oczywiście to go stropiło, ale nie na długo, bo zaraz prosta
myśl przyszła mu do głowy. To przecieŹ jasne, oni nie mogli nic słyŹeć, bo sygnały sã
przeznaczone wyłãcznie dla niego, Leszka, moŹe je odbierać tylko wtedy, gdy nikogo innego nie
ma w pobliŹu. Rzecz jasna, nie powiedział tego Kaflarzom, nie uwierzyliby i byłby to dla nich
nowy powód do kpin. I tak go juŹ wyśmiewali, dajãc do zrozumienia, Źe tę dziwnã muzykę nagrał z
płytki albo z radia.

Tylko jeden Matoł Klasowy się nie śmiał i powiedział:

- To mogła być próba nawiãzania kontaktu.

Leszek wbił w Matoła niespokojny wzrok, czy nie kpi sobie.

- Myślisz, Źe ktoŹ chciałby ze mnã?... Ale kto? Matoł wrzusił ramionami.

- MoŹe Oni - zamruczał, patrząc w niebo swymi krótkowzrocznymi oczy-

l

ma.

Leszkowi zapadły w pamięć te słowa Cyngla. Potwierdzały jego własne nieśmiałe przypuszczenia.
Matoł ma czasem zaskakujące przebłyŹki inteligencji i trafia w sedno. K o s m i c i! To słowo tak
naduŹywane przez Tupalkę, Źe aŹ ośmieszona, cisnęło mu się na wargi od początku, ale bał sieje

wypowiedzieć,

hy nie narazić się na głupie dowcipy. Kosmici! To by wyjaśniało wszystko. To mc, że na razie Leszek nie pojmuje ich przesłania; oni na pewno znajdują spo-|i)b, żeby się z nim dogadać, to tylko kwestia czasu. Fakt, że te niezwykle | vgnął dotarły na Ziemię, świadczy o wysokim poziomie rozwoju tych istot. / pewnością potrafią więc dopasować formę przesłania do możliwości umysłu ludzkiego i zrobią to szybko, to znaczy szybko w swoim pojęciu. Co prawda mc wiadomo, jakie mają poczucie czasu, co dla nich w ogóle znaczy czas, ale I rszek wierzył, że dadzą znać o sobie lada dzień... Znów usłyszy tę przejmują-'. I muzykę, lecz tym razem już ją zrozumie bez trudu - pryśnie ostatnia osłon-i .I tajemnicy, przesłanie stanie się jasne i będzie czytał w tych dźwiękach jak \ otwartej księdze. Co więcej, żywił nieśmiałą nadzieję, że to się stanie wła-nic dziś... Zajechał autobus z czerwoną literą D. Leszek wskoczył do niego i po kilku m limitach był już w zoo.

Jak zwykle o tej porze w powszedni dzień prawie nikogo tu nie było. Le--./vk ruszył szybko w głąb ogrodu, w stronę basenu z hipopotamami; przysta-ii.II w tym samym miejscu, co w tamten pamiętny dzień, nastawił czujnie ucha, Icy słyhać było tylko senne brzęczenie jesiennych much. Hipopotamy spały |iik zakłete. Żadnej muzyki, żadnych cudownych dźwięków ani nawet zwy-klshr... Daremnie nasłuchiwał. Po prostu martwa cisza. Upłynęła minuta... pięć iiiiniit... dziesięć i nic... Zupełnie nic!

I jak przedtem nieopatrnie dał się ponieść bujnej fantazji i od razu uwie-i a I w swoje wyjątkowe szczęście, tak teraz równie szybko spadł z obłoków II.II się ogarnąć zwątpieniu.

('hyba jednak sam z siebie robi balona. Czy jest sens przyłączyć tu i sterceć |iik c.lupi? A jeśli o n i zrezygnowali z kontaktu? Po prostu im się znudziło albo / lakiegoś innego powodu zmienili plany? To, co wtedy usłyszał i nagrał, modło być ostatnią próbą z ich strony. Zwinęli „radiostację" i cześć! A w ogóle, |«ku' ma w końcu gwarancje, że sygnały pochodziły „stamtąd"? A nawet jeśli |x>< I mdziły „stamtąd", to skąd pewność, że to była próba nawiązania kontaktu •kiii.it z nim, Leszkiem? Czy to aby nie zbytnia zarozumiałość z jego strony «\iuvślic sobie coś podobnego? Może przechwycił tylko ich „wewnętrzna" mowę, może tak porozumiewają się między sobą UFO albo ich patrole na-

| i takie sygnały po wylądowaniu na Ziemi? Kto wie, czy właśnie wtedy nie I.l dowoły w zoo...

Bzdura! Przecież nic nie było widać. Już raczej mógł to

jakiś kiks akustyczny, jakies przypadkowe odbicie fal sprawiło, że przez

| .i chwil sygnały były słyszalne w tym miejscu...

Wyobraźnia Leszka zaczęła na nowo pracować i podsuwać mu różne mniej bardziej fantastyczne hipotezy, ale wszystkie prowadziły do tego samego \ gnębiającego wniosku: że o n i, nawet jeśli istnieją, wypinają się na Lesz-

-42-

|43-

ka i bimbają sobie z jego dumnych marzeń, ambitnych pragnień i śmiałych hipotez, że nie jest dla nich partnerem!

Jeszcze jeden zawód i upokorzenie! Że też tak łatwo uległ sugestii Matola! Co gorsza, nieopatrnie wpakował się w paskudną sytuację w szkole. Jest spalony zarówno u Tupalki, jak i u Kaflarzy, ba, u wszystkich Małorolnych! I nic go już nie uratuje, nawet muzyka. Wyrzucą go dziś lub jutro z Klubu. Już Tu-palka się o to postara! Żegnaj, gitaro, żegnajcie marzenia o sławie idola! Dwójkowi uczniowie nie" mogą brać udziału w zajęciach muzycznych bez zgody szkoły, taki jest regulamin. Poczul, że stacza się w otchłań czarnej rozpacz. Do stu tysięcy bajtów! Dość tego — otrząsał się. — Oderwać się od tych myśli za wszelką cenę! Tylko silne wrażenia mogą go uratować. Pomacał pistolet pod pachą i pobiegł w kierunku wybiegu dla lwów.

Schował się w krzakach naprzeciwko, wymierzył spokojnie z pistoletu i strzelił. Strzał był celny. Lew uniósł głowę i wydał groźny pomruk. Bubel obejrzał się, czy nikt go nie widzi, naładował powtórnie pistolet i strzelił do lwicy. Lwica machnęła łapą, jakby odganiała muchę, a więc i tym razem się udało. Leszek z emocji oblizal wargi. Polowanie wciągało go coraz bardziej. Podkradł się do drugiego wybiegu i „ubił" celnie dwa tygrysy bengalskie. Teraz kilka małp na dodatek! Zaczaił

się za gęstym cisem przy wielkiej klatce z małpami i małpiatkami. Zastanawiał się, którą upolować: tego dużego szympansa huśtającego się na rękach, czy ogoniastego aj-aje, czy też ruchliwego palczaka gimnastykującego się na drążku, i zagapiony w małpki nie zauważył, że z drugiej strony klatki zbliża się osobnik w pomarańczowym mundurze. Był to dozorca ogrodu. Niósł w wiaderku świeże marchewki dla zwierząt. Leszek postanowił, że najpierw „zaliczy” tego śmiesznego palczaka o pomarszczonej mordce, wycelował i strzelił... Ale palczak był szybszy; wspinał się susem uskokiem na drugi drążek, a kulka trafiła dozorcę Ogrodu w ucho. Rozzłoszczony funkcjonariusz wydał chrapliwy okrzyk i rzucił się w stronę Leszka. Małpy podniosły okropny wrzask. Prerażony Bubel czmychnął w zarośla cisów, przeczołgał się za niskim żywopłotem z kotoneastru i kucnął za krzakiem jałowca przy sadzawce. Dozorca był tuż, tuż. Przez kolczaste gałązki Bubel widział jego czapkę i nabrzmiałą, czerwoną twarz. W rękę trzymał wielki widelec, na którym podaje się drapieżnikom połówki mięsa na obiad. Wystraszony chłopiec nie wytrzymał nerwowo na ten widok i dał nura do sadzawki. Na szczęście nie była głęboka, a zimna woda ochłodziła rozdygotane nerwy Leszka. Zerwał kilka gałęzi i lilii wodnych o dużych liściach, wetknął sobie za kołnierz i kuląc się w wodzie, zamaskowany, czekał aż niebezpieczeństwo minie. Dozorca dobiegł do sadzawki i spojrzał zdezorientowany. Po stawku pływały pelikany, kaczki i para łabędzi z podrośniętymi, ale wciąż jeszcze szaro-

-44-

i

brązowymi dziećmi, brodziły długonogie ibisy, kołysały się lekko na fali grą-cle i lilie wodne, lecz chłopiec przepadł bez śladu. Zawiedziony ruszył z powrotem w kierunku klatek. Już Leszek myślał, że jest bezpieczny, gdy nagle coś go złapało za nogę i zaczęło wciągać pod wodę. Zobaczył obły, ciemny kształt zwierzęcia pod powierzchnią. To oswojona foka, Lula, ulubienica publiczności, chciała w ten sposób z nim się pobawić. W ostatniej chwili udało mu się zdławić krzyk. Sytuacja stawała się groźna, bo foka sterowała na coraz to głębszą wodę, na ilomiar złego prosto w stadko łabędzi. Nieszczęsny chłopiec co chwila tracił miii! pod nogami, a raczej pod jedną nogą, tą wolną. Tylko cudem udawało mu leszcze utrzymać głowę na powierzchni.

I łabędzie eskortujące młodzież są czujne i agresywne. Głowa Bubla dryfu-| i po wodzie musiała im się wydać podejrzanym i niebezpiecznym stworem, | i /ucią się na nią gwałtownie i zaczęły na zmianę walić ją dziobami, targać /ii włosy i szczypać z furją właściwą tym z pozoru idyllicznym ptakom. Leszek iliiwno już nie był w tak okropnych opałach. Ale atak łabędzi miał też dobrą iionc. Prerażony śmiertelnie i oszalały z bólu chłopiec zapomniał o uwiezio-nodze i szarpnął się tak potężnie, że wyrwał ją z uścisku figlarnej foki. |ało się, że nie był to uścisk serio, ot, taki tylko jak w zabawie. Mając teraz lyspozycji wszystkie cztery kończyny, napędzany panicznym strachem, fk pobił swój rekord życiowy w pływaniu i oderwał się szybko od rozdanych ptaków. Niestety, głośne pluski wody i łopotanie skrzydeł łabę-i ponownie zaalarmowały czujnego dozorcę.

'apewne odkryłby tym razem przycupniętego w szuwarach chłopca, gdy-ij»le nie rozległ się na ścieżce czyjś gardłowy śmiech. Dozorca odwrócił osłupiał ze zdumienia. Alejką zbliżał się elegancko ubrany człowiek, |i nie była dzisiejsza elegancja, to była moda, jaką się dziś widzi jeszcze | w starym kinie. Głowę mu zdobił okrągły melonik, jaki nosił Charlie i lin, spod kapelusza sterczały gęste czarne włosy; miał binokle w złotej wie, sztywny, wysoki kołnierz, wzorzysty fioletowy krawat, atlasową /clkę, wcięte, ciemne ubranie o długich, ukośnie skrojonych połach, i.ijwiększe zdumienie dozorcę wzbudziło to, że ów człowiek trzymał na /y wielką małpę - czarnego, kosmatego goryla. I to właśnie ten goryl c śmiał, bębniąc pięściami po swojej potężnej piersi — wyraźnie był roz->ny.

Przestań, Mufi — człowiek w niemodnym ubraniu zbeształ goryla, ude-^o końcem długiej smyczy. - Nieładnie się zachowujesz. Najmocniej 'insznm pana - zwrócił się do dozorcę, zdejmując grzecznie melonik - czy l>vm panu w czymś pomóc? Pan kogoś szukał, zdaje się? > lo/orca łypnął niepewnie czerwonym okiem na goryla.

-45-

- Szukam jednego łobuza, wiek tak około czternastu lat, jasne włosy, głupia, szeroka gęba. Strzelał do małp z pistoletu...

Gość w meloniku rzucił dyskretnie okiem na staw, skąd właśnie wyskoczył spłoszony mokry Bubeł i ukrył się za żywopłotem.

- Bardzo mi przykro i żal niewymownie, że coś podobnego się zdarzyło - gość w meloniku sięgnął do kieszeni po staroświecki pugilares. - To mój syn. Ukaralem go już i odeslałem do hotelu. Jest nieco dziki, gdyż wychował się daleko stąd, na skraju dżungli, gdzie stale miał do czynienia z groźnymi zwierzętami. Zechce pan mu przebaczyć i zapomnieć o tym niemiłym wypadku. A to za przykrość, jaką wyrządził panu ten ananas! - wręczył oniemiałemu dozorczy zielony banknot.

- Dziękuję panu — uradowany dozorca schował pośpiesznie pieniądze do kieszonki. — Nic się wielkiego nie stało. Lecz radzę panu z dobrego serca, niech pan się szybko stąd zabiera z tym gorylem... — spojrzał z przestachem na człekokształtne zwierzę, które przyglądało mu się ciekawie.

- To jest goryl całkowicie bezpieczny — oświadczył gość. - Jest mi bez reszty oddany i posłuszny.

- Niech pan to powie naszemu dyrektorowi — rzekł lękliwie dozorca. — O, właśnie idzie.

Przepraszam, najlepiej będzie, jak sobie pójdę.

Istotnie, główną aleją nadchodził sprężystym krokiem atletyczny mężczyzna w nienagannym wizytowym garniturze i kapeluszu panama.

- Co to ma znaczyć! — krzyknął rozgniewany. — Kim pan jest?! — spojrzał podejrzliwie na pana w meloniku. — Kto to widział?! Pan ma z sobą goryla?!

- Nie rozumiem, drogi dyrektorze, u nas to normalny zwyczaj, że chodzi się na spacer z tymi zwierzętami, które najbardziej lubimy.

- Ale goryl?!...

- Czyż jest gorszy od innych? Ręczę panu, że jest mądrzejszy od wszystkich zwierząt w tym ogrodzie. On umie mówić.

- Pan żartuje - dyrektor spojrzał na nieznajomego z niesmakiem.

- Mufi, przedstaw się panu!

- Miło mi pana poznać, dyrektorze. Jestem Mufi - rzekł goryl przyjaznym głosem. - Jak się pan miewa? Czy mogę panu w czymś pomóc?

Oniemiały dyrektor zoo cofnął się o dwa kroki.

- To jakieś sztuczki. Widziałem coś podobnego na scenie i bodaj w cyrku. Pan j est bruchomówcą zapewne. Proszę pana natychmiast o opuszczenie ogrodu!

Nadbiegli zaalarmowani dozorczy.

- Wyprowadźcie tego pana.

- To bezprawne - rzekł właściciel zwierzęcia.

-46-

— Pan widzi wyraźnie ten napis — starszy z dozorców wskazał na dużą tablicę na trawniku, na której wielkimi literami pouczano: „Zabrania się wprowadzania psów do zoo”.

- Nas to nie dotyczy - zauważył przytomnie człowiek w meloniku. — Mój (uwarzysz nie jest psem, lecz gorylem. Panowie, zejdźcie nam z drogi! Mufi, poproś panów, żeby zeszl!

Mufi obnażył zęby i wycedził:

Uprzejmie proszę przepuścić mego pana! - uniósł do góry pięści. Dozorczy i dyrektor cofnęli się wystraszeni.

Panowie niepotrzebnie zdenerwowali mojego goryla - rzekł nieznajomy. Kadzę na parę minut zejść mu z oczu. Byłbym niepokieszony, gdyby się panom coś stało...

Dyrektor dał znak dozorcóm i wszyscy wycofali się spiesznie. (idy zniknęli za ostatnimi klatkami, człowiek w meloniku podszedł do ży-i iplotu i rzekł do skulonego i trzęsącego się z zimna Buba: Możesz wyjść. Niebezpieczeństwo minęło. Pozbyłem się tych niesympa-r/nych osobników.

Widziałem. Dziękuję panu - Leszek wystawił głowę zza żywopłotu, ale H- kwapił się do wyjścia.

Dlaczego nie opuszczasz tych zarośli, drogi chłopcze? Bo... bo ten goryl - wykrztusił Bubeł. Nie bój się. On bardzo lubi dzieci. Powiedz, Mufi. Lubię dzieci! - wrzasnął goryl. O, Boże, on mówi! -

Leszek wytrzeszczył oczy. Mufi, pomóż chłopcu wyjść.

Mufi pochwycił Leszka jedną ręką, przeniósł go jak piórko nad żywopłotem i postawił na ścieżce

przed swym panem.

Mufi, temu chłopcu jest zimno, nie widzisz? Załóż mu ocieplacz! Zaraz to zrobię, proszę pana. Mufi wypiął pierś, nacisnął palcem prawej ręki skórę w okolicy swego •ilmega zebra i osłupiały Bubel zobaczył, jak z boku goryla wysunęło się coś mil/aju wąskiej szuflady; z kolei z tej szuflady wynurzyły się dwa długie, i.liczne palce i podały Mufiemu białą, delikatną pajęczynkę wielkości li- .1 klonu. Mufi dmuchnął w pajęczynkę i położył ją na piersi oniemiałego Ih| k ; i. Paj ęczynka poczęła szybko pęcznieć, rosnać i po paru sekundach okryła s/ka aż po szyję lekką, puszystą i ciepłą tkaniną.

To... to zupełnie niesamowite! - wykrztusił Bubel, patrząc to na swoje we ubranie, to na goryla, to na nieznanego w dziwnym staroświeckim | .min, w wysokim białym kołnierzyku i o nienormalnie nieruchomej twarzy. mim pan jest?!

-47-

- Nazywam się Al Datsun — rzekł nieznanomy.

- Pan jest Japończykiem?

- Nie, dlaczego? Ach, chodzi ci o to nazwisko? Po prostu bardzo polubiłem mój pierwszy samochód, samochód marki „Datsun”, i tak się kazałem nazwać...

- Jak to, kazał się pan?

- Moje właściwe nazwisko było zbyt skomplikowane i trudne do wymówienia, więc gdy nasza Akademia Nauk zleciła mi pewne prace badawcze i wyjechałem z Kakurgii...

- Z Kakurgii? — Leszek zmarszczył brwi.

- Chyba słyszałeś o moim sławnym kraju — uśmiechnął się Datsun.

- O, tak — skłamał Leszek. Wstyd mu było się przyznać, że nie ma zielonego pojęcia o Kakurgii, ani zresztą o wielu innych krajach, bo z geografii jest zupełna noga. I choć go korciło dowiedzieć się czegoś więcej o tym kraju, nabrał wody w usta. Z pewnością Datsunowi wypśnie się coś w trakcie dalszej rozmowy, trzeba tylko chytrze pociągnąć go za język. Udając, że nie zauważa niezwykłości goryla, lgał więc dalej beczelnie: - Dużo czytałem o Kakurgii, ale nie przypuszczałem, że żyją tam goryle; myślałem raczej, że orangutany.

Datsun roześmiał się.

- Ani goryle, ani orangutany - odparł. — To nie jest prawdziwy goryl. Czy zauważyłeś?

- No... No tak, ale nie myślałem... Czy to możliwe, żeby to było... żeby to był... r o b o t?!

- Oczywiście, że to jest robot, a ściślej mówiąc precyzyjny, uniwersalny, samosterujący superautomat sto trzynastego pokolenia z mózgiem elektronicznym typu I B.

- Ale... Ale czemu zrobili go w kształcie goryla?

- Używaliśmy go do badania życia małp. Przy jego pomocy nasza ekipa prowadziła badania w Afryce Wschodniej. To znacznie ułatwia pracę, gdy robot jest podobny do obiektu badań. — Datsun wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w Leszka. — Rozumiesz chyba?

- Rozumiem, proszę pana — Bubel czuł się wyraźnie nieswojo pod tym przenikliwym wzrokiem nieznanego. — Pan jest badaczem... to znaczy naukowcem?

- W rzeczy samej, mój chłopcze.

- Zoologiem?

- Niezupełnie. Jestem bionikiem i biogenetykiem. Ostatnio zajmuję się głównie bioniką.

- Ach tak! - rzekł Leszek; nie chciał się przyznać, że nie ma pojęcia, co znaczą te słowa. - Co pan tak patrzy? - zaczerwienił się.

-48-

- Chcę cię poznać - powiedział Datsun. - Nigdy jeszcze nie spotkałem tak znakomitego myśliwego w tak młodym wieku.

- Pan chce wiedzieć, jak się nazywam? - Leszek cofnął się nieco zaniepokojony.

- Ty jesteś Bubel, który uciekł z lekcji - rzekł spokojnie Datsun, nie spuszczył z Leszka wzroku. - A naprawdę zowiesz się Leszek Kit i w poniedziałek masz klasówkę z matematyki...

- O, rany, pan wie?
- To wiem, ale chcę cię poznać głębiej. I bliżej.
- Pan pewnie ma mi za złe...
- Ja tobie? Co?
- No... że uciekłem z lekcji i że strzelałem do tych zwierząt.
- Skądże znowu. To przecież było wspaniałe.
- Wspaniałe? — Leszek spojrzał z niedowierzaniem na Datsuna.
- Uwielbiam młodych ludzi, którzy potrafią robić takie niezwykle rzeczy. ! często bawię się razem z nimi. Myślałem, że w waszym mieście też się zabalę na całego, lecz niestety, zawiodłem się srodze. Wszyscy młodzi ludzie i a nawet małe dzieci są o tej porze w szkole. Och, jakże się nudziłem pozbawio-łch towarzystwa, jak bardzo się czułem samotny, jak strasznie było mi smut-łi. Całe szczęście, że ciebie znalazłem. Zaraz rozpoczniemy zabawę.
- Jaką, proszę pana? - zapytał zaciekawiony Leszek.
- Wypuścimy wszystkie zwierzęta z klatek — odparł Datsun.
- Pan potrafi? - Bubel aż pobladł z emocji.
- Mufi ma elektroniczny superotwieracz, który otworzy nam wszystkie drzwi, wszystkie zamki...
- I klatki z lwami też?
- Oczywiście. Bez lwów nie byłoby zabawy. Leszek spojrzał przerażony na Datsuna.
- Pan się nie boi?
- Czego? Lwów? Ależ one będą uciekać przed nami! -Lwy?!
- I tygrysy też! — odparł spokojnie Datsun. — Mufi roztoczy wokół nas p o-Ic nieprzystępności, które napelni wszystkie zwierzęta paraliżującym strachem. Poczują się jakby za ognistą barierą. Żadne jej nie przekroczy. Zobaczysz, co to będzie za zabawa! Czy jesteś gotów?
- Tak - szepnął przez ściśnięte gardło Leszek.
- A więc zaczynamy! - Datsun rzucił parę słów do Mufiego w niezrozumiałym języku. - Chodź - wziął Bubla za rękę.

Ruszyli w kierunku klatek.

-49-

ROZDZIAŁ V

I ej nocy Leszek w ogóle nie mógł spać. Wciąż myślał o swoim niezwykłym spotkaniu z tajemniczym gościem z Kakurgii i przeżywał na nowo swoją przygodę w zoo, a zwłaszcza tę jedną, największą, kiedy na znak dany przez Datsuna Mufi otoczył ichpołemnieprzystępności i otworzył wszystkie klatki z dzikimi zwierzętami. Wciąż jeszcze miał przed oczyma przerażenie i paniczną ucieczkę dozorców, galopujące, rozjuszone zwierzęta. Pamiętał, jak sam też miał ochotę uciekać, gdzie pieprz rośnie, i jak Datsun i Mufi musieli go trzymać za ręce, by nie popędził na osłep przed siebie. A potem to największe przeżycie, gdy atakujące lwy i tygrysy, już, już gotujące się do skoku z rozwartymi groźnie paszczami, nagle stanęły w miejscu, jakby zatrzymane potężną siłą, a później zaczęły się cofać z posepnym pomrukiem i wreszcie czmychnęły tchórzliwie; jak on, Bubel, uwierzył nareszcie w swoją siłę, jak pognał za nimi, jak dopędził największego lwa i złapał go za ogon, jak dziwnie osłabły drapieżnik dał się obalić na ziemię, jak przez żywopłoty gonił watahę wilków z podwiniętymi tchórzliwie ogonami, aż ogłupiałe wpadły do wody prosto pod nogi hipopotamów, jak ścigał bezkarnie niedźwiedzia, który próbował schronić się na drzewie, i jak łatwo ściągnął go stamtąd za nogę, jak przystawił drabinę do żyrafy i wlażł jej aż na samą głowę, a potem zjechał na dół po szyi i grzbiecie, jak huśtał się na trąbie słonia i obezwładniał jadowite kobry...

I nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, gdy przypomniał sobie osłupienie dyrektora ogrodu i towarzyszących mu zoologów, kiedy pod wieczór odważyli się wreszcie przystąpić do akcji i po wkroczeniu do zoo zastali leżące pokotem na trawnikach wyczerpane zwierzęta. Otepiałe i dziwnie oszołomione, jakby porażone niemocą, dały się potulnie zanieść do klatek i pozamykać jak owieczki.

Jeszcze nigdy w życiu nie przeżywał takich emocji! Ale będzie sensacja, jak opowie o tym wszystkim w szkole! Będą mieli miny Kaflarze! Cała hultajska trójka skiśnie z zazdrości.

Ale potem pomyślał, że mu nie uwierzą i że przecież w ogóle nie może pokazać się w szkole. I posmutniał.

Nie, do licha. Za wcześnie się martwi. Przy następnym spotkaniu poprosi Datsuna o jakiś prezent, jedną z tych małych, ale cudownych rzeczy, które AI ma przy sobie. Na pewno mu nie odmówi. Leszek zanieś to do szkoły i pokaże. To będzie dowód, że nie kłamie. A może zaproponować im spotkanie

-50-

\\lem? AI na pewno by się zgodził... Nie, nie Kaflarom, oczywiście, ale ngłowi na przykład albo Widerszpilowi... A może Gidze? Myślał o tej sprawie całą sobotę. Postanowił w każdym razie nie wygadać przed nikim aż do czasu następnego spotkania z Datsunem. AI wyjedzie uiwdzie służbowo na trzy dni do Zurychu, Londynu i Frankfurtu, ale we orek będzie już z powrotem i umówił się z Leszkiem na siódmą rano na mpingu Południowym. AI trzyma tam w wielkiej przyczepie samochodowej via Mufiego przebranego za człowieka, żeby nie budzić niepotrzebnych | isacji. Więc trzeba wytrwać do wtorku. I nie myśleć o szkole i o chłopcach... lej klasówce w poniedziałek... Taką przyjął zasadę. Tymczasem w niedzielę rano, gdy jadł śniadanie, wpadł do niego zaafero-ny Matoł Klasowy z ostatnimi nowinami.

W poniedziałek wszyscy wieją z klasówki. Taka jest uchwała - powie-i.ił. |- Jak wszyscy zwieją, Tupalka nic nam nie zrobi, najwyżej spieni się ładnie i postraszy Kosmitami. A do ciebie, Bubel, mam specjalny cynk od i Marzy...

Co? - Leszek zakrztusił się bułką. Masz wrócić do budy we wtorek - oznajmił Matoł. Akurat! Powiedzieli, że nic ci nie zrobią i wyrzekną się zemsty, jeśli wrócisz. Nie rozumiem, Cyngiel - zdziwił się Leszek. - Co im tak zależy? Zaraz zrozumiesz - Matoł z zakłopotaniem poprawił okulary. - Masz |" ić we wtorek i... zgłosić się do odpowiedzi z matmy... /wariowałeś?!

Wiesz, Tupalka odegra swój numer z dezserterami i z „rozstrzeliwaniem” . tablicy. On zawsze tak robi. Bierze do tablicy tych, co uciekli z klasówki, iflujc złościwie. No więc, zanim zaczniesz, ty zgłosisz się na ochotnika, jako uszy...

Żeby mnie magłował?

Kaflarze mówią, że ty mu podpadłeś najbardziej i możesz najlepiej zanuć jego krwiożerczość. ('o takiego?! — Leszkowi parówka stanęła w gardle.

Kallarze mówią, że on rzuci się na ciebie z przyjemnością i będzie cię |luwał najdłużej. Jak się dobrze postarasz, to cała lekcja zleci. To jest spo- Wszyscy tak mówią.

(hcecie mnie rzucić na żer?! M.itol wzruszył ramionami.

/robisz, jak będziesz chciał, ja cię nie namawiam, Bubel, przekazuję " > oni powiedzieli, że jak to zrobisz, to zakopią topór wojenny i wyrzekną . ruisty.

!51 -

- Przy wszystkich tak powiedzieli?

- Tak, i Giga to zapisała, żeby nie mogli się wyprzeć. Będziesz podlegał amnestii.

- Giga? - Bubel poczuł ciepło w sercu i jakby mu ktoś przypiął skrzydełka, malutkie, ale zawsze...

- Ona chce, żebyś przyniósł jej w końcu to hi-fi, co obiecałeś pożyczyć na urodziny.

- Ach, tak - Leszkowi zwiędły skrzydełka.

- Ona jest rozżalona, że nawaliłeś, umówiłeś się z nią przecież na piątek i musiała przez ciebie przełożyć urodziny z soboty na wtorek.

- Wytłumaczyłeś jej chyba, że nie mogłem. Kaflarze czyhali na mnie pod drzwiami.

- Wytłumaczyłem jej, że miałaś gęsią skórę i febrę. Ja już lecę - pożarł bez pytania niedzielną i ostatnią parówkę, jaka była na stole, zakąsił ostatnim pomidorem, powiedział: „Cześć” i wybiegł. W poniedziałek rano Bubel nie poszedł do szkoły pod pretekstem kolki w brzuchu. Kolka była najbardziej wiarygodna, bo babcia i ciocia zawsze skarżyły się na kolkę i mama uważała, że to rodzinne. Wreszcie nadszedł oczekiwany z nadzieją i niepokojem wtorek.

Leszek zerwał się rano pierwszy z domowników, już o piątej, aż mama była zdziwiona, bo zawsze trzeba go było spędzać z łóżka... Po dłuższym wahaniu spakował zeszyty i książki, wybiegł spiesznie z domu, przelękając po drodze ostatnie kęsy i pojechał tramwajem na daleki Camping Południowy. Gdy wysiadał z tramwaju, znów ogarnęło go głupie uczucie, że to wszystko nie mogło mu się zdarzyć naprawdę, że to wariacki sen... że na pewno wyśmieją go na kempingu, gdy zapyta o pana Ala Datsuna z Kakurgii. Ale już po chwili okazało się, że nikogo o nic nie musi pytać. Przyczepę Ala dostrzegł z daleka. Była największa ze wszystkich i najbardziej elegancka. Al stał w drzwiach ze swoją nieruchomą twarzą; w tym czarnym meloniku i wysokim sztywnym kołnierzyku zupełnie nie pasował do kempingu, a jednak był. Nie dało się zaprzeczyć.

- Cieszę się, że przybyłeś, chłopcze — powiedział. — Zaplanowałem na dziś ciekawą wycieczkę...
- Bardzo mi przykro - odparł Leszek - ale chyba będę musiał iść do szkoły. Datsun opuścił dolną szczękę, co miało zapewne wyrażać jego głębokie rozczarowanie i żal.

- Cóż to za okropny zwyczaj! Dzień po dniu przez tyle godzin dręczyć dzieci w szkole! Barbarzyństwo!

-52-

- Czy w Kakurgii dzieci się nie uczą? - zapytał nieco zdumiony Leszek.

- Po co?! W kraju tak wysoko rozwiniętej techniki to całkowicie zbytecz-
v. Dawno już skończyliśmy z tym przesądem. Ostatnią szkołę zamknęliśmy
'CSćdziesiąt lat temu. Jest teraz w niej Muzeum Cierpień Młodzieży. Najbar-
•irj niebezpiecznych nauczycieli, którzy próbowali uczyć po kryjomu, skaza-
• | im dożywotnie więzienie, innych wygnano z kraju.

I csek słuchał osłupiały tych wieści. Biedni ludzie - westchnął.

Widzę, że ci ich żal? - stwierdził nieco zdziwiony Datsun. - Myślałem, <• będziesz zachwycony
losem tych prześladowców młodzieży, ale ty nie po-•hycłś się jeszcze waszych głupich przesądów.
Leszek chrząknął zakłopotany.

- Przecież... przecież jeśli tam nie ma nauczycieli, jeśli dzieci się nie uczą szkole, to nic nie umieją,
a jak nic nie umieją, to jak potrafią coś robić, jak
nc w ogóle mogą żyć?

Datsun zaśmiał się tak serdecznie, że aż dostał drgań dolnej szczęki i zęby mi zaczęły dzwonić.
Zakłopotany musiał przytrzymać je ręką.

- Dawno już nie byłem u dentysty — wyjaśnił. — To dlatego, że nie ma waszym kraju
odpowiedniego dla mnie stomatologa. Nie powinieneś mnie
k rozśmieszać, mój drogi. Posłuchaj, jedyną naprawdę potrzebną umiejętno-k(jest umieć
posługiwać się mózgiem produkowanym przez nasze wytwór-ic w różnych odmianach i postaciach.
Wszelka inna nauka jest zbędna. Leszek słuchał coraz bardziej zaciekawiony.

- A jak chce się robić muzykę? — zapytał nagle.

- Co?! - Datsun spojrzał na niego zaskoczony.

- Ja na przykład chciałbym grać na gitarze przynajmniej tak jak Geno Swar, do tego nauczyć się
komponować... Więc biorę lekcje i ćwiczę...

- Tracisz niepotrzebnie czas — przerwał Datsun. — U nas takie rzeczy zalana polifon, specjalny
skomputeryzowany instrument elektroniczny; za jego "imocą grasz i komponujesz bez żadnego
przygotowania...

- Nie bardzo rozumiem, jak to funkcjonuje...

- Prościej niż goryl Mufi. Naciskasz jeden klawisz i parę guzików. Zgła-;isz zamówienie na utwór,
określasz go mniej lub bardziej ogólnie i podłą-asz się do analizatora. Analizator zapisuje twoje
życzenia, te które potrafisz yrazić i te na pół uświadomione, których określić nie jesteś w stanie.
Polifon i lej podstawie oferuje swoje propozycje. Wybierasz i przekazujesz z uwaga-i do dalszej
obróbki. Polifon oferuje utwór poprawiony. Przyjmujesz lub zwra-isz do dalszych poprawek... Tym
sposobem otrzymujesz wkrótce taki utwór,

> k i chcesz mieć, albo prawie taki, jeśli się okaże, że twoje żądania były niewy-• 'ialne
technicznie. Cała operacja nie trwa dłużej niż zwykła gra komputero-

!53-

wa, chyba że jesteś zbyt kapryśny i zmieniasz swe żądania w czasie komponowania... Mój brat kompozytor potrafi machnąć całą symfonię w ciągu czterech godzin.

-I wszystko bez łamania sobie głowy, bez ślęczenia, bez nauki... - Leszek kręcił głową oszołomiony.

- Przecież widziałeś Mufiego. Czy on dużo wie?

- Bardzo dużo - odparł Leszek. -I dużo potrafi.

- Dużo - zgodził się Leszek.

- A przecież nie był nigdy w żadnej szkole. Wystarczy, że ma wmontowany odpowiedni komputer. A więc i młodzi ludzie w Kakurgii nie potrzebują niczego wkuwać. Wystarczy, że noszą przy sobie małe superkomputerki...

-To znaczy...

- To znaczy, że zamiast nauczycieli i książek dostają podręczny, niezawodny i higieniczny mózg elektronowy. Każdy może sobie zresztą zamówić taki, jaki chce, są mózgi zwykłe, tanie i droższe, bardziej wyspecjalizowane. Większe mózgi nosi się na plecach w specjalnym futerale, jak plecaki. Mniejsze mózgi chłopcy wolą trzymać w specjalnych kaburach przy pasie jak pistolety. Były także zgrabne mózgi kieszonkowe, ale wyszły z mody, bo za bardzo wypychały kieszenie. Dziewczęta dostają gratis specjalne torebki-konduktorki do noszenia swoich mózgów, niektóre wolą jednak kolorowe minimózgi o ciekawych kształtach, nieco mniej inteligentne, ale za to lekkie i wygodne; można je wpinać we włosy albo nosić na ręce z bransoletką jak zegarek.

Leszek słuchał chciwie. Co za obłędne wynalazki! Gdyby miał taki mózg, mógłby wrócić do szkoły i nie bać się niczego i nikogo, nawet Kaflarzy. Wystarczy, że im zademonstruje taki komputer, a zapomną o zemście. Oni znają się na takich rzeczach. Od razu pojmą, że to cud techniki. Zrobią wszystko, byle ich poznał z Datsunem, sami poproszą, żeby Leszek został ich kumplem. A Tupałka? Z Tupałką wszystko się ułoży jak najlepiej. Tupałka na pewno weźmie go do tablicy i będzie złośliwie maglował. On zawsze tak robi z tymi, co uciekają z klasówki. No, i wtedy dopiero będzie! Leszek go porazi wiadomościami! Tupałka zbaranieje, a może nawet spadnie z krzesła!

- To... to kapitalne... to wspaniałe proszę pana! - wykrztusił zachwycony.

- A widzisz, jednak spodobało ci się!

- Przydałby mi się taki mózg! Czy nie ma pan jakiegoś przy sobie? Może być byle jaki, przypiąłbym go sobie, jak będę wezwany do tablicy... Niech mi pan pożyczy, choć na dzisiaj, oddam panu, słowo!

Datsun milczał przez chwilę, przyglądając się uważnie Leszkowi.

- Więc uważasz, że twoja własna głowa ci nie wystarczy? - zapytał wyraźnie zaintrygowany.

-54-

Moja głowa jest jak dziurawe wiadro — odparł Leszek. — Jak pusty bęben, pudło akustyczne. Nic tam nie ma - jęknął umyślnie głośno i przesadnie, i | v w/budzić współczucie Datsuna i zafasować od niego jakiś „fajowy” mózg.

Mówisz, że nic tam nie ma? — rzekł jakby zadowolony Datsun. — To nie jest '(msza sytuacja, mój chłopcze. Lepiej mieć pustą główkę niż zapełnioną śmie- ni. Pusta głowa u takiego młodzieńca jak ty to cenny magazyn, do którego n;i włożyć naprawdę potrzebne rzeczy, gdy przyjdzie pora... gdy przyjdzie i | powtórzył zamyślony. - Mam nadzieję, że łatwo da się ją napęlić.

Bardzo łatwo — podchwycił Leszek. — Tata mówi, że ja bardzo łatwo | 11:im sobie głowę dyrdymałkami, proszę pana. Ale teraz niech mi pan pożycz-laki mózg, może być kieszonkowy, jak pan nie ma innego... — spojrzął na arek. — Już późno muszę iść.

Nie mam przy sobie żadnego mózgu, mój kochany — rzekł Datsun. - Lecz byś pojechał ze mną do Kakurgii, dopasowalibyśmy ci szybko coś odpo-dniego... Za dwa dni byłibyśmy z powrotem. | Och, nie... Dzisiaj nie mogę. Mówiłem już panu, że się śpieszę. Zupełnie nie rozumiem. Skoro nie lubisz szkoły, skoro wczoraj uciekłeś / klasówki...

Leszek zakręcił się niecierpliwie.

- Nie wiem, jak to panu wytłumaczyć... Po prostu szkoła to jest wielki młyn i mam tam dużo spraw

napiętych... Zresztą poza szkołą też - dodał szybko. |- Godzinami ćwiczę codziennie na gitarze, pan wie, a prócz tego... — urwał i zaczerwienił się; nie chciał mówić nieznanemu, po co naprawdę przycho-ilził ostatnio do ogrodu, i zaczął paplać bezładnie. - Mamy mecz koszykówki / Aciakami, proszę pana, i nie chciałbym chłopaków zostawić na lodzie, a Ły-siak obiecał przynieść bilety do cyrku, bo jego wujek jest kłownem. I założyłem się z Cynglem, że Tupalka przyjdzie dziś do budy w krawacie i że wstawi /nów swoją mowę o Kosmitach. A Nippo Poniński zaraz po lekcjach ma ze mną trenować skuteczny forhand na korcie... Klaudia Kosmacka ma przynieść ptasie mleczko... Datsun opuścił szczękę, co miało wyrażać niesmak.

- Widzę, że w rzeczy samej jesteś bardzo zajęтым człowiekiem - rzekł zrezygnowany. - Widzę także, iż masz wielu ciekawych kolegów. Czy oni również mają puste głowy?

- Przeważnie.

- Chciałbym ich poznać. Pobawilibyśmy się razem. Czy mógłbyś ich przyprowadzić z sobą?

Urządę zabawę jeszcze lepszą niż wczoraj!

- Jeśli tylko zdołam ich namówić — powiedział Leszek. - Oni nie wierzą na piękne oczy, proszę pana. Jak coś odbiega od normy, to zaraz podejrzewają, że to zgrywy i bajeczki. Okropnie trzeźwi ludzie.

-55-

— Nie bój się, dam ci coś, co ich przekona... — powiedział Datsun. — Nie mam wprawdzie przy sobie w tej chwili supermózgu, nawet kieszonkowego, o który prosisz, ale mam maleńki komputer-podpowiadacz do rozwiązywania prostych zadań. U nas bawią się tym dwuletnie dzieci. O ile zdołałem cię dobrze rozszyfrować, chodzisz do klasy siódmej, czyż nie tak?

— Tak, proszę pana.

— A więc taki podpowiadacz ci zupełnie wystarczy — orzekł Al i zwrócił się do Mufiego: — Mufi, pokaż chłopcu mysz.

Mufi wyciągnął ze swej torby bocznej małą, jasnopopielatą myszkę. Wyglądała zupełnie jak żywa. Ruszała łapkami i pyszczkiem. Mufi, trzymając ją za ogonek, zademonstrował Leszkowi.

— Jak widzisz, komputer jest dla niepoznaki w formie myszy — powiedział Datsun. —

Uruchamiasz go własną bioenergią, która działa na niego z odległości do jednego metra. Dlatego najlepiej mieć go przy sobie, w kieszeni. Podpowie ci bezbłędnie cichym i cienkim, ale wyraźnym piskiem, jak rozwiązać każde zadanie z zakresu arytmetyki i algebry, i poda właściwy wynik.

Ponadto dzięki temu, że jest w formie myszki, potrafi z powodzeniem pełnić jeszcze szereg dodatkowych funkcji. Myszka jest tak zrobiona, że można jej używać jako szczoteczki do ubrania i do butów, jako grzałki, a także jako gumki do ścierania; ponadto za pomocą ząbków tej myszki można przecinać, piłować, szlifować i strugać drobne kawałki drewna, tworzyw sztucznych, a także metali. Czy to wystarczy, żeby twoi szlachetni koledzy zaniemówili z wrażenia na sześć sekund?!

Wraz z twoim czcigodnym pedagogiem?

— Zaniemówią na sześćdziesiąt sześć, proszę pana, i dostaną wytrzeszczu gałek, a Tupalka spadnie z wrażenia z krzeselka - wykrzyknął radośnie Leszek, porwał mysz i wybiegł z kempingu.

ROZPZIAŁ VI

mJył taki obyczaj, szeroko praktykowany w starszych klasach u Kromera: przyjść grubo przed lekcjami do szkoły, posłuchać plotek z rannej poczty, sprawdzić najnowsze notowania na giełdzie popularności koleżeńskiej, przegrać taśmę, obejrzeć plakat z idolem, wymienić książki, pisma i idee, puścić w obieg najświeższe kawały, ułożyć „gryplan” na popołudnie, a także, co nie mniej pożyteczne - odpisać zadanie z matmy, skompilować wypracowanie z polaka, zorganizować przy pomocy fachowców niezbędne ściągi lub nawet - co czyni-

-56-

'iwszechnie dziewczęta — dokonać przy pomocy biegłych koleżanek zabie-kosmetycznych i fryzjerskich: prawy kąt pod oknem z tyłu zamieniał się ruly w salon piękności.

Klasa siódma B pielęgnowała ten obyczaj szczególnie pieczołowicie i z wi- /ną przyjemnością.

Zwykle już o pół do ósmej, rzecz gdzie indziej niesły-na, była właściwie w komplecie z wyjątkiem lubiących pospać Kaflarzy | paru rozmamłanych, niestowarzyszonych indywidualistów. Przez te trzy-ści przedlekcyjnych minut najbujniej rozkwitało życie towarzyskie, a kla- /imieniała się w jakiś

rojny, rozgadany salon, kipiące życiem forum. Po-nnemu obserwatorowi mogło się wtedy wydać, że dla tych małolatów nie przyjemniejszego miejsca na ziemi od szkoły, że to coś więcej dla nich niż kły klub, więcej nawet niż dom rodzinny, że tu właśnie koncentrują swoje wdziwe życie, tu odsłaniają najpełniej swoje niezakłamane oblicze. Widok ten mógł pokrzepić serca największych pesymistów w kwestii spo-nego rozwoju (a raczej niedorozwoju) młodzieży i rozczulić najbardziej i'i)/kniałych gogów. A mniej doświadczonych wprawić w zakłopotanie. Bo id wszystko działo się przecież w tej samej klasie, w której bite były rekordy wagarów. Jakże więc z tymi łebkami naprawdę? Szkoła przyciąga ich czy odpycha? W istocie był w tym jakiś paradoks. Ale kto powiedział, u licha, że młodzież nie ma prawa do paradoksu? I czy takie paradoksalne rozdwojenie mc jest właśnie dla niej typowe? Czar małolatów także i na tym polega, że I >ol rafią łączyć różne sprzeczności bez najmniejszego zakłopotania i w jak najbardziej naturalny sposób.

Tego dnia naczelnym tematem burzliwych rozważań i dyskusji były wczoi ajsze bezczelne wagary Małorolnych i zapowiedź „sądu wojennego” nad winnymi, jak to określił rozgoryczony Tupąka. Zadawano sobie pytanie, czy Le-s/ek i Kaflarze w ogóle pojawią się jeszcze w szkole, i czy Tupąka spełni |-woje groźby, a zwłaszcza najstraszniejszą nich: ujawnienie Ciału gogiczne-mii i rodzicom tej całej afery z oszukańczymi zwolnieniami z lekcji.

Dyskusje te prowadzono jednocześnie w kilku ośrodkach skupienia. Naj-iiirdziej kotłowało się w połowie drugiego rzędu stolików, niemal w samym łoometrycznym centrum sali, gdzie brylowała Paulina Wdolak, niezwykle powabna istota w szalowym kimonie koloru gasnących płomieni, gwiazda weso-U'l paczki, zwanej przez życzliwych paczką koktajlową, a przez zawistnych paczką materialistek i kreacjonistek, nie tyle z powodu poglądów filozoficznych, ile z powodu poczesnego miejsca, jakie w ich świadomości zajmował materiał krawiecki oraz różne kreacje bluzkowe i sweterkowe.

Ale nawet w obliczu tak dramatycznej sytuacji nie wszyscy zajmowali się |.prawami publicznymi. Przy pierwszych stolikach dwie niezmordowane ku-tonki, Marzena i Orlana, przepytywały się z angielskiego. Za nimi Łysiak, nie

-57-

bacząc na otłość, flegmatycznie zajadał bułkę ze skwarkami, zatopiony po uszy w lekturze „Fantastyki”. Nieco dalej Mucha i Rocha przegrywały jakiegoś rocka, kiwając się rytmicznie. Przy oknach cierpliwi prymusi udzielali wyjaśnień „chemicznym matołom”, a pod ścianą w lewym kącie dla paru innych dziewcząt najważniejszym zajęciem z racji imienin Jadwigi i Teresy było spieszne poprawianie urody przy pomocy zawsze życzliwych i usługowych koleżanek.

Jak wiadomo bowiem, nie wszystkie szanujące się małolaty mogą spokojnie i bezkarnie dokonać tego rodzaju niezbędnych zabiegów w rodzinnym domu. W takiej właśnie pożałowania godnej sytuacji po niedawnej awanturze z mamą znajdowała się owego ranka uznana piękność klasowa i nieoficjalna miss szkoły - Giga Szańska.

Siedziała skwaszona w artystycznej okolicy klasy i była spiesznie robiona na bóstwo przez Sonię i Julę. Artystyczną okolicą klasy nazywano, nie bez wyraźnej ironii, trzy stoliki pod oknem na końcu trzeciego rzędu, okupowane przez artystyczną i arystokratyczną elitę klasy, to znaczy przez osoby 0 wysokim mniemaniu o sobie i deklarujące zainteresowanie wszelką sztuką, zwłaszcza zaś sztuką mijania się z prawdą i wykręcania numerów dorosłym.

Tym razem jednak, przykro powiedzieć, wzburzoną Gigę zajmowała nie sztuka, lecz ogniste kimono Pauliny Wdolak. To już piąta kreacja w październiku, choć dopiero piętnasty! Kabotynka drapuje się w tym tygodniu na ognistego anioła, w zeszłym był błękitny. A w niedzielę na bankiecie nosiła powłóczyście perlówobiałe szaty Śnieżki. Pospępne myśli Gigi jak kruki zaczęły krążyć koło tych olśniewających ciuchów, a potem wokół bankietów, jakie wyprawia Paulina, wokół żarcia, jakie tam serwują, wokół tych cholernych tortów i melb, a wreszcie wokół zagranicznych płyt i wideokaset, jakie tam demonstrują. Bardzo nisko krążyły myśli Gigi nad tymi bankietami, melbami l kasetami, i gdyby mogły zabijać, z pewnością Paulina Wdolak leżałaby już trupem u stóp Gigi w tym swoim szalowym kimonie. Ale na to się raczej nie zanosilo. Z centrum kreacjonistek dobiegał beztroski śmiech tej nadzianej ka-botynki, zanosilo się natomiast na to, że dzisiejsze urodziny Gigi będą raczej żalosne. Tak, to już jest pewne i oczywiste, nie przebije Pauliny Wdolak. Nie ma czym.

Liczyła jeszcze na to hi-fi, które obiecał jej Bubel, najpóźniej w piątek miał dostarczyć cały sprzęt, i ten zestaw płyt i taśm, na którym jej tak zależało, ale nie zjawiał się, smarkacz! W ogóle przepadł gdzieś na cały dzień. Nigdy mu tego nie daruje! Żeby taki numer wywinąć jej z tym hi-fi! Z pewnością zaangażował się w jakąś inną, ciekawszą prywatkę, albo... Albo to była od początku zgrywa. Łobuz nie ma żadnego sprzętu, udaje tylko zasobnego w aparaturę melomana.

A potem pomyślała już chyba po raz dziesiąty, jakich okropnych ma rodziców. To przez nich wszystko! Ciapy i safandudy! Niczego się nie dorobili przez

-58-

ulzieńcia lat. A w dodatku skąpcy! „Możesz zaprosić parę koleżanek na Imtkę, ale najwyżej pięć osób, i żeby o ósmej było po wszystkim. Żadnych kietów!” - zapowiedziała z góry mama. Pięć koleżanek na herbatkę! Giga /csła się z oburzenia. Pięć koleżanek, kiedy Paulina Wdolak zaprasza pół •v! I w dodatku to ma być herbatka! Ręce opadają! Czy mama nie rozumie, wszystkie materialistki i kreacjonistki w klasie ze śmiechu pospadałyby | /cseł? Miałyby satysfakcję i ubaw na pół roku!

(liga wygarnęła to szczerze mamie, a mama na to, że ta niedobra mysz-i łucja zjadła im oszczędności i że muszą spłacać tę głupią automatyczną ikc. I jak tu prowadzić dyskusję? Toteż Giga zaprzestała pertraktacji i za-ia milczące demonstracje. Na złość mamie zaczęła ostentacyjnie jeść suchy •li, zakaszając go tylko cebulą, chodzić w najgorszych łachach, lakierować nokcie na czerwono, barwić powieki na sino, malować sobie cienie pod vma i ceglaste rumieńce na policzkach, a nadto, przy ochoczej pomocy Soni | luli, wyczyniać różne rzeczy z włosami, wymyślając coraz bardziej szokujące II v/ury, które robiły furorę w szkole, a biedną mamę przyprawiały o migrenę. Ale to jeszcze nic! Na przekór przeciwnościom Giga postanowiła, że wyprawi bankiet, jak zapowiedziała. Na szczęście zostały jej jeszcze niezawodne |li/yjaciółki, i kompromitacji nie będzie. Bankiet zrobią wspólnie u Soni, któ-u"i starzy mają pracownię malarską i trochę lepszy stosunek do młodzieży. Za-t.i/ po lekcjach przy pomocy Cynгла opyli w antykwariacie małą encyklopedię i leksykon ojca; ojciec i tak do nich nie zagląda. Za uzyskany szmal kupi się \ delikatesach różnych frykasów, a w Zielonej Budce duży termos lodów... I.ik, to nie będzie taki jubel jak u Pauliny, ale kompromitacja nie grozi. Z rozmyślań wyrwał ją wesoły głos: - Cześć, Giga!

To Bubel wpadł do klasy dziwnie rozpromieniony. Bez cienia wstydu za to, co jej zrobił. Przybrała obrażoną minę i odwróciła głowę. Ale jego to nie |martwiło.

- Popatrz, co mam! - wyciągnął z kieszeni mysz za ogonek.

Na widok myszy Sonia i Julia pisnęły przeraźliwie i odskoczyły gwałtownie. Emalia do paznokci rozlała się Gidze na sukienkę. Giga zerwała się rozgniewana z krzeselka.

- Ty idioto, patrz co zrobiłeś! Niedojda! Bałwan! Leszek machnął lekceważąco ręką.

- Gwiżdż na to, dziewczyno! — powiedział. — Dziś jeszcze załatwię ci takie .. mchy, że wszystkie kimona Wdolaczki będą przy nich wyglądały jak ścierki!

- Zamknij się! Ty... ty zgrywaczu, ty hochsztaplerze! - Giga poczerwieniała z gniewu. - Nie zrobisz mnie więcej w konia! Wystarczy, że raz mnie zrobiłeś z tym hi-fi!

-59-

W klasie zapanowała cisza jak makiem zasiał. Wszyscy przerwali rozmowy i patrzyli na Gige i Bublę. Spodziewali się wielkiej draki, ale ku powszechnemu zdumieniu Leszek zachował dziwny spokój.

- Pomyliłaś się ociupinkę - powiedział.

- Ja się pomyliłam?! — wybuchła Giga. - Wszyscy już dawno poznali się na tobie, tylko ja jedna myślałam, że przesadzają.

- Wszyscy?

- Powiedz mu, Mysiu!

- To fakt, że jesteś świnią — powiedział Mamiński, błyskając złośliwie wypukłymi oczkami żaby. — Po co bębnić o sprzęcie, po co się przechwalać, po co obiecywać, jak sam pożyczasz hi-fi od ciotki, która podwędziła go z gabinetu profesora w piątek, kiedy sprząta, a w poniedziałek rano oddaje... Albo... Nie oddaje i zwala na studentów!

W klasie rozległy się śmiechy i gwizdy. Tylko jeden Matoł Klasowy nie śmiał się i zażenowany poprawiał okulary.

Leszek pobladał. Chciał trzepnąć Mamińskiego w tę zabią mordkę, ale opanował się i odparł nieco drżącym głosem:

- Powiedziałem: mylisz się, Giga. Wszyscy się mylicie! - podniósł głos i powiódł wzrokiem po klasie. — Już niedługo się o tym przekonacie. Za kilka minut pokażę taki numer, że oko wam zbieleje!

Patrzyli na niego jak na wariata.

- Zawsze mieliście mnie za nic - ciągnął. - Zawsze byłem dla was tym gorszym, byłem Buble, no więc wkrótce zobaczycie, kto kim jest naprawdę, kto co jest wart i kto co potrafi!

Znów rozległy się śmiechy, ale już tylko w paru miejscach i nie tak głośno. Większość klasy była nieco zbity z tropu pewnością siebie Leszka, jego odwagą, a raczej bezczelnością. Ale nim ktoś zdążył go zagać i zgasić, do klasy wbiegł Widerszpil z wytrzeszczonymi oczyma i opadłą szczęką, co znaczyło, że jest w stanie dużego zdenerwowania.

- Mam niedobre wiadomości — wybełkotał. — Tupałka zamienił się z Kla-ryszewską na godziny! Wziął u nas pierwszą i drugą... Pewnie bał się, że chcemy nawiać i postanowił nas zaskoczyć... Zaraz tu będzie!

- Co takiego?! — Kaflarze zerwali się z miejsc, a za nimi wszyscy Małorolni.

- Jest bardzo rozgoryczony i chyba wściekły — ciągnął Widerszpil. — Widziałem, jak kręcił sobie guzik od fraka. Dyrektorce też chciał kręcić guzik od jej swetra, ale mu nie pozwoliła... Odskoczyła od niego.

- Rozmawiała z nim?

- Tak. Po lekcjach wszyscy Małorolni mają zostać. Dyrka będzie rozmawiać z każdym osobno. Jest lista...

- Powiedział jej wszystko o nas? - dopytywał Bryk.

-60-

0 lipnych zwolnieniach, o tych kantach czy tylko o klasówce?

Nie wiem.

Jak to nie wiesz?!

Człowieku, jak mogę wiedzieć, kiedy Łękotka odciągnął mnie za ucho musiałem uciekać.

Ale przecież słyszałeś o tej liście.

Bo wróciłem, ale co przedtem mówili, nie wiem. Może Pieśniewicz bę-wiedział, stał tam i słuchał...

— Widerszpil zaczął pakować się gorączko-łco cofnięty podbródek drgał wyraźnie z emocji.

Większość klasy za jego I.ładem rzuciła się po torby i teczki, inni naradzali się spieszenie, tylko Busiadł spokojnie na stoliku i żuł ostentacyjnie gumę. A ty co? — Kukulski spojrział zdziwiony.

Mamy przecież umowę — przypomniał zimno Leszek. — Chciałeś, żebym nlpowiadał...

- Nieaktualne! — wysapał Kukulski. - Słyszałeś o tej liście. Sprawy zaszły '« daleko.

- Powiedziałeś, że mam odpowiadać z matmy — powtórzył twardo Leszek.

- Daj spokój, stary - powiedział Matoł Klasowy, chrząkając z zakłopotaniem. - Nie bądź taki flegmatyk. Wiesz, że podpadłeś Tupałce. Nie miałbyś

ndnych szans, on by cię pożarł z kośćmi.

- Spokojna głowa, Cyngiel. Mam podpowiadacza w kieszeni.

- Te, szogun, nie lubię, jak ktoś struga na siłę bohatera! - warknął Kukułki i zepchnął Bublę z ławki.

- Pakuj lepiej manele!

- Zostawcie go - rzuciła Giga już od drzwi. — To notoryczny zgrywus, ja i > rozszyfrowałam. Nie ma na niego sposobu. Dziś uparł się pozować na silne-.. Milla.

- Przestań, Buble - rzekł z niesmakiem Bryk.

- Nie masz do tego talentu - dodał Filo.

- Ani wdzięku - dorzucił mały Mamiński, obracając do Leszka swoją za-.1 (warz. — Idziemy, Giga!

Ale było już za późno. Od drzwi odepchnęła go fala powracających w po-'iochu zbiegów. Tupałka przy pomocy Łękotki zagarnął ich na korytarzu a pędził do klasy.

Nim ostatni maruder zdążył dopaść krzesła, matematyk był już za swoim 'l' >lem. I wtedy od razu

poznali, że jest fatalnie i łyso. Bardziej łyso niż mówił \ ulerszpil. Tupałka nie był wściekły, nie był obrażony, nie był nawet nadaśa-
był ironiczny.

- Brawo, moi państwo - zaczął z miejsca. - Gratulacje od starego bakała-m! To była runda dla was! Tego nie przewidziałem mimo wszystko. Przesko-|yliście samych siebie! Dwadzieścia tęgich główek uciekło mi z lekcji.

-61-

Pieśniewicz zerwał się urażony.

-Przecież ja...

Chciał powiedzieć, że on nie uciekł, ale Tupałka zgasił go od razu:

- Siadaj! - i ciągnął dalej: - Tak więc wyszedłem na głupca. Całe szczęście, że dyrektor ani nikt z grona nie wie o naszych umowach. Byłbym pośmiewiskiem kolegów nauczycieli, gdyby się dowiedzieli, że ja państwu nadzwyczajnie idę na rękę, tuszuję państwa grzeszki i proponuję układy, a państwo mi całkiem zwyczajnie, ordynarnie i, powiedziałbym, wulgarnie uciekają z lekcji. No, więc dobrze. Umowy zerwane, nie będzie już układów. Powracamy do szkolnej normalki. A co jest normalnie w tej sytuacji?... W tej sytuacji, proszę państwa, normalnie jest, że ja, gog, dobiore się wam do skóry. Jak się dobiore? A tak, żeby bolało! Specjalnie i generalnie... Więc przede wszystkim powiem całą prawdę gronu i dyrektorowi. To obowiązek, którego niegodnie zaniedbałem. Winienem im koleżeńskie ostrzeżenie! Pocziwcy nie zdają sobie sprawy, z kim mają do czynienia. Powiem im, do czego państwo są zdolni. To już nie zwykłe wybryki szkolne, to fabryka przestępstw szkolnych, to prawdziwe biuro organizacji wagarów! To zrobię specjalnie... A generalnie to urządzimy tu sobie wielkie pranie... lub może, nazwijmy to lepiej, polowanie. Wszakże zademonstrowaliście mi tu wilcze obyczaje, choć pewnie obrażam wilki, ucieczki to są raczej zajęcze, tchórzliwe obyczaje. A więc dobiore się do was, jak do zajęcy...

- Do mnie też? - zerwał się przestraszony Pieśniewicz, ruszając z emocji uszami.

- Siadaj! - zagrzmiał Tupałka. - Bałwan jesteś jak wszyscy. Pieśniewicz usiadł rozgoryczony, przeżuwając niesprawiedliwość Tupałki, stary gog zaś podniecał się coraz bardziej, defilując przed stolikami.

- Dwudziestu tchórzy uciekło z klasówki, a reszta nie potrafiła rozwiązać poprawnie ani jednego zadania. Trzyście dwój i tylko cztery dostateczne! Wymóżdżone puste pały! Nieszczęsne pokolenie! Zobaczycie, wpadniecie w ręce Kosmitów. Lenistwo zgubi tę cywilizację, lenistwo i wygodnictwo! Matematyka jest królową nauk. Zapamiętajcie to sobie. Nie wolno drwić z królowej. Nie wolno sobie bimbać! Ona zaopatruje nas w oręż na całe życie. Biada, kto o tym zapomni! Zwabieni waszym nieuctwem Kosmici opanują ten nieszczęsny glob. Tylko solidna wiedza może nas ocalić od zguby. Ale wy wypinacie się na nią. No, więc dobrze. Chcę wam powiedzieć coś nowego. Znudziło mi się to. Mam dość. Nie będę was uczyć! Przekwalifikuję się i będę hodował pieczarki, a was niech uczą Kosmici.

Tupałka przerwał zadyszany, odsapnął i spojrzał na klasę, zapewne ciekaw wrażeń jak każdy rasowy orator. Wrażenie było niewątpliwie piorunujące. Wszyscy siedzieli jak porażeni. Zadowolony Tupałka wrócił do swego stołu.

-62-

I

- To tyle miałem do powadzenia ogólnie - oświadczył już znacznie mniej osandrycznym głosem. - A teraz rozprawimy się z dezerterami Kto daje dra-iMka z klasówki, ten jest jak tchórzliwy żołnierz, co ucieka z pola bitwy bez Milki, mm jeszcze padnie pierwszy strzał. Co się robi z dezerterami Pieśnie-a też? - wycelował palec w lizusa.

Pieśniewicz stanął na baczność i wyrzucił jednym tchem!

- Dezerterów stawia się pod mur i rozstrzeliwuje, panie profesorze! Fupałka skinął głową. Tak jest! - powiedział uroczyście. - Dezerterów się rozstrzeliwuje. |ly też będziemy stawiać przy tablicy i rozstrzeliwać, ale najpierw musimy Ha skazańców przygotować jakieś małe pożywne

zadanko Pożywne i sma-owite - zamruczał i począł szperać w swoim starym, sfatygowanym pod-
a/mku. - Mam tu coś dla was - oznajmił zadowolony - Zanotujcie! W Domu Sytej Starości na
jednego emeryta przypadało dziennie trzydzie-. i dwa dekagramy szynki i pięćdziesiąt cztery
dekagramy salcesonu Pew-.. część emerytów jadła tylko szynkę, a nie jadła salcesonu Pewna część
mcrytow jadła tylko salceson, a nie jadła szynki. I wreszcie pewna część \la na ścisłej diecie me
jadła ani salcesonu, ani szynki " Prawda że ape-.c/.ne zadanko?...

Przez klasę przetoczył się jęk. Ktoś mlasnął głośno.

- Cisz! - Tupałka zastukał liniałem w stolik, a gdy się uspokoiło podyk-

•wał resztę danych i zakończył: - Obliczycie mi teraz, ilu było emerytów
Domu Sytej Starości, ilu jadło tylko szynkę, a ilu jadło tylko salceson!

>.je dziesięć minut na ułożenie równań, a do tablicy poprosimy jakiegoś
nakoszą - przez chwilę rozglądał się po klasie, Leszek wyciągnął palce.

..la klasa zastygła. Kaflarze wymienili porozumiewawcze spojrzenie Wszy-
v myśleli, że Tupałka weźmie „na rozwałkę" Bubla, a tymczasem wzrok
upiłki spoczął na pocziwym grubasie klasowym, Łysiaku - Ty mi wyglą-
«•-/ na największego smakosza, synu, chodź no tutaj! - kiwnął na Łysiaka
ilcem.

J

A więc czarny humor nie opuszczał matematyka. Nie ograniczy się do i.ilorolnych, będzie dręczył
każdego, na kogo mu przyjdzie ochota Nikt nie o/e czuć się bezpieczny! Po klasie powiało grozą.
Łysiak na przygiętych kolanach uniósł się powoli z krzesła jakby nogi 1.II v. gumy i me chciały go
dźwigać. W jego łagodnych oczkach pojawił się <mczny strach, rozglądał się dookoła, jakby szukał
ratunku, raz poraż oblizy-il grube wargi, a fałdy tłuszczu na szyi falowały mu nerwowo

O, widzę, że już oblizujesz się ze smakiem - zauważył drwiąco Tupałka. I o ty, zdaje się, zjadłeś
niedawno pani Adler ciastko tortowe w pokoju na-/ycielskim, kiedy odeszła na chwilę do telefonu?

-63

- To nie ja — wybełkotał niewyraźnie Łysiak z nieszczęśliwym wyrazem twarzy, czerwieniąc się po
uszy. Jak zwykle nie umiał się bronić, a jego rumieńce brano z reguły za dowód winy.

- Nie bój się - ciągnął szydyczko matematyk - tym razem zaspokoisz swoje apetyty legalnie, jawnie
i bezpiecznie.

Łysiak przeżyłby zapewne najgorszy dzień w swoim życiu, gdyby Sonia Sobieska nie wzięła go
odważnie w obronę.

- To pomyłka, proszę pana - oznajmiła głośno. — Łysiak nie jest smakoszem i mało jada.

- On tylko tak wygląda — dodała Julia.

- On ma gruczoł nie w porządku i dlatego. Ale on nie lubi słodczy i jest na diecie. -l w ogóle nie
było go wtedy w pokoju nauczycielskim. I nie on zjadł pani

Adler to ciastko.

- To kto zjadł? — zapytał nieco zbity z tropu Tupałka.

Sonia i Julia zamilkły. I wszyscy Małorolni. Nie chcieli wsypać Matoła Klasowego, więc nabrali
wody w usta. Ale nie na wiele to się zdało, bo od strony materialistek i kreacjonistek od razu
posypały się oskarżenia.

- To Cyngiel, proszę pana.

- To znaczy Cyglewicz Tymoteusz.

- To on był wtedy w pokoju nauczycielskim!

- On ma wilczy apetyt.

- Chociaż nie wygląda na obzartucha...

- Ale zawsze podjada, jak ktoś ma coś dobrego.

- Nie może się powstrzymać, proszę pana.

- Paulinie też podjadł!

- Wyrwał jej udko, proszę pana!

- Co takiego?! - zamruął oczami Tupałka.

- Jak byliśmy w Żelazowej Woli, proszę pana. -l słuchaliśmy Szopena.

- Bo ona miała pół kurczaka na wycieczkę...

- Dosyć! — uciał Tupalka. — Niech Cyglewicz wstanie! Który to? — sięgnął do notesu. — Aaa... przypomniałem sobie, przepowiadałem ci piękną przyszłość, Cyglewicz... to ciebie niesłusznie przezwano Matolem. Dziwne, że jakoś nie zapamiętałem twojej twarzy. Pokaż się! — wodził zmęczonymi oczyma po klasie, zdejmując, to znów wkładając okulary.

Przerażony Matoł krył się za plecami kolegów.

- To ten błąd wymoczek, proszę pana, w drugiej ławce - próbowali wstawiać kity Kaflarze, żeby wybronić Cyngla.

- Nieprawda! - protestowały głosy z ławek kreacjonistek. - To ten z drugiej od końca! Jasny, podstrzyżony!

-64-

r

- Ten z dużym nosem! Czarny, kręcony!

- Ten w okularach, włos sztywny, niedomyty!

- Wcale nie sztywny! Skudlony!

Zdezorientowany matematyk ruszył między rzędami stolików na poszukiwanie Cyglewicza. Nie da się ukryć, szansę Cyngla malały z każdą chwilą, gdy łunie Tupalka stanął jak wryty. Jego wzrok spoczął na ręce Gigi. Giga schowała i pośpiesznie swoje lakierowane czerwono paznokcie, ale już było za późno.

Matematyk zatrząsł się z oburzenia.

.....Coś ty z siebie zrobiła, Szampańska — przeniósł wzrok z paznokci na

li y/.urę Gigi. - O, nie, to trzeba uczcić! Ty pójdziesz do tablicy jako pierwsza, moja panno!

Giga udąła, że sprawa jej nie dotyczy i ostentacyjnie trwała na miejscu.

- Szampańska! Nie słyszysz, co do ciebie mówię? - krzyknął Tupalka. — i óż to znów za manifestacje?

- Ona nie nazywa się Szampańska — wydukał, siląc się na odwagę Mamiń-ki.

- A jak? — Tupalka zdumiał się.

- Ona się nazywa Szpańska! To od szpanu... pan profesor wie, co to jest /pan?

- Siadaj! — zdenerwowany matematyk sięgnął do notesu. — Znów mi ktoś Ic podyktował!

- To przez złośliwość, proszę pana - podskoczyła Julia - to kreacjonistki puszczają w obieg coraz to nowe przezwiska i umyślnie przekręcają nazwi-• ka... Ostatnio to nawet ją przezywały

„Szympańska”!

- To niegrzeczne i wulgarne - rzekł Tupalka. — Zabraniam kategorycznie i <i>.okręcania nazwisk! Szympańska, wstań!

Klasa wybuchnęła śmiechem. Matematyk dopiero po chwili zorientował ic, że palnął przykrą gafę.

- Przepraszam cię, dziecko - zawstydzony poprawił okulary. - To zupełnie niechący... chodź do tablicy.

Giga przygryzła wargi i wstała. Przez całe ciało przebiegły jej ciarki, czuła, że oblewa się zimnym potem.

Cała klasa w napięciu patrzyła na jej śmiertelnie pobladłą twarz...

Bubel pojął w tym momencie, że nastąpiła jego wielka życiowa chwila... I >awno już marzył o

zademonstrowaniu swej odwagi cywilnej, o bohaterskim > /ynie, tak niezwykłym, żeby wszystkich zatkało, o takim popisie przed całą klasą, żeby wszystkie złe opinie wzięły w łeb! „Teraz ta chwila nadeszła — pomyślał. — Tylko spokojnie, zimno, rozegrać to jak w teatrze i nie wygłupić mc”.

- Proszę pana! - zerwał się błyskawicznie z ławki.

!65-

- Czego chcesz? — Tupalka spojrział na niego niechętnie.

- Ja... ja chcę być rozstrzelany jako pierwszy - wykrztusił, przezwyciężając treść.

W klasie rozległy się rozbawione głosy i chichoty.

- A to niby dlaczego? - zmarszczył brwi Tupalka.

- Mam gorsze stopnie niż Szpańska, proszę pana - odparł bez zajknięcia już Bubel.

- Ty jesteś ten... z paczki Małorolnych? - Tupałka nareszcie zaczął poprawnie kojarzyć.
- Tak, proszę pana.
- To paczka największych hultajów i matołów.
- Pan profesor raczył mnie zaszerzować do awangardy imbecylów — wyjaśnił spokojnie Leszek.
- Imbecylów kwadratowych — uściślił Tupałka. — Ile zainkasowałeś?
- Cztery dwójki i sześć minusów po pięciu tygodniach nauki.
- Całkiem niezłe... To ty pobiliś rekord zwolnień z powodu uroczystości rodzinnych. Miałeś w ciągu tygodnia trzy śluby i dwa pogrzeby, a do tego chrzciny...
- Rozwód — sprostował z zimną krwią Leszek.

Klasa oniemiała z powodu tak wielkiego tupetu i pomyślała, że tym razem Tupałka już wybuchnie, ale okazało się, że to był pojedynek na mózgi i nerwy. I Tupałka znajdował w tym duże zadowolenie.

- Znakomicie, Kit — skinął głową z uznaniem. — Przypominam też sobie, że byłeś przez dłuższy czas nosicielem zarazków i raz się zwolniłeś na badania w sanepidzie... - ciągnął z lisim uśmiechem. - Co to był za bakcyl? Proteus?
 - Nie, proszę pana, staphylococcus aureus.
 - A dzisiaj chcesz odpowiadać przy tablicy?
 - Tak jest, proszę pana! — oznajmił ku uciesze klasy.
 - Czy to wciąż w ramach tego samego spektaklu, chłopaczku? — Tupałka zmienił nagle ton.
 - Nie rozumiem pana.
 - Chcesz dalej błaznować przed klasą, robić mnie w konia i zbierać oklaski? - zasapał Tupałka.
- Leszek pobladł. Czuł, że Tupałka wpada w furję. Ale postanowił zachować zimną krew do końca i wytrzymać... Wytrzymać jeszcze trochę... Aż do zwycięstwa. I powiedział spokojnie:
- Wciąż nie rozumiem, o czym pan profesor mówi. Po prostu zgłaszam się do odpowiedzi, bo czuję, że jestem dzisiaj w formie i chciałbym poprawić sobie stopnie...
- Tupałka opanował się i rzekł:

- 66 -

I

Powiedz mi, co ty knujesz, moje dziecko? Wiem przecież, że należysz do łwadratowych i nie masz pojęcia o matematyce.

To przeszłość - odparł śmiało Leszek, patrząc w sufit. - Od dziś będę mul same piątki.

Był coraz bardziej spokojny i pewny siebie. Mysz nie zawiodła. Słyszał ją

* vr:i/nie. Podsuwała mu różne sposoby rozwiązania zadania podyktowanego

/ Tupalkę. Jakże wydawało się łatwe! Ale to nie było zwykłe mechaniczne

powiadanie. To było jakby pobudzenie i rozjaśnienie własnego umysłu

ka. Momentami zapominał nawet, że to mysz myśli i podpowiada, zdawa-

||iu się, że to on sam przypomina sobie coś, co leżało dawno zakodowane

arych komórkach jego mózgu, że odgrzebuje zapomniane wiadomości, że

!! prostu wie...

Co ty mówisz, chłopcze? - Tupałka przyglądał mu się zdezorientowa-

Przejrzałem tajemnice matematyki, proszę pana! - powiedział Bubel. -

• | t.ikieproste-uśmiechnął się do własnych myśli. Przymknął »/y...

Klasa przyglądała mu się z podziwem. Wszyscy byli przekonani, że się ł-rywa, aby zagadać

Tupałkę i odwlec jak najdłużej egzekucję przy tablicy. ' Inicmatyk też uznał, że Leszek jednak

błaznuje, i postanowił zakończyć przed-uwienie.

Smaruj na miejsce! Dość tych wygłupów! - krzyknął. Pan profesor nie da mi szansy? - zdziwił się

Leszek, a widząc, że Tupał-ilstaje białej gorączki, dodał szybko: - Ja już rozwiązałem to zadanie. -

Po i wyrecytował pośpiesznie układ równań, wykonał w zdumiewającym tem-|•| obliczenia i podał

wyniki. Nim zaś Tupałka ochłonał z wrażenia, dorzucił ||/c/e, żeby go dobić ostatecznie: - Ja to

mogę obliczyć także za pomocą '(.'trytmów.

Logarytmów?! - wykrzyknął Tupałka. - Co taki nicpoń jak ty może wie-i*v o logarytmach?! W odpowiedzi Leszek wyrecytował jak z podręcznika:

I logarytmem liczby n przy podstawie a większej od zera i nierównej jedności nazywamy wykładnik potęgi, do której należy podnieść liczbę a , aby uzyskać liczbę n !

()sołomiony Tupalika podszedł do niego i obejrzał go podejrzliwie od stóp do głów, a zachwycona klasa dawała Leszkowi znaki, aby zagajał jak najdłużej, Leszek uspokoił kolegów dyskretnym ruchem ręki.

Ja mogę od razu wyznaczyć mantysę — strzelił do Tupaliki. Mantysę?! Bez tablic?! - zagrział zdenerwowany pedagog. - Ty sobie Hlii urządzasz, chłopaczku!

-67

• wn

- Ja mam tablice w głowie — oświadczył spokojnie Leszek i nie czekając na Tupalikę, szybko „zlogarytmizował” zadanie.

- To niemożliwe - wybuchnął matematyk. — Pokaż ręce! Musiałeś to mieć gdzieś zapisane! Leszek uniósł ręce. Tupalika obejrzał je podejrzliwie.

- To jakieś nowe sztuczki! - wybełkotał. - Jak to zrobiłeś. Kto ci podpowiadał...

- Pan nie wierzy w moje umiejętności. Proszę, niech pan mnie egzaminuje. Mogę rozwiązać każde zadanie - powiedział Leszek, a widząc wahanie Tupaliki, dodał: - Żądam, aby pan mnie przeegzaminował!

Matematyk począł nerwowo szperać w podręczniku, wyszukał skomplikowane zadanie i dał do rozwiązania Leszkowi. Leszek rzucił na niego okiem, powtórzył półgłosem treść i bez zastanowienia, z miejsca zaczął rozwiązywać. Po minucie zapisywał już na tablicy wynik.

- Nie... Niewiarygodne - zamruczał Tupalika i dał Leszkowi jeszcze trudniejsze zadanie. Leszek rozwiązał je równie szybko jak poprzednie.

Teraz już klasa wyszła z oszołomienia i zaczęła żywo reagować, jak na meczu albo na pasjonującym kwizie. Posypały się oklaski.

Podniecony pedagog sięgnął po podręcznik z klas licealnych.

- Czy spróbujesz rozwiązać coś z klasy maturalnej? - zapytał.

- Chętnie - odparł Leszek. - Proszę podyktować mi głośno, to uprości sprawę.

Nim Tupalika skończył dyktowanie zadania, Leszek już podawał gotowe rozwiązanie. Znow huragan oklasków.

Tupalikę dosłownie zatkało. Stał jak gromem rażony. Przestał nawet kręcić guzik od kamizelki, co robił w stanie zakłopotania. Podręcznik wysunął mu się z ręki i rąbnął o podłogę. Leszek podniósł go i wręczył matematykowi ze słowami:

- Czy przekonałem pana profesora, czy też egzamin trwa dalej? Mogę rozwiązywać wszystkie zadania po kolei...

- Nie... Nie! Wystarczy - wyszeptał wzruszony Tupalika, a potem stała się rzecz nienotowana nigdy dotąd w kronikach szkoły Kromera i w ogóle raczej nie do pomyślenia, zwłaszcza na lekcji matematyki. Tupalika objął nagle swym żyłastym ramieniem zaskoczonego Buba i uściskał go mocno.

-Wybacz mi, chłopcze, że nie poznałem się wcześniej na tobie... Jak to się mogło stać?... Jak to się mogło stać?... Może dlatego, że zwątpiłem już... Zwątpiłem, że znajdę brylant na mojej drodze. To był błąd, niewybaczalny błąd, nie wolno być pesymistą, pedagog powinien wierzyć od pierwszych aż do ostatnich dni... Zawsze może trafić na geniusza... Dostajesz u mnie piątkę z plusem!

Mały Mamiński wyciągnął rękę do góry.

-68-

! Czy Kosmici już nam nie zagrażą, proszę pana? — zapytał.

- Jeśli większość uczniów będzie umieć chociaż ćwierć tego co Kit, nie...o/pieczeństwo poważnie zmaleje - oznajmił Tupalika.

Na pewno będą umieć panie profesorze — powiedział podniecony, roz-i hocony Leszek. —

Zobaczy pan, niedługo wszyscy w naszej klasie zrobią Ihrzymie postępy... Nie będzie więcej dwój, ani u nas, ani w innych klasach! nliaczy pan!

- Sądziysz?... - Tupalika wydawał się zaskoczony tą pewnością i zapytałby iipewne, na czym Leszek

opiera to optymistyczne twierdzenie, ale mały Ma-
miski znów wyskoczył:

| Proszę pana, czy... czy to, co pan powiedział, że układy zerwane, że wra-imy do normalki i że pan powie o nas pani dyrektor i gronu pe... pedagogicz-
vmu, już się nie liczy?

Matematyk potrząsnął głową.

- Znaczący, układ trwa nadal? - upewniał się Kukulski.

-Trwa.

-1... I to wszystko na początku lekcji można uznać za nieważne? - upewniał się Bryk.

- Za nieważne i niebyłe — Tupalka machnął ręką, jakby przekreślał całą

I nawę.

Całe szczęście, że przestał egzaminować Leszka i zajął się rozmową z Ka-'lirzami, bo Leszek z przerażeniem poczuł w pewnym momencie, że nie ma / myszy w kieszeni. Na próżno gmerał tam ręką, zamiast myszy natrafił na... t >ora dziurę. Mysz musiała wyskoczyć. Ale dlaczego? I kiedy? Czy wtedy jak u pałka uściśnął go zyłym ramieniem? Mógł przygnieść i przestraszyć mysz. I >> delikatne urządzenie... Czy może wypłoszyła ją ta wrzawa w klasie i okla-i. i? A może po prostu wypadła niechcący, kiedy wyjmował chusteczkę? Albo... io wie, czy to nie najbardziej prawdopodobny powód — wystąpiły zakłócenia polu elektromagnetycznym, bo właśnie przed minutą włączył się silnik du-'l] lodówki w kuchni, która znajdowała się pod nimi? Wibracje czuć wyraźne... I słycać szum...

Co będzie, jak Tupalka przyjdzie do głowy zadać Leszkowi jeszcze jedno \ tanie? Albo jak będzie chciał pochwalić się przed dyrektorką „odkryciem u ylantu" i zabierze go do gabinetu, a tam poddadzą go oboje testom albo przekażą pani psycholog? Czuł, że ogarnia go paraliżujący strach... Na szczęście zadzwiezczał dzwonek i Tupalka, poklepawszy raz jeszcze I cszka po łopatkach, wyszedł podniecony z klasy, by obwieścić gronu pedago-'l'icznemu o pierwszej radosnej niespodziance, jaka go spotkała po trzydziestu lalach belferki. W tej samej chwili Leszek usłyszał wyraźny pisk pod szafą i zobaczył na moment wyglądający stamtąd łebek myszki.

-69-

Chciał ją złapać, ale niespodziewanie stanęła przed nim Giga.

- Przebac mi, jeśli możesz. Miałaś rację. Nie poznałam się na tobie i zachowałam okropnie, a ty... uratowałeś mnie, Bubel! Jestem świnia.

Leszek poczuł, że spada mu z piersi ciężar, co go tak długo dławił. Najbardziej mu zależało na Gidze, no i wreszcie doczekał się... Co za chwila moj Boże! Jeszcze niedawno czuł się na samym dnie, czuł się ostatnim w klasie, a teraz taka odmiana. Co robić, żeby zatrzymać to szczęście? Nie przegadać | i nie zapeszyć! Więc choć rozpierała go chęć powiedzenia Gidze, jak bardzo się cieszy, odparł tylko:

- Nie ma sprawy, stara. To dopiero początek... Obiecałem ci...

- Początek czego? - zapytała niecierpliwie, ale w tym momencie Leszka otoczyli koledzy z Kaflarzami na czele. Jak powiedzieliśmy, byli to ludzie nadzwyczaj trzeźwi i nikt z nich nie wierzył w nagły wybuch talentu u Leszka. Dziwili się tylko niesamowicie.

- Bubel jak to zrobiłeś? Nie będziesz nam chyba wmawiał, że to wszystko wkuleś przez jedną noc. Nie nam wstawiać takie kity! Więc co to było, Kit?

- Proste jak włos Metysa - odparł Leszek. - Miałem podpowiadacza w kieszeni. Żadnych cudów i czarów.

- Jakiego podpowiadacza?

- Mysz.

- Mysz? Żartujesz! Pokaż!

- Uciekła. Jest pod szafą.

- E balona z nas robisz!

Prawie wszyscy zaczęli się śmiać z Leszka, nikt nie wierzył w podpowiadającą mysz, a potem cała klasa wyszła. Z wyjątkiem Matoła Klasowego i Gigi.

- Ty, Bubel - mrugnęli do niego, gdy zostali sami - powiedz nam, jak naprawdę było... z tym... z

tym podpowiadaczem.

- Zaraz siądźcie na dwie minuty i wkrótce wszystko zrozumiecie! -powiedział Leszek; wyjął z kieszeni kanapkę z serem, którą miał na drugie śniadanie ułamał kawałek sera i wywabił nim spod szafy mysz. A kiedy już znalazła się z powrotem w zasięgu jego bioenergii, posłusznie weszła do lei 6*7cni

- Ty faktycznie masz jakąś tresowaną mysz - zauważył zaskoczony Tyndzio.

- To nie polega na tresurze - powiedział Leszek. - To nie jest żywa mysz.

-A co to jest?

- Taki taki kieszonkowy komputer-robot. Pomyśl sobie jakies trudne działanie z matmy, na przykład 1983×3891 i podziel to wszystko przez 555 a ona ci zaraz podpowie, ile to jest. No, pomyśl - przystawił mysz do nieco zakłopotanego Tyndzia.

- Już pomyślałem - bąknął Tyndzio i oczy mu się rozszerzyły ze zdziwienia. - O raju, słyszę! Podpowiada! Mówi, że to jest 13902,437! Zrozumiała, co łowiliśmy, czy też czyta w myślach?

- Czyta - palnął Leszek, choć nie był wcale pewny.

- To komputery mogą już takie rzeczy?

- Jasne. Tylko my jesteśmy zapóźnieni technicznie.

- Ale... Ale skąd ty wystraszałeś taką mysz?

Leszek uśmiechnął się tajemniczo; nie śpieszył się z wyjaśnieniami, naj-KT w pokazał Tyndziowi i Gidze, co potrafi mysz, następnie odebrał od nich i/.ysięgę, że nikomu nie pisną ani słowa, i dopiero wtedy opowiedział im spotkaniu z tajemniczym nieznanym w zoo, o gorylu Mufim, o polu nie-i /ystępności, o wszystkich niezwykłych historiach, których był świadkiem, i obietnicach Ala Datsuna, że zabierze ich na wycieczkę do Kakurgii, aby na lasne oczy mogli ujrzeć tamtejsze zdobycze techniki i aby każdy mógł sobie lobrać odpowiedni mózg, czyli najnowocześniejszy, rozumiejący mowę ludz-l i mówiący wielobitowy komputer.

- Kakurgia? Gdzie to jest? - Tyndzio zmarszczył brwi. I Giga też zmarszczyła. Oboje myśleli intensywnie.

- Jak to? Nie słyszeliście? - zadrwił Leszek.

- O... Owszem - Matoł podrapał się za uchem zakłopotany i nerwowo poprawił okulary. — To chyba jakaś wyspa.

- Za oceanem — dodała bezczelnie Giga.

- No, właśnie - przytaknął skwapliwie Leszek, bojąc się, żeby nie pytali • kłopotliwe szczegóły, zaczął szybko mówić o „podręcznych” mózgach i moż-i wościach, jakie się przed nimi otworzą.

- Wszystko stanie się łatwe — mówił. — Będziemy mieli kupę czasu, bę-i I/iemy mogli nareszcie robić to, co lubimy... A te mózgi będą się za nas o wszystko martwić i kombinować. I zawsze dobrze wykombinują, bo one wszystko wie-l.ą.

- Naprawdę wszystko? - zapytała z niedowierzaniem Giga.

- Na poziomie obecnej światowej wiedzy — powiedział Leszek — to znaczy \ szystko, cokolwiek najmądrzejsi, najbardziej uczeni ludzie na całym świecie w Kakurgii wymyślili.

- To znaczy na przykład, że taki mózg wie więcej niż żurnal mody „Bur-

- Jasne, on wie więcej niż wszystkie żurnale świata, niż najlepsi krojczy i krawcy, on wie tyle, co najlepsi projektanci.

- I mógłby podpowiedzieć jakąś najmodniejszą szalową kreację? - dopy-lywała poruszona.

- Nie tylko podpowiedzieć, ale narysować całe dokładne wzory.

-70-

-71-

I

- A czy potrafi odrabiać wszystkie lekcje? - zapytał Matoł Klasowy.

- Sam widziałeś, Cyngiel.

- To była matma, ale czy potrafi pisać wypracowanie z polaka?
- Jasne.
- Ale... Ale czy moim piśmem, bo pani Cembrzyńska się pozna.
- To dla niego pestka, Cyngiel. Dasz mu tylko próbkę twoich bazgrołów i on nabazgrze tak samo, choć myślę, że nie będzie mu się to podobało. No i nikt już nie będzie cię przezywać Matołem, boby się tylko ośmieszył. To wszyscy inni będą przy tobie matołami. Zresztą nigdy nie byłeś naprawdę matołem. Byłeś tylko... No... trochę inny.
- Myślisz? - Matoł Klasowy poprawił zażenowany okulary.
- Jestem przekonany, to wszystko była złośliwość Kaflarzy i Tupalki. No to jak? Pojedziesz po ten mózg?
- Tak - odparł Matoł. - Ale dopiero w czwartek. Dziś i jutro jestem zajęty.
- A ty, Giga?
- Ja też bym pojechała za parę dni... tylko...
- Tylko co?
- Starzy będą się pieniść, jak nic nie powiem i prysnę.
- To raptem na dwa dni.
- Oni robią historię nawet jak zniknę na godzinę.
- Nie przejmuj się starymi - powiedział twardo Leszek. - Zostawisz list, że wyjeżdżasz na półtora dnia z powodu... Z powodu alertu druha naczelnika...
- Tak jest - podchwycił Tyndzio. - Alert z biwakiem to dobra rzecz... Napiszemy, że wszystko było tak nagle, że nie mogliśmy uprzedzić.
- A jak sprawdzą, że to lipa? - Giga wciąż miała skrupuły. - Zrobią mi lunapark po powrocie.
- Nic ci nie zrobią - powiedział twardo Leszek. - Jeśli im przywieziemy komputery, a może nawet roboty uniwersalne do pomocy, to będą się jeszcze gniewać? Skąd! Sami nabiorą ochoty na taką wycieczkę. Skoro mojej babci chciało się pojechać po kozuch do Turcji, to nie pojedzie po takie cuda do Kakurgii?
- Myślisz, że stać nas będzie, żeby coś starym zafundować?
- Jasne. Datsun powiedział, że damy wywiad dla telewizji kakurgijskiej i dostaniemy honorarium. Giga umilkła przekonana. Tak, to była jedyna w swoim rodzaju okazja. Żal byłoby ją przegapić. Tylko Matoł miał jeszcze pewne niepokoje i skrupuły. Na dużej przerwie zaaferowany odciągnął w kąt Leszka i powiedział:
- Wstyd mi przed tym facetem... przed tym uczonym z Kakurgii, no... przed Datsunem. Nie chcę, żeby się dowiedział, jakie miałem przezwisko w budzie.
- Nic mu nie mówcie! Żeby wam się przypadkiem nie wypsnęło. Musicie mi pr/yrzec, inaczej nie pojedą!
- Nie bój się - Leszek walnął go serdecznie w łopatki. - To nie było prze-fwisko sprawiedliwe. Jesteś mój kumpel! Nikomu odtąd nie dam tak mówić na Ciebie! Wykreślimy to z pamięci! Powiedziałem ci przecież: zaczynamy nowe tycio!

toZPZIAŁ VII

: po lekcjach udali się wszyscy troje do Campingu Południowego, uisun przyjął ich gościnnie i życzliwie. Pokazał im Mufiego i pozwolił za-ić z nim w badmintona. Potem poszli na obiad do restauracji „Szanghaj”. Mufi został w przycze-r, żeby nie budzić sensacji. Al Datsun zamówił dla swych gości najbardziej kwintne potrawy, sam nie jadł nic, tłumacząc, że jest na diecie, wypił tylko 'I szklanki oliwy i kieliszek mocnej wódki. Giga i Tyndzio koniecznie chcieli, by poszedł z nimi jeszcze raz do zoo i rządził zabawę z polem nieprzystępności i z polowaniem na zwierzęta. Al

* ni ił się, mówił, że lepiej oszczędzać siły, bo czeka ich jeszcze dzisiaj daleka ulróż do Kakurgii.

- Dzisiaj?! - zaskoczyło ich to. - Tak nagle, przecież trzeba uprzedzić >l/iców...

Załatwiłem już wszystkie moje interesa — oświadczył Datsun — mam

- mnpletowaną kolekcję zwierząt. Chciałbym odlecieć jak najprędzej.

To niemożliwe — potrząsnęła stanowczo głową Giga. — Wyprawiam dzi-i| urodziny. Nie mogę sprawić zawodu gościom. A przedtem muszę załatwić

ważnego. Poza tym jutro mamy eliminacje w tenisie stołowym i rewanżo-. mecz koszykówki z Aciakami. Przykro nam, ale możemy lecieć z panem piero pojutrze. My jesteśmy bardzo zajętymi ludźmi, proszę pana.

-1 chcemy jutro na lekcji wypróbować te myszy... - powiedział Tyndzio. - ^myśleliśmy, że gdyby pan nam dał z dwadzieścia takich myszy i gdybyśmy ko połowę sprzedali na giełdzie, moglibyśmy sobie za to urządzić fajowe ikacje!

Datsun pokręcił głową z niezadowoleniem, aż mu kołnierzyk zaskrzypiał, potem powiedział zrezygnowany:

- Trudno, zaczekam na was do czwartku.

-72-

-73-

- A teraz do zoo! - krzyknęli Tyndzio i Giga.

- Trudno, niech będzie do zoo - westchnął Datsun.

Wysiedli z samochodu na parkingu przy zoo. Datsun zaproponował, by torby z książkami zostawili w wozie, ale oni woleli zabrać je z sobą po wypuszczeniu Mufiego z przyczepy udali się wszyscy w kierunku bramy po bilety. Tuż przy wejściu do zoo pracowało dwu dozorców w zielonych mundurach:

ustawili wielki napis:

PSOM i GORYLOM (także na smyczy) WSTĘP WZBRONIONY! Uzbrojony strażnik zagroził im drogę i w milczeniu wskazał na napis.

- O, raj, i co teraz? - zmartwili się chłopcy. - Goryli nie wpuszczają, a be; Mufiego nie będzie zabawy.

- Nie bójcie się, poczekajcie tu na mnie. Zaraz wrócę - powiedział Al zabrał Mufiego i odszedł. Po kilku minutach chłopcy i Giga usłyszeli czyjeś ciężkie kroki na chodm ku za swoimi plecami. Odwrócili się i zamarli z wrażenia. Datsun prowadził ni smyczy wielkiego białego nosorożca.

- Skąd pan go wziął? - zapytał Leszek.

- Pożyczyłem od kolegi z kempingu. Jest tu nas paru z Kakurgii. Stanęli w bramie. Przeżony strażnik znów nie chciał ich wpuścić.

- O, przepraszam, tym razem to bezpodstawne - powiedział urażony Datsun. -Nigdzie tu nie napisano, że wstęp jest wzbroniony nosorożcom. Wchodź, Rugi

Rugi, sapiąc, wbiegł ochoczo w bramę. Przeżony strażnik odskoczył ni bok, a potem podbiegł do telefonu i zaczął „wydzwaniać” dyrekcję.

- Może być z tego draka - zauważył zaniepokojony Tyndzio, wchód, wraz z całym towarzystwem do Ogrodu.

- Nie ma żadnych powodów do obaw, moi drodzy - uspokoił ich Datsun. Rugi - zwrócił się do zwierzęcia - włącz pole!

Pojawienie się wspaniałego dwurożnego nosorożca na głównej alei Ogrd du wzbudziło zrozumiałą sensację wśród zwiedzających. Nosorożec na woj ności? Kto go wypuścił? Nieodpowiedzialny żart podpitych koleśków czy te karygodne niedopatrzenie służby zoo? A może tylko jakiś chwyt reklamow cyrku? Może popis tresury otwartej?

Część gości wołała na wszelki wypadek wycofać się za bramę, tym be dziej że podochocone zwierzę zaczęło sobie poczynać coraz śmiej i szybko: truchtem zwiedzało wszystkie pawilony, ale znalazło się sporo widzów, a n wet rodziców z małymi dziećmi, którzy zatrzymali się ciekawi i, nie bez ero cji zresztą, śledzili występy Rugiego.

Wreszcie nadbiegło dwu wystraszonych dozorców, a za nimi spieszny krokiem nadciągnął sam dyrektor zoo w nowym kapeluszu typu panama or w wizytowym ubraniu.

- Proszę się rozejść i zabrać stąd dzieci! To niebezpieczne zwierzę. Nie odpowiadam za ewentualny wypadek! - powiedział do publiczności, po czym /wrócił się do dozorców: - Kto to widział?!

Nosorożec na wolności? Zamknąć go zaraz do klatki!

- Lepiej go nie drażnić, panie dyrektorze - zamruczał starszy dozorca.

- To nie jest zwyczajny nosorożec - dodał młodszy. - Z nim coś nie tak, podobnie jak w zeszłym tygodniu z tym gorylem, co mówił.

- Bzdury! To były cyrkowe sztuczki - odparł pogardliwie dyrektor. - Do roboty, panowie! Wiązka siana załatwi nam sprawę. Weźmiemy go na przynę-K

- Przepraszam, nie jadam siana - odezwał się głębokim barytonem nadbiegający nosorożec.

- Co takiego? - dyrektor znieruchomiał z wrażenia.

- A widzi pan? - rzekł z satysfakcją starszy dozorca. - Lepiej udać, że nic nie widzimy i pójść sobie.

- Proszę się nie obawiać, jestem łagodny z natury — oznajmił nosorożec. — Nazywam się Rugi i byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybym mógł zaprzyjaźnić mc z panem, dyrektorze. Moglibyśmy uzgadniać poglądy w interesujących nas kwestiach. Uwielbiam pertraktacje na wysokim szczeblu. Dyrektorowi zrobiło się gorąco. Zerknął zakłopotany na dozorców, jakby .ukając rady. Starszy dozorca odchrząknął.

- Chyba faktycznie najlepiej będzie, jak pan dyrektor z nim porozmawia. Pertraktować z jakimś zwierzęciem? Ja? - dyrektor wyprostował się | godnością. - Nie będę się ośmieszał! Nosorożec nie jest dla mnie partnerem In rozmowy!

- Hola... hola!... - zamruczał Rugi. - To mi brzmi jak pogarda. Bez rasi-'i tui proszę! Nie jestem przyzwyczajony do takiego traktowania — tupnął gniewnie kopytami, nadział sobie kapelusz dyrektora na róg i zaczął nim kręcić jak |niigler.

- Mówilem, żeby go nie drażnić —jęknął starszy dozorca.

- On chyba urwał się z cyrku — zauważył młodszy, obserwując z podziwem Ktigiego.

- Wiem, że pan nie znosi nosorożców — rzekł starszy dozorca — ale musi ic pan przemóc i powiedzieć mu szybko coś miłego. Może odda panu kape-usz.

- Kiedy nie mogę - wyznał słabym głosem dyrektor.

- Bardzo proszę! Sytuacja staje się groźna. Czy pan nie widzi, jak on na i uina patrzy? Dyrektor przeczyścił gardło i odezwał się nieco protekcyjnym tonem:

-74-

-75-

1/

- Słuchaj, mój nosorożcu, jest takie prawo w naszym mieście, podpisał je sam prezydent, że nosorożce muszą mieszkać w klatkach... Czemu mi się tak przyglądasz? — zapytał z niepokojem.

- Pan ma plamę na piersi — powiedział nosorożec.

- To nie plama, to order - odparł chłodno dyrektor.

- Przepraszam, mam słaby wzrok - powiedział Rugi. - Czy mógłby mi pan I polecić dobrego okulistę?

- Tak, oczywiście, ale najpierw musisz wejść do klatki.

- To nieciekawa propozycja - oświadczył zde gustowany nosorożec. - Może lepiej zabawimy się w cyrk? Ja mógłbym być żonglerem - to mówiąc, zaczął łbem podrzucać do góry kapelusz dyrektora i łapać na róg; dyrektor i dozorczy próbowali mu przeszkodzić, lecz Rugi był zręczniejszy.

- Oddaj mi mój kapelusz, ty łobuzie! - szef zoo, zasapany, miał dosyć tej | zabawy. - Słyszysz, co mówię? Oddaj, bo wezwę milicję!

W odpowiedzi Rugi prychnął gniewnie, poróżowiał na całym ciele, z jego rogu posypał się snop iskier, kapelusz dyrektorski stanął nagle w płomieniach, poszybował do góry jak ognisty ptak i rozprysł się na tysiąc czerwonych gwiazd. Co więcej, wszystkie klatki w pobliżu zajaśniały niebieskofioletowym światłem i w ciągu paru sekund rozsypały się w proch. Powybiegały z nich wystraszone dzikie zwierzęta i skryły się w zaroślach. Dyrektor i dozorczy cofnęli się przerażeni w głąb alejki i schowali za pawilonem słońi.

- Mówilem, że to nie jest zwyczajny nosorożec - jęknął starszy dozorca, | wyglądając lękliwie z za pawilonu.

- To nie jest w ogóle nosorożec — orzekł zdenerwowany dyrektor. — Niect pan biegnie do biura i ogłosi stan alarmowy. Trzeba zamknąć natychmiast t mę, zawiadomić milicję, obronę cywilną, straż ogniową... Obawiam się, że te sprawa dla służb specjalnych.

Do Rugiego tymczasem podbiegł Datsun. Za Datsunem w bezpiecznej od-l ległości przystanęli wyraźnie strwożeni chłopcy i Giga.

- Spokój, Rugi! Dosyć tego! Pogaś rogi!

Na głos swego pana rozbuchany nosorożec zatrzymał się i przestał miotać iskry

- Nieźle się zabawieś, widzę - rzekł z naganą Al. — Jak cię znam, nie tylko przestraszyłeś dyrektora, ale także na pewno go obraziłeś; zawsze w końcu stajesz się złośliwy i impertynencki. Popeliłem błąd - obrócił się do swych młodocianych towarzyszy. — Zamiast rozmawiać z wami o Kakurgii, powinie-j nem był pilnować Rugiego. Wystarczyło spuścić go z oczu, no i proszę — po-ł kręcił głową, patrząc na spopielone klatki.

- Oni chcieli mnie zamknąć - poskarżył się płaczliwie Rugi.

- Zamknąć?! Wiesz dobrze, że to niemożliwe. Byłeś w polu nieprzystępni ności, nie udawaj więc, że to cię przeraziło.

Nie przeraziło, ale obraziło — sprostował nosorożec. Wyłączę cię za karę... - Datsun urwał nagle, bo za jego plecami rozległ ic d/iewczęcy przeraźliwy pisk. To Giga przestraszyła się czarnej pantery przyczajonej w pobliskich krzakach.

-- On... On wypuścił zwierzęta — wyjąkała, rozglądając się z lękiem — teraz wszędzie się czają... Są tam i tam — wskazywała. — Gotują się do skoku...

Nic nam nie zrobią - próbował uspokoić ją Al. — Jesteśmy za niewidzial-n.i barierą... Broni nas pole nieprzystępności.

Mimo zapewnień Datsuna Giga nie pozbyła się obaw; po prostu nie wiedziała, czy może mu wierzyć. „Niewidzialna bariera”, „pole nieprzystępności” | Id brzmiało zbyt fantastycznie...

Spojrzała na Tyndzia. On chyba podobnie we czuł, bo minę miał nader niewyraźną, by nie powiedzieć, niemądrą. Biedak /nów wyglądał na typowego matoła.

Nagle inne niebezpieczeństwo odwróciło ich uwagę, bo oto rozległ się przeji- i ni jacy głos syreny alarmowej; na ten sygnał z odległych zakątków ogrodu powychodzili niewidoczni dotąd strażnicy i zaczęli nadawać meldunki przez .uliotelefony. W dali, w perspektywie głównej alei widać było, jak dozorczy /.miykają spiesznie bramę.

- Co teraz będzie? - szepnął struchlały Tyndzio.

- Wzywają milicję - zauważył z zimną krwią Leszek. — Chyba tym razem pi/yskrzyniąnas.

- W co ja się wpakowałam! - lamentowała Giga. - Na co mi to było! W same uiudziny! Ale będę mieć ubaw!

- Przestań — warknął Leszek. — Schowajmy się gdzieś lepiej - pociągnął ją ,i rękę i cała trójka czmychnęła w pobliskie zarośla.

- Spokojnie, dzieci - rzekł łagodnie Al, podchodząc do nich z Rugim. - Za-uerzcie naszej technice. Włos wam nie spadnie z głowy. Jesteście niedotykalni.

- Ale jak się stąd wydostaniemy? - martwił się Leszek. - Oni zamknęli n amę i przeczeszą cały ogród.

- Właśnie — wybelkotał Tyndzio, mierząc Datsuna sceptycznym spojrze-ii cm. — Przypuśćmy nawet, że jesteśmy niedotykalni, ale nie staliśmy się przez

!> niewidzialni. Zobaczą nas, sfotografują.

-1 co ja powiem mamie —jęknęła zapłakana Giga. — Mama nie pozwala mi ig zadawać z nieznajomymi; gdy się dowie, że ja tutaj z panem i z tym noso-|i>żcem... Boże...

Boże... Jak ja jej wytłumaczę... Żadna mama na świecie nie wierzy w nosorożca, co mówi...

- A ja przyrzekłem starym, że wrócę z budy prosto do domu i przed wizytą i (iigi odrobię matnę i fizę. Jak się dowiedzą, że byłem w zoo, nie puszczą unie na ten bankiet, szkoda gadać! - biadolił Tyndzio. - W dodatku milicja . i wiadomi szkołę.

-76-

-77-

- A my mamy kiepską opinię - wtrąciła Giga.

- Odbiorą mi prawo do Klubu - rzekł ponuro Leszek.

- Ta heca nas dobije...

- Odeślą nas do zakładu specjalnego.

- Tupąka się o to postara.
- Będzie szumu na całe miasto!
- „Aresztowanie trójki uczniów w zoo”! Może nawet napiszą w „Expres-
sie
- Nie ma obawy - rOześmiał się Datsun. - Nie aresztują was i nie zobaczą. Mufi zaraz zabierze nas
stąd helikopterem. Już go wezwałem.
Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

- Ma pan helikopter?

- Coś w tym rodzaju - powiedział AL

W tej samej chwili na trawniki, na ścieżkę, na nich samych padł głęboki cień, a na wodzie w stawie
potworzyły się czarne fale. Spojrzeli w górę i osłupieli z wrażenia. Nad nimi unosił się wielki
białosrebrzysty przedmiot w kształcie półkuli czy też kapelusza ogromnego grzyba, rósł w oczach,
zasłonił całe niebo; a wszystko w zupełnej ciszy, nie wydawał najmniejszego dźwięku.

- To wcale nie jest helikopter - wykrzyknął Bubel. - To jest przecież jakaś...

- Hemisfera - dokończył Datsun. - Nazywa się „Rhea”. Przewyższa helikopter pod każdym
względem i porusza się na innej zasadzie... Ale czy to jest ważne? W tej chwili ważne jest, żebyśmy
się stąd szybko ulotnili.

- Ona... ta hemisfera jest przecież za duża, żeby tu wylądować - zauważył rzeczowo Tyndzio.

- Nie potrzebuje lądować - odparł Datsun. - Będzie wisieć nad nami.

- To jak się tam dostaniemy?

- Zaraz zobaczyc

Z zadartymi głowami wpatrywali się w hemisferę.

- Taka maszyna! Oblęd! - wykrzyknął zachwycony Leszek. - Nie miałem pojęcia, że coś takiego
istnieje.

- Ka... kapitalne - wyjąknął Tyndzio - przypomina mi melbę czterosmako-wą...

Giga, rzuciwszy okiem na „Rheę”, wołała mimo wszystko obserwować sytuację na ziemi. Przez
szparę w gęstym listowiu widziała rozglądających się strażników.

- Czy zdążymy uciec? - spojrzała z niepokojem na Datsuna. - Jeśli oni zobaczą ten dziwny statek...

- Nie zobaczą - uciął Datsun. - Popatrz, rozglądają się dokoła, a nie dostrzegają go, chociaż rzuca
potężny cień i zakrywa pół nieba.

- Rzeczywiście! - zdumieli się chłopcy, przenosząc wzrok na strażników, jak to możliwe? Czyżby
„Rhea” była dla nich...

-Niewidzialna?!- wykrzyknęła Giga.

- Właśnie — rzekł Datsun. - „Rhea” jest dla tych ludzi niewidzialna. Potrafi || iwiem blokować
swoje promieniowanie świetlne zarówno odbite, jak i wła-ni'. To jedna z jej wspaniałych zalet i
kolejny sukces naszej techniki.

- Ale przecież m y ją widzimy — zauważył Tyndzio.

- Bo my jesteśmy za barierą... W polu nieprzystępności.

- Co ma do tego pole nieprzystępności?

- W dużym uproszczeniu można powiedzieć, że siły pola nieprzystępności Iblokują
promieniowanie „Rhei” dla tych, co znajdują się wewnątrz pola. •cz nie czas na wyjaśnienia,
chłopcze — odparł Datsun, kierując wzrok ku

vbu. Jego oczy nabrały intensywnego, niezwyklego blasku.

W tej samej chwili w „Rhei” zaszła widoczna zmiana. Na dole srebrzyste-> kapelusza pojawiła się
nagle czarna plama, przekształciła się w pękata wy-r.tkę, która rosła szybko i wydłużyła się w
wielki, długi rękaw aż do samej •mi. Jego wylot o średnicy co najmniej trzech metrów znalazł się
tuż obok

l itsuna i jego młodych towarzyszy.

- Gotowe — zawołał wesoło Datsun. — A teraz pakujcie się szybko! — skinął (iigę i chłopców.

Porwali torby szkolne i weszli ostrożnie do otworu. Serca zabiły im moc-

(idy pomyśleli, ile jutro będą mieć do opowiadania w szkole, resztką stra-u wyparowała —
pozostały już tylko raczej przyjemne emocje.

Wnętrze rękawa jaśniało spokojnym, niebieskawym blaskiem. Jak tylko wkroczyli próg, poczuli, że są łagodnie wsysani do wnętrza, coraz wyżej: to było takie uczucie, jakby podnosiła ich niewidzialna, niezmiernie ciężka winda.

A jednak musieli jechać bardzo prędko, bo już po dwu sekundach znaleźli w wielkiej kabinie z ogromnym owalnym stołem i z głębokimi, wielkimi i ciężkimi wygodnymi kanapami. Od razu pomacali ściany; były miękkie i miłe w dotyku, zrobione z porożniczego materiału o fakturze gąbki, nigdzie żadnych kantów, żadnych ostrych krawędzi - nie sposób było nabić tu sobie guza.

Uwagę zwracała tablica błyskająca kolorowymi światełkami, zapewne kontrolna. Niemal połowę jednej ściany zajmowało wgłębienie w kształcie leja; weszli do niego, zobaczyli całe zoo wraz z biegającymi nerwowo dozorcami i strażnikami. Czyżby to był luk widokowy?

Z równą ciekawością wypróbowali fotele. Z ciekawością, a także z pewnością, ponieważ po tym dreptaniu w zoo bolały ich trochę nogi. Lecz tu czekała niezbyt przyjemna niespodzianka. Fotele ugięły się pod nimi, zapadły gdzieś

-78-

-79-

ff.>U4

głęboko, zbyt głęboko jak na ich gust; nie bardzo im się to spodobało. Chcieli wstać, lecz nie mogli.

- Proszę pana, jak się wstaje z tych piekielnych siedzeń... - wezwali Datsuna na pomoc.

- Lepiej zostańcie w tej pozycji — usłyszeli jego głos. — To jest właściwa

pozycja startowa...

W tej samej chwili jakaś przemożna siła przycisnęła ich jeszcze bardziej, oparcie odchyliło się do tyłu, leżeli teraz poziomo z głową na dół... Z poręczy wysunęły się nagle jakieś czarne łapy i zacisnęły na ich ciałach. Fotele zamieniły się jakby w łóżka, ale łóżka-pułapki, mocno trzymające swe ofiary. Z przerażenia nie mogli wykrztusić ani słowa. Leżeli na znak coraz bardziej przygniatani tą potworną siłą...

„Rhea” wystartowała.

Był już najwyższy czas, bo na polankę za krzakami, gdzie niedawno przebywało całe towarzystwo, nadbiegli zadyszani strażnicy. Stanęli ogłupiali, nie rozumiejąc, gdzie się wszyscy podziali, a zwłaszcza gdzie zniknął nosorożec.

Z daleka słychać było syreny.

ROZDZIAŁ VIII

A,

i Datsun wszedł do kabiny centralnej i pochylił się nad fotelami, w których leżeli chłopcy i Giga.

- No, jak się czujecie, zuchy? — zlustrował ich badawczym wzrokiem. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Młodzi pasażerowie wpatrywali się w niego

z przerażeniem w wytrzeszczonych oczach, dyszeli ciężko, a czoła pokrywali im zimny pot.

- No, tak — powiedział Al. — To było z pewnością przykre. Najedliście się strachu, prawda?

Przepraszam. To moja wina. Powinienem być was uprzedzić, ale chciałem zrobić mały eksperyment. No... no... po co te obrażone minki?! Rozchmurzcie się i odprężcie! Najgorsze macie za sobą, a teraz same przyjemności - zaśmiał się. - Czy możecie już mówić? Porozmawiajmy. No, Bubel* weź się w garść i spróbuj wykrztusić choć słowo.

Leszek spojrzał na Datsuna nieufnie, ale wziął się w garść i wydusił przez ściśnięte gardło:

- Co to wszystko ma znaczyć?!

Po prostu przeciążenie, moi drodzy — odparł spokojnie Datsun. — To jest naprawdę wygodny, bardzo nowoczesny statek, duma kakurgijskiej techniki, ile przeciążenie zawsze daje znać o sobie przy tak wielkich prędkościach, i przy tak gwałtownych przyspieszeniach. W dodatku nie macie żadnej zaprawy...

- Ale coś nas przecież złapało i trzymało — wykrztusiła Giga. - To było makabryczne...

- Niestety, dla waszego bezpieczeństwa musieliście być na pewien czas przymocowani do leżanek, ale teraz wchodzimy już na orbitę i...

- Jak to na orbitę?! - Leszek zerwał się tak gwałtownie, że uderzył głową o gąbczasty pułap kabiny. Okazało się, że żadne „łapy” już ich nie trzymają.

- Ostrożnie - powiedział Datsun. — Aczkolwiek mamy tutaj coś w rodzaju tt/(ucznej grawitacji, to jednak radzę poruszać się w zwolnionym tempie, bez /ulnych gwałtownych ruchów.

Ale Leszek go nie słuchał.

- Pan powiedział, że wchodzimy na orbitę — chwycił wzburzony Datsuna /i rękawy.

Datsun spokojnie, ale z niepospolitą siłą uniósł do góry ręce wraz z uczeptionym u rękawów Leszkiem.

- Co pan robi! - krzyknęła Giga, chwyciła za nogi nieszczęsnego chłopca ściągnęła go na podłogę.

- Nie lubię, jak ktoś mnie szarpie za rękaw - powiedział Datsun, otrzępu-.ir ubranie.

- Pan go przestraszył tym żartem o orbicie...

- To wcale nie był żart - odparł swobodnie Datsun. - Mieliśmy małą awa-iiie pola nieprzystępności i na wszelki wypadek wołałem wejść na orbitę. To przedłuży naszą eskapadę zaledwie o kilka minut, a tak będzie bezpieczniej. \l ilicja nie będzie nas szukać w kosmosie — zadowolony z dowcipu zaśmiał się nieostrożnie tak szerokim śmiechem, że znów miał kłopoty ze szczęką i musiał przez chwilę nastawiać ją ręcznie. — Stanowczo muszę z tym iść do dobrego ilcentysty — oświadczył. — To mi się ostatnio zdarza coraz częściej.

- Nie ma sprawy, pomogę panu, jak wrócimy na Ziemię — powiedziała i liga, odzyskując powoli równowagę. — Mój stary jest dentystą, szczerze mówiąc; jeśli sam nie da rady, skieruje pana na chirurgię szczękową do kliniki — spojrzała na zegarek. - Chyba powinniśmy już wracać, mam przecież te uro-il/iny, a przedtem... chciałabym załatwić mały interes w antykwariacie.

- Chodzi o spieniężenie tych encyklopedii, które zabrałaś ojcu? - zapytał spokojnie Datsun.

Giga zaczerwieniła się.

- Skąd pan wie?!

-80

-81-

- Wiem o tobie bardzo dużo, moje dziecko - odparł, a potem dodał; - Nie denerwuj się, kupię od ciebie te książki.

- Pan? — zdziwiła się Giga.

- Chcesz w złotówkach czy w dolarach? - wyciągnął plik rozmaitych banknotów. — Zresztą dam ci wszystkie. Poza tym na pożegnanie dostaniesz ode mnie tort urodzinowy z trzynastoma świeczkami i pudło ciastek, nie licząc innych przysmaków i południowych owoców. Mufi ci zapakuje. Miałabyś zakupy z głowy.

Giga spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- O, Boże, pan chyba nie mówi poważnie?

- Ależ tak! Wszystko mamy gotowe w naszej chłodni. Sama widzisz, że nie musisz się śpieszyć. Zdążymy jeszcze przed lądowaniem urządzić sobie na rwą część mały wykwintny koktajl.

- Koktajl? - zainteresował się Tyndzio.

- I wypić za zdrowie naszej pięknej jubilatki.

- Znakomicie, ale... tylko pięć minut, to znaczy... Najwyżej kwadrans -zastrzegł Tyndzio. — Przyrzekłem starym, że będę najpóźniej o czwartej w domu i odwalę wszystkie lekcje... Zanim mnie puszczą do Gigi.

- Tak, proszę pana, najwyżej kwadrans - powiedział z niepokojem Leszek. - O tej porze mam dodatkowe zajęcia muzyczne w klubie... jak w każdy wtorek.

- Tak jest, najwyżej kwadrans — wycedził Datsun, źle kryjąc swoje niezadowolenie. - No, cóż, więc zacznijmy się żegnać. Może najpierw pożegnacie się z Rugim, bo już przygotowuje się do snu i robi wieczorną toaletę.

- Gdzie on jest?

- Tu niedaleko.

Datsun poprowadził ich przez korytarz do sąsiedniej kabiny. Nosorożec stał pod natryskiem. Regularnie co kilka sekund z niewidzialnych dziurek; w białym, lśniącym suficie kabiny wydobywały się maleńkie banieczki w pa- | stelowych kolorach, różowym, niebieskim,

śmietankowym, pistacjowym, rosły w oczach, mnożyły się i zamieniały w wielkie kłęby błyszczącej piany, obmywały Rugiego i znikały... Ta różnobarwna świetlista piana wyglądała tak apetycznie, że największe brudasy nabrałyby ochoty na kąpiel.

Dopiero po chwili Giga i chłopcy zorientowali się, że z kąpielą sprzęgnięty jest przegląd techniczny nosorożca. Gdy tylko piana zniknęła, do akcji wkraczał siedmioramienny robot-rewizor o głowie podobnej do głowy wielkiego owada, zaopatrzonej w różną aparaturę kontrolną w postaci przyssawek, trąbek, i rurek i igieł oraz w kilka par reflektorowych oczu, które sprawdzały każdy centymetr skóry Rugiego, zaglądały do wszystkich wzierników jego ciała i znajdujących się w nim narządów, sprawdzały czujniki ukryte w fałdach piersi i nóg. Jednocześnie siedem ramion robota było w nieustannym ruchu: czyściło, smarowało, dokręcało...

To wszystko wyglądało dosyć niesamowicie i młodym obserwatorom szybko odebrało ochotę do kąpieli. Piana była wprawdzie apetyczna, ale ten robot-Mcwizor, ten potwór... gdyby tak dobrał się do nich?

Cofnęli się na wszelki wypadek i już z dystansu obserwowali, jak w końcu zabrał nosorożca do drugiej kabiny przypominającej wielką szafę chłodniom i ułożył go w ogromnym futerale dokładnie dopasowanym do jego kształtu. Potem nastawił potencjometr w głowie Rugiego na zero i zatrzasnął wieko illcrału.

- Będzie mu bardzo ciasno — zauważyła Giga, zatroskana.

- Przecież w czymś takim nie będzie w ogóle mógł się ruszać! — zaprotestowali chłopcy.

- Nie musi — powiedział Al, nastawiając aparaturę na planszy kontrolnej kabiny. — Już nie jest mi potrzebny, więc go wyłączyłem, żeby nie zużywał energii. To wszystko przecież kosztuje — westchnął. — Nasz rząd każe nam oszczędzać energię, mamy surowe przepisy w tym zakresie.

Rozumiecie chyba-

Pokiwali głową, ale żal im było mimo wszystko Rugiego. Przyzwyczaili się już myśleć o nim jak o żywym stworzeniu.

- Czy goryla Mufiego też pan tak załatwi? — zapytał zaszępiiony Leszek.

- Nie. Mufi będzie potrzebny do obsługi statku jako pilot i steward - wyjaśnił Datsun.

- Czy możemy to zobaczyć?

- Oczywiście. Jest teraz w kabinie pilota; kontroluje lot.

- Czy mógłby pan nam zrobić zdjęcie z nim? — zapytała Giga. — Na pamiątkę; tego lotu...

- I dla dokumentacji - dodał Tyndzio. - Żebyśmy mogli pokazać je w klasie. Wierzą nam nie uwierzą, jak będziemy opowiadali, co nam się przydarzyło.

- Tak, to byłoby kapitalne - zapalił się Bubeł. - Goryl-pilot przy pulpicie sterowniczym, w hełmie nawigacyjnym...

- I jak Giga go całuje - Tyndzio uśmiechnął się krzywo.

- Czyżbyś był zazdrosny o robota? - odcięła się Giga.

- Zrobimy sobie piękne zbiorowe zdjęcie w stylu retro — powiedział Al. — 'szę ze mną!

Przeszli długim korytarzem do części sterowniczej statku. Ruchome schody bezszelestnie wyniosły ich do kabiny pilota. Była to przezroczysta kopułka widokiem na rozgwieżdżone czarne niebo.

Pośrodku niej znajdował się obrotowy

(wy pulpity sterownicze z przyrządami nawigacyjnymi, monitorami i analizatorami. Kilka ekranów bez przerwy pokazywało wykresy lotu. Kolorowe lamp-

-82-

!83-

ki kontrolne i światełka wskaźników mrugały tajemniczo. Nisko, na wędrującym wzdłuż pulpitu fotelu siedział goryl Mufi w hełmie nawigacyjnym i dokonywał odczytu informacji. Datsun dał Gidze i chłopcom znak, żeby cicho podeszli do Mufiego. Gdy to uczynili, zrobił kilka błyskawicznych zdjęć. Nim Mufi się zorientował, aparat wyrzucił już kolorowe odbitki.

- Cześć, Mufi - powiedział Leszek, pakując zdjęcia do kieszeni.

- Cześć — rzekł Mufi. — Miło znów pana widzieć.

- Nie gniewasz się, że trzasnęliśmy te zdjęcia bez uprzedzenia? — zapytała Giga. - Chcieliśmy, żeby wyszło bardziej naturalnie.

- Słusznie - odparł Mufi, nie odrywając oczu od pulpitu. - Mógłbym zrobić nieodpowiednią minę ze wzruszenia.

- Czy nie przeszkadzamy?

- Och, bynajmniej. Mogę wykonywać kilka czynności naraz i myśleć o wielu rzeczach jednocześnie.

- Zazdroszczę ci - powiedziała Giga. - Ja w tej chwili mogę myśleć tylko o tym, że na Ziemi Sonia czeka i goście będą czekać, a ja nie wiem, czy zdążę z tym bankietem. I to mi psuje całą przyjemność tej przygody.

- Może mógłbym w czymś pomóc? - zapytał uprzejmie Mufi.

- Owszem - Giga ściszyła głos, żeby Al Datsun nie słyszał. - Czy mógłbyś nas zaraz sprowadzić na Ziemię?

- Chwileczkę — przestraszył się Tyndzio. — A moja kolacyjka?

- Jaka kolacyjka?

- O rany, no, ten koktajl, co nam obiecał pan Datsun.

- Zjesz coś po drodze. Na Ziemię, Mufi! Mufi milczał, zapatrzony w monitory.

- Bubel, powiedz mu żeby wracał! — zdenerwowała się Giga.

- Słyszałeś, co powiedziała Giga - rzekł Leszek. - Natychmiast wracaj na i Ziemię.

- Nie rozumiem, co pan do mnie mówi - odparł spokojnie goryl.

- Nie rozumiesz czy nie chcesz zrozumieć?! - wrzasnął mu do ucha roz-j gniewany Bubel. Jego podniesiony głos zaalarmował Datsuna.

- Nie krzycz na niego, chłopcze - wmieszał się ostro. - To przecież tylko robot. On po prostu nie przyjmuje rozkazów wydanych przez inne osoby niż ja. Tak jest zaprogramowany. Co od niego chcieliście? Nie dosłyszałem.

Giga spojrzała na kolegów nieco zakłopotana.

- Czas już wracać — wyrąbał Leszek. — Chcieliśmy, żeby Mufi sprowadził nas z orbity, bo przecież ja mam te ćwiczenia, a Giga ma na głowie bankiet.

- Jest dopiero pół do czwartej. A w ogóle nie rozumiem, po co ten popłoch - odparł zdziwiony Datsun.

- Pół do czwartej to było, jak weszliśmy na orbitę. Jesteś pewien? Sprawdź lepiej.

Bubel spojrzał na swój zegarek. Istotnie było prawie pół do czwartej, do- * l. ulnie trzecia trzydzieści pięć.

- A u ciebie, która godzina, Giga? - zapytał skołowany.

- Też pół do czwartej, może dwie minuty po... - odpowiedziała sama za-oczona.

- Do licha, coś się stało z naszymi zegarkami! - wykrzyknął Bubel. - Fa-Inie się spóźniają.

Bynajmniej. One są w porządku - odparł spokojnie Datsun. - To wasz as biologiczny za bardzo się przyśpieszył. Zapewne z nerwów.

Spojrzeni na niego z niedowierzaniem. Już się przekonali, że Datsun to Iowiek o niepospolitych umiejętnościach. Może umie także robić sztuczki zegarkami?

- Właśnie Ziemia pod nami wychodzi z cienia, dogoniliśmy dzień, że tak iwiem - oznajmił Datsun.

- Chcecie zobaczyć, jak to wygląda? Nie bójcie się

" ,\ naprawdę mamy jeszcze dużo czasu, zdążycie wszystko załatwić.

Uspokojeni nieco, wrócili do kabiny centralnej, by podziwiać widoki z orbi-;i Datsun stanął za Mufim i sprawdził jego sprawność nawigacyjną za pomo-i podręcznego analizatora robotów. Chciał się upewnić, czy wrzask Bubla nie ikiócił funkcjonowania któregoś z subtelnych mikroukładów goryla.

Jeszcze nie dokończył tej czynności, gdy Giga i chłopcy wrócili.

- Już z powrotem? — zdziwił się.

- Słabo widać — odparł wyraźnie zawiedziony Leszek.

- No, wiecie! - Datsun pokręcił głową. - Szczerze mówiąc, jestem wami roz- . /arowany. Nie każdy uczeń ma okazję polecieć w kosmos i w dodatku za darmo. Myślałem, że nie będzie was można oderwać od luku widokowego, a wy...

- Owszem, warto było zobaczyć, proszę pana — pociągnął nosem Tyndzio ale nie przesadzajmy.
- Myślałam, że będzie wyraźniej — wyznała Giga. — A tu było dosyć zama-1110. Na globusie u nas w budzie widać lepiej.

- Tak, na globusie widać lepiej — potwierdził Tyndzio, poprawiając okula-Mamy bardzo dobry globus.

- Na globusie widać lepiej!!! — Al Datsun zasapał z głębokiego wzburze-| i.i i nerwowo poprawił swój sztywny staroświecki kołnierzyk. — Nie, nie, nie, mi państwo! — zawołał rozżalony. — Coś tu jest nie tak... To się nie zgadza moimi ustaleniami. Nie powinniście tak reagować. Nie, nie, w żaden sposób! Nic tak... Nie tak przyziemnie, że tak powiem! „Na globusie widać lepiej!” -powtarzał rozdrażniony. - I ten bankiet?! Nabiliście sobie głowy bankietem! Zupełnie nie brałem tego pod uwagę. Tak sobie nabić głowę bankietem! Na-

_84-

-85-

prawdę niepokoi mnie to! Nie przypuszczałem, że przywiązujecie taką wagę końcu wydarzenia... oburzyła się Giga. - Moje urodziny to błahe wydarzenie?!

X] się stara - próbował interweniować Leszek. - Pan Al jest

że w^am w^ntnTkolacjęTa cześć państwa! - skłonu się oficjalny - Mia ła to być kolacja obfita, spełnilibyśmy każde wasze zyczenie, serwowaliśmy |

Pan myśli że na bankiecie chodzi tylko o żarcie... Żarcie jest na końcu, w.e nan> Nawet Cynglowi nie chodzi tylko o żarcie, prawda, Cyngiel? P Jale że nie. Mógłbym jeść tylko chleb z pietruszką... - potwierdził niezupełnie'Szczerze Cyngiel i pociągnął smutno nosem.

-To po co się chodzi na bankiety? - zapytał naiwnie Datsun.

- Chodzi się, bo... - Cyngiel utknął nagle i me wiedział, co pow^dziec.

B° -Bo jesSif-mruknał Leszek. - Można się pośmiać, pograć, pogadać n na luzie... ma się swoje sprawy, wie pan... ,esoło - dodała Giga z ożywieniem. - Wszyscy się lubią, klawo jest. dostają balonik. Datsun ożywił się

— pochwalił się Leszek. — Od wujka, byj zbierał piłki.

hm oH .aK samo wc^awc jak balony - oświadczył Datsun. - Piłka je pusta w środku i przypomina niejedną głowę - spojrzał z zagadkowym uśmiechem na Bublę i zrobił taki ruch, jakby go chciał pogłaskać po czaszce, all Leszek uchylił się z widocznym wstrętem.

I

- Niech pan lepiej zostawi moją głowę w spokoju.

Datsun wyraźnie zaskoczony tą reakcją przez chwilę przebiegał zabawnij palcami w powietrzu, nie wiedząc, co powiedzieć. I

Z zakłopotania wybawił go Mufi. Włączywszy automatycznego pilot opuścił postereunek przy pulpicie nawigacyjnym i zjawił się przed podróżnym w nowym stroju. Zamiast hełmu miał na głowie białą czapkę kucharza, a jego czarne kudły zakrywał nieskazitelny, czysty fartuch.

- Przyjęcie urodzinowe gotowe - oznajmił - każdy może dostać to, c lubi. A zatem, czym mógłbym państwu służyć? - zapytał uprzejmie. - Spełni każde życzenie.

- Naprawdę możesz podać wszystko? - zainteresował się Tyndzio.

- Wszystko, co się jada na Ziemi - odparł Mufi.

- Baleron też?

Baleron był ulubioną wędliną Tyndzia, aczkolwiek trudno dostępną.

- Baleron, polędwicę, szynkę, serdelki, mortadelę, kiełbasy, kiszki, pasztety, rolady i salcesony, co tylko pan sobie życzy - oznajmił goryl. - Prócz tego polecam befsztyki z rusztu, kurczaki z rożna, szaszłyki i rumsztyki, pieczone kaczki i nadziewane indyki, potrawy z gęsi i perliczek, udźce baranie, combry /iijęcze i cynaderki, pełny zestaw kotletów i pieczeni, wszystkie pozycje menu najbardziej wykwinnych lokali gastronomicznych na Ziemi, wszelkie ryby i dziczyznę przyprawione, przyrządzone na wszelkie możliwe sposoby... Jeśli /iis chodzi o potrawy niemięsne, o wszystkie owoce, grzybki i jarzynki...

O desery, ciasta i ciastka, torty i cukry, kremy i lody tudzież napoje...

- Dosyć! - przerwał niecierpliwie Tyndzio, przełykając ślinę. - Daj mi wszystkiego po kolei...

- Ależ, Cyngiel... - chciała go powstrzymać Giga.

- Oczywiście tylko po odrobinie — wyjaśnił spiesznie, ale zaraz dodał: — (7y będzie możliwa dokładka, czyli repeta?

- Dowolna ilość repet, aż do oporu pańskiego brzucha - skłonił się Mufi. Uspokojony Tyndzio odetchnął.

- W takim razie poproszę na razie tylko o sto gramów z każdej pozycji...

1 >la de... degustacji, czyli spróbowania.

Oszalałeś?! - Giga spojrzała na niego jak na wariata.

Przyjmij zamówienie, Mufi - powiedział twardo Tyndzio.

Ja poproszę tylko lody — rzekł ze skromną miną Leszek. - To znaczy... (i .il;| hemisferę, czyli półkulę „Cassaty”... 1 duży krem z poziomkami.

Tak, proszę pana, a pani? — zwrócił się goryl do Gigi.

Ja?... Dla mnie tylko małą colę - rzekła Giga.

Co ty, Giga! - zdumiał się Tyndzio. - Nie będziesz miała już takiej okazji...

Zapomniałeś o urodzinach! - rzekła ostro Giga. - Nie mam czasu na |>!<!ulanie się... tak jak ty! To jest dywersja, Cyngiel!

Mam wprawę, uwinę się w dziesięć minut!

Ale gdzie ty to wszystko zmieścisz?

O to się nie bój, ja mam specjalny żołądek! - zaśmiał się Tyndzio i pogo-||.....nyla: -No, Mufi, czego tu jeszcze sterczysz! Serwuj, co zamówione.

Taaak jest, proszę pana - Mufi wyraźnie oszołomiony wycofał się z kabi-

< iiga spojrzała z zakłopotaniem na Ala Datsuna; wstyd jej było za Cyngla, • Al nie wydawał się bynajmniej ani zgorszony, ani obrażony jego łakom-A.in, przeciwnie, uśmiechnął się i powiedział:

-86-

-87-

- Gratuluję ci, chłopcze, i zazdroszczę apetytu. Jedzenie musi ci sprawiać wielką przyjemność.

- A panu nie? — mruknął Tyndzio. Datsun spochmurniał nagle.

- Niestety, jestem na ścisłej diecie.

- Nie wygląda pan na chorego - zauważył Tyndzio, lecz nim Al zdążył odpowiedzieć, rozległ się metaliczny dźwięk gongu.

- To Mufi wzywa nas do mesy - wyjaśnił Datsun. - Proszę za mną! Pokażą wara drogę.

Okazało się, że mesa jest olbrzymią jadalnią, w której stało kilkanaście różnych stołów - kwadratowych, okrągłych, prostokątnych i owalnych, bardzo dużych, średnich i małych. Mufi posadził Tyndzia przy największym prostokątnym stole zastawionym wszystkimi możliwymi specjałami, Giga zaś z Leszkiem i Datsunem zasiedli przy stoliku okrągłym.

Zanim zabrali się do jedzenia, Datsun wstał i wygłosił toast na cześć Gigi, po czym skinął na Mufiego, który nalał każdemu z biesiadników do niskiego i szerokiego kielicha odrobinę białego pieniacego się jak szampan napoju, a do kielicha wysokiego i wąskiego — nieco czerwonego koktajlu.

- Kakurgijskim obyczajem! - Datsun uniósł do góry oba kielichy. Dziwna, przejmująca do głębi, tęskna melodia zabrzmiała w mesie. Leszek

drgnął. Była jakby znajoma: czy nie taką właśnie słyszał wtedy w zoo? Wino i koktajl zamigotały, burząc się i tryskając na wszystkie strony snopami kolorowych iskier, w zdumiewający sposób powiększały swoją objętość, aż wypełniły kielichy po same brzegi.

Giga i chłopcy wpatrywali się w to zjawisko oczarowani i oniemiaли. Datsun pochylił głowę nad kielichami. Wyglądało, jakby się modlił.

- My to mamy pić? - zapytała podejrzliwie Giga. - Co to jest? Co ty nam naląłeś, Mufi?

- To jakiś trick reklamowy - powiedział Tyndzio. - Co, Mufi?

- To są napoje sporządzone przeze mnie na wzór tych, które degustowaliśmy z moim panem na garden party w Windsorze, lecz przyprawione po kakur-gijsku... — wyjaśnił goryl.

Tyndzio wsadził bezceremonialnie palec do kielicha i oblizał.

- Całkiem niezłe!

- W imię Programu - powiedział Datsun, podnosząc do góry oba kielichy.

f

- Niech się spełni! - odparł Mufi.

- Wypijmy z obu kielichów — rzekł donośnym głosem Datsun - wedli kakurgijskiego zwyczaju, abyśmy umieli pożegnać to, co jest, i śmiało sprężyć w oczy temu, co będzie... — był w nastroju krasomówczym i miał zamiar

wstawić dłuższą mowę, ale Leszek widząc, na co się zanosi, przerwał mu szybko i niezbyt grzecznie:

Niech pan da spokój, śpieszymy się. Na drugi raz powie pan więcej. Twoje zdrowie, Giga - zwrócił się do dziewczyny i wypił najpierw wino, potem koktajl.

Tyndzio i Giga też wypili, po czym Cyngiel zabrał się do spiesznej degustacji swoich smakołyków, a Leszek do cassaty. Giga sączyła przez słomkę M.ihj colę...

Muzyka wypełniająca mesę przybrała na sile. Wydawało się, że do kabiny winiły się roje pszczoł i brzęczą jak w słonecznej lipcowej pasiece. Zapach 'a i tnących łąk i pól rozgrzanych w południe wypełnił powietrze. Zrobiło się ciepło i przytulnie. Przestali myśleć o tym, że muszą wrócić. Ogarnęła ich cisza i spokój...

)ZDZIAŁ IX

Pierwsza ocknęła się Giga. Zobaczyła, że leży na stole w kabinie centralnej, a obok niej Leszek i Tyndzio. Czyżby Mufi ich tu przeniósł? Ale czemu żyli na stole? Spojrzała na zegarek.

Wskazywał godzinę dziewiątą. Co to ma znaczyć? Dlaczego jeszcze nie wylądowali?! Czemu Datsun ich nie obu-IV! Pięć godzin na orbicie?! Zerwała się przerażona, zaalarmowała chłopca potem na chwiejnych nogach podeszła do luku widokowego i osłupiała.

Słońce świeciło jaskrawo, niebo było zupełnie czarne, roilo się od gwiazd! I o?! Po drugiej stronie nieba widać było białoniebieską kulę... Rozpoznał zamazany częściowo przez chmury znajomy zarys lądów... Tak, nie może być! To Ziemia! Więc tak daleko już odlecieli?!

(idzie my lecimy?! - Wykrztusiła zrozpaczona.

Do Kakurgii - usłyszała głos Datsuna, a potem jego szyderczy śmiech. Wyrzucił się z głębi kabiny; ubrany był teraz w obcisły kostium, pasiasty, czerwony, podobny do trykotu jakiegoś kłowna-cyrkowca. Tylko na głowie wciąż ten sam śmieszny melonik.

W tej chwili Giga i chłopcy nie mogli wykrztusić ani słowa. Z wrażliwością uwiązł im głęboko w gardle. A więc Datsun zrobił im przykry kawał, czy po to statek musiał aż tak wysoko odbić od Ziemi? Spojrzeli podejrzliwie na Datsuna. Coś tu się nie zgadzało.

Im kłamie! - wykrzyknął Leszek. - Lecimy w kosmos, a nie do Kakurgii przecież widać...

Oddalamy się od Ziemi!

-89-

- A kto ci powiedział, że Kakurgia jest na Ziemi? — zapytał spokojnie AL

- Jak to?! — Leszek przeraził się. — Nie chce pan chyba powiedzieć, że Kakurgia...

- Ależ tak, mój wspaniały nieuku. Gdybyś choć trochę orientował się w waszej ziemskiej geografii, spostrzegłbyś od razu, że nie ma na waszym globie państwa o nazwie Kakurgia! Ani w Europie, ani w Afryce, ani w Ameryce, ani w Azji, ani w Australii z Oceaniami™ nigdzie!

- O, Boże... — jęknął Leszek, a Giga i Tyndzio rozwarli szeroko usta; stali jak rażeni obuchem.

- Więc mówi pan, że Kakurgia nie leży na Ziemi... - wybełkotała Giga. -

A w takim razie gdzie?

- Na planecie Efen, która krąży wokół gwiazdy Proxima Centauri - odparł

AL Datsun. - To nasze słońce!

;

- Czy to daleko? - zapytał Tyndzio.
- Och, całkiem blisko! - uśmiechnął się Al. - Blisko?!
- Trzy i cztery dziesiąte roku świetlnego.
- Co takiego!?! - Tyndzio osłupiał.
- To znaczy, że gdybyśmy lecieli z prędkością światła, czyli trzystu tysięcy kilometrów na sekundę, zalecielibyśmy tam za trzy lata i parę miesięcy... -
wyjaśnił Datsun.

- Pan robi z nas balona!... Trzy lata...
- ...pięć miesięcy i sześć dni - dokończył Datsun. - Niestety, nie potrafimy lecieć z prędkością światła. Chociaż nasza technika stoi bardzo wysoko, osiągniemy w tym locie „zaledwie” prędkość trzydziestu tysięcy kilometrów na sekundę, i to nie od razu, ponieważ nasz ludzki organizm nie znosi zbyt wielkiego przyspieszenia... Będziemy zatem lecieć na planetę Efen trzydzieści pięć lat - uśmiechnął się nie bez złośliwości.

Chłopcy i Giga zdrętwieli.

- Pan... pan oszalał - wykrztusił po chwili Leszek. - Nie, nie wierzę, jakiś głupi żart!

- Nie ośmieliłby się pan tego zrobić!

Al Datsun milczał, a jego milczenie nappełniło ich grozą.

- My... my protestujemy - wybełkotał Tyndzio. - To... to przestępstw[^] wywozić nas wbrew naszej woli...

I

- To... to po prostu porwanie! - wybuchnęła Giga.

- Tak, to jest porwanie - rzekł Datsun, poprawiając melonik. — Pożegna cie się z Ziemią, póki jest jeszcze widoczna - to mówiąc, przestawił regulatł makroskopu na zero. — Oto jak już wygląda bez powiększenia.

Struchlali chłopcy i Giga utkwili wzrok w luku.

Krańców Ziemi przypominał teraz malutką bladą perłkę zawieszoną w ak-samitnoczarnej, usianej brylancikami otchłani... Nie można już było się łudzić! ! ocieli poza Układ Słoneczny, na daleką planetę Efen. Datsun ich porwał. Są v jego mocy... I... i chyba już nic nie da się zrobić! Sytuacja stała się przeraźli- \ ie jasna, przeraźliwie i przerażająco. I wszystko, co ją poprzedzało. Każdy /czegół postępowania Datsuna, każde jego słowo widzieli teraz w innym, ;ikże zatrważającym świetle. Od początku pragnął ich zwabić na ten statek i porwać. To był jego jedyny cel i twardo do niego zmierzał. Njć nie było przypadkiem w tej niesamowitej historii, wszystko zostało zaplanowane z komputerową dokładnością. Po to kusił ich niewinną dwudniową wycieczką do Kakurgii, a jak mu się nie udało, umyślnie pozwolił Rugiemu biegać po zoo, obrazić dyrektora i wywołać awanturę, aby potem pod pretekstem ucieczki Sapakować wszystkich do statku i uprowadzić... No i powiodło się znakomi-lic. Teraz są zdani na łaskę i niełaskę Datsuna i przez trzydzieści pięć lat będą Tcieć do Kakurgii...

Ale po co? Dlaczego Kakurgii tak zależało na trójce uczniów z siódmej klasy, i to wcale nie najlepszych, ani w nauce, ani w zachowaniu, ani w spor- 'c? Na co komu tam byli potrzebni? Czemu zadano sobie tyle trudu, żeby ich)rowadzić na planetę Efen? Na te wszystkie pytania nie mogli znaleźć odpowiedzi i powiększało to tylko ich niepokój. Jedno w każdym razie nie ulegało wątpliwości. Al Datsun to zły człowiek. Człowiek? Czy Al w ogóle jest czło- Ickiem? Czuli, że znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Muszą wró- ^ na Ziemię za wszelką cenę! Póki jeszcze czas...

Stanowczo się nie zgadzamy! - wykrztusił Bubel. - Słyszysz pan?! Nie |iulzamy się! Nie chcemy! Wracamy na Ziemię! - krzyknęła Giga. - Zawróć zaraz ten statek, ty kipi melonie. Natychmiast zawróć, bo inaczej... — urwała, gdyż nagle w rę- 'i li Datsuna błysnął dziwny przedmiot, ni to mikrofon, ni pistolet... Uważaj! — krzyknął Leszek. — To poskramiacz... Sparaliżuje cię... Tak, lepiej bądź grzeczna, panienko — rzekł z zimnym uśmiechem Al. — 111 liszaj mnie, abym się posłużył tym instrumentem. To bardzo nieprzy- Jak widzieliście, póki mogłem, starałem się być dla was miły j pano- i nad nerwami, choć drażniliście mnie bardzo, zwłaszcza ty, długonoga ;ina laluniu, ale nadmierne powściąganie naturalnych popędów jest nie- i- dla czułych systemów mojego

organizmu. Dlatego uprzedzam cię po i.itni: jeszcze raz ośmielisz się odezwać tak do mnie, a użyję poskramiali ustawię go na najwyższą moc, aby z ciebie nie została nawet kupka l plazmy... Nawet kupka mokrej plazmy - powtórzył przez zaciśnięte Zrozumiałaś?! • gu cofnęła się przerażona.

-90-

-91

w

- Przebacz mi -jęknął Leszek - i ty, Cyngiel - obrócił się do Tyndzia. -To... to przeze mnie wszystko. Ja was namówiłem.

- Daj spokój, Bubel — mruknął Tyndzio. - Nie twoja wina. To on nas zrobił w konia, a my daliśmy się podejść jak przygłupy.

- W rzeczy samej nie twoja wina, chłopcze - rzekł Datsun, bawiąc się poskramiaczem. - Porwałbym was tak czy owak, bez trudności...

- Dlaczego akurat nas? - zapytała ze łzami Giga. - Nie zrobiliśmy wam nic złego. To chyba jakaś pomyłka.

- Pomyłki są ludzką rzeczą, ale nie kakurgijską - odparł pogardliwie Datsun. - To ciebie, Bubla i Cyngla musiałem porwać i porwałem.

- Musiał pan?

- Dostałem takie zadanie do wykonania.

- Ale my nie chcemy...

- Będę z wami szczerzy. To nie ma żadnego znaczenia, czy chcecie. To wcale nie jest ważne. Ważny jest Program i wszyscy musimy się do niego dostosować. I ja, i wy...

- My nie jesteśmy z Kakurgii, my jesteśmy z Ziemi i pan nie ma żadnego, prawa...

- Program nasz już dawno objął Ziemię - rzekł Datsun - i nikogo nie chodzą wasze ludzkie prawa.

- Co to za program?! - wykrztusił Leszek.

- Dowiesz się we właściwym czasie.

- Co chcecie z nami zrobić? - pochlipywała Giga. - Na pewno coś strasz-j nego.

- Coś okrutnego - wybelkotał poblądły Tyndzio.

- Ale skądże - odparł Datsun z dziwnym uśmiechem. - Możecie być spokojni. To nie będzie wcale boleć. W żadnym wypadku. I z pewnością Kakurgia przypadnie wam do gustu...

- Trzydzieści pięć lat!... - Giga rozbeczała się na dobre.

- W jedną stronę - uzupełnił rzeczowo Tyndzio.

- Zestarzejemy się — szlochała Giga.

-I zanudzimy się na śmierć - dodał rzeczowo Tyndzio.

- O tym mowy nie ma - rzekł wesoło Datsun. - Nasza nauka dawno : wiązała ten problem: po prostu maksymalnie wydłużę wasz czas biologicznyJ wasze serca będą bić sto razy wolniej. Sądzę, że to aż nadto wystarczy... Bę-r dziecię wtedy żyć na tak małych obrotach, że cała podróż zleci wam bardz^

szybko...

- Ale... Ale pewnie nie potrafimy nawet kiwnąć palcem z osłabienia — jęknął Tyndzio.

Datsun chrząknął nieco zakłopotany.

Oczywiście będzie to rodzaj snu hibemacyjnego podobnego do snu zi-* >wco niedźwiedzi - wyjaśnił. - Ale będzie to sen przezroczysty...

Przezroczysty? Jak to?

Będziecie widzieć i przeżywać waszą podróż, z tym że jakby przez mgłę skrócie. Odniesiecie wrażenie, że trwa tylko trzy miesiące, no, powiedzmy, |wyżej cztery... I tylko o te cztery miesiące się postarzejecie. W dodatku iv. cały ten czas będziecie się czuć lekko i błogo. Tak że żadnego problemu ma...

Nie ma?! — wykrzyknęła wzburzona Giga. — A nasi rodzice? Co rodzice? — Datsun jakby nie rozumiał.

Czy pan pomyślał, co z nimi będzie? Oni już teraz się zamartwiają na iitć. Jak pomyślę, że nie zobaczę ich już nigdy... Boże, byłam dla nich taka iipna. I nigdy już tego nie naprawię! — zanosła się płaczem. — Za późno, za no na wszystko!

lyndzio przygryzał nerwowo wargi. Gnębił go inny problem. Wprawdzie był wieczne boje z rodzicami (tępi, sztywni wapniacy, stale zasypywali go icnsjami, nie był na ich „poziomie”, nazywali go serio matolem, nie widzie-niego żadnej mocnej strony), ale... Ale przecież, do stu milionów bajtów, ihciałby, żeby tak się to wszystko skończyło... Starzy na pewno pomyślą, iciekl... Nieraz im się odgrażał, że ucieknie i nigdy nie wróci. Więc od razu nysła, że to na złość wykreślił im taki numer! I to jest nie do zniesienia. I nawdy nie chciałby, żeby to się tak skończyło.

Bubel milczał ponuro. Wstydził się pokazać strach, który go dławił. Choć I ochotę krzyczeć, tupać i okładać Datsuna pięściami, zacisnął tylko powie-
\lusi sprostać tej sytuacji. Zawsze miał koło siebie drogiej rodzinki w nad-
ir/e. Złościł się z tego powodu, odcinał i unikał. No, ale trzeba przyznać, to
nak było zaplecze, to była baza, a czasem mocna twierdza. Tam zawsze
na było po klęsce wrócić i lizać rany, po najgorszej rozsypce pozbierać się
mowo. Teraz utracił to wszystko. Zrobiło mu się bardzo głupio i nieswojo.
przypuszczał nigdy, że będzie mu tego brak. Oczywiście nikt się o tym nie
I ie. On, Bubel, nie będzie się mazał. I zamiast uronić łzę nad swoim losem,
> i odział:

Pożałuje pan tego. Nasi rodzice oszaleją z rozpacz. Stop! — przerwał Datsun. — Nie wstawiaj nam tu łzawych scenek z kidna-| kich filmików, młodzieńcze. Nic z tej branży. Zasadnicza pomyłka. Bez nskich analogii! My jesteśmy na wyższym etapie rozwoju, wciąż o tym 'iniasz, mój drogi. Mamy inne możliwości. Wasi rodzice nie płaczą, nie irtwiają się, nie cierpią, a to z tego powodu, że nie zauważyli waszej... obecności. Jak mogli nie zauważyć?!

-92-

-93-

!*:!!

U hH

% "iii'

' li:|Ht*

- Po prostu nikogo nie brakuje im w domu - zaśmiał się AL

- Jak może nie brakować?!

- Bo na wasze miejsce podstawiliśmy sobowtóry, bardzo wierne kopie, kropla w kroplę podobne do was i odpowiednio zaprogramowane. Wszystkie są człekokształtnymi robotami kategorii I A, z dwudziestoletnią gwarancją fabryczną. Sądzę, że wasi rodzice nie będą nam mieli za złe tej zamiany, a przeciwnie, będą zachwyceni, jest to bowiem zamiana pod każdym względem korzystna. Nareszcie mają to, co chcieli. Dostali dzieci, o jakich marzyli: pilne, pracowite, posłuszne, takie, które nigdy nie chorują, nie pieklą się, nie odgry- | zają rodzicom, nie kłamią, nie grymaszą, nie używają brzydkich słów.

- Ale przecież... — przerwał Leszek — przecież jak zauważą taką dużą różnicę...

- Ponieważ, jak powiedziałem, to będzie zmiana na lepsze, nie będą zbyt podejrzliwi, raczej chętnie uwierzą, że po prostu wyszliście nareszcie z „głupiego okresu” i zmądrzeliście. Zapewniam was, że nie przeżyją z tego powodu żadnych stresów. Możecie z czystym sumieniem zapomnieć o nich.

Giga i chłopcy milczeli upokorzeni. To straszne! Rodzice nie będą nawet wiedzieć o ich losie! Nie uronią ani jednej łezki!

Ogarnęło ich przygnębienie. Poczuli się dwa razy bardziej samotni, już | teraz unicestwieni.

Pierwszy odezwał się Tyndzio.

- Niech pan nie będzie taki pewny - wymamrotał, przecierając okulary, - i Nawet wasze najlepsze imitacje, nawet najwierniejsze kopie mogą być zdema-1 skowane.

- Czyżby?

- One nie będą mogły robić tego wszystkiego, co ludzie. Na przykład jeść...

- One też będą jadły - odparł spokojnie Datsun. - Są do tego specjalnie przy-' stosowane, aczkolwiek oczywiście jedzenie nie jest im do niczego potrzebne.

- A co z badaniami lekarskimi? - zagadnął Leszek. - W szkole chodzimy na badania...

- Nasze znakomite roboty są przygotowane do tego rodzaju prymitywnych badań — uśmiechnął się wzgardliwie AL - Mają uzębienie bez zarzutu, migdał-ki w normie, miękki brzuch oraz specjalne urządzenia naśladujące bezbłędnie bicie serca, tętno, oddychanie...

!

- Ale nas przeświełają — zauważył Tyndzio. - Jak wasze roboty z tym sobie dadzą radę?

j

- Są poinformowane, jak uniknąć prześwieleń i dokładniejszych badań.< W najgorszym wypadku zbyt uparci lekarze i pielęgniarki zostaną po prostu! zabici i zastąpieni naszymi ludźmi. My nie cofamy się przed niczym. Program musi się spełnić.

Na nowo powiało grozą. Więc rodzice na Ziemi zostali co prawda z „za-pczymi dziećmi” bardzo pilnymi i zdolnymi, ale... Zdolnymi do wszystkiego-niiwet do morderstwa!

Cóż to za posępne miny - zaśmiał się Datsun. - Naprawdę nie ma powo-

A w ogóle najlepiej będzie, jak przestaniecie wreszcie myśleć o ziemskich

awach i rozejrzycie się trochę po Kosmosie. Wiem, że nieraz marzyliście

!i idróży kosmicznym statkiem, no więc jesteście w nim! Cieszcie się i podzi-

iiicie urodę mgławic i gwiazd... — A widząc, że młodzi ludzie bynajmniej nie

ipią się do oglądania i że co innego chodzi im po głowie, dodał z jawną

!>bę: - To jest najmądrzejsze, co możecie zrobić w waszym położeniu,

i /edzam, bez żadnych kawałów, bez awantur! Macie być posłuszni i grzeczni,

zej będę musiał już teraz uspić was w zamrażalni...

Giga rozpląkała się.

Dobrze, niech pan mnie uspi, najlepiej na zawsze — wykrztusiła, łkając. — Wolę być zamrożona, wolę nie myśleć i nie czuć, niż to wszystko przeżywać! Wole się nigdy nie obudzić!

Ależ, Giga, co ty! — przestraszył się Tyndzio. Niech pan jej nie słucha - krzyknął Leszek. Datsun roześmiał się.

Nie bójcie się, ja tylko żartowałem. Oczywiście, najwygodniej byłoby was razu wpakować do kabiny hibernacyjnej i uspić na te trzydzieści pięć lat, • dostałem inne rozkazy. Uspienie nie wchodzi na razie w rachubę, ponie-najpierw musicie być poddani eksperymentom naukowym i macie być !tomni jak Guliarer w krainie Logofagów. Wprawdzie do tego celu wystarczy dwu osobników, ale nie zadecydowałem jeszcze, kogo wybrać... Tak

0 chwilowo wszyscy jesteście bezpieczni — wycedził z zimnym uśmiechem. licz nie cieszcie się zbyt. Nie mogę was wprawdzie unicestwić ani uspić, mogę zmienić wasze życie w piekło. To mi wolno. Wolno mi zrobić wam !>ardzo przykrych rzeczy, na przykład to! — zdjął sobie błyskawicznie melo-

1 założył na głowę Tyndziowi.

Nieszczęsny chłopiec wydał okrzyk bólu. Jak oszalałe zwierzę z pianą na ustach -ał miotać się w konwulsjach po podłodze. Na próżno usiłował ściągnąć z gło-przeklęty kapelusz. Swąd palonych włosów rozszedł się po kabinie... Po chwili osłupienia Giga i Bubel rzucili się na pomoc koledze.

Lecz gdy

i\ Iko dotknęli melonika, sami doznali jakby porażenia prądem.

Rozbawiony Datsun zdjął kapelusz z głowy półżywego Cyngla i powie-

.1-uL-

Elektroniczny melonik to tylko jedna z moich licznych niespodzianek, • "i e na was czekają, jeśli będziecie krnąbrni. Po raz ostatni rozkazuję wam: r Udajcie się swojemu losowi, jak wymaga Program, i zapomnijcie o Ziemi!

94

!95-

- Ani mi się śni! - wybuchła Giga, tracąc znowu panowanie nad sobą. Odstawisz nas zaraz z powrotem do Warszawy. Ty pajacu cyrkowy, ty nędzny kłownie! - rzuciła się z pięściami do Kakurgijczyka.

W oczach Datsuna zapaliły się iskry gniewu. Sięgnął do kieszeni.

- Uważaj! - krzyknął do Gigi Leszek. Błyskawicznie oderwał ją od Datsuna i kopnął z całej siły Kakurgijczyka w kolano. Trafił widać w jakiś czuły nerw, bo zaskoczony Al jęknął boleśnie i wypuścił z ręki poskramiacz. Bubel rzucił się na podłogę, by pochwycić cenny instrument, ale Datsun odepchnął go butem w drugą stronę...

- Uciekajmy - krzyknęła Giga. Szarpnęła Leszka i wepchnęła do najbliższego pomieszczenia. Za nimi w ostatniej chwili wskoczył Tyndzio. Zatrzasnęli drzwi tuż przed nosem rozgniewanego Datsuna.

- Zaryglujmy - wysapał Tyndzio. Przy pomocy Bubla przesunął ciężką zasuwę na dole drzwi.

- Czy... czy to pomoże? - jęknęła Giga. - On ma przecież ten poskramiacz.

- To są mocne drzwi - mruknął Leszek. - Poskramiacz przez nie chyba nie przeniknie... -A jeżeli...

- Żeby jakaś broń... — szepnął Tyndzio.

Rozejrzeli się rozpaczliwie po kabinie, do której się schronili. W przezroc czystych szafach ściennych połyskiwała w jaskrawym świetle barwna zastawa stołowa, błyszcząco ułożone w przegródkach sztuczne. Naprzeciwko w staro świeckim kredensie spoczywała porcelana - wykwinny złożony serwis. Ni ścianie w specjalnych uchwytach tkwiły ozdobne patelnie, różny i brytfann) używane zapewne do stylowych przyjęć.

Pierwszą ich myślą było uzbroić się w noże; nie mogli jednak otworzyć* szafy ani jej rozbić.

Porwali więc różny ze ściany...

Ciężkie uderzenia wstrząsnęły całą kabiną. Datsun dobijał się brutalnie do drzwi. Z lękiem spojrzeli na zasuwę. Czy wytrzyma? Wytrzymała. Już chciał odetchnąć z ulgą, gdy nagle stała się rzecz niesamowita. Zasuwa zabłyszczała zielonkawym światłem, coraz jaśniejszym, a potem... potem, mimo że chłopcy; trzymali ją ze wszystkich sił, pomału, jakby odciągana nieludzką mocą, zaczęła przesuwając się w drugą stronę.

Usłyszeli ponownie złowrogi śmiech Datsuna.

Drzwi rozwarły się tak gwałtownie, że trzasnęły w głowę stojącego po nich Leszka, zanim zdążył odskoczyć; ogłuszony padł na podłogę. Datsun, nil śpiesząc się, wszedł do kabiny. Drzwi za sobą zostawił otwarte - czyżby umysł nie? Poprawił sobie melonik na głowie, zatarł ręce i zaczął zbliżać się do Gigi i Tyndzia z okrutnym uśmiechem na twarzy.

i

-96-

Giga i Tyndzio próbowali się bronić różniami, ale Datsun, nie bacząc na ciosy i ukłucia, z łatwością wyrwał im tę broń z ręki i odrzucił w kąt. Chciał / koleji dobrać się do Leszka, ale Bubel na szczęście już się zdążył pozbierać I przytomnie chwyciwszy swój różen, czmychnął do kabiny centralnej i schował się pod kanapę. Giga i Tyndzio rzucili się do drzwi w ślad za nim. Cyngiel wlaźł przerażony pod jeden fotel, Giga wczołgała się pod drugi, gubiąc z po-Apicchu pantofel. Za nimi wkroczył Al, zanosząc się ze śmiechu. Widać było, że ta zabawa kota i myszki sprawia mu dużą frajdę. Jego wesołość jeszcze wzrosła, gdy

lipnstrzegł na środku kabiny pantofel. Potoczył rozbawionym wzrokiem do->kola i z kolei zobaczył wystającą spod fotela piętę Gigi. Umilkł, oblizał wargi wyciągnął poskramiacz. Twarz wykrzywił mu brzydki grymas. Podszedł do nleca, wypowiedział niezrozumiałe słowo i dotknął poskramiaczem pięty...

Giga krzyknęła przeraźliwie jak człowiek śmiertelnie ranny, wyskoczyła z fotela i osunęła się

na kolana...

Al Datsun przyglądał się jej ze wstrętem.

: - No, to porachujemy się teraz, Gigo. Giga Szpańska. Obrzydliwe imię I nazwisko. Wszystko u was na Ziemi jest obrzydliwe, ale ciebie brzydziłem »lt; najbardziej. Twój koledzy też są wstrętni, lecz ty jesteś o wiele ohydniej-: t/ji od nich. Twoja obrzydliwa bioenergia wyjątkowo źle na mnie działała. Zatruchiła mnie i przyprawiała o mdłości... Zakłócała moje skomplikowane c/ujniki i sprowadzała przykre szумы techniczne. Twój piskliwy głos, twój : wibrujący wrzask powodował we mnie wewnętrzne bolesne iskrzenia i zwarcie, szkodliwe drgania mych najwrażliwszych układów... Wreszcie skończę I lubą. Nie jesteś mi potrzebna do Programu. Tamtych dwu łobuzów zupełnie Ilum wystarczy. Wyrzucę cię w Kosmos. Będiesz za karę krążyć dookoła nas *»ko martwy satelita - to mówiąc, z okrutnym wyrazem twarzy pchnął półprzy-Uinną dziewczynkę w stronę komory wyjściowej, nacisnął guzik i otworzył < hłopczy zacisnęli zęby. Zrozumieli całą grozę sytuacji. Wystarczy umie-1 ligę w komorze wyjściowej, nacisnąć guzik, zamknąć drzwi wewnętrzne, r.nąć drugi guzik, otworzyć drzwi zewnętrzne, a Giga zostanie wyssana próżnię ze statku. Nie było ani chwili do stracenia. Leszek i Tyndzio "Izli bohatercko ze swego ukrycia, gotowi bronić Gigę do upadłego. I 'atsun wyciągnął ręce, poruszył palcami, jakby sprawdzając ich spraw- już sięgał po bezwładną dziewczynkę, już miał wejść z nią do komory, nagle wyczuł za plecami obecność chłopców. Odwrócił się gwałtownie. k zył, że Leszek ściska w dłoni rożen.

-97-

ROZDZIAŁ X p

! rzeń chwilę obaj chłopcy i Datsun mierzyli się wzrokiem.

- Co wy?! — mruknął wreszcie Kakurgijczyk i uniósł bardzo wysoko brwi do góry, jakby zaskoczony ich odwagą. - Czy to na mnie? - przeniósł drwiący wzrok na rożen w rękach Leszka. - Niech pan puści naszą koleżankę! - wykrztusił Bubel, ale Datsun roześmiał się tylko. Było jasne, że bimba sobie z chłopców, że nie ma najmniejszego zamiaru zrezygnować ze swego zbrodniczego pomysłu. Wkrótce Giga znajdzie się, martwa, poza statkiem! Ostatnia i jedyna szansa to zaatakować

Datsuna.

- Ja go pchnę rożnem — szepnął Leszek do Tyndzia - a ty mu wyrwiesz Gigę. Tylko musimy upatrzeć odpowiedni moment.

- Celuj w szyję albo w oko — wykrztusił Tyndzio. — On jest wszędzie bardzo... bardzo twardy... I uważaj, żeby nie wyrwał ci tego pręta jak nam...

- Dobra, ty też uważaj, dam ci znak...

Tymczasem Datsun podrzucił parę razy w rękach Gigę z taką łatwością, jakby była z gąbki, a oglądał ją przy tym bacznie niczym inspicjent aktora przed wypuszczeniem go na scenę.

- Zaraz... czegoś mi tu jeszcze brakuje - zamruczał. - No tak, brakuje mi lampy!

Przypiął Gidge latarkę, którą miał przy pasie.

- Masz, żebyś lepiej widziała w kosmosie - rzekł drwiąco. - I żeby ciebid było lepiej widać!

]

Nieprzyjemne zielonkawe światło padło na twarz nieprzytomnej czynki, nadając jej przerażający trupi wygląd.

Datsun uśmiechnął się zadowolony. Widać było, że to, co robi z Giga, sprawia mu przyjemność.

- No, to trzymaj się próżni, pannico! — zamruczał i zrobił krok do wnętr komory.

Nie było ani chwili do stracenia. Chłopcy rzucili się na niego. Leszek zadał mu kilka pchnięć rożnem w brzuch i szyję, a Tyndzio próbował odebrać mu Gigę. Na próżno! Te wszystkie desperackie ciosy nie zrobiły najmniejszego wrażenia na Kakurgijczyku. Obrócił do chłopców szyderczą twarz i pokręcił z politowaniem głową.

Zrozpaczony Bubel zebrał wszystkie siły i dźgnął go jeszcze raz, w samą serce, lecz i tym razem rożen odskoczył z metalicznym zgrzytem.

- On ma stalową kamizelkę! - krzyknął roztrzęsiony Tyndzio. - Kłuj w oko!

Leszek sprężył się i chciał wbić ostrze w drwiące ślepie, lecz ułamek sekundy wcześniej spod melonika wypłynął błyskawicznie mały, różowawy obłoczek i zasłonił twarz Datsuna. Rożen utkwiał w nim, rozżarzył się do białości i w chwilę później rozsypał w szary proch; przerażonemu Bublowi została w ręce sama gorąca rękojeść. Parzyła. Wypuścił ją z dłoni...

Zdawało się, że sprawa jest beznadziejna, a los biednej Gigi przesądzony.

- On... On jest fan... fantastycznie zabezpieczony przed atakiem -wykrztusił ; 'lyndzio, patrząc z lękiem i podziwem na Kakurgijczyka. - Jakaś wyższa technika... Nie wygramy z nim! Co robić?!

- Ha-ha-ha! - rozległ się nieludzki, mechaniczny śmiech Ala. Flegmatycz-| nic obrócił się do napastujących go chłopców i tłumiąc śmiech, wycedził powoli: - Przestańcie szaleć. Chyba widzicie, że to nie ma żadnego sensu. Zaszkoździecie sobie tylko na zdrowiu. Taki duży wysiłek fizyczny tu, w kosmosie, cst bardzo niebezpieczny dla waszej słabej ziemskiej rasy; możecie dostać lvchawicy kosmicznej, strasznej grypy astralnej albo nawet dławicy bolesnej Międzyplanetarnej. Chłopcy cofnęli się o pół kroku nieco speszeni słowami Ala, obaj poczuli, <| coś ich rzeczywiście ścisła w piersiach i w gardle i drapie na dodatek. Za-.iszleli i przestraszyli się nie na żarty. Czyżby to już początek jakiejś choroby osmicznej?

- No, proszę - wyrecytował Datsun. — Dychawica się już zaczyna! Wracaj-ic do sypialni i zamknijcie za sobą drzwi komory. Jak wyrzucę ze statku tę •!•iloszłą kosmonautkę, przyjdę do was i dam wam coś na kaszel.

Przerażony Tyndzio chciał się wycofać, ale Leszek przytrzymał go za rękę. No, czego jeszcze sterczycie?! - zdenerwował się Datsun. - Kazałem | 111 wrócić do sypialni. To dla waszego dobra - dodał po chwili pojednawczo. ' 11 az otworzę grodz zewnetrzną; jeśli nie opuścicie komory, zostaniecie wy-iiii przez próżnię kosmiczną ze statku. A pan nie? - wysapał Bubel.

.la się potrafię przylepić. W kostiumie mam specjalne zaczepy, lyndzio półżywy ze strachu znów chciał uciekać z komory, ale Leszek go puszczał.

Pan się znów zgrywa i robi z nas balona — powiedział śmiało, acz nieco vm głosem do Ala Datsuna. - Nasze wyssanie ze statku nie zostało zaprom iwane i... i pan o tym dobrze wie. Jesteśmy potrzebni wam, Kakurgijczy- do Programu. Jeśli zostaniemy wyssani ze statku, to to będzie przeciw !lamowi i pan za to odpowie!

Precz! - zęby Datsuna zadzwoniły głośno, co było u niego oznaką po-'.-iu-j irytacji. - Rozkazuję wam natychmiast wycofać się z komory.

-98-

-99-

i!
1 1' <i1
* t! <<
3 ,
>f i, 1
! \f 1 | ii
dli
>' >) !:
;1,-fl tt
"" !5 :
.(!•i
iriillill-H}

Iii!

i

|a Z 6 2 Ł L -2

sama siła, która cisnęła chłopców na podłogę, odrzuciła bezwładną Gigę znacznie dalej; Leszek znalazł ją skuloną za fotelem; przygniatała swoim ciałem lampę, dlatego nie było widać światła. — Jestem słaba... potwornie słaba... co się stało? — wymamrotała cicho.

- Datsun ci dosunął poskramiaczem w piętę, ale nie bój się... Chyba... chyba udało mi się go unieszkodliwić. Zaraz zajmę się tobą, tylko skończymy z Datsunem. - Leszek, sapiąc ciężko, podniósł Gigę i położył ją wygodnie na fotelu, a potem odpiął jej lampę i po krótkich manipulacjach nastawił na największą jasność.

Widok, który objawił się oczom chłopców, był zgoła makabryczny. Głowa Ala Datsuna rzeczywiście oderwała się od ciała i leżała kilka kroków od tułowia, wydając ciche jęki i pojedyncze słowa w niezrozumiałym języku... Natomiast tuż pod nogami chłopców przeżyło się i zwijało na sposób zranionych węży ciało Datsuna; jego ręce były na oślep powietrze bezładnie i pomału, jak na zwolnionym filmie, krok dalej na podłodze leżał poskramiacz. Leszek podniósł go i wycelował w ciało Datsuna.

- Co ty robisz?! - przestraszył się Tyndzio.

- Poskromię go trochę na wszelki wypadek — powiedział Leszek. — On może być wciąż niebezpieczny.

Nacisnął spust przyrządu. Wiązka zielonkawych promieni padła na tułów Kakurgijczyka. W powietrzu zapachniało ozonem. Ciało Datsuna zwiotczało. Ręce znieruchomiały, tylko głowa wciąż mrugała niepokojąco oczami.

Chłopcy podeszli do niej i obejrzeliby ze wszystkich stron.

- A to co?! Popatrz, Cyngiel — wskazał Leszek.

Tyndzio zdębiał. Oczy Datsuna to rozżarzały się, to przygaszały nierównym blaskiem.

- Niesamowite. Myślisz, że on nas widzi?

- Chyba tak.

Tyndzio, przełamując lęk, pochylił się nad głową Ala i zbadał miejsce, gdzie oderwała się od szyi.

- Patrz, Bubel, nie ma ani śladu krwi! On chyba nie jest... - urwał, bo usta Ala poruszyły się, a oczy wpatrywały w chłopców intensywnie.

Pochylili się nad głową i nasłuchiwali.

- Mówi coś — szepnął Leszek. — W jakimś niezrozumiałym języku... rzuca pojedyncze słowa...

- Nie poznaje nas...

- Już nas poznał! - wykrzyknął Leszek. - Teraz zaczął mówić po polsku.

To dlatego, że nas poznał.

Mowa Datsuna była cicha i bełkotliwa, ale rozumieli prawie wszystko.

I

- Bubel, napraw mnie! - słyhać było błagalny szept. — Podłącz mnie do | Kila! Strasznie cierpię!

- Trzeba było nie męczyć Gigi - wysapał Bubel. - Spotkała pana zasłużo-n;i kara.

- Napraw mnie! Odwiozę cię z powrotem na Ziemię! — szeptała głowa. — Ik'ze mnie zginiesz.

Wszyscy zginiecie.

Chłopcy spojrzeli na siebie.

- Nie wierzę panu — powiedział Leszek. - Pan już mnie raz okłamał! Głowa przeniosła wzrok na Tyndzia.

- Cyngiel, przyjacielu, podłącz mnie do ciała — wyszeptała błagalnie. - Nauczę cię za to prowadzić statek kosmiczny. Przysięgam! Zabij mnie, jeśli kłamie!...

Tyndzio obliznął nerwowo wargi i nim Leszek zdołał mu przeszkodzić, rzucił się do szepczącej głowy i podniósł ją z podłogi.

- Co robisz?! — wykrzyknął Leszek.

- Co... cofnij się, bo upuszczę ci na nogi! — wyjąkał Tyndzio, sapiąc bar• l/iej chyba z emocji niż z wysiłku.

Leszek odskoczył na bok, a Tyndzio, postępując, przystawił głowę Datsuna do tułowia. Z

wykrzywionych ust Kakurgijczyka wydobyło się westchnienie ulgi. Pomacał sobie głowę, jakby sprawdzając, czy jest na właściwym miej-m-u, przetarł oczy dłonią i usiadł z widocznym wysiłkiem.

- Dziękuję ci, drogi chłopcze - wymamrotał. - Naciśnij teraz guzik alarmowy w ścianie i wezwij szybko pogotowie kosmiczne.

- Nie wzywaj! — Leszek w ostatniej chwili powstrzymał Tyndzia. — Czyś ty oszalał?! Po co nasadziłeś mu ten łeb na szyję? Uwierzyłeś mu?

- Nnnie... Niezupełnie - zakłopotany Tyndzio poprawił okulary.

- Więc po jakie lichy?...

- Żal mi go było.

Nowy bełkot rozległ się z miejsca, gdzie siedział Datsun.

- Och moje oczy! Przystając widzieć... Mam jakieś uszkodzenie... Cyngiel, rób, co kazałem żebyś nie pożałował! Słyszysz? - głos Ala nabrał ostrych tonów, a jego drżąca ręka zaczęła błądzić po podłodze: macał miejsce przy miejscu, szukając poskramiacza. Próbował wstać.

Leszek cofnął się odruchowo.

- Wcale nie wyzbył się złych zamiarów - rzekł do Tyndzia. - Ledwie nasadziłeś mu łeb, już nam grozi. Widzisz coś narobił? On może teraz wyzdrowieć i wstać, ii wtedy... Siedź spokojnie! — krzyknął do Ala — bo inaczej zdejmę ci głowę!

- Nie... Nie rób tego... -jęknął Datsun i opadł z powrotem na podłogę. — Ib niepotrzebne... destrukcja postępuje... męczę się... Wezwijcie pogotowie kosmiczne.

-102-

-103-

- Ani nam się śni! - rzekł Leszek.

- No to przynajmniej Mufiego. On mi pomoże.

- Nie wezwiemy — twardo odparł Bubel.

- Czemu nie chcecie wezwać?

- Boimy się pana i nie chcemy, żeby pan był znów na chodzie.

- Nie wierzycie mi?

- Nigdy już nie uwierzymy w nic, co pan mówi!

Datsun milczał przez długą chwilę, jakby przetrawiał to, co usłyszał, a potem szepnął:

- W takim razie wyłącz mnie, chłopcze.

- Jak pana wyłączyć? - zapytał Leszek.

Datsun chciał odpowiedzieć, ale następową już blokada ośrodków mowy; jak zepsuty automat szeptał tylko w kółko: „wyłącz mnie, męczę się... Wyłącz mnie, męczę się...” Twarz mu sztywniała coraz bardziej, tylko ręce wykonywały wciąż jakieś dziwne, marionetkowe ruchy.

- Co on wyrabia?!

Tyndzio, ochłonawszy nieco z poprzednich wrażeń, zbliżył się na nowo do 1 Datsuna i z naukową dociekliwością kontynuował oględziny.

- Popatrz, Bubel! — wskazał palcem. — On ma coś za uchem. Leszek spojrzał.

- To pryszcz - orzekł. - On go swędzi. Al próbuje się podrapać i dlatego

tak rusza rękami.

I

- Nie, to nie pryszcz — pokręcił głową Cyngiel. — Przyjrzyj się dobrze! To j mi wygląda na... śrubę!

- Pokaż! - Leszek wyrwał mu lampę i poświecił. - Masz rację! - wykrzyknął. — To jest niewątpliwie śruba.

- Śruba, brak krwi, te żarzące się oczy i te wszystkie inne dziwne historie...

- Niewrażliwość na ból, ta nieludzka siła...

- Tak, chyba nie ma już cienia wątpliwości - powiedział Tyndzio. -Datsun nie jest żywą istotą, on jest...

- On jest po prostu robotem— dokończył Leszek.

ROZDZIAŁ XI

Leszek pobiegł od razu do gabloty z narzędziami, którą widział w koryta-i /u, wybrał na oko dwa

klucze do śrub i jeden uniwersalny klucz francuski na wszelki wypadek.

- Co chcesz zrobić? - przestraszył się Tyndzio, widząc, iż Bubel z narzędziami w rękach klęka przy Datsunie.

- Zjrzmę mu do głowy - odparł Leszek. - Pomóż mi, Cyngiel, sprawdzimy, czy nie ma więcej śrub!

Z pomocą Tyndzia podniósł głowę robota do góry i obejrzał ją dokładnie, znalazł się, że prócz śruby w szyi do odkręcenia są jeszcze dwie mniejsze uliki ukryte pod włosami z tyłu czaszki.

Przez dwie minuty pracowali w skupieniu, sapiąc z emocji i nie zważając i pojękiwania robota.

Wreszcie śruby były odkręcone. Chłopcy ostrożnie zdjęli z głowy Datsuna. Zostały tylko uszy i owłosiona skóra czaszki. Serca im łw mocno. Bali się, czy ta operacja nie podrażni zbyt „mózgu” Datsuna te wywoła nieprzewidzianych reakcji. Ale na szczęście reakcji nie było, tylko przykry swąd rozszedł się w powietrzu.

Twarz Datsuna wykonano z miękkiego, elastycznego tworzywa naśladowującej skórę ludzką. Pod nią ukazał się skomplikowany układ zespołów elektro-nych, miejscami nieco podobny do wnętrza aparatu tranzystorowego. Nie-skawe ogniki pełzały po niektórych elementach... W miejscu, gdzie było „łło, wciąż jeszcze słabo pulsowało czerwone światełko. Tyndzio przyglądał się przez chwilę tej mrugającej lampce. A potem spoj-I na ścianę, na strzaskany ekran.

Taka sama była tam, na tej kontrolnej tablicy - zauważył, poprawiając wowo okulary na nosie.

Tak, zupełnie taka sama - mruknął zamyślony Leszek. - Walnąłem w nią niem.

Patrz! - Tyndzio wskazał palcem. - Koło tego światełka jest jakiś znak...

Trzy krótkie faliste linie w kole i trójkącie - zamruczał Leszek, pochylane nad głową Datsuna.

To samo było na ekranie - powiedział Tyndzio. - Wiesz, on mógł pracować na tych samych falach.

- Obliział z podniecenia wargi. - Więc jak uszkodził ten ekran na ścianie, to musiałeś zarazem uszkodzić Datsuna. No to jeśli

>wł wspólny układ i Datsun był z nim sprzężony?... Widziałem kiedyś

lewizji taki program o cybernetyce i tam było o sprzężeniu równoległym...

-104-

105-

_ Nie mądrz się — mruknął Leszek — i posłuchaj lepiej; on coś mówi — przyłożył ucho do pozbawionej twarzy głowy. To było makabryczne wrażenie. Datsun nie miał już ust, a wciąż jeszcze mówił.

— Wyłącz mnie! Męcę się. Wyłącz mnie! — powtarzał chrapliwym szeptem, jego ręce z mechanicznym uporem poruszały się nadal, acz w coraz wolniejszym tempie; to próbowały dotknąć głowy, to cofały się, odpychane niewidzialną siłą. Wyglądało, jakby AI niezdarnie i bezskutecznie, choć wytrwale, odpędzał od uszu muchy.

-Nie mogę na to dłużej patrzeć - Tyndzio odwrócił głowę. - Wyłącz go!

-Ale jak?

- Musi mieć jakiś wyłącznik.

- Ale gdzie?

- Pewnie tam, gdzie próbuje sięgnąć ręką. Nad uchem. Bubel bez ceregieli odciągnął ucho robota i zjrzał.

- Tutaj nic nie ma - stwierdził. - Zobacz sam. Cyngiel przetarł okulary.

- poświeć mi! To nie musi być taki wyłącznik jak w radiu - dodał. - To może działać na innej zasadzie.

Leszek skierował snop światła na głowę Datsuna.

- Widzę małą płytkę z dziwnym znakiem, jakby fabrycznym - oznajmił po chwili Tyndzio, wpatrując się w skroń robota! -Taka zwyczajna blaszka... małe wklęsnięcie na tej blaszce.

- Pokaż! — Leszek wsadził bezceremonialnie w to wklęsnięcie palec. Nagle poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. Bolesny dreszcz przeszedł mu po kręgosłupie, w oczach pociemniało, przez moment nie mógł złapać tchu.

W tej samej chwili czerwone światełko w czole Datsuna zgasało, a zapaliły się z powrotem światła w kabinie. Ruchy rąk robota ustały. Ucichła także mii-ł zyka sącząca się ze ścian.

- Brawo, Bubel! Wyłączyłeś go! - wykrzyknął Tyndzio. - I naprawik-i

światło - dodał ucieszony.

Leszek przetrął oczy i spojrzał. Al Datsun był już tylko kupą szmelcu bardziej żywą niż zepsuty odkurzacz.

- Ciekawe, że sam siebie nie mógł wyłączyć... Próbował, a nie mógł, jakby go coś odpychało — zauważył Tyndzio.

I

_ Roboty nie mogą się same wyłączać, chyba że zostaną specjalnie zaprogramowane - Leszek zrobił mądrą minę. - Inaczej popadłyby w straszne lenistwo. Wyłączałyby się przed każdą trudniejszą albo mniej przyjemną pracą... Takjał my - dodał po chwili. - Dlatego mają specjalne automaty... Zapobiegające sobie mowylączaniu - mruknął. - Widziałeś te ręce Datsuna. Były automatycznie odpychane, ilekroć zbliżyły się do wyłącznika. To straszne być robotem.

- Tak, straszne - zgodził się Tyndzio. Wstali z podłogi.

- Trzeba go sprzątnąć - skrzywił się Leszek. - To nieprzyjemny widok i len okropny swąd... Niech go Mufi zanieś na złomowisko.

- Albo wyrzuci w kosmos!

- Co ty, Cyngiel, zaśmiecać kosmos? Masz okropne zwyczaje, jeszcze / naszej planety...

- Odkąd zrobiłeś się taki porządny, flejtuchu!

- Co?! Jak powiedziałeś? - wzburzony Leszek chciał rzucić się na Tyn-tl/ia, ale nagle usłyszeli głos Gigi.

- Chłopaki, mam inny pomysł. Czy nie można by tego robota naprawić? - M i żała się do nich, utykając nieco na nogę. Porażenie od poskramiacza mijało || powoli.

- Co ty?! Naprawić go?! Po tym, co chciał ci zrobić? - wykrzyknął zdziwiony Leszek.

- To przecież robot. Czy można się złościć na robota? - wzruszyła ramionami. - Czy to jego wina, że został tak zaprogramowany? Wystarczy go

! programować inaczej, a będzie wiernie służył nam, a nie Kakurgijczy-'in...

Inaczej zaprogramować? Bagatela! - mruknął Tyndzio. - Najpierw mu-

! / się nauczyć, jak się robi takie rzeczy.

Dowiem się od Mufiego - odparła Giga. - Na pewno zna się na tym. Można spróbować - zgodził się Leszek. - Zaraz go wezwę. Tyndzio aż podskoczył.

Czy wyście oszaleli?! Mufi był sługą Datsuna. Jak zobaczy, cośmy zrobi--! jego panem, zabije nas!

To zależy, jak jest zaprogramowany - wtrąciła Giga. Zaprogramowany... Zaprogramowany... - sapnął zdenerwowany Tyndzio. < ilioje mądrzycie się, sypiecie pomysłami, a to wszystko niewarte funta kła-'^ .. Czyżbyście zapomnieli, że wciąż jesteśmy więźniami, że wciąż lecimy Kakurgię?... I nawet nie wiemy, co tam chcą z nami zrobić... I eszek i Giga umilkli zgaszeni. Rzeczywiście, czy warto podejmować ja-! wysiłki, skoro ich los i tak jest przesądzony...

Zgoda, nasza sytuacja jest okropna - mruknął wreszcie Bubel. - Ale "li (o w tej chwili jedyna istota, od której w ogóle możemy się czegoś dowiedzieć... Więc ja bym z nim porozmawiał... Może uda się od niego icipięgnąć jakieś informacje... Zapytam go, po co nas porwali... A może... •/c nawet uda się go przekonać, żeby skierował „Rheę" z powrotem na Zie-t;:'!...

Przekonać? Już raz próbowaliśmy...

-106-

107-

,F»>t

!"!• ")*

M;

U U I

- W ostateczności — przekupić.

- Nie radzę - wykrztusił Tyndzio. - Zanim go zapytasz, on ci da w czapę...

- Mamy w końcu poskramiacz - przypomniał Leszek.

- Ale czyjego siła wystarczy na tego goryla?

- Jestem za tym, żeby zaryzykować - powiedział Leszek. - No bo jakie jest inne wyjście?

]

- Uważaj, Bubel! - krzyknął nagle Tyndzio i schował się za kanapę. Leszek obrócił się i zamarł z

wrażenia. W drzwiach stał Mufi. O wilku mowa, a wilk tuż! Rozważania chłopców, czy wezwać goryla, okazały się śmieszne i bezprzedmiotowe, bo oto Mufi sam zjawił się bez proszenia i utkwiał wzrok w „zwłokach” Datsuna, jeśli tak można powiedzieć o zepsutym i wyłączonym robocie. Wpatrywał się tak przez długi czas w swojego martwego pana, a czujniki na jego nosie i czole, w jego oczach i uszach pracowały intensywnie. A potem przeniósł wzrok na chłopców, na ścianę z rozbitym ekranem kontrolnym, na nadpaloną rękojeść różna na podłodze. Nic nie uszło jego uwagi. Chłopcy zdrętwieli ze strachu, czuli, że ważą się ich losy. Byli pewni, że Mufi już wid wszystko, zna cały przebieg zdarzeń... Giga miała rację. Wszystko zależy tera od tego, jak Mufi został zaprogramowany. Jeśli jego zadaniem była obrona Datsuna, jeśli w dodatku nie wiedział, że chłopcy mieli być dostarczeni żyw na Kakurgię, mógł wyrzucić na nich zemstę...

Leszek wyciągnął z kieszeni poskramiacz, spocony palec trzymał na spul ście. Był gotów użyć tej przedziwnej broni, ale czy będzie skuteczna w stosunku do tego superroboty?

Tymczasem Mufi wydał głośny pomruk. Był to niewątpliwie pomruk irytacji. Oczy mu się zaiskrzyły. Sapiąc gniewnie, ruszył w stronę Gigi. To zaciskając to otwierał pięści. Muskuł w lewej ręce pulsował mu niebezpiecznie.

Giga cofnęła się przerażona.

- Stój, Mufi! - krzyknął Leszek i wycelował w goryla.

Ale Mufi nie słuchał. Dotknął tego pulsującego miejsca, wsunął palec w kudły i... wyciągnął stamtąd duży, fryzjerski grzebień.

- Jest pani okropnie rozczochrana - odezwał się do wciąż jeszcze struchlałej tej dziewczynki. - Czy mogę panią uczesać?

- Pro... proszę ba... bardzo - wyjąkała.

A więc taki był powód jego niezwyklej irytacji!

Goryl sprawnie uczesał Gigę, otrzepał jej ubranie i przejechał językiem] spodniach, szyszczając wszelkie plamy.

Zadowolony ze swego dzieła obrócił się z kolei do Leszka i do TyndzU który wyszedł był ośmielony z za kanapy.

- Czy mogę panom w czymś pomóc? - zapytał grzecznie. - Pan ma podać ty rękaw i brak guzika - oznajmił, patrząc na Tyndzia.

-108-

Nim Tyndzio zdążył zaprotestować, w ręku Mufiego pojawiła się skrzaka i! la, zapewne elektryczna, w parę sekund później oderwany rękaw był przy-wły, tak samo jak ów brakujący guzik.

Wobec tych służebnych uczynków Giga i chłopcy odetchnęli z niezmierną

i: ul- Stało się bowiem jasne, że z jego strony przynajmniej na razie nic im nie

<)/i. Czyżby uznał, iż jego obowiązki wobec Ala Datsuna skończyły się wraz

śmiercią techniczną tego ostatniego? Aby się o tym upewnić, Leszek zagaił

. i różnie:

- Twojemu panu zdarzył się wypadek, Mufi. Obawiam się, iż nie żyje...

- W rzeczy samej - odparł Mufi. — Mój były pan jest wrakiem. Prześwietli-ti'm go i mogę to uczciwie stwierdzić.

- Czy wiesz, co mu się stało? — zapytał chytrze Leszek, udając nieświadomości.

- Oczywiście — odparł Mufi - ale nie interesuje mnie to.

- Czy... czy chciałbyś go naprawić? — indagował podchwytliwie Bubel.

- Jeśli takie byłoby życzenie państwa.

- A potrafiłbyś?

- To zależy od uszkodzeń...

- A gdybyśmy chcieli zaprogramować go na nowo, czy powiedziałbyś nam, jak to się robi?

- Przykro mi, ale nie wiem.

- Nie wiesz?

- Przykro mi, lecz programowanie jest zastrzeżone wyłącznie dla Akademików. Czy więc chcą państwo, bym reperował Datsuna?

A ty co byś z nim zrobił?

- Wyrzuciłbym go do komory odpadków użytkowych. Bubel spojrział na kolegów nieprzyjemnie zaskoczony.

- Nie lubiłeś go?

Robot niższej kategorii nie może lubić robota wyższej kategorii, może miiii tylko służyć — wyrecytował Mufi.

- Myślałem, że jesteście ściśle sprzężeni z sobą, że łączy was coś głębsze-wtracił Tyndzio. - Pracowałeś chyba na tej samej długości fal, co twój pan wleś przez niego sterowany.

- W rzeczy samej — odparł goryl. — Lecz musi pan wiedzieć, młody czło-u ku, iż posiadam w sobie specjalne superbezpieczniki. W razie awarii robotii i w, z którymi współpracuję, moje układy zostają natychmiast odłączone i żalu >wują nienaruszalną sprawność. Proszę się nie kłopotać śmiercią mego pana. 1 M lej chwili jestem na wasze rozkazy.

- Czy możemy ci wszystko rozkazywać? — zapytał ciekawe Tyndzio.

- Wszystko, co jest w Programie - odparł Mufi. - A zatem, słucham panów.

109-

I

- Wracaj z nami natychmiast na Ziemię - rzekł Tyndzio. — To jest nasz rozkaz.

Mufi milczał przez chwilę, jakby zaskoczony tym, co usłyszał.

- Tego nie ma w Programie — odezwał się wreszcie.

- Rozkazujemy ci, słyszysz?! - krzyknął Leszek.

- Nie mogę zmienić kursu statku - oznajmił Mufi. - Statek jest zdalnie sterowany z Kakurgii na planecie Efen.

- Przecież jesteś pilotem. Widziałem!

- Moim zadaniem jest tylko czuwanie nad stanem technicznym zespołów i podzespołów „Rhei”, aby lot odbywał się bez zakłóceń. Nikt nie ma wpływu na kierunek naszego lotu, tylko baza w Kakurgii.

Chłopcy wymienili zrozpaczone spojrzenia. A więc ich los jest już przesądzony...

- Czy na statku nie ma raket ratowniczych? - zapytał, chwytając się cienia nadziei, Tyndzio. - Chcielibyśmy w takiej rakiecie wrócić na Ziemię.

- Rakiety są, ale wasz powrót jest niemożliwy, ponieważ wszystkie rakiety ratownicze mają z góry zaprogramowany kierunek lotu. A tym kierunkiem jest Kakurgia na planecie Efen.

- Więc nie ma żadnych szans?! Musimy tam lecieć?

- Musicie. -Ale po co?!

Mufi milczał. Jego milczenie nie mogło wróżyć nic dobrego.

- Czy... czy tam grozi nam śmierć? - wykrztusiła Giga.

- Nie - odparł goryl, patrząc na nich smutnym okiem.

- Będą nas męczyć?

- Nie - goryl pokręcił pomalą głową.

- Więc co?! Co z nami zrobią, po co im jesteśmy potrzebni?!

- Żeby przeżuwać kambony — odpowiedział goryl.

- Co takiego?!... Przeżuwać?!...

- Przeżuwać kambony - powtórzył z kamienną twarzą Mufi.

- Robisz nas w konia, Mufi - Leszek próbował się roześmiać, ale mu jakoś nie wyszło. - Co to znów za kambony?!

Mufi podrapał się w pierś, zdradzając goryle zakłopotanie.

- Czy możesz nam to wytłumaczyć w sposób zrozumiały dla ludzi, czy może to przerasta twoją inteligencję? - zadrwił Leszek.

- Mogę wam to wytłumaczyć w ciągu pięciu minut — odrzekł zakłopotany wciąż Mufi i urwał.
- Więc dlaczego tego nie robisz?
- Bo nie wiem, jak to przyjmiecie. Niektórzy ludzie reagują na sprawę zucia kambonów zbyt gwałtownie... Dlatego proponuję wam najpierw wypicie

klanczki soku aberra, który wzmocni wasze nerwy... Niestety, nie zaleca się i/yjmować tego soku na pusty żołądek. Więc państwo pozwolą, że najpierw | ułam obiad. Zaręczam, iż będzie znakomity. Proszę do stołu! - goryl skłonił (,| nisko.

KOZDZ\AIX\

Iropozycja zjedzenia posiłku przyjemnie zaskoczyła całe towarzystwo.

h/ekonali się ostatecznie, że Mufi nie żywi wobec nich wrogich zamiarów, przeciwnie, jest życzliwy i opiekuńczy. Mimo powagi sytuacji ani chłopcy, ni Giga, choć dbała o smukłą figurę, nie mogli się oprzeć pokusie. Po tych sztych strasznych przeżyciach byli porządnie głodni. Nie dali się więc długo imawiać gorylowi. Dopiero gdy już zasiedli przy stole, w Leszku obudziły u,- podejrzenia.

- Tylko, Mufi, bez sztuczek tym razem! - ostrzegł surowo robota. - Nie | ladomo, jak cię zaprogramowali.
- Nie rozumiem... — goryl zamrugał oczami.
- Nie próbuj nam wcisnąć narkotyku albo innego świństwa. Tym razem nie l niemy niczego, zanim nie przekonamy się, jak to działa...
- Najlepiej wypróbować na jakimś zwierzaku - rzucił myśl Tyndzio.
- Słusznie! Przynieś jakiegoś psa albo kota, Mufi; ostatecznie może być uilik.
- Przykro mi, ale nie mamy na statku psów, kotów ani królików - oznajmił i/ccznie Mufi. — Mogę jedynie zaproponować świnkę morską.
- Może być świnka - zgodził się Leszek — byle prawdziwa, taka jak u nas i Ziemi, a nie jakiś robot.
- To jest prawdziwa, żywa świnka morska - powiedział goryl.
- Macieja tu, na statku? - zapytał podejrzliwie Tyndzio.
- Tak. W laboratorium pana profesora Farfalli. Chłopcy i Giga zaskoczeni spojrzeli na siebie.
- Jak to?! - wykrzyknął Bubel. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że prócz m.is tu, na „Rhei”, jest jeszcze ktoś z naszej planety.
- Owszem - uśmiechnął się goryl. - Profesor Farfalla.
- Profesor?
- Z Paryża. Wykładowca biochemii na Sorbonie. Pracuje od lat dla Progra-

mu.

- L10-

-111-

I!

- Czy... czy też został porwany tak jak my? Mufi skinął głową.
 - Siedem lat temu, to znaczy podczas sto dziewięćdziesiątej podróży „Rhei”. _ To co teraz robi na pokładzie?
 - Był w pewnej dyskretnej misji na was2ej planecie, a przy sposobności odwiedził rodzinę. To już zresztą jego trzecia wizyta na Ziemi.
 - pozwolili mu? Nie bali się, że ucieknie?
 - Czemu miałyby uciekać? - zdziwił się Mufi. - Nie ma żadnych podstaw do tego rodzaju obaw.
- Został starannie zaprogratnowany, zresztą u nas ma większe pole do popisu. Otrzymał to, czego najbardziej pragnął - superlaboratorium na satelicie, nieznaną na Ziemi technikę, doskonałe warunki do pracy. Jest w tej chwili niewątpliwie największym uczonym Waszego świata. Po prostu wie najwięcej ze wszystkich uczonych ziemskich, najdalej zaszedł w badaniach.
- _ Chcemy z nim zaraz porozmawiać - przerwał Leszek. _ W tej chwili to niemożliwe - rzekł goryl
- A kiedy będzie możliwe? - dopytywał się Leszek.
 - Za parę miesięcy. _ Jak to?...
 - Profesor Farfalla zapadł w sen hibernatyczny. _ Co to znaczy?

_ Dał się oziębic w specjalnej sypialni do bardzo niskiej temperatury. W ten sposób spędzi, nie nudząc się, spory Szmak czasu w stanie głębokiego! snu. Po upływie tego czasu komputer kontroiny rozgrzeje go i obudzi...

- Nnniesamowite - Tyndzio zadzwonił Lębami.

- Jeśli państwo sobie życzą- rzekł grzeCznie Mufi - mogę zaraz zaprowaj dzieć do sypialni hibernatycznej i usnąć na jakjś czas... powiedzmy, na początek na trzy miesiące.

- Nie... Nie, dziękujemy na razie - przestraszył się Leszek. - Lepiej przyj nieś to żarcie, Mufi!

- Rozumiem. Panowie chcieliby się przespać po dobrym obiedzie.

_ Nie... Niezupełnie, na razie w ogóle Wstrzymamy się od oziębienia i: sypiania.

_ Rozumiem. Państwo nie są znudzeni anj znużeni, państwo chcieliby za bawiać się w laboratoriach jak profesor Farfana na początku, kiedy jeszcz wszystkim się dziwił. Zaraz zaprowadzę iam państwa...

- Nie, Mufi, obawiam się, że nie umielibyśmy się w to bawić - rzekł zakłcj potany Tyndzio. - My za mało wiemy... To znaCzy właściwie nic nie wierTM i nic nie umiemy.

_ Och, to żadna przeszkoda - machnął ł^ goryl. - Wystarczą na początek dwa, trzy seanse z Epele i już będziecie mogli robić pierwsze doświadczenia.

- Co to jest Epele?

- Aparatura do nauki bezpośredniej. Za pomocą Epele wszczepia się wie-il/ę wprost do mózgu, bez udziału świadomości, najlepiej podczas snu.

- Ależ to cudowne! — podskoczyła Giga.

- Do pewnego stopnia - odparł goryl. - Jak wykazały badania przeprowadzone na ludziach w pracowniach naszej Akademii, mózg uspiiony przyjmuje tylko dziesięć procent tego, co mózg uczący się świadomie...

- Nam zupełnie wystarczy dziesięć procent - rzekł skromnie Bubel.

- Tak jest - potwierdziła Giga. - Podłączysz nas na noc do tego Epele, Mufi. Z dziesięcioma procentami i tak będziemy najmądrzejsi w naszej budzie.

1 Zakasujemy samego Pieśniewicza.

- O... o ile wrócimy - zauważył smętnie Cyngiel, przecierając okulary. Umilkli. Dobry nastrój przysł.

- Chy... chyba niepotrzebnie wam przypomniałem - stropił się Tyndzio. -! >nwaj ten obiad, Mufi, może to im poprawi humor, bo mnie poprawi na pewno...

- A nie zapomnij o śwince — dorzucił Leszek.

- Ośmielam się zauważyć, że świnka morska jest roślinożerna i nie będzie chciała próbować potraw mięsnych. Nie znosi także większości napojów, które >.ińs(wo zamówili poprzednio - rzekł z uśmiechem goryl.

Do licha, nie pomyśleliśmy o tym!

Proponuję dać potrawy do degustacji robotowi kontrolnemu Udu. Pan •lolcsor Farfalla, który cierpi na żołądek, często korzysta z jego usług. Dobrze, dawaj tego Udu!

Mufi wybiegł. Po dwu minutach wrócił z wielką tacą z obiadem i z robo-rin I Idu w kieszeni.

(liga i chłopcy najpierw zainteresowali się robotem-degustatorem. Udu był !•i itiMTi składanym. W stanie złożonym stawał się potem kieszonkowym, wiel-małego aparatu fotograficznego. Uwagę zwracał jego narząd gębowy, mający jednocześnie rolę ssawki, łyżki, noża, widelca i szczypiec. Za po-i lego instrumentu Udu sprawnie i szybko pobierał próbki podstawionej i wy lub napoju, prznosił je do otworu gębowego i po dwu, trzech sekun-i wyświetlał wyniki analizy na swym płaskim czole. I 'cgustacja obiadu wypadła pomyślnie. Na czole Udu zapalił się spokojny u.i! w postaci zielonej gwiazdki, co oznaczało, że przyniesione jedzenie nie li ujące. Z wyświetlonych wskaźników wynikało zaś, iż jest bogate w skład-'ti/ywczce, łącznie z witaminami, i łatwo przyswajalne. | ispokoniejszy głód, Bubel wrócił do tematu. I o był wspaniały obiad, Mufi, ale czas, żebyś nam opowiedział, co obie-

i o znaczy? — goryl łypnął okiem, udając, że ma krótką pamięć.

-112

-113-

- To znaczy wszystko o kambonach i przeżuwaczach!

- Do usług - skłonił się Mufi. - Ale w jakim kolorze mam opowiedzieć? Państwo życzą sobie w kolorze niebieskim czy czerwonym, a może żółtym?

- Nie rozumiem - powiedział Leszek.

- Kolor niebieski stosujemy dla tych, co mają słabe nerwy, nie znoszą złych wiadomości i chcą, żeby każda rzecz wyglądała przyjemnie i nie miała kantów. Kolor czerwony stosujemy dla tych, co lubią być straszeni i uwielbiają ponad wszystko dreszcz emocji, szukają mocnych wrażeń, wielkich przeżyć, pragną igrać z niebezpieczeństwem, kochają grę i ryzyko. Kolor żółty natomiast stosujemy dla osobników praktycznych, których interesuje przede wszystkim, czy w Kakurgii jest pole do działania dla cwaniaków, czy mogliby się tam urządzić lepiej od innych nieszczęśników i patrzeć na nich z góry. Mogę także sporządzić dla państwa, na specjalne życzenie, mieszankę z dwu lub trzech kolorów i opowiedzieć wszystko na przykład w kolorze żółto-niebieskim, co dałoby kolor zielony, szlachetny kolor proroka Mahometa...

- Nie interesują nas żadne farbowane opowiadania - przerwał zniecierpliwiony Leszek. - Masz nam powiedzieć po prostu prawdę, całą prawdę i tylko prawdę! Ani mniej, ani więcej. Czy potrafisz tak mówić, Mufi?

Goryl miał bardzo stropioną minę.

- To będzie najtrudniejsze. Szczerze mówiąc, nie przywykłem do takiej mowy, ale skoro koniecznie chcecie...

- Tak, Mufi.

- W takim razie proszę mnie zaprogramować na obiektywizm.

- Obiektywizm? Co to znaczy?

- To znaczy, że powiem wtedy śmiało, bez oglądania się na nic i na nikogo jak rzeczywiście sprawa wygląda. Czy o to państwu chodziło? i

- Tak, właśnie o to!

- W takim razie proszę nacisnąć ten kryształowy guzik na moim grzbiecie ostatni od góry - goryl obrócił się plecami do Leszka.

Między kudłami zwierzęcia w okolicy środkowej części kręgosłupa Le-j szek zauważył kilka kolorowych guzików. Bez wahania nacisnął ostatni, przejrzyście jak kryształ...

Mufi jęknął. Widać było, że mówienie prawdy, całej prawdy i tylko prawdy sprawia mu duży kłopot, a może nawet ból. Z pewnością jego podzespoły stawiały duży opór.

- No, Mufi, na co czekasz! Już jesteś przełączony na ten... ten obiektywizm, więc mów! — zdenerwował się Leszek.

Goryl nateżył się. Włosy mu się zjeżyły, dziwne światło rozjaśniło skórę, jakby promieniował od wewnątrz, oczy rozbłysły jak dwa skrzące kryształy., j Wreszcie zdołał pokonać opór podzespołów i przemówił.

- Kambony są to zielonawoniebieskie, gruboszowate chwasty, nieco podobne do waszych ziemskich kaktusów.

- Chwileczkę, po kolei, Mufi - przerwał Leszek. - Zostawmy na razie imbony, a wróćmy na chwilę do naszego spotkania w zoo. Jedna myśl nie

lijc mi wciąż spokoju... że dałem się nabrać Datsunowi jak przedszkolak. Podobnie, czy to była z góry przez niego przygotowana zasadzka? Czy wiecie, że ja będę w ogrodzie? Czy przyszlście tam umyślnie, by mnie zła-P.Ć?

- Nie - odparł Mufi. - Tego dnia przyszlśmy tam, żeby odnaleźć szczura I liuri, proszę pana.

- Szczura?!

- Szczur Thuri występował wraz z nami w cyrku „Kosmos”. Jeśli pan był w tym cyrku, z pewnością pamięta pan ten numer. Tresura szczurów. Sto ru-vch gryzoni, trzymając zębami jeden drugiego za ogon, tworzyły wielkie, żywe, huśtane girlandy. Kołyszac się coraz dalej i wyżej, przelatowały tuż nad łowami widzów w łóżach i pierwszych rzędach krzeseł...

- Pamiętam - przerwał Leszek — ludzie zrywali się z miejsc... krzyczeli emocji i ze strachu, a niektórzy z obrzydzenia... Czy te szczury były prawdzi-

! C?

Mufi potrząsnął przecząco łbem.

- Jak większość innych gwiazd tego cyrku, były to roboty mojej kategorii wykonawcy zadań Programu. Niech się spełni. Ich występy w cyrku, podobnie jak nasze, kamuflowały różne tajne misje, stanowiły tylko parawan dla dzian w służbie Kakurgii. Każde zwierzę miało swoją specjalność. Specjalnością

czurów była łączność z Bazą w kosmosie. Przekazywały meldunki za pomocą zakodowanych sygnałów dźwiękowych. Nadzór nad nimi, zarówno w wypadkach na arenie, jak i w służbie specjalnej, miał stary kłown-akrobata noszący pseudonim Datsun...

- Ach, tak! - wykrzyknął Leszek.

- Parę tygodni temu zdarzył się wypadek. Wielki pies wpadł podczas występów na arenę i złapał za ogon szczura Thuri. Zerwał w ten sposób girlandę i popsuł cały numer. Lecz nie to było najgorsze; najgorsze było to, że wskutek pogryzienia szczur Thuri doznał rozległych uszkodzeń wewnętrznych, zbiegł

cyrku, wyłamał się z Programu i zaczął nadawać bezładne, nieskoordynowane sygnały, krótko mówiąc, zakłócił całkowicie łączność z bazą, a praktycznie

zablokował. Datsunowi zlecono odnalezienie i zlikwidowanie zbiega. Rozpoczął więc energiczne poszukiwania. Ja i nosorożec Rugi mieliśmy w bud-

owane najlepsze lokalizatory nasłuchowe, więc wziął nas do pomocy. Już w czasie trzeciego spaceru po Warszawie udało mi się zlokalizować szczura Thuri w okolicy zoo. Należało teraz ustalić dokładnie jego kryjówkę i unice-

-114-

-115-

stwić go. Udaliśmy się więc do ogrodu i tam już bez kłopotów wykonaliśmy pomyślnie zadanie.

Właśnie zmierzaliśmy do wyjścia, gdy Datsun zauważył pana... Ponieważ był pan wytypowany do porwania, postanowił skorzystać

z okazji... przykro mi...

Ale myśl Leszka krążyła już wokół innej sprawy.

- Więc ta muzyka jaką słyszałem przy basenie, to nie było złudzenie!

- To była muzyka szczura Thuri - odparł Mufi. - Pozbierał się trochę w tej wodzie i dokonał samonaprawy podzespołu harmonizującego dźwięki. Ukryty w basenie całymi dniami grał...

Zwłaszcza gdy nikogo nie było

w pobliżu.

- Wszystko już jasne, Mufi - rzekł niecierpliwe Tyndzio. - Wracajmy do kambonów.

- Tak jest, proszę pana - Mufi skłonił się lekko, odchrząknął i ciągnął dalej: - Kambony do tej pory stanowią podstawę wyżywienia Kakurgijczyków. Niestety, od pewnego czasu narządy trawienne mieszkańców planety Efen uległy daleko posuniętemu zwyrodnieniu...

- Od pewnego czasu?

- Mniej więcej od dwu tysięcy lat. To bardzo stara rasa - ciągnął Mufi. Wskutek tego zwyrodnienia organizm Kakurgijczyków nie wydziela odpowiednich enzymów potrzebnych do strawienia twardych i ościstych kambonów, więc mieszkańcy tej nieszczęsnej planety muszą zatrudniać specjalnych przeżuwaczy kambonów...

- Czy nie mogą zamiast kambonów jeść ciastek? - zapytała Giga.

- Ciastek? - zdziwił się goryl.

- Albo przynajmniej bułki... — dodał Tyndzio. — Plus sałata i pomidory. Z pewnością mają więcej witamin niż kambony.

- A w każdym razie ziemniaki - zauważył Leszek. - Gotowane ziemniaki są lekko strawne.

- I tanie - dodał Tyndzio.

- Niestety, to niemożliwe - odparł goryl. - Planeta Efen ma glebę pustynną i wyjałowioną, a w

dotadku katastrofalnie zatrutą przez niszczycielskie działanie ścieków, odpadów i wyliwów fabrycznych, które trwa już tam od trzech tysięcy lat. Na glebie planety Efen nic już nie może rosnać prócz kambonów, ale nawet kamfony z roku na rok dają coraz mniejszy plon i są coraz bardziej

twarde i ościste...

Chłopcy milczeli przez chwilę zaskoczeni.

- Nie rozumiem - powiedział wreszcie Leszek. - Jeśli Kakurgijczycy to taka stara rasa, jeśli przemysł i technika stoi na tak wysokim poziomie, czemu nie dali sobie rady z tym zatruciem... przecież można zbudować oczyszczalnię i filtry... I w ogóle...

- Tak, można było i Kakurgijczycy stosowali to z powodzeniem do pewne-i'.o czasu... lecz nie powiedziałem wam jeszcze całej prawdy, najbardziej ponu-icj prawdy... Otóż planeta Efen była do niedawna planetą ustawicznych, najbardziej niszczycielskich i krwawych wojen w całej galaktyce. Ostatecznie K akurgia pokonała inne państwa i zawładnęła całą planetą Efen, ale za cenę irwałego i nieodwracalnego skażenia jej gleby. Zatrucie jest tak silne, iż nie liomogajuz żadne oczyszczalnie i filtry. To skutek stosowania broni chemicznych i jądrowych... O ile w ogóle orientujecie się, o co chodzi...

- Widzieliśmy w kinie i w telewizji, jak taka bomba wybuchła... — bąknął lyndzio. — To straszne, co opowiadasz, Mufi, i w dodatku te kamfony... Więc ! Mii nas po to porwali...

- Jak już powiedziałem - potwierdził Mufi — Kakurgijczycy potrzebują 111 ewolników do przeżuwania kambonów... Początkowo rolę przeżuwaczy speł-iiiły ukumlele...

- Ukumlele? Co to takiego?

- Były to zwierzęta żyjące w górach pomocnych planety Efen, trochę podobne do waszych kóz, a trochę do świń. Kakurgijczycy wprowadzili je do hodowli na wielką skalę i zmuszali do przeżuwania kambonów, jednakże po ; i Ikudziesięciu latach ukumlele zwyrodniały: coraz częściej padały ofiarą śmier-

lnych epidemii, straciły wszelką odporność i obecnie prawie całkowicie wy-|inęły. Nad Kakurgią zawisło widmo głodu i śmierci. Na szczęście podjęto na •as dalekie wyprawy międzyplanetarne i kosmiczne w poszukiwaniu nowych /eżuwaczy. Większość statków zaginęła w otchłaniach kosmosu bez śladu, ne powróciły z niczym, ale „Rhei" poszczęściło się. Stosunkowo niedaleko Ikryła cudowną planetę Ziemię w systemie gwiazdy, co się nazywa Horro, l>() waszemu — Słońce. W górach Ziemi schwymano rogate zwierzę podobne nieco do ukumlela, |uldano je badaniom naukowym i stwierdzono, ku radości całej Kakurgii, iż |fidukuje ono enzymy potrzebne do trawienia kambonów. Wysłano więc po-|wnie statek na Ziemię z poleceniem nałapania tych zwierząt oraz im podob-i h. Po kilku dniach nocnych łowów statek powrócił na Kakurgię z pokaznym lunkiem kóz, muflonów, owiec, reniferów i karibu... Na Kakurgii założono >rzymie fermy tych zwierząt. Wkrótce rozmnożyły się one do milionów sztuk, awało się, że problem przeżuwaczy na zawsze został rozwiązany, lecz ryło przyszło srogie rozczarowanie. Gigantyczne inwestycje poszły na marne, nika nie wzięła bowiem pod uwagę ubocznego działania kambonów na zwie-ta ziemskie. Pod wpływem długotrwałego spożycia i przeżuwania karn-nów wystąpiły u nich niebezpieczne zakłócenia w funkcjonowaniu gruczo-i. dokrewnych. Zwierzęta te zaczęły osiągać w krótkim czasie potworny wzrost kudziesięciu metrów i rozmnażać się w coraz bardziej przyspieszonym tem-

- 116-

-117-

pie. Co gorsza, stawały się złośliwe, agresywne i wszystkożerne. Wiecznie głodne, atakowały każdego, kto znalazł siew ich zasięgu. W ciągu jednego tygodnia pożarły trzydziestu ośmiu dozorców i pastuchów, a wreszcie w ataku szału rozwały mury i ogrodzenia farm i ruszyły Przed siebie> niszcząc wszystko, co napotkały na drodze. Musiano zastosować przeciwko nim zapory ogniowe i gazy usypiające. Część zwierząt wyginęła, inne zajęły górzyste niedostępne tereny w północnej części Efeny. Uczeni z Kakurgijskiej Akademii Nauk próbowali oczywiście zwalczać te przykre anomalie u przeżuwaczy i powstrzymać ich wzrost przez odpowiednie zaprogramowanie ich mózgu. Wysiłki Akademików skończyły się jednak niepowodzeniem- Okazało się, że mózg tych

istot jest za mało rozwinięty i za mało pojemny, by można go skutecznie zaprogramować. I wtedy zaprzestano hodowli zwierząt, a skierowano uwagę na człowieka. Wprawdzie przeżuwa on dość powoli i w stanie dzikim, u siebie, na Ziemi, wydziela dość skąpe enzymy, niewystarczające do rozkładu kambonów, lecz za to posiada odpowiedni mózg i w pewnych warunkach daje się dokładnie zaprogramować. Czyli można go łatwo przystosować do wypełniania zgoła niezwykłych funkcji, a więc i do intensywnego przeżuwania...

Podczas kolejnego lotu na Ziemię schwytano na próbę jednego człowieka, który w ciepłą noc majową spał na ławce w londyńskim Regent Park. Był niechlujnie ubrany i niezupełnie rozgarnięty, jednakże próby laboratoryjne z mm wypadły doskonale. Dał się bezbłędnie zaprogramować i potrafił po zaaplikowaniu mu pewnych środków dokładnie przeżuwać kambony przez równe dwadzieścia godzin...

Od tego czasu systematyczne wyprawy naszych statków na Ziemię zapewniają nam dostawy coraz to liczniejszych przeżuwaczy... Oto wasz los, mili, państwo - zwrócił się do struchlałych chłopców i Gigi.

ROZPZIAŁ XIII

, Jiewymownie mi przykro - powiedział Mufi, widząc przerażenie na twarzach słuchaczy. - Uprzedzałem szanownych państwa, że wiadomość o konieczności żucia kambonów dla wielu bardziej wrażliwych osób może być nieprzyjemna, a nawet szokująca, i dlatego proponowałem podanie jej w kolorze niebieskim, lecz państwo zmusili mnie do powiedzenia prawdy, całej prawdy i tylko prawdy. Obecnie pozostaje mi już tylko ratować nerwy państwa szklaneczką soku aberra. Mufi zdjął z tacy nietkniętą do tej pory kanciastą butelkę z czerwonym I apsem i takiegoż koloru etykietą.

- Jak to działa? - zapytał podejrzliwie Leszek.

- Zapomną państwo o tym, co ich najbardziej dręczy — wyjaśnił Mufi. — list to wybieracz smutnych myśli, powszechnie stosowany w Kakurgii, niezabójczy i całkowicie nieszkodliwy dla zdrowia. Wspomniany już przeze mnie list, spółtowarzysz podróży szanownych panów, pan profesor Farfalla, zażywał go i codziennie rano i przed snem. Wypił już podczas tego rejsu sto dwadzieścia nadem butelek soku aberra wzmocnionego; jest to specjalna odmiana dla ludzi, którzy dużo myślą, lecz państwu wystarczy, jak sądzę, aberra zwykła.

- Może byśmy spróbowali - jęknął Tyndzio - mały łyżeczek na początek?

- Ani się waż! - syknął Leszek.

- Czemu? Skoro nawet profesor Farfalla...

- Posłuchaj, zapomnieć o kambonach, to znaczy przestać myśleć o tym, co ci czeka, to znaczy nic nie robić, żeby się z tego wykaraskać, to znaczy poddać

u;... Chcesz się poddać, Cyngiel? Chcesz zostać do końca życia przeżuwaczem?

- Nie... Za nic, to okropne! — przestraszył się Tyndzio.

- A ty, Giga? - zapytał Leszek.

Giga zadrżała na samą myśl o przeżuwaniu kambonów.

- Daj spokój, wołałabym umrzeć.

Leszek, choć błąd jak trup, stanął odważnie przed gorylem i powiedział, larając się ukryć drżeniem głosu:

- Zabierz tę butelkę, Mufi. Nie będziemy pić soku aberra. Nie powinieneś nas do tego namawiać.

Mufi spojrział na nich zaskoczony.

- Chciałem tylko państwu pomóc.

- Więc myślisz, Mufi, że jedyne, co nam pozostało, to picie tego soku? Mufi spuścił głowę, zwiesił uszy i poczerniał jeszcze bardziej na swej go-

lej twarzy, co prawdopodobnie oznaczało u niego głębokie zawstydzenie czy z zakłopotanie.

- Nie powiedziałaś nam jeszcze całej prawdy, Mufi, a nieładnie! — powiedział Leszek.

- Ja? Nie powiedziałem? — Mufi zamrugnął śmiesznie oczyma.

- Nie powiedziałaś nam najważniejszej rzeczy: dlaczego porwano właśnie is?... Czy nie było od nas lepszych na Ziemi?

- My... my nie bardzo nadajemy się na przeżuwaczy - dodał Tyndzio jęklonie. — Jesteśmy

niecierpliwi i nieporządni.

- A mnie właśnie boli ząb. Miałem nawet iść do dentystki — oznajmił Le-//ck. — Ja w ogóle nie mogę żuć, nawet gumy, a co dopiero kambony. Powie-il/iałość, Mufi, że one są bardzo twarde i ościste.

- 1 18-

-119-

- Pana ząb nie ma żadnego znaczenia - rzekł Mufi. - Nawet najzdrowsze zęby ludzkie ulegają zniszczeniu już po paru dniach żucia kambonów. Po przyjeździe na Kakurgię wszystkie wasze zęby zostaną usunięte i zastąpione odpornymi, przystosowanymi do intensywnego żucia patentowanymi zębami produkcji kakurgijskiej firmy „Ukumlele-Kambon”. Decydujący jest nie stan zębów, ale stan waszych umysłów...

- Stan umysłów? - zdziwił się Leszek.

- Czyli to, co macie w głowie - wyjaśnił Mufi. - Jak już wra wspomniałem, do żucia kambonów ludzie muszą być odpowiednio zaprogramowani, a do zaprogramowania najbardziej nadają się umysły niewyćwiczone, proste, niekształcone, o małym zasobie wiadomości, lecz umieszczone w mózgach zdrowych, młodych, pojemnych i chłonnych, żeby można było łatwo je naładować... Chłopcy i Giga poczerwienieli z gniewu.

- Co?! Co takiego?! - wykrztusił urażony Leszek. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że Al Datsun wybrał mnie, Gigę i Cyngla, bo... bo mamy pusto w głowach? Bo uważał nas za ciemniaków?! Mów całą prawdę! Pamiętaj, co

obiecałeś, Mufi!

- Tak, dlatego was wybrał - odparł Mufi. - Doszedł do wniosku, że jesteście najgorszymi, najbardziej leniwymi uczniami w waszym mieście, że najmniej wiecie i dlatego najlepiej nadajecie się na przeżuwaczy... Od dłuższego już czasu potajemnie śledził was i obserwował. Oburzeni chłopcy i Giga nie mogli wykrztusić słowa.

- To... to jakaś bzdura! - wyjąkał wreszcie Cyngiel. - To przecież niemożliwe żeby w całym mieście nie było głupszych od nas!

- Zapewne... Nie śmiem wątpić - odparł grzecznie Mufi. - W rzeczy samej znalazłoby się w waszym mieście mnóstwo głupszych od was, to znaczy z niższym ilorazem inteligencji, lecz przecież, jak powiedziałem, chodziło, żeby wybrać głowy zarazem puste i pojemne, to znaczy na razie puste, ale nadające się do łatwego wypełnienia tym wszystkim, co przewiduje Program...

- Program przeżuwania kambonów?

- W rzeczy samej - skłonił się lekko Mufi. - Wy wszyscy troje spełniali-ście ten warunek. Mielicie czaszki zarazem wystarczająco pojemne, zdrowi i chłonne, jak też nie zaśmiecone niepotrzebnymi wiadomościami, mezapapra-ne tą papką szkolną, którą wam do łbów bezskutecznie próbowali przez szes< lat wpakować wasi nauczyciele z Tupalką włącznie. To właśnie idealna sytuacja... Pomyślcie, takie wielkie, wspaniałe, przestronne czaszki wypełnić po brze" gi jedną jedyną instrukcją, jednym jedynym programem... Będą z was dosko nali przeżuwacze!

- To się jeszcze okaże — wykrztusił Leszek.

Wszyscy troje przez chwilę rozważali głośno to, co usłyszeli od Mufiego.

- Chwileczkę, Mufi — zwrócił się nagle do goryla Tyndzio. — Z tego, co powiedziałeś, wynika, że jak ktoś ma dużo wiadomości we łbie, to go na Ka-kuigii trudno zaprogramować.

Co pan powiedział? — goryl zamrugał oczyma.

- Powiedziałem: jak ktoś ma głowę wypchaną, to z nim idzie wam gorzej...

- Oczywiście... Wymaga to bowiem uprzedniego prania i płukania mózgu, lMitem suszenia. Są to nader uciążliwe zabiegi, a ich wynik nie jest pewny.

> ly nie mamy gwarancji, czy w płukanym mózgu, który, jak wiecie, posiada lC zakamarków, nie zostaną jakieś osady i męty. Zrazu nasi specjaliści pró-ali na Ziemi łapać i wysyłać na Kakurgię ludzi o najpojemniejszych umyli, wybitnych uczonych, profesorów i artystów. Lecz były tak duże kłopoty l1 ikaniem ich mózgów, że zrezygnowano i zdecydowano się poprzestać na ni u obiecującej młodzieży. Właśnie z profesorem Farfallamamy taki kłopot. ni że jego mózg został dokładnie przepłukany i zaprogramowany, co pewien

odzywają się w nim niestłumione ludzkie instynkty i nawyki. Przeżuwane / niego kambony nabierają wtedy obrzydliwego smaku żółci, stęchlizny albo utych jaj. Wielu Kakurgijczyków pochorowało się od tych kambonów. Ale u ni nie będzie takich kłopotów... Wasze czaszki są niezbyt zaśmiecone.

A gdybyśmy je sobie zaśmiecili? - przerwał nagle Tyndzio.

Co takiego?! - goryl zdębiał wyraźnie.

Będziemy lecieć na planetę Efen bardzo długo — powiedział Bubel. —

! ten czas zdążymy sobie, jak ty to nazywasz, zaśmiecić mózgi stkimi wiadomościami, których uczą w szkole, poupychamy, ile się tylko

! •by nie zostało nic pustego miejsca!

Żeby na Kakurgii nie mogli nas zaprogramować! — wykrzyknął podnie-lyndzio.

Mamy przecież pełne teczki książek! - ożywiła się Giga. - Co o tym !s/, Mufi? ' lufi podrapał się zaaferowany w okolicy swojej gorylej zuchwy.

Nie sądzę, aby to się wam udało, szlachetni państwo — zamruczał. — Przez

! ikie lata szkolne, począwszy od pierwszej klasy, byliście najbardziej leni uczniami. Datsun dokładnie to zbadał. Czyż nie tak było?

I ak, ale to było na Ziemi - odparł Leszek.

I... i nie musieliśmy żuć kambonów — dodała Giga.

I nawet nam do głowy nie przyszło, że możemy zostać porwani na plane-

II wysapał Tyndzio.

lak jest, Mufi, zgodzisz się, że to zmienia sytuację - oświadczył Leszek. !iczysz, dostaniemy taki napęd do nauki, że zakasujemy najmądrzejszy !uter!

- 120-

-121-

r

-Nic z tego. Nawet gdyby wam się to udało, nie wykręcicie się jeszcze od żucia kambonów - odparł goryl. - Nie, moi drodzy państwo, to byłoby zbyt proste i zbyt łatwe, gdyby wystarczyło tylko nabić sobie głowy szkolnymi wiadomościami. Nie powiedziałem wam jeszcze wszystkiego. Same wiadomości nie wystarczą. Trzeba spełnić jeszcze jeden trudny warunek...

- Jaki? Mów, jaki, Mufi! - wykrzyknęli chórem.

r .

Goryl już otworzył usta, by powiedzieć, gdy nagle stało się z mm cos dziwnego Zesztywniał.

Wszystkie włosy na jego kudłatym cielsku zjeżyły się nagle, a w oczach, to w jednym, to w drugim, zaczęły się pojawiać czerwone, jakby ostrzegawcze błyski.

- Mufi, co ci się stało?! - przestraszyli się.

_ Znalazłem... się... w polu... zakazanym!... Znalazłem... się... w polu... zakazanym - wykrztusił.

- Co to znaczy, Mufi?

-Nic już nie powiem . Nic już nie powiem... -bełkotał. - Ta wiadomość... którą . chcecie... usłyszeć...

jest zastrzeżona tylko dla mędrców Kakurgu... Żadne roboty, nawet roboty pierwszej kategorii nie mają prawa... głośie... wia-j

domości... zastrzeżonych.

- Mufi, nie bój się, powiedz nam... - nalegał Leszek.

- Mufi, zrób to dla nas - błagała Giga. - Wiesz, jak cię lubimy.

- Mufi, to dla nas bardzo ważne -jęknął Tyndzio. - Powiedz, nikt się n« dowie, że nam powiedziałaś, Mufi...

- Nie mogę - odparł goryl. - Paraliżuje mnie bariera elektroniczna. _ Przełam ją, Mufi, skoncentruj się, natęż!

-Nie potrafię...

- Spróbuj, na pewno potrafisz! Taki zdolny robot!

_ Przykro mi, ale nie mogę przełamać tej bariery -jęknął goryl. - Bardz chciałbym wam pomóc, ale jestem tylko robotem... jestem tylko robotem powtórzył smutno.

_ Mufi, posłuchaj.

_ przepraszam, ale muszę wracać do kabiny pilota. Nadszedł czas kontro! zespołów nawigacyjnych

- powiedział goryl i odszedł ze spuszczoną głową.
- Na niego nie można już liczyć - mruknął ponuro Leszek. I -1 co teraz? - zapytał Tyndzio.

Zapadło długie milczenie.

- Może profesor?... - odezwała się nagle Giga.

- Kto?

- Zapomnieliśmy o tym uczonym, co się kazał uśpić w zamrażarce.

-Farfalla?

- Jest profesorem Sorbony - przypomniała Giga. - Powinien wiedzieć.

- Myślisz, że powie? - Tyndzio miał jak zwykle wątpliwości.

- Czemu nie miałby powiedzieć?

- Bo jest zaprogramowany — przypomniał Tyndzio.

- W każdym razie spróbujmy z nim porozmawiać - rzekła Giga.

- Niezła myśl - poparł ją Bubel. - Chodźmy!

- Jest przecież zamrożony - zauważył Tyndzio.

- Trudno, to zbyt poważna sprawa. Musimy go odmrozić.

Kabiny hibernacyjne, według planu wywieszzonego w korytarzu, znajdowały się w tylnej części górnego pokładu w sektorze H. Nie zwlekając ani chwili, wspięli się na górny pokład, lecz tu spotkało ich przykre rozczarowanie. Drzwi wiodące do sektora H były zablokowane. Napis umieszczony na nich głosił:

Wstęp wzbroniony] 'oektor ścisłego odosobnienia pod osobistym nadzorem komandora rejsu Leszek obejrzał drzwi od góry do dołu.

- Nie widać tu żadnego zamka - stwierdził.

To są drzwi otwierane sygnałem elektronicznym - odrzekł Tyndzio. -> lałem o takich zamkach w „Młodym Techniku”.

Popatrz, Giga, jaki mądry. I jego przezywali Matołem Klasowym! - za-il Bubel.

On ma rację. Te drzwi można otworzyć tylko specjalnym impulsem... | I ziałam kiedyś, jak to pokazywali w telewizyjnej sondzie — rzekła Giga.

No to klops - westchnął Leszek. - Skąd wytrzaśniemy taki impuls?

Zaraz... coś mi chodzi po głowie - zamruczał Tyndzio, przecierając ner-|Hdwo okulary. — Tam napisano: „pod osobistym nadzorem komandora rejsu”. M" jest komandorem rejsu?

Oczywiście Datsun — odparł Bubel.

Trzeba więc użyć Datsuna. Drzwi powinny się otworzyć na jego sygnał. |iv. jasna, rozumię nieco teoretycznie — zastrzegł się Tyndzio.

Bardzo teoretycznie. Zapomniałeś, że Datsun jest trupem.

Można go wskrzesić na chwilę.

To kupa szmelcu.

Jeszcze się ruszał, a nawet bredził przed wyłączeniem. Jestem pewien, że * \'.vlał także bezładne impulsy. Każdy robot typu Datsuna jest zarazem swo-»t" rodzaju nadajnikiem i odbiornikiem różnych impulsów. Być może jeden | iwli impulsów otworzy drzwi...

Rzecz jasna, rozumiesz teoretycznie — rzekł drwiąco Bubel.

Niezupełnie. Jeśli będziemy mieli szczęście...

Dużo, dużo szczęścia - dodała Giga.

-122-

-123-

— No więc co, mamy czekać z założonymi rękoma, żeby się spełnił ich cholerny Program? Mamy zostać przeżuwaczami kambonów? — zdenerwował się Tyndzio. - Coś trzeba zrobić.

— On ma rację — powiedziała Giga. — W naszej sytuacji trzeba się chwycić każdej szansy. Bierzmy się do roboty.

W milczeniu wrócili do kabiny centralnej. W ostatniej chwili Leszka zdjął paniczny strach.

— Nie róbcie tego! - wykrztusił. - Mam złe przecucia. Co będzie, jak on się zregenerował? Nie

znamy tajemnic technicznych tych robotów. A jeśli one potrafią naprawiać się same? Ty go włączysz, Giga, a on zerwie się z podłogi i rzuci na ciebie...

Giga zawahała się.

— Czekał, ja to zrobię - odsunął ją Tyndzio. - Nie mamy innego wyjścia. Musimy zaryzykować! - przeżegnał się i ostrożnie, drżącym nieco palcem dotknął zimnej płytki kontaktowej w głowie Datsuna.

Giga ścisnęła z emocji rękę Bubla. Wstrzymali oddech... Ale nic się nie stało. Zupełnie nic. Robot nie poruszył się nawet.

— Nie udało się — westchnęła Giga.

— Czekał... to nie takie proste... — zasapał Tyndzio. — Żeby włączyć takiego robota, Kakurgijczyki na pewno posługują się odpowiednim urządzeniem elektronicznym, nadają jakiś sygnał... A ja...]

— Ty masz tylko palec, ale to nic nie szkodzi — zakpił Leszek. - Posłuż się bioenergią, tylko że u ciebie chyba z nią kiepsko.

— Ty jej za to masz w nadmiarze - wysapał spocony Tyndzio, pocierając cierpliwie płytkę. - Chodź, pokaż, co potrafisz.

— Zachowam moją bioenergię na lepszą okazję niż na galwanizowanie te kupy szmelcu...

— Cicho! - przerwała Giga. - Spójrz, co się dzieje z lampami! Istotnie, wszystkie światła w kabinie przyćmiły się wyraźnie...

— Czuję! - wykrzyknął Tyndzio.

— Co czujesz?

— Jakieś sensacje w palcu.

— Bioenergia? — Bubel zainteresował się poważnie tym razem.

— Być może... To się rozchodzi po całym ciele...

— Ale co? — dopytywała podniecona Giga.

— Coś w rodzaju przyjemnego dreszczyku. O, rany! — Tyndzio cofnął gwałtownie rękę.

— Co ci jest?

— To się zrobiło zbyt przyjemne, niestety — zaczął rozcierać palec.

— Patrzcie, co się dzieje! - wykrzyknął Bubel.

Światła w kabinie zamigotały gwałtownie i zgasły. Jednocześnie czerwona lampka kontrolna w czole robota zapaliła się na nowo.

Leszek podniósł latarkę i oświetlił Datsuna. Robot drgnął, poruszył głową i lęknął. Giga i chłopcy cofnęli się wystraszeni. Tyndzio chwycił na wszelki wypadek poskramiacz. Robot pomału, jak gdyby grzebał się w smole, uniósł |-K i usiadł na podłodze...

- Oddajcie mi moją twarz - wybełkotał.

Leszek nogą przysunął mu plastikową, imitującą rysy ludzkie powłokę, która zmięta wałała się po podłodze.

Robot ociężałym ruchem założył ją sobie niezgrabnie. Zabrakło mu dawnej precyzji. Maskę z jednej strony była źle naciągnięta i pomarszczona, usta wykrzywione, co nadawało twarzy Datsuna straszny, bolesny i okrutny zarazem wyraz. Tym samym powolnym ruchem wyciągnął z kieszeni płaski flakonik «ody kwiatowej z rozpylaczem i skropił się niezdarnie, a następnie wydobyl pudełko papierosów, zapalił jednego, zaciągając się mocno, i otoczył kłębem IKstego dymu, a wreszcie z widocznym trudem dźwignął się z podłogi i stanął w rozkroku na nogach, kołysząc się rytmicznie, jakby miał kłopoty z zachowaniem równowagi.

Cofnęli się o dalsze dwa kroki. Mówiłem wam, on się naprawił! - szepnął Bubel.

Co teraz będzie? - wyjąkała Giga. - Spójrz, jak on na nas patrzy... Z jaką [ilością!

Niech sobie patrzy - wzruszył ramionami Cyngiel. Tymczasem robot zachowywał się coraz dziwniej. Zaczął podnosić nogi k>BÓry, raz jedną, raz drugą.

Bada sprawność - rzekła przestraszona Giga.

Naprawił się... - mruknął Leszek. - Miałem rację... On się naprawił...

- Chyba nie całkiem - powiedział Tyndzio, przyglądając się ćwiczeniom bota. - Patrz, co on robi!
Dostał kręćka!

j - Tańczy! - wykrzyknęła Giga.

stotnie, można to było od biedy nazwać tańcem. Datsun, przestępując ciężko gi na nogę, jakby je wyciągał ze smoły, kręcił się pomału w kółko, wyko-p jednocześnie wahadłowe ruchy głową...

- Znakomicie - Tyndzio oblizwał wargi. - Możemy biec na górę.

- Myślisz, że wysyła już impulsy!

- Jasne.

Skąd ta pewność?

Nie słyszysz? Ta muzyka!... Uruchomił muzykę.

Istotnie, ze ścian sączyła się cicha, monotonna melodia, której przedtem I było słyhać.

-124-

-125-

MVI

- Myślisz, że to on ma z tym coś wspólnego? — Leszek spojrział na tańczącego Datsuna.

- Jestem pewien. Pamiętasz, zaraz po wypadku, kiedy upadł, usłyszeliśmy] taką samą muzykę; sądzę, że włączył ją jakiś niekontrolowany impuls pochodzący z jego głowy... I wierzę, że inny impuls tego rodzaju...

- Odblokował wejście - wykrzyknęła Giga.

Chciała biec razem z chłopcami do sektora H, ale Leszek sprzeciwił się] stanowczo.

<

- Ty będziesz pilnować Datsuna - wręczył jej poskramiacz.

- To straszne, mam zostać z tym potworem?

- Musisz. Nie wiadomo, co się może zdarzyć. A jak drzwi się zatrzasnął za nami i nie dadzą otworzyć? Groziłoby nam zamrożenie na śmierć... Ktoś musi pilnować Datsuna. Diabeł wie, jakie on jeszcze może wysyłać impulsy...

- Cicho — syknęła Giga - on coś mówi...

Przez chwilę nasłuchiwali. Z ust robota wydobywał się niewyraźny, jękli-j wy głos, słowa rwały się na sylaby, sylaby zacinały raz po raz:

- Za-klę-te ko-ło... Nie... mo-gę... się... Wy... rwać z za-klę-tego... ko-ła...j Ra-tujcie... mnie!... Na-
prawcie... mnie!

- Kręć się, kręć! — zawołał bezlitośnie Leszek. — W tańcu jesteś całkiem pocieszny. Lepiej tańczyć, niż zabijać! Pilnuj go! - zwrócił się do Gigi.

- Boję się - wyznała, nie spuszczać wzroku z tańczącego robota. - La-
piej wyłączcie go!

- Oszalałaś?! - zgromił ją Tyndzio. - Chcesz, żeby drzwi się znów zabl kowały?... Póki tańczy, póki się rusza, są otwarte, jak przestanie, zatrzasną sid przecież wiesz, że jest z nimi sprzężony... On musi tańczyć aż do naszego po wrotu! Chodź, Bubeł.

Ruszyli spiesznie, sapiąc z emocji. Czy hipoteza się sprawdzi? Czy impuli Datsuna faktycznie odblokował wstęp do sektora H?

Serca zabiły im jeszcze mocniej, gdy już ze schodów zauważyli, iż gónrj pokład zalany jest intensywnym żółtym światłem. Tego przedtem nie było. I A więc...

I

- Zwycięstwo! — szepnął Leszek, ściskając rękę Tyndzia.

Drzwi były istotnie otwarte, i to bardzo szeroko. Jakby same zapraszały i wejścia. Weszli, rozglądając się ciekawie. Na lewo i na prawo znajdowały sij kabiny hibernacyjne z łóżkami w kształcie wielkich, przezroczystych kapsup -sarkofagów oraz z aparaturą. Były ich chyba setki. Zaglądali do nich po kol< - wszystkie były puste. Jeśli służyły Kakurgijczykom do trzymania uprow^ dzonych z Ziemi ludzi, to tym razem chyba porywacze nie bardzo się obłowili Może inny był cel tego lotu, może realizują jakieś specjalne plany?

Przez dłuższy czas chłopcy błądzili bezradni po sektorze. Zbyt dużo było iii podobnych do siebie

korytarzyków, amfilad i tajemniczych drzwi — istny i.iliirynt Minosa! A wszystko to na trzech różnych poziomach.

Farfallę znaleźli w końcu na najwyższym poziomie w specjalnej kabynie — |via większa i chyba wyposażona w dodatkową aparaturę: w jej drzwiach,

- odróżnieniu od innych, błyskały ostrzegawczo zielone, żółte i niebieskie wiatła. Profesor leżał w przezroczystym futerale, ubrany w specjalny kombi-

k-zon z czujnikami kontrolującymi stan jego organizmu. Głowę i twarz miał dśloniętą. Siwe włosy otaczały srebrnym wieńcem dostojną łysinę. Nad cia-m profesora na ścianie wisiał wielki termometr, niżej, z prawej strony, zwra-ila uwagę tarcza ze wskaźnikiem i regulatorem ciepłoty.

- Chy... chyba będzie zły, jak go obudzimy — zauważył Tyndzio.

- Śpi mu się tak spokojnie — ziewnął Leszek.

- Tylko trochę za zimno - Tyndzio zadrżał. W pośpiechu zapomnieli wło-

|vc ocieplacze, które wisiały przed wejściem do komory, i teraz począł im dokuczać przejmujący chłód.

- Na co czekasz, obudź go - Tyndzio trącił Leszka. Leszek zastukał w plastikową kapsułę.

- Proszę pana! — zawołał i powtórzył głośno pukanie, ale profesor nawet u- drgnął.

- Głupi jesteś — Tyndzio pociągnął nosem. — Jego się budzi aparatem. Fa-|i jest zamrożony.

Przesuń ten suwak na prawo w kierunku żółtego pola! Tyl-) ostrożnie, nie wiemy jak to działa... - wskazał Leszkowi regulator.

Niestety, Bubel stracił precyzję, prawdopodobnie zbyt skostniał z zimna, i im moment suwak znalazł się na czerwonym polu. Na jedną małą chwilkę, ale wystarczyło.

Znienacka uderzyła w nich fala tropikalnego upału. Pokój wypełnił się ilą, gęstą jak mleko parą. Plastikowy, przezroczysty futerał nadał się jak

11 on i pękł ze strasznym hukiem, a z dziury wyjrzała przerażona twarz profe-

'ia Farfalli. Był wciąż jeszcze w stanie półzamrożenia. Fatalne manipulacje szka przy termoregulatorze sprawiły, że zaczął nierównomiernie rozmarzać.

|os i uszy ogrzały się najpierw i nabrały purpurowoczerwonego koloru, na-|miast mózg pozostawał nadal zimny i niedokrwiony. Z pewnością groziło

nieobliczalnymi konsekwencjami i mogło drogo kosztować nieszczęsne-

- profesora. Niezgodne ze sztuką lekarską, zbyt nagle wyjście ze stanu hi-i nacji przypląciłby zapewne utratą zdrowia, kalectwem, a kto wie, czy nie nrcrcią, gdyby nie przytomność umysłu Tyndzia. Błyskawicznie cofnął su-ik regulatora na żółte pole, a potem dla pewności poprzekręcał w lewo y.ystkie inne gałki aparatu. Temperatura od razu spadła, rzeški powiew i,irgnał do pomieszczenia. Profesor Farfalla usiadł na łożu hibernacyjnym

-126-

-127-

i osłaniając oczy przed rażącym go światłem, skłonił głowę przed osłupiałymi chłopcami.

- Chwała Wielkiemu Programowi Kakurgii. Niech się spełni! - oznajmił i ukłonił się jeszcze dwa razy tak nisko, że dotknął czołem posłania. - Czemu budzicie mnie, bracia? Czyż nie zasłużyłem na zimny odpoczynek? Pomogłem wam posiać na Ziemi, niech będzie po trzykroć przeklęta, zamęt, niepokój i zwątpienie. Zakłóciłem skutecznie pracę naukowych instytutów i laboratoriów badawczych... Wprowadzając do nich nieznanne wirusy Kakurgii i czynnik kosmiczny Ipsilon. Przeżulem trzy kambony, wstępując na pokład, choć były wyjątkowo ościste. O, bracia, jestem teraz zmęczony. Dajcie mi spać!

- Nie jesteśmy braćmi, proszę pana - powiedział Leszek.

- Co? Co takiego?! - profesor odsłonił oczy i wpatrywał się zdumiony w Bubla. - Kim ty jesteś?

- Człowiekiem z Ziemi, proszę pana - odparł Bubel. - Nazywam się Leszek Kit.

- Wspaniale mówisz po francusku - oświadczył profesor.

- Nie, to pan mówi wspaniale po polsku — odparł przytomnie Leszek.

- Po polsku?! A, tak - profesor przetarł czoło. - Rzeczywiście. Zaprogramowano mnie do rozmów w

czterdziestu najbardziej rozpowszechnionych językach świata. Ludzkiego świata - poprawił się, przyglądając się uważnie Bu-blowi. - Jesteś robotem? - zapytał nagle.

-Nie.

- Nie kłam! Siadaj. Daj rękę - obejrzał dłoń Leszka. - Doskonały wyrobi niezła imitacja. Której generacji? Ile bitów? I

- Nie jestem robotem! - oburzył się Leszek. - Jak panu udowodnić?

Na stoliku leżała igła od strzykawki. Porwał ją, ukłuł się w palec i zade monstrował Farfalli spadające krople krwi.

Profesor wpatrywał się wyblakłymi oczyma to w Leszka, to w Tyndzia.

- Więc to wy jesteście tymi chłopcami, których wybrał Datsun - powie dział jakby ze smutkiem. - Ale kto was tu wpuścił?... Jakim prawem wtargnę liście do mojej kabiny?! Kto wam pozwolił mnie budzić? - rozgniewał się nagle. - Cóż to za maniery! Po prostu chamstwo i karygodna lekkomyślność karygodna, i powiedziałbym, zbrodnicza... Przecież mogliście mnie zabić manipulując jak mały przy aparatach hibernacyjnych. Co wam strzeliło d głowy?

- Chcieliśmy o coś pana prosić - wykrztusił stropiony Bubel. - Tylko r może nam pomóc.

- Pomóc? Ja, wam? - Farfalla zaśmiał się nieprzyjemnie. - A to dobre!

- Prosimy... Niech pan nas wysłucha!

- Słucham - rzekł kwaśno Farfalla.

Nie wiedzieli, jak zacząć. Farfalla od początku onieśmiał ich, a mówiąc prawdę, po prostu - przerażał.

- My... — wykrztusił wreszcie Leszek — my zostaliśmy porwani.

- To widać - ziewnął.

- Oni... oni chcą nas zaprogramować! - rzekł płaczliwie Tyndzio,

- To przykre - odparł profesor - ale na Ziemi też by was to czekało. Głowy młodzieży wszędzie podlegają takiemu czy innemu programowaniu.

- Ale kambony... -jęknął Tyndzio.

- Jakie kambony?

- Mamy być przeżuwaczami!

- Całe życie żuć kambony!

- Kto wam powiedział?

- Mufi. Powiedział, że po to nas porwali.

- Powiedział, że mamy być za-za-zaprogramowani na przeżuwaczy. Ale my nie chcemy, proszę pana!

- Niech pan nas broni!

- Bzdura! — Farfalla machnął ręką, — Uwierziliście mu? To są bajki dla il/icci i robotów niższych kategorii. O ile wiem z archiwalnych filmów, które pi /ogłądałem, w Kakurgii już trzysta lat temu zaniechano zatrudniania przeżu-

izy, to znaczy od chwili, gdy opanowano technologię uzyskiwania sztucz-> h enzymów trawiennych. Kambony zaczęto przerabiać w fabrykach na lek-strawne pastylki kambonowe i problem żywnościowy został całkowicie rozwiązany...

Nie wiem, czy pan nas nie robi w konia — rzekł Cyngiel, poprawiając : wowo okulary. - Przed paroma minutami sam pan przyznał, że przeżuł nie-Uiiwno trzy kambony.

Li Och, to tylko taka formuła. Oni uwielbiają formułki. ||> Żuł pan w końcu czy nie? — Leszek chciał postawić sprawę jasno. U Żułem, ale symbolicznie. Przeżuwanie kambonów to tutaj taki rytualny Jpyczaj, symbol uległości. Przy byle jakiej okazji, nie mówiąc o świętach pań-^oowych, przeżuwa się od jednego do pięciu kambonów dla podkreślenia mości Programowi. Oczywiście są to kambony obrzędowe, odpowiednio Hilchnione i spreparowane. Zgodnie z przepisami, musiałem dokonać aktu /uwania przy wejściu na pokład „Rhei”. Niestety, Datsun uraczył mnie lionami wyjątkowo niestarannie przyrządzonymi. Pokaleczyłem sobie dżią-Nasz komandor jest ostatnio w fatalnej formie, powinien natychmiast iść n/eglądu technicznego... i

hłopcy chrząknęli; żeby ukryć zakłopotanie i porzucić nieprzyjemny ter-
r, zapytali: - Czemu nas Mufi okłamał? W jakim celu nas straszyl?

-128-

-129-

Ale jego słowa bynajmniej nie uspokoiły chłopców. Wprost przeciwnie.

- O jakim eksperymencie pan mówi?! - zapytał zdenerwowany Leszek Farfalla uśmiechnął się
szydlerczo. Napelnił kryształową szklanke sokiem

aberra i podał Bublowi.

- Pij, to ci dobrze zrobi!

, „ f „, • Leszek przez chwile

trzymał szklanke w ręce, a potem chlusnął Farfallll
w twarz.

ROZDZIAŁ XIV

Czyn Leszka był tak niesłychany, że Tyndzia „zamurowało" na momen nie mogli ani wykrztusić
słowa, ani się poruszyć, choć mieli ochotę czmychną w najdalszy kąŁatku. Ale jeszcze bardziej
zaskoczyła ich reakcja, profeo Farfallll - zamiast się rozgniewać, roześmiał się tylko lekceważąco.
Dopu, teraz zauważyli, że ani kropelka soku aberra me padła na jego twarz, lecz ca wylany płyn
ściekł na dół, pół metra od nosa Farfallll, jak po jakiejś mewidziaL
nej szybie.

- Pole nieprzystępności - wykrztusił Leszek.

- Otóż to - rzekł profesor, zeskoczył lekko z łoża hrbernacyjnego, po Leszka po ramieniu i wykonał
parę ćwiczeń gimnastycznych. - Twój W^zny czyn, chłopcze, też należy do eksperymentu -
powiedział kręcąc sm eszne tułowiem. - Wszystko od początku waszej przygody jest jednym
wielknr eks-perymentem, nie ma sensu mu się sprzeciwiać, czy jest dla was przyjemny czy nie, czy
ma sens, czy nie ma sensu, czy wyjdzie coś z tego, czy me! - zakończył ćwiczenia i spojrzął na
elektroniczny zegar z kalendarzem na ścianie. Idźcie już!

To

-Twszystko, co ma nam pan do powiedzenia? - rzekł rozczarowany Tyndzio. - Myślałem, że skoro
spotkamy człowieka w kosmosie... Y - To najlepsza rada, jakiej wam mogę udzielić. Nie chciałbym,
aby przyda-rzyło wam się coś złego.

- Już nam się przydarzyło. Potrzęsnał głową.

-Pamiętajcie, mogą was jeszcze zabić,

•atri!,m|

- My się nie damy tak łatwo - powiedział Leszek. - Mufl powiedział nam, że jest sposób...

- Sposób na co? - zapytał Farfalla.

- Żeby nie mogli nas zaprogramować,

- Żeby nie żuć kambonów! Farfalla zasapał.

- Mówiłem wam, że żucie nie wchodzi w rachubę,

- Może pan przysiąc? Farfalla chrząknął.

- No więc dobrze, powiem wam, jak jest naprawdę. Kambony żuje się tvlko jako sprawdzian
zaprogramowania, raz, na zakończenie adaptacji, w obecności członków komisji. Są one tak
wstrętne, że wypróbouje się na nich sku-łeczność pracy programistów. Jeśli potraficie bez oporu,
a nawet z przyjemnością żuć naturalne, niespreparowane kambony, to znaczy, że jesteście dobrze
zaprogramowani.

- Czy to możliwe, żeby ktoś żuł je z przyjemnością? Naturalne kambony są przecież podobno
okropnie ościste, tykowate i kłujące.

- Możliwe - odparł Farfalla. - Sztuka programowania stoi tam bardzo wy-||oko. Potrafią
doprowadzać do poważnych i trwałych zmian w mózgu.

- O-o-operują? — przestraszył się Tyndzio.

- Do operacji chirurgicznej uciekają się rzadko, stosują inne metody, nieznanne na Ziemi, coś
pośredniego między hipnozą a tresurą, pacjent nawet tego nic zauważa, często robią to pod
przykrywką seansów filmowych.

- Mufi mówił, że jest sposób - powtórzył Leszek.

- Próbował nam powiedzieć, ale włączyły się sygnały i znalazł się w polu /;ikazanym.

-Ale wiemy, że nie wystarczy napchać sobie głowę wiadomościami szkolnymi, że jeszcze czegoś trzeba...

- Pan na pewno wie, co!

- Pan jest z nimi tyle lat!

- Pan jest profesorem.

- Niech pan nam powie! Bardzo prosimy!

- Nikomu nie zdradzimy!

- Oni się nie dowiedzą.

- Panie profesorze!

Farfalla przyglądał się im w milczeniu, a potem zasepił się i spuścił głowę.

- Oni nie rozumieją, co to jest człowiek — powiedział, patrząc w podłogę. — Rozpatrują go wyłącznie w kategoriach fizyki i matematyki. Nie potrafią zrozumieć, że w rasie ludzkiej tkwi pierwiastek boski, dionizyjcki, niezbadany c/ynnik „Ens” - podniósł głos. - Dywagacje umysłu ludzkiego są dla nich niepojęte! Majaki, idee, które się ściga... Więc tylko to was może ocalić... Bazujcie na tym, co najbardziej ludzkie, co dla nich niesprawdzalne, nieobliczalne, będą wtedy bezradni...

-^ 132-

-133-

- Więc pan nam radzi?... - zamrugał oczami Tyndzio, nie nadążając za ideą Farfalli.

- Szukajcie w sobie szaleństwa - zamruczał i ukrył twarz w rękach. Chłopcy wymienili spojrzenia. Tyłem wycofali się ostrożnie do drzwi.

- To wariat - szepnął Tyndzio.

- Każdy by mógł zwariować. Siedem lat w rękach Kakurgijczyków, z tego pewnie połowa w lodówce. Biedny człowiek - westchnął Leszek.

Odwrócił się i spojrzał na profesora. Farfalla gotował się do snu hibernacyjnego. Wydobył już z zasobnika nowy plastikowy futerał, a teraz sprawdzał i nastawiał aparaturę.

- Czego jeszcze chcesz? - warknął nieprzyjaźnie, widząc, że Leszek przygląda mu się posepnie, i sięgnął po butelkę soku aberra.

- Niech pan tego nie robi - powiedział Leszek. - Niech pan idzie z nami. Jest pan przecież człowiekiem. Należy pan do Ziemi, a nie do Kakurgii. Niech ' pan obróci swoją mądrość i wiedzę przeciw Kakurgijczykom. Pan dużo wie i dużo umie! Nie wolno im tak ulegać. Nie wolno się poddawać.

Farfalla znieruchomiał na moment. Jego ręka ze szklanką aberry zadrżała. ^ W oczach zapaliła się jasna iskierka, lecz zaraz zgasła, a ogromny smutek pojawił się na jego zmęczonej twarzy.

- Za późno! Zostałem już zaprogramowany, mój chłopcze. W moim mózgu zaszły nieodwracalne zmiany. Kiedyś zrobiłem nierozważny krok, a teraz już za późno na prostowanie ścieżek życia...

Żegnajcie i nie wchodźcie ml więcej w drogę, to dla was niebezpieczne... śmiertelnie niebezpieczne... - włączył aparat^ i ułożył się w łożu hibernacyjnym. Światło zgasło. Lodowat) podmuch owiał nagle chłopców. Wystraszeni wycofali się pośpiesznie z dolnego pokładu statku.

ROZDZIAŁ XV

- I A/ariat - powtórzył wzburzony Bubel, gdy znaleźli się z powrotem w kabinie centralnej i opowiedzieli wszystko Gidze. Byli wciąż pod silnym wrażeniem wizyty u Farfalli. - Skończony facet. Wykończyli go!

- Nas też to czeka - Giga otarła oczy.

- Moment! Chwileczkę!... - uciszył ich zaafierowany dziwnie Tyndzio. I A propos tego „szaleństwa” coś mi się przypomniało. To było wtedy, kiedy 11 pałka chciał nas zabrać wszystkich do szpitala, pamiętacie, co wtedy mówił!.*

- Dużo mówił - mruknął Leszek.

- Mówił wtedy o bakcyli Pi.

- To były jego zgrywy - Leszek skrzywił się. - Sprawdziłem w książce. Nie ma takiego bakcyli.

- Nieważne. Ale istnieje taki... taki stan umysłu, że człowiek tak jest skoncentrowany na jednej rzeczy, że nic innego nie ma do niego dostępu, rozumie-fie, jedna myśl, jedna sprawa opanowuje go

całkowicie, i nic poza nią go nie obchodzi. Taka umysłowa nie... nie...

- Nieprzemakalność. -Nie... nie...

- Nieprzepuszczalność — odpowiedziała Giga.

- Właśnie. Kto ma bakcyła Pi, ten jest uodporniony na większość innych I zakażeń. Więc... Więc pomyślałem, że może jest odporny i na zaprogramowanie.

- Może. Ale Tupąka powiedział też, że na bakcyła Pi chorują ludzie wiel-Ikicj pasji i że to nam w żadnym wypadku nie grozi, bo my, powiedział...

' - Wiem, co powiedział - przerwał Tyndzio. - Wszyscy znamy złośliwości 111 pałki, ale... - chrząknął zakłopotany i poprawił okulary - pomyślałem, czy-" teoretycznie — zastrzegł się — że... że gdyby jakimś cudem ten bakcyl...

Ależ, człowieku, powiedziałem ci, to były żarty Tupąki — zdenerwował <•| Leszek.

Zaraz, poczekaj, ale gdybyśmy mieli na przykład jakieś specjalne zdol-

| > .ci, jakiś talent, a przynajmniej zadatki talentu i... i żeby to można było roz-

| ni,|ć... Gdybyśmy odkryli w sobie jakieś zamięłowanie, jakieś hobby...

Bubel chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się w ostatniej chwili...

Trzeba by przymierzyć się po kolei do różnych... do różnych przedmio-• i dziedzin — zauważył Tyndzio. — Mamy w torbach książki szkolne... Moż-"| przejrzeć...

Daj spokój - wzdrygnęła się Giga. - Nie wspominaj mi nawet! Pisali je

smutni i nudni faceci. One nie tylko nam nie pomogą, ale wprost prze-iic... Nabierzemy od nich wstrętu do nauki.

Nie przesadzaj, jak ktoś ma prawdziwe zamięłowanie i talent... to go na-iiajgorszy podręcznik nie zniechęci - powiedział Tyndzio. - Moim zda-

irzeba uzbroić się w cierpliwość, wytrwale przymierzać się i czekać.

Czekać?!

To się zwykle objawia samo, wypływa naturalnie i rozwija powoli... Być może, ale my nie mamy czasu czekać, aż się objawi i wypłynie — uiziła Giga. - Ja osobiście liczę na Epele.

Hpcle?

Zapomniałeś?! Mufi ma nas na noc podłączyć do takiej specjalnej apar-| In wszczepienia wiedzy.

-134-

-135-

- Prawda! Masz racją! Epele może nam pomóc!

- Już po pierwszym seansie powinniśmy mieć rozeznanie, co nas bardziej, a co mniej interesuje, czyli, do czego mamy skłonność... A od skłonności do zamięłowania...

- Już tylko mały krok! - dokończył podniecony Tyndzio.

-| Ja chciałbym przede wszystkim dowiedzieć się czegoś więcej z astronomii i o lotach kosmicznych - oznajmił Leszek.

- Ja o robotach i komputerach - powiedział Tyndzio.

- Niewiele zrozumiemy, jak nie zaczniemy od podstaw - mruknęła Giga -od fizy i chemii; obawiam się, że bez matmy też się nie obejdzie.

- Jeśli to ma być we śnie, to proszę bardzo, mogą mi nawet wszczepiać bredzenia, przepraszam, twierdzenia Pitagorasa i innego Smutasa... - zgodził się Tyndzio. - O ile to będzie bezbolesne - zastrzegł po chwili.

- Podobno całkowicie, a od rana będziemy już mogli korzystać z laboratoriów pokładowych. To już, według Mufiego, sama pyszna zabawa. No i wtedy przekonamy się, czy mamy jakieś zadatki na maniaków nauki.

- Umieram z ciekawości — wykrzyknął ze sztucznym entuzjazmem Tyndzio. — Rezygnuję z kolacji i natychmiast podłączam się do Epele...

- Już cię widzę, jak rezygnujesz - mruknęła Giga - i nie zgrywaj się na wesołka. Wiem, że skóra ci cierpnie. Nie ma w tym wszystkim nic wesołego,! Cyngiel.

Cyngiel umilkł i sposepniał. Zapanowała nieprzyjemna cisza.

Słysząc było tylko niespokojną muzykę kakurgijską sączącą się pianissimi' mo ze ścian. Wszyscy myśleli o tym samym. Czy mają jakieś szansę ocaleniu czy potrafią złapać bakcyła Pi.

- Ty jeden masz sprawę z głowy, Bubel — odezwała się nagle Giga. — Ni potrzebujesz się podłączać pod żadne aparaty. Wiadomo, jaką masz „skłoil ność”.

- Czyżby? - Leszek zaczerwienił się lekko.

- Ty masz talent! Zazdroszczę ci. Wzruszył ramionami.

- Wiem, o czym myślisz, Giga, ale dzisiaj prawie każdy jest fanem rocki a co drugi fan sam próbuje brzdąkać...

- Nie! Nie bądź taki skromny. Ty lubiłeś to bardziej od innych. I żeby gr nie bałeś się narazić Kaflarzom i Tupalce, całej klasie nawet! To u ciebie i był owczy pęd ani zwykłe zainteresowanie, Bubel. To cię wciągnęło... Gdyfc teraz spróbował...

- Mówisz poważnie?

- Spróbuj, co ci szkodzi. Mamy teraz dużo czasu...

- Tak, dużo czasu - powtórzył Leszek i zamyślił się.

- Wszyscy powinniśmy czegoś próbować, przymierzać | * . | \y.\o. - To nasz jedyny ratunek... ^Ał V

- A jak nic z tego nie wyjdzie? — w oczach Gigi znów k • ...

- Jak nic z tego nie wyjdzie, tó pozostanie nam tylko j^ , . ^ sieć.

— To znaczy?

: Przestać &

- Wejść do oziębiacza na trzydzieści pięć lat i zapiąć si^ .. * s/yję. Przepraszam, ale muszę coś zjeść - zakończył Tynd^- „ P° sai/) c /;i bardzo mnie przygnębiło - włączył mikrofon. - Kolacja, w' ^ szysr*_ , pan, stary! 1- y ^° gal

Goryl przybył natychmiast, a mówiąc ściśle, nadjech^j , „ ^ wehikułem. Był to rodzaj niewielkiej platformy, na której zik- , . "ityy'„ . ki fotel, stolik oraz coś podobnego do graniastej kolumny, a w. ^ ^ ^° ^ wąskiej szafki z tajemniczymi szczelinami i dziurkami; w p<u . . Pr°stu ^ vi widać było małą planszę z klawiszami, zapewne do steiK . •* ^

- A to co znowu?! - wykrzyknął Tyndzio, przyglądając ^ pojazdowi. ei

- To jest Akado, proszę pana - odparł Mufi.

- Mów po ludzku!

Aparat do karmienia doraźnego, czyli skomputeryzo\ , / dny uniwersalny, nieoceniony, gdy chodzi o szybkie obsk. . r saino/ !. Dły ludzkiej.

2eme zgł° dniałef

- Interesujące.

Nie mają państwo chyba nic przeciwko temu, że posług, |esnym sprzętem. Tak jest szybciej, prościej i wygodniej

Wme ŻgTod^

/esnym sprzętem. Tak jest szybciej, prościej i wygodniej

iikuł i zeskoczył z pomostu. - Nie musimy dłużej małpow_ , , , . r'

• vi i! j |i.i | | | |u^ ac ludzkich

'>w. Kelnerskie parady i balansowanie z tacajest zbyt powój

i;|żliwe. Akado, podawaj! - rzucił do aparatu. '

podawaj: — rzucit ao ap

W odpowiedzi ze szpar w kolumnie wysunęły się koloid

różne apetyczne potrawy, pachnące, świeżo przyrządzo, , 'i więc ciepłe... Do tego różne przystawki i napoje. Nien ' . ° uirów kolumny wyskoczyły wieloprzegubowe, cienkie L •

OC2eśnie ivnie odebrały i ustawiły przygotowaną kolację na stole jk , r. ^Ce' ^óre
na'

Życzę dobrego apetytu - skłonił się Mufi, po czym naCjs , , nc przyciski na ścianie. Zablęśły
nastrojowe lampy i kk. Wa ^^i ^ neła inna, łagodna, kojąca muzyka. e
sc'ai

Znakomicie, Mufi -powiedział Tyndzio, zapominając^ ,. mi, w jakim się znajdowali... Wpatrując
się z przyjemnej ^^Po-

założył sobie serwetkę pod brodę i podsunął półmisek ty, ^
^ 136-

137-

- Czy mogę jeszcze czymś panu służyć? — zapytał goryl.

- Jedna prośba, Mufi - rzucił Tyndzio, rozpruwając pieczoną kaczkę. -Jestem tak podniecony tą
wspaniałą przygodą, która mnie spotkała, tak baaar-dzo szczęśliwy, iż obawiam się, że nie zmruję
tej nocy oka... jeśli w ogóle jest sens mówić tu o nocy. Czy mógłbyś mi w tej sytuacji zostawić do
jutra ten aparat, o ile jest sens mówić tu o jutrze. Z pewnością będę potrzebował dużo przekąsek i
napojów. Jedzenie mnie uspokaja.

- Oczywiście, proszę pana - schylił głowę goryl - aparat jest do pańskiej dyspozycji. To jest jego
główne zastosowanie - ma służyć przekąszaniu, zagryzaniu, podjadaniu, popijaniu poza głównymi
posiłkami. W tym celu został skonstruowany. Pożywienie czerpie z kredensu głównego. Obsługa
prosta. Siada pan na fotelu i naciska ten klawisz - wskazał Mufi - oraz nastawia pan prędkość
obsługi. Z uwagi na to, że jest to nowe Akado i niedotarte, nie wolno go nastawiać na zbyt duże
prędkości, najwyżej do połowy skali, proszę o tym pamiętać.

:f

- Jesteś pewien, że to będzie działało? - zapytał nieufnie Tyndzio. Wytarł usta serwetką i podszedł
do urządzenia. i

- Absolutnie. Pan profesor Farfalla stale korzystał z usług poprzedniego Akado. Ten model jest
jeszcze doskonalszy.

- To mi dopiero zachęta, Mufi — Tyndzio przypomniał sobie wychudzoną twarz profesora. Nie była
to w rzeczy samej zbyt dobra rekomendacja. - A może ty się po prostu chcesz wykpić od pracy,
Mufi, i dlatego mi podsuwasz tego kelnera-potworka?...

- Pan wybaczy — goryl chrząknął urażony - to poniżej mojej godności. Czy
mogę odejść?

- Poczekaj, zrobimy próbę - rzekł Tyndzio, sadowiąc się na fotelu aparatu. - Mam apetyt na jakiś
ekstra napój do kolacji - zwrócił się do Akada. - Czym możesz służyć?

Ledwie wypowiedział te słowa, na planszy ukazał się długi wykaz napojów w sześciu kolumnach;
samy koktajl było kilkanaście. Ten wielki wybór miał zapewne zaimponować istotom ziemskim i
wykazać wyższość Kakurgii
i na tym połu.

Tyndzio medytował przez dłuższą chwilę, oblizując wargi, a potem wy sapął:

- Daj mi koktajl naj... najdroższy i naj... najbardziej wyszukany! Akado podjechał do kredensu
głównego, przystawił się niemal na styk,

wyciągnął trzy pary rąk, otworzył pojemniki w lewej części kredensu i zaczął mozolnie
przygotowywać zamówiony koktajl. Ponalewał różnych płynów do dużego mieszadła w kształcie
dzbana, wprawił w ruch, po paru chwilach zatrzymał, dolał nowych płynów i dosypał przypraw,
znow zaczął mieszać...

Tyndzio patrzył na te obrządki z rosnącym zniecierpliwieniem.

- Prędeż, nie guzdrz się, wałkoniu, bo mi kaczką stygnie! Ruszaj się, ty |Jamazaro!

Ale automatyczny barman i kelner w jednej „osobie” nie reagował na to p< ipędzanie. Starannie,
lecz bez pośpiechu, „wzbogacał” koktajl o coraz to nowe składniki... Upływały sekundy i minuty.
Napój wciąż nie był gotowy.

Tyndzio chwycił za regulator szybkości; zamierzał przyspieszyć Akado tylko i) połowę, ale „z tych
nerwów” niechcący „przesunęło mu się” aż do maksimum. Aparat jęknął i zajazgotał boleśnie.

Sześć rąk kelnera poczęło uwijać się jak w ukropie. Migwały tak błyskawicznie przed oczyma oszołomionego Cyn-gła, że już ich nie mógł rozróżnić, zlały się w jedną makabryczną rękę... Koktajl spenił się i wykipiał.

- Proszę tego nie robić! - krzyknął ostrzegawczo goryl. — To niebezpieczni.! Proszę natychmiast zwolnić!

Przestraszony Cyngiel chciał cofnąć regulator, ale było już za późno. Ma-s/yna nie wytrzymała tempa, prawdopodobnie nastąpiło zatarcie przegrzanych przegubów. Jedna ręka kelnera nagle przyhamowała swoje ruchy, co z kolei spowodowało zaburzenia w koordynacji. Pięć pozostałych rąk poplątało się latalnie i zaczęło nawzajem wrywać z łożysk. Jak oszalałe cepy były teraz na oślepie, kręcąc w powietrzu straszliwe młyńce... Nim Cyngiel zdołał uskoczyć, /miotły go z platformy, cud, że nie połamały mu kości. Wkrótce potem nastąpiły groźne wewnętrzne zwarcia. Akado zasnuło się dymem i zaczęło miotać się po kabinie jak śmiertelnie ranne zwierzę. Chłopcy, Giga i Mufi cofnęli się wystraszeni, dosłownie w ostatniej chwili; odbiwszy się od kredensu, Akado uderzył w ścianę tuż koło nich.

Poczułi podobny do lizolu, mdły „szpitalny” zapach. Z uszkodzonego miejsca odleciał różowy płat okładziny, odsłaniając podobną do tkaniny strukturę ściany.

Z grubą osnową przeplatały się różnej grubości nitki. Najcieńsze z nich, A1 rwane podczas awarii, chwiały się lekko w powietrzu. Muzyka kolacyjna ucichła. Zamiast niej słychać było urywane dwutonowe piskliwe dźwięki.

- Polifon ścienny wysiadł - wyjaśnił Mufi.

- Polifon? O czym mówisz, Mufi? - zainteresował się Leszek.

- Czyż Datsun nie poinformował państwa? Tak nazywamy nasze skomputeryzowane instrumenty muzyczne - odparł goryl. - Proszę spojrzeć na te niepozorne żyłki i nitki wlepione w ścianę.

- Czy to grało nam do kolacji?

- Tak, właśnie to... - Mufi urwał, bo gdzieś za ścianą rozległ się przykry, przejmujący jęk, jakby stu torturowanych ludzi jęknęło naraz.

- Jaki straszny głos! - przeraziła się Giga.

- 138-

-139-

Leszek wyjrzał na korytarz. Jęk powtórzył się jeszcze wyraźniej. Wydawało się, że dobiega ze składnicy złomu.

- Proszę się nie obawiać - uspokoił Gigę i chłopców Mufi. — To tylko pewne efekty akustyczne... Tak reagują na drgania powietrza niektóre wrażliwsze materiały.

- Czy... czy to nie Datsun? - wyjąkała Giga. Mufi pominął pytanie milczeniem.

- Zaraz to uciszę, drodzy państwo - to mówiąc, wgniół najbliższy zielony przycisk na ścianie i wyłączył uszkodzony polifon. Rzeczywiście, jęki od razu przycichły, a po paru sekundach zupełnie ustały.

—! Załatwione — powiedział goryl. — Niestety, naprawa trochę potrwa i przez parę dni będą państwo pozbawieni muzyki ściennej.

— A co będzie z moim koktajlem? — przypomniał Tyndzio.

— Niech pan wraca lepiej do swojej kaczki i będzie zadowolony, że tylko na tym się skończyło...

— warknął Mufi. - Akado mógł pana zabić.

— Czy dostanę nowego? - zapytał rzeczowo Cyngiel, nie tracąc języka w gębie.

Goryl spojrział na niego ciężko i bębniąc pięściami w kudłatą pierś, wyszedł zdenerwowany z kabiny.

Przygoda Tyndzia z Akadem i w ogóle cały ten incydent przy kolacji bynajmniej nie przygnębiły młodych pasażerów „Rhei”. Przeciwnie, humor im się wyraźnie poprawił. Przekonali się bowiem, że nawet wysoka technika ka-kurgijska też nie jest niezawodna, ma swoje słabe strony i potrafi fundować użytkownikom różne niespodzianki. Czy można to wykorzystać przeciw Programowi? Czy daje to jakąś szansę ocalenia? Załóżmy, że udałoby się spowodować jakąś Ważną awarię i umiejętnie nią pokierować... No, tak, ale do tego trzeba by tę technikę choć trochę poznać.

Tyndzio i Giga dyskutowali o tym z ożywieniem przez całą kolację. Le-1 szek wyłączył się zaraz na początku, bo jego myśl zaczęła krążyć wokół bar-1 dzo konkretnej sprawy.

Tego wieczoru, zamiast, jak sobie obiecywał, dokonać „przeglądu nieba” przez luk widokowy oraz pogapić się trochę na Jowisza i Saturna przez kapitały ne teleskopy pokładowe, wezwał cichaczem Mufiego.

I

- Chodzi mi o instrumenty muzyczne - powiedział do goryla. - Czy na i _ statku są tylko polifony ściennie, takie jak ten, co się popsuł, czy macie taŁ inne?

- Mamy polifony walizkowe, proszę pana.

- Dobrze?

- Bardzo dobre, w paru wymiarach i gatunkach. Pan Datsun używał stale polifonu typu „Ami” i bardzo go sobie chwalił.

- Datsun? — zdumiał się Leszek.

- Pan Datsun był znawcą i wielkim miłośnikiem muzyki.

- Dość dziwne zamiłowanie jak na robota.

- Nie powiedziałbym. Fale dźwiękowe pobudzają nasze mikroukłady; niektóre działają drażniąco, inne kojąco. Szczególnie przyjemnie odczuwane są lylmy żywe, osobiście uwielbiam muzykę synkopową...

- To ładnie, Mufi — przerwał Leszek. — Chciałbym, żebyś mi przyniósł taki walizkowy polifon.

- Zwykły czy typu „Ami”? - zapytał goryl. -- Jaka różnica?

- „Ami” jest polifonem uniwersalnym, oferuje także usługi paramuzyczne oraz czysto techniczne, dźwiękowe i ultradźwiękowe: badania akustyczne podzespołów, czyszczenie ultradźwiękowe mikroelementów, naczulanie dźwiękowe receptorów (bardzo przyjemne, proszę pana, nawiasem mówiąc, podobne do łaskotek), masaże pobudzające przewodnictwo, wibracje lecznicze, jazgoty stymulujące, szczebioty rozluźniające...

- Dosyć Mufi, wolę ten zwykły.

—Zwykły? — goryl był wyraźnie zawiedziony. — On się nadaje tylko do muzyki.

- Właśnie o to mi chodzi.

Goryl spojrzał na Leszka podejrzliwie.

- Pan chciałby robić muzykę?

- Czy to coś złego? Straciłeś humor, Mufi. Chyba nie znajdujemy się w polu Aikazanym? Co się stało?

- Pan jest artystą? - goryl zmarszczył brwi.

- A bo co?

- Przepraszam, lecz nauczono mnie być nieufnym w stosunku do artystów. Io niebezpieczni ludzie - Mufi był autentycznie przestraszony.

Leszek roześmiał się.

- Nie bój się, nie jestem żadnym artystą, lubię muzykę jak wielu ludzi i... jak I Jatsun. No, jazda, przynieś mi ten polifon.

Uspokojony nieco goryl odchrząknął i powiedział:

- Jeśli pan nie jest artystą, a chce pan robić muzykę, to znaczy... to znaczy, iv pan się chce bawić w robienie muzyki!

- O, właśnie! Słusznie to wymędrkowałeś.

- W takim razie najlepiej będzie, jak panu pokażę laboratorium.

- Jakie znów laboratorium?!

- Do zabawy w robienie muzyki mamy specjalne laboratorium dźwiękowe polifony osobiste. Może pan zrobić tam każdą melodię, każdy koncert, każdą \ infonię. Wychodzą bardzo dobre wyroby.

Zresztą do wyrabiania trudniejszej

niizyki może pan zaangażować roboty laboratoryjne.

-141-

— Wolałbym, abyś używał słowa „komponowanie”.

— Jak pan zapozna się z polifonem, dojdzie pan do wniosku, że jednak właściwszym słowem jest „wyrabianie”...

— Dobrze, pokaż mi to laboratorium i polifony - rzekł zrezygnowany Leszek.

Trzy dni później zaaferowana Giga dobijała się do drzwi laboratorium dźwiękowego.

- Bubel, słyszysz mnie, otwórz! — stukąca coraz bardziej niecierpliwie.

Wreszcie zaczęła kopać w drzwi.

Tym razem poskutkowało, z laboratorium wyrzwał Leszek. Miał nieco błędne spojrzenie.

- Mogę wejść?

- Wejź.

Cały pokój wypełniała niezwykle sugestywna, wszechogarniająca muzyka, jakiej Giga nigdy w życiu nie słyszała. Zdawało się, że wszystko tutaj gra, ściany, meble, każdy przedmiot.

i

- Już go złapałeś? - zapytała.

- Kogo?

- Bakcyła. Wzruszył ramionami.

- Słyszę, że dobrze ci idzie.

- Nie ma kłopotów z hi-fi — mruknął. — A co z wami?

- Jutro pakujemy się do oziebiacza.

-Co?!

- Nie wytrzymujemy dłużej nerwowo. To beznadziejne. Z bakcylem kompletne fiasko. Nie zdołaliśmy się zarazić. Próbowaliśmy wszystkiego. Najpierw podłączaliśmy się na noc do Epele. Owszem, całkiem fajnie. Nauka wchodzi do głowy gładko, jakbyś nadmuchiwał balon... Jesteśmy teraz oboje z Cyn-glem na naturalnym poziomie... Słowo. Przepyaliśmy się z podręczników, które wzięliśmy z sobą. Umieemy bez porównania więcej, lecz co z tego? Nic nas nie interesuje, to znaczy, wiele rzeczy nas interesuje, ale nie specjalnie. Więc jeszcze raz podłączyliśmy się do Epele, i przymierzaliśmy się po kolei do wszystkich sztuk, nauk i mądrości uniwersyteckich; Cyngiel miał wykaz w „kalendarzu ucznia”.

- I też nic? -Nic.

- Może coś przeoczyliście?

- Braliśmy według wykazu...

- Musicie jeszcze poczekać - powiedział Leszek. - To może wybuchnąć w każdej chwili. To może być bomba z opóźnionym zapłonem.

- Czekać i nic nie robić? - skrzywiła się Giga. — To beznadziejne.

- Przez ten czas odwiedźcie laboratoria pokładowe. To konieczne. Piekielnic działają na wyobraźnię, mówię ci. A poza tym musicie dalej szukać. Może uaiicie na swojego „bzika”. Płyty, znaczki, plakaty, kasety... Datsun miał tu wspaniałe kolekcje, Mufi zachęcał mnie do obejrzenia...

-No, wiesz...

- Lepsze to niż nic. Przymierzałaś się do rocka? -Tak.

- I nie czułaś pasji?

- Nie. Raczej znudzenie. Już po trzech godzinach. Rozpacz, mówię ci. Tyn-il/iowi też nic nie wyszło, i tylko mu się coraz bardziej jeść chciało. Z rozpaczy /jadł natkę swojej pietruszki.

- Jakiej znowu pietruszki?

- Biedak przypomniał sobie, że jest Małorolnym, ukradł Mufiemu parę korzeni z przechowalni i zasadził w doniczce. Myślał, że może ogrodnictwo K'dzie jego hobby, ale daremnie. Nie chciało mu się nawet doglądać uprawy, nastawił zraszacz i zlecił opiekę nad pietruszką robotowi-sprzątacowi. Sam widzisz, że to beznadziejne... No więc postanowiliśmy się uśpić na te trzydzieści pięć lat. Jutro podłączamy się do aparatury. Bądź gotów, Bubel, na ósmą i ano. Kazałam już Mufiemu przygotować trzy łoża hibernacyjne i trzy najładniejsze pojemniki...

- Nie mogę jutro - powiedział Leszek. - Mam jeszcze coś do zrobienia — przełączył polifon.
- Właśnie słyszę. Więc kiedy będziesz mógł?
- Za tydzień... to znaczy za dwa tygodnie - zająknął się zakłopotany.
- Wykluczone. Złapałeś już bakcyla i nie musisz się dalej przymierzać.
- Dwa tygodnie, Giga!
- Nie możemy czekać tak długo.
- Więc podłączcie się na razie beze mnie, ja podłączę się później.
- Akurat! Nie ma głupich! W ogóle byś się nie podłączył; potem my się łmzimy, a tu jakiś staruszek nas wita i wmawia nam, że jest naszym kumplem... I... i kolegą szkolnym. Dziękuję.
- Ależ, Giga, przyrzekam ci...
- Nie, Bubel, albo wszyscy, albo nikt. Nie możesz zostać niezamrożony. Malabym się o ciebie.
- Nie wierzysz?!
- Po prostu mógłbyś zapomnieć. Nie miałby cię kto przypilnować... Tak by ic pochłoneła muzyka...

142-

-143

- Mnie?!

- Nie udawaj, przecież widzę, co się tutaj dzieje. Orgie muzyczne! Przejrzyj się w lustrze! Zobacz, jak wyglądasz! Typowe objawy zarażenia.

- Nie przesadzaj, po prostu zainteresowałem się polifonem jako ciekawym instrumentem... On daje wprost niewiarygodne możliwości... Każdy może być geniuszem na miarę Beethovena i zarazem wirtuozem! Chciałabyś spróbować? To bardzo zabawne. Możemy pracować razem, to byłoby cudowne, Giga -

zapalił się.

- Nie sądzę, abyś w tym stanie ducha potrzebował towarzystwa - rzekła] chłodno. - Dajemy ci trzy dni!

- Zlituj się, chociaż tydzień, zrób to dla mnie, proszę!

- Oszalałeś?! Co my będziemy tu robić przez tydzień? Nerwy nas zjedzą...

- Powiedziałem już. Obejrzyjcie sobie tutejsze laboratoria. Są naprawdę obłędne, zaglądałem tam. Warto je zwiedzić i pobawić się w nich trochę. Może w którymś wyrabia się krem na piegi.

- Przestań!

- Giga, proszę cię!

- No, więc dobrze, ale tylko tydzień, ani godziny dłużej!

- Dzięki, stara! W nagrodę mój polifon zagra ci przebój „Gdy zgubię cię” w Kosmosie”. Sam go skomponowałem, to znaczy prawie sam... to znaczy do

spółki z robotami...

Ale Giga wolała nie słuchać i wybiegła. Stropiony Leszek pomyślał, że po tych trzydniowych próbach na siłę z muzyką rockową miała jej serdecznie dosyć... Na trzy dni. Ale tak naprawdę to powód był zgoła inny. Giga bała się muzyki z polifonów, była zbyt sugestywna, działała dziwnie obezwładniająco. Zwłaszcza teraz, w tym laboratorium, trzeba przyznać - niesamowitym, j zdjął ją lęk, czy przypadkiem nie należy ona do eksperymentu, o którym mó- j wił Farfalla, czy nie jest to próba zniewolenia, jakaś nowa perfidna zasadzka, i Może Kakurgijczycy działają przez tę muzykę, może za jej pomocą progra- \ mują?

1

*

Minął ustalony tydzień, a Leszek wciąż nie był gotów. Minęły dwa tygo dni - nawet tego nie spostrzegł. Polifon otworzył przed nim takie ciekaw perspektywy i tylu dostarczał nieprzeczuwanych przeżyć, że żał mu było prz rwać pracę. Chciał poznać możliwości instrumentu do końca. Przez cały * czas praktycznie nie wychodził z laboratorium, tujadł, tu spał.

Z początku bał się, że Giga i Tyndzio będą go nachodzić i molestować z pov du niedotrzymania terminu, ale oni zupełnie się nie naprzykrzali. Nawet go |

-144-

trochę dziwiło, lecz pochłonięty pracą nie zastanawiał się nad tym dłużej. Jednak wyrzuty sumienia

gryzły go coraz bardziej i odczuwał dość przykro swoją niesłowność, po miesiącu więc zdecydował się odbyć z Giga i Tyndziem szczerą rozmowę, przeprosić za zwłokę, a jeśli od razu nie dadzą mu po łbie, spróbo-•wać namówić ich do odłożenia zabiegu jeszcze na jeden miesiąc. Był pewien, iż zdoła ich przekonać. Czyż nie stworzył przez ten czas arcydzieła? Wystar-/y, jak im zaaplikuje tę cudowną kąpiel z dźwięków! Nikt z normalnym słu-hem nie oprze się takiej rozkoszy. To musi na wszystkich podziałać. Musi 'lśnić! A na końcu poczują niedosyt i poproszą o więcej.

Toteż, mimo że świadom swej winy wobec kolegów, śmiało i w doskona-Im humorze wyłonił się owego krytycznego dnia ze swego laboratorium. Od-iępując od zwyczaju, postanowił tego ranka zjeść śniadanie w kabinie cen-lialnej wraz z Giga i Tyndziem i podczas tego posiłku omówić sprawę. Stawił się punktualnie o ósmej, zamówił u Mufiego coś na ząb i czekał cierpliwie, ale choć upłynęła godzina, oni nie przyszli. Zapytał Mufiego, co się stało. Mufi chrząknął zakłopotany.

Wyraźnie nie kwapił się do wyjaśnień. Leszek poczuł rosnący niepokój.

- Mów! - krzyknął pełen złych przeczuć. - Mów szybko i bez wciskania kitów!

Mufi odchrząknął i pomacał sobie szyję.

- Panna Giga i pan Tyndzio jadają u siebie, proszę pana.

- Od kiedy?

- Od miesiąca. Zamykają się na cały dzień u siebie.

- U siebie, to znaczy gdzie?

- No, w swoich laboratoriach.

- Jakich, u diabła, laboratoriach?! - wykrzyknął Leszek.

- Panna Giga w laboratorium numer dziewięć, a pan Tyndzio w laboratorium numer dwa.

Leszek zerwał się od stołu.

- Nie radzę tam iść - uprzedził lojalnie Mufi. - Oni są bardzo nerwowi zachowują się niekulturalnie.

Pan Tyndzio rzucił we mnie talerzem skwaśnia-|| pulpy. Miałem potem zakłócenia trzech układów i musiałem się długo czy-! -i-ó. A panna Giga chciała mnie wczoraj udusić ręcznikiem... A może to była

!/.arfa? Wciąż jeszcze nie mogę ruszać szyją. Może mi to zostanie?

- Co ty za bzdury pleciesz, Mufi!

- Jakie bzdury?! — goryl poskrobał się w szyję pod uchem. — Jeszcze mam siad, pan obejrzy.

Ale Leszek odepchnął go zdenerwowany i wypadł na korytarz. Z laboratorium numer dwa mimo zamkniętych drzwi dochodził przykry !apach. Leszek wtargnął do środka i stanął osłupiały.

-145-

!"i'Fi

,M i) I

?

li? !

"">' li

ri .1 | i

i

ilt-i

m

if ilill

li «

Struga a właściwie dwie strugi białej piany ! Tyndzio na kolanach przyglądał się im uważnie, raz nabierał na palec odrobinę tej osobliwej matem i próbował kiem.

-Co ty wyrabiasz!?-krzyknąłLeszek.

- Ciiiicho - syknął Tyndzio. - Krzyk powoduje drgania układu! To co wi dzisz to są łańcuchy polimerów już prawie jadalnych.

Ponmer^' Jadalne?! - wybełkotał Leszek. - Jesteś szalony! " bSS bestia znalezienia sposobu

przekształcania polimerów etylenu propylenu i tak dalej, czy też kwasu akrylowego w cukry proste. Bagatela'- zadrwił Leszek. -Czyżbyś wpadł na tak! sposób? I JesSm na najlepszej drodze. Spróbuj to - chciał wetknąć Leszków! palec z nróbka piany do ust.

A Haiże mi spokój-Leszek odskoczył jak oparzony.

- A dajże mi spokój § bracie, Zauważ! Miehbysmy zała-.
parat.

- To syntetyczne proteiny z mojego warsztatu. Nie smakują? - zdziwił!

Tyndzio. - Przecież dodałem kwasku.

- Idź do diabła! - zdenerwował się Leszek.

- Głupi, popatrz - Tyndzio zadarł głowę i demonstracyjnie wycisnął sobi< do ust całą zawartość tubki. Przełknął gładko i powiedział: - Jem to już dwi

odnie i miałem tylko przejściową niestrawność. ..Dostał szmergla - pomyślał Leszek. - Zawsze nieobliczalne rzeczy'. A poiein pui koniec będzie równie tragiczny jak cie jakimś preparatem!

Jedyne, co

Zachowasz młodości urodę...

v me ma! Sprawy zaszły zbyt daleko. Jestem wła ne! - Tyndzio zaoponował gwałtownie. A potem, widz a dorzucił" - Wiem, że się nudzisz Bubel, ale zajmij się czy

rhoć przez miesiąc... Tu jest pełno ciekawych laboratoriów. Może coś cię zain-icresuje?

- Dziękuję ci za radę - wysapał Leszek i wyszedł wzburzony, przylepiając ||ię po drodze nogą do „polimerów już prawie jadalnych". Dopiero na korytarzu zauważył, że ciągnie z sobą cały „łańcuch". Nie zważając na krzyki zrozpaczonego Tyndzia, zerwał brutalnie z podeszwy lepką, pianistą masę i cisnął zasko-ly.onemu chłopcu w twarz. Sam nie wiedział, co go tak bardzo rozzłościło.

Postanowił bezzwłocznie naradzić się z Giga i w tym celu udał się do laboratorium numer dziewięć, pełen zresztą najwyższego niepokoju, czy nie zastanie tam sytuacji podobnej jak u Cyngla.

Jego złe przeczucia pogłębiły się, gdy zastał drzwi zamknięte na cztery spusty, a nad nimi ostrzegawcze fioletowe światelko podwójnej blokady. Na szczęście mógł zajrzeć do środka, bo wizjer nie był wyłączony. Widok był laczey przykry. Pracownia znajdowała się w stanie smutnego

nieładu. Szczątki i o/bitych naczyń laboratoryjnych i aparatury walały się po podłodze zasypanej czymś, co przypominało płatki owsiane. Pośrodku tego wszystkiego leżał na grzbiecie robot

laboratoryjny w kształcie makabrycznego czarnego chrząszcza, poruszając bezładnie sześcioma kończynami i jeszcze bardziej licznymi „cz.ułkami". Czyżby jakaś awaria? Giga i drugi robot

manipulowali energicznie przy skomplikowanym urządzeniu podobnym z grubsza do monstrialnej lii|by wmontowanej w równie monstrialną maszynę do pisania. Nagle rozległ mc ostrzegawczy

gwizd, jakby włączył się niewidoczny odkurzacz. Giga od-»koczyła przerażona. Z aparatury, a ściślej z owej wielkiej trąby, poczęły wylatywać różnobarwne motyle, z początku wielkie i

nieliczne, a potem coraz mniejsze i liczniejsze, cała potworna chmara. Giga wydała żaloszny okrzyk i próbowała je gonić i łapać, podskakując zabawnie. Dopiero po dłuższej chwili Loszek zorientował

się, że to nie motyle, ale kolorowe strzępki zwiewnej, delikatnej materii. Proces postępował coraz szybciej, trąba wypluwała coraz mniejsze strzępki, aż wreszcie zadławiła się i rzygnęła białą cieczą.

Zrezygnowana Giga siadła na podłodze i zaczęła płakać. I kibel załomotał pięściami do drzwi.

Otwórz, to ja, Leszek!

(liga poczołgała się do ściany i nacisnęła guzik wyłącznika blokady. Le-». wbiegł.

Czemu lyczysz?

Bo znów się wszystko porwało - szlochała. — A myślałam, że już się uda. iii . il/iesta trzecia próba! Ja oszaleję.

Próba czego?

Wpadłam na trop fantastycznego wynalazku.

('zyżby?

-146-

-147-

- Można to nazwać uniwersalną szmatą.
- Szmatą? — Leszek skrzywił się.
- Powiedzmy, uniwersalną tkaniną, j eśli cię to razi. Jest to tworzywo sztuczne o własnościach tkaniny, które można dowolnie kształtować plastycznie wprost na sobie... bez pomocy krawca... Mało tego, można samemu formować to tworzywo w kilka różnych odmian, czyli zamieniać w materiał grubszy, cieplejszy, lub cieńszy, w dodatku o różnych wzorach... A wszystko w ciągu dziesięciu, piętnastu minut! Jestem już bliska rozwiązania, ale wciąż jeszcze czegoś brakuje, sam widziałeś, co z tego wychodzi.
- Wychodzą roje prześlicznych motyli.
- No właśnie. Wszystko rwie się jeszcze w aparaturze. I znów muszę zaczynać od początku. Leszek spojrział na nią ze współczuciem.
- Wiesz co, Giga? Przystań sobie tym zawracać głowę. Zobacz, jak ty wyglądasz? Czy to warto? Giga odgarnęła strąki włosów opadające na twarz.
- Wykap się, uczesz, odpocznij, a jutro wszyscy wskakujemy do oziebia-czy. Najwyższy czas, żebyśmy się dali uśpić.
- Patrzyła na niego półprzymkniętymi oczami.
- O co chodzi? — zniecierpliwiał się. — Sama mnie przecież namawiałaś. Nie pamiętasz?
- Tak, zgoda — rzekła wreszcie — ale najpierw muszę dokończyć mój eksperyment. To mi się musi w końcu udać! Musi! Trzeba się tylko zdobyć na ostatni wysiłek... Szkoda, że Tudi ma kłopoty ze zdrowiem - spojrziała z troską na leżącego robota. Chyba się przepracował. Może ty byś go zastąpił?
- No, wiesz! — zachnął się Leszek. — Ty i Tyndzio macie szczególne pomysły! Wystarczy, że wykończyłaś Tudiego.
- Nie bądź zgryźliwy. Bubel, mam wrażenie, że zrobiłeś się zbyt nerwowy.
- Bo mnie denerwujecie. Zupełnie cię nie poznaję, Giga. Co się z tobą stało?!
- Więc zauważyłaś! - ucieszyła się.
- Co?
- Że się zmieniłam?
- Bardzo się zmieniłaś, ale co, u diabła, spowodowało...
- Nigdy tego nie zrozumiecie, ani ty, ani Cyngiel — westchnęła. - Ja sama byłam za... zaszokowana... Ja... coś odkryłam w sobie... coś strasznego.
- Co? — Leszek obserwował ją bacznie.
- Nie powiesz nikomu?
- Nie powiem.
- Posłuchaj. Bubel, ja... ja nie jestem normalna - szepnęła.
- Spojrział na nią podejrzliwie.
- Nie udawaj, że to cię przygnębia.
- To mnie przeraża, Bubel. Nie wiem, co mi jest... to jakiś dziwny stan. To na pewno chorobliwe, ale nie obchodzi mnie nic poza tym eksperymentem.
- I nie nudzi cię - odpowiedział złośliwie. -Nie.
- I nigdy nie męczy - zadrwił.
- Nigdy.
- I zawsze znajdujesz na to czas.
- Zawsze... E, ty zgrywasz się ze mnie!
- Bynajmniej — rzekł ostro Leszek — i powiem ci, co ci jest. To samo co i yngłowi. Oboje ze strachu przed programowaniem próbujecie na gwałt zaprogramować się sami i wmówiliście sobie, że jesteście zakażeni bakcylem.
- A nie jesteśmy?
- Oczywiście, że nie. Porozmawiajmy otwarcie. Zakażony jestem tylko ja.
- Czy to pewne?
- Absolutnie, Giga. Widzisz, nie chciałem cię martwić, ale to naprawdę bardzo rzadkie zakażenie i

kto nie jest artystą, to nie ma praktycznie szans...

- A ty zostałeś artystą? - rzekła z przekąsem.

- Nie chciałbym się chwalić, ale takie jest zdanie komputera.

- Sam nie byłeś pewny? Chrząknął.

- Chciałem mieć obiektywne zdanie. Komputer po przeanalizowaniu moich koncertów oraz stu utworów najwybitniejszych kompozytorów w historii doszedł do wniosku, że ja jestem lepszy od nich wszystkich.

- Byłeś nieco zdziwiony, prawda? Nie dostrzegł ironii.

- Tak, trochę - przyznał. - No, sama wiesz, być lepszym od Bacha, od Mozarta, od Beethovena...

- Od Schumanna i od Szopena...

- Od Wagnera, od Brahmsa, od Czajkowskiego... -I od Ravela.

- I w ogóle od wszystkich, i od współczesnych... W dodatku ja sam dzięki polifonowi mogę wykonywać moje utwory, sam „gram” na wszystkich zebranych w polifonie instrumentach, sam interpretuję; żaden z nich tego nie potrafił...

- Biedacy!

- Przekonasz się sama. Dziś po kolacji zapraszam ciebie i Cyngla na koncert, tylko musicie wziąć coś na wzmocnienie; wzruszenia, jakich dostarcza moja muzyka, są tak silne, że mogą was wprowadzić w stan trwałej hipnozy, .I nawet zabić.

-148-

-149-

Zasepiła się.

- No, dobrze, Bubel, ty zaraziłeś się, ale co będzie z nami?

- Wy się też zarazicie. Sami nawet nie będziecie wiedzieć kiedy. Ja wam to załatwię, bez problemu. Tylko jeszcze nie teraz, po śnie hibernacyjnym, tuż przed wylądowaniem; bo nie dalibyście się uśpić.

- Nie wierzę, żeby ci się udało, i wolę zarazić się sama - rzekła Giga. Wstała i przypasała nowy fartuch.

- Co chcesz zrobić?! - zapytał zaskoczony.

- Po prostu wracam do pracy.

- Z tobą jest naprawdę niedobrze.

- Myślę, że z nami wszystkimi jest niedobrze - odburknęła - i nie wiem, kto jest większym wariatem...

Nie dokończyła. Jej słowa przerwał potężny wybuch gdzieś w pobliżu za drzwiami.

- Boże, to u Tyndzia! - krzyknął Leszek.

- Nie opowiadaj! — Giga zanosła się kaszlem. Od silnego podmuchu nowe roje „motyli” wraz z tumanami duszącego puchu wzbily się w powietrze. Wybiegli, zatykając usta.

Pierwszy rzut oka potwierdził ich obawy. Drzwi laboratorium Cyngla były wywalone; ich nędzne resztki suwały się na rołkach, piszcząc żałośnie.

- Nie wchodź! - Giga próbowała powstrzymać Leszka, ale on nie zważając na niebezpieczeństwo, wbiegł do pracowni. Widok był straszny. Eksplozja rozłożyła główny automat na „czynniki pierwsze”, z jego korpusu trzema odnogami snuły się smużki kolorowego dymu, żółtego zielonego i różowego... Zwijały się i rozwijały w fantastyczne wzory, jakby chciały napisać jakieś straszne słowa groźby czy przestrogi... Robot laboratoryjny leżał z rozplatanym brzuchem; urwało mu głowę i wszystkie kończyny. Gęsta, ziarnista pulpa wylała się na podłogę i zastygła w kształcie gąbczastych języków podobnych do biologicznej tkanki. Lecz gdzie jest Tyndzio?! Leszek rozglądał się gorączkowo

— Nie ma go! - krzyknął do Gigi. Makabryczna myśl przeleciała mu przez głowę...

Giga, pokonując lęk, zajrzała do zdemolowanej pracowni. Nagle struchlała z wrażenia. Jej krzyk rozdarł powietrze. W zastygłej masie w jej najdale wysuniętym języku tkwiły okulary Tyndzia, a raczej jedno szkło i kawałek złamanej oprawki. Kilka metrów bliżej sterczał z pulpy samotny palec.

Czyżb wybuch rozerwał Cyngla na aż tak drobne cząstki?!

— O, Boże! - Giga zasłoniła oczy.

— Uważaj! — Leszek szarpnął ją nagle i pociągnął do tyłu, bo oto stało się coś dziwnego. Jeden z języków zastygłej materii drgnął niespodziewanie, wyl brzuszył się i zaczął powoli pełznąć w ich stronę.

-150-

- Goni nas -jęknęła Giga, cofając się coraz bardziej. - Wyraźnie chce nas /łapać, czuję to...

- Fe... fenomenalne — wykrztusił Leszek z większą ciekawością niż strachem. — Wygląda, jakby nastąpiło wznowienie reakcji chemicznej, a może...

- A może co?

- Może mamy do czynienia z żywą plazmą.

- Myślisz, że to ona pochłoneła Cyngla?

- Ra... raczej to, co zostało po biednym Tyndziu. Już nie żył wtedy... Patrz, ' u się dzieje! — wlepił zdumiony wzrok w wędrującą materię. Zachodziły w niej nowe, niepokojące zjawiska. W miejscu wyrzucenia utworzył się wielki kłbel, rósł szybko i pęczniał, aż nagle prysnął, a w jego miejscu pojawiła się... il Iowa Tyndzia. Mrugał szybko oczami. Był w równie żalonym, jak odrażają-! vm stanie. W wielu miejscach wciąż oblepiała go gęsta, różowa masa; z nosa

/ uszu zwisały mu długie sople plazmy.

- Czemu mnie nie ratowaliście? - wymamrotał. - Pełzłem do was resztką • il, nieszczęśliwy, na pół uduszony, a wy zamiast mi pomóc i wydostać mnie / lego ciasta, uciekaliście przede mną.

- Nie wiedzieliśmy, że to ty - bąknął zmieszany Leszek.

- Skąd mogliśmy wiedzieć? - pochlipywała Giga. - Nic nie mówiłeś.

- Jak mogłem mówić — oburzył się Tyndzio - kiedy byłem oblepiony Mtkany. Nie stojcie tak, do licha! Zdrapcie ze mnie tę pulpę, bo jak zaschnie, nigdy się jej nie pozbędę!

Kucnęli przy nim i pomogli mu zderzeć z twarzy, z włosów i z szyi resztę owej masy.

- Gotowe! - Leszek uszczęśliwiony, że obyło się bez tragedii, poklepał nlccznie Tyndzia po pulchnych łopatkach. - Mufi ci sprawi nowe okulary "" zmartwieniu! Wstawaj!

Ale Cyngiel nie wstawał. Na jego czole pojawiły się gęste krople potu. ia wykrzywił mu spazm bólu.

- Co ci jest? - zaniepokoiła się Giga.

Nie odpowiadał. Trzymał się kurczowo za brzuch.

- Pokaż! Jesteś ranny? Czemu nic nie mówiłeś... Nie - wykrztusił - tylko znów mnie chwyciło... Co?

- Nic... taka... taka mała niestrawność. Leszek spojrział na niego z przerażeniem.

Zjadłeś znów polimery? Skinął głową.

- Mówiłem, żebyś nie jadł! -jęknął Leszek.

- Całe szczęście, że zjadłem - wysapał Cyngiel. - To mnie właśnie ocaliło.

-151-

1

mmm !%»

!M

i .Vfl

li"

I b\

I 3,,'

1, ' '

14 i *M*

lit

-Co ty bredzisz, stary?!

- Naprawdę mnie ocaliło. Po zjedzeniu źle się poczułem, a kiedy nastąpił wybuch tarzałem się z bólu na podłodze... Na podłodze, i dlatego żyję. Gdybym stał, zmiotłoby mnie i rozerwało.

Wyglądałbym jak mój biedny robot...

1GS7CZC sorzci!

Spojrzeni na robota pozbawionego członków, na zdemolowane laborato-

^ No, cóż - westchnął Leszek. - Uprzedzałem cię, Cyngiel. To się musiało tak skończyć...

- Skończyć?! - zapytał Tyndzio. - Jak to skończyć?! Co masz na myśli / zaniepokoił się. - Nic się nie skończyło! - wykrzyknął. - To się dopiero zaczyna!

' - Nie wygłupiaj się! - zasapał Leszek. - Chyba masz dosyć po tym, co s«

- Dostyć?! - Cyngiel zaśmiał się istic wariackim śmiechem, aż Giga sp rżała na niego przestraszona.

- Słyszysz, stara, co plecie ten głupi rżepohstaj -polifonista? Ta nadęta artystyczna ropucha... Nic me wiesz, mc nie rozumiesz! Bube! Moje badania weszły właśnie w nowy, decydujący etap.

Wracam zaraz

do pracy.

- Nie bredź, Cyngiel. Dam ci coś na uspokojenie.

- Ja nie bredzę. To są fakty. Wskutek wybuchu doszło do ciekawej syntezy. Z pulpy wydzielił się nowy związek - Tyndzio oderwał kawał masy zalegającej podłogę. Spod gąbczastej materii wyciekł brunatny płyn, subtelny zapach. ni to konwalii, ni migdałów rozszedł się dookoła.

- Czujesz? - zapytał podniecony Tyndzio. Nabrał na palec nieco tej gęsUl cieczy i powąchał z przyjemnością. - Jestem pewien, że to jest jadalne

- Ani się waż próbować! - krzyknął Leszek. - Zapach migdałów! Wiesz co to znaczy? To mogą być związki cyjanowodoru. Cyjanek tak właśnie pachnie! A to j edna z naj gorszych trucizn!

- Dam do degustacji.

- Jestem pewien, że nie wytrzymasz i liźniesz przedtem, a wystarczy poi zać... Każ Mufiemu wyrzucić to, do licha!

- Najpierw poddam badaniom.

- Nie! Żadnych badań! Zresztą nie masz już laboratorium.

- Mufi przekaże mi nowe - sapał Tyndzio. - Nic mnie nie powstrzymali

- Zostaw go, Bube! - wtrąciła się Giga. - Nie widzisz, nie rozumiesz I się n a p r a w d ę stało?

Wciąż jeszcze myślisz, że tylko ty połknąłeś bakcylj

Trudno o lepszy dowód...

- Czy dlatego, że Cyngiel połknął, mam mu pozwolić się otruć, a nas | sadzić w powietrze? Jeszcze mi życie miłe...

152-

- Nie przesadzaj - uśmiechnął się Tyndzio. - Po co ten cały raban? Poza defektem automatu i stratą jednego robota nic się przecież nie stało.

- Nic?! - krzyknął wzburzony Leszek. - No to zamknij się na chwilę i dobrze posłuchaj!

Nie trzeba było nawet specjalnie wysilać ucha. W ciszy rozbrzmiewały wyraźnie piskliwe, urywane dźwięki.

- To mój polifon, draniu — wycedził, zaciskając pięści, Leszek. — Przestał t;ić i nadaje sygnały uszkodzenia...

- Jak mogłem go uszkodzić? - dziwił się Tyndzio.

- To bardzo czuły instrument, reaguje na każde zakłócenie pola...

- Do diabła z polifonami...

- Cicho - przerwała Giga. - Słyszycie? Znów ten straszny jęk. Tak jak wtedy, w czasie tej pamiętnej kolacji...

Nasłuchiwali przez chwilę. Jęk powtarzał się rytmicznie, coraz bardziej żaloszny, rozdzierający...

Wybiegli na korytarz. Jęk nasilił się wyraźnie.

- To ze składnicy złomu! — stwierdził Leszek.

- Tam... tam jest zamknięty Datsun - przypomniała Giga. - Myślisz, że to on?

- Jestem pewna.

- Nie podoba mi się to - mruknął Leszek i ruszył do składnicy.

- Co chcesz zrobić? — Giga dopadła do niego.

- Sprawdzę.

Chciał otworzyć drzwi, ale Giga go ubiegła. Pierwsza wpadła do składnicy krzyknęła z wrażenia. Widok był istotnie niesamowity. Al Datsun z półotwartą twarzą, ze zmarszczoną, źle naciągniętą twarzą, siedział po turecku na podłodze, kiwając się jak człowiek Wschodu i wydawał te straszne jęki. Jego marnym korpusem i uniesionymi poziomo jak u ślepego rękoma wstrząsały raz i raz drgawki. Czerwona lampka kontrolna w głowie migotała nierównym rytmem. Leszek dotknął go ostrożnie.

- Jest ciepły - stwierdził.

- Boję się - wyszeptała Giga. - Patrz, lampka błyska coraz szybciej, coraz wniej i mocniej.

Dźwiga się na nogach... On chce wstać!

Cofnęli się odruchowo ku drzwiom.

Nagle wszelkie ruchy Datsuna ustały. Na moment znieruchomiał na pół nieszczęśliwy w powietrzu, a potem jak martwa kukła zwałił się z głuchym stuknięciem na podłogę. Światelko kontrolne zgasło.

Znow był tylko wrakiem. Połknęli się nad nim ciekawo...

Na korytarzu rozległy się znajome ciężkie kroki. W drzwiach składnicy pojawił Mufi.

-153-

- Fajno, żeś przyszedł - ucieszył się Cyngiel. - Musisz mi skombinować nowe laboratorium i robota... Zdarzył się mały wypadek, wiesz...

— Wiem - odparł goryl. - To zostało odnotowane przez czujniki. Może pan być spokojny. Ma pan prawo do laboratorium i dostanie je pan...

- Tak myślałem - ucieszony Tyndzio spojrzał triumfalnie na Leszka.

— Dostanie pan nowe laboratorium — ciągnął goryl — ale w bunkrze pancernym na obrzeżu tylnej części statku. W razie eksplozji lub innego zagrożenia bunkier ten zostaje odłączony od statku i odrzucony w kosmos... jak wypluta pestka... jak wypluta pestka — powtórzył z przyjemnością, patrząc nieruchomym wzrokiem na Tyndzia.

Leszek i Giga też na niego spojrzeli z nadzieją, że przestraszy się takiej perspektywy i oprzytomnieje, ale zarażenie Cyngla było zbyt silne, nawet nie mrugnął okiem. Nie tylko się nie przestraszył, ale zadowolony powiedział:

- To mi całkiem odpowiada: może nareszcie będę mógł pracować w spokoju.

W tej sytuacji Leszkowi opadły ręce i postanowił zadbać o własne interesy:

— A co będzie z moim polifonem, Mufi? — przypomniał.

- Właśnie przyszedłem powiedzieć, że już jest naprawiony. Na szczęście wystarczyło wymienić tylko bezpieczniki.

— No i widzicie, że to nie było nic strasznego — wzruszył beczelnie ramionami Cyngiel. — I po co ten cały szum?

Giga i Leszek wymienili spojrzenia. Czy to możliwe, żeby człowiek mógł i się tak zmienić? Co zostało z zahukanego Matoła Klasowego?

I

Leszek myślał o tym całą resztę dnia. O Tyndziu, o Gidze i o sobie też. Chciał być sprawiedliwy. Nietrudno było stwierdzić, że wszyscy troje się zmienili. Nie tylko Tyndzio — Giga i on sam — też! Do czego doprowadzą te zmiany? W wypadku Giga, a zwłaszcza Tyndzia, stawały się wręcz niebezpieczne.

Te dzisiejsze zdarzenia i parę innych spostrzeżeń zmusiło go do uznania że tak jak on, także Tyndzio i Giga są autentycznie zarażeni bakcylem Pi, z tą jednakże zasadniczą różnicą, że są zarażeni nieszczęśliwie. Opór materii w której przyszło im działać, przewyższa przynajmniej na razie ich siły i możliwości, a zapewne i wrodzone talenty, rujnuje ich zdrowie i grozi niechybnie zgubą, nieuchronnym unicestwieniem, i to w krótkim czasie, zanim odwali dziesiątą część drogi do Kakurgii. W tej sytuacji postanowił ratować ich z wszelką ceną, nawet wbrew ich woli.

Jak większość artystów był bardzo pewny siebie; wierzył, iż śladem Orfeusza potrafi czarować potwory nawet tak krnąbrne jak Giga i Tyndzio. Nie miał żadnych wątpliwości, że zdoła ich okiełznać swą sztuką i wszczepić im „swojego bakcyła”, a to wszystko w sposób bezbolesny i przyjemny, wobec czego ich żalosne męki w technicznych laboratoriach nie mają żadnego sensu. Spokojnie jednak zasadnicze rozczarowanie. Ich absurdalne zapamiętanie w pracy przekroczyło

wszelkie granice i nosiło czyste znamiona szaleństwa. Ośmielili się zlekceważyć całkowicie jego wspaniałomyślną i jakże sensowną propozycję, odmówili wszelkich rozmów na temat „zmiany zakażenia”, a co więcej, nie raczyli się zjawić na żadnym z koncertów, które specjalnie dla nich przygotował.

Było to bardzo przykre, wręcz obraźliwe, ale Leszek uznał, że należy po-iraktować ich jako ludzi ciężko chorych i szukać jakiegoś innego wyjścia. Pomysł przyszedł mu do głowy, gdy przypomniał sobie, co miało największe znaczenie dla Fausta (oglądał kiedyś w telewizji film o tym sławnym alchemiku i czarnoksiężniku). Zabieg będzie drastyczny, ale nie ma rady, trzeba skutecznie odstraszyć niefortunnnych wynalazców. Puścił wodze fantazji i wyobraził sobie, jak Giga i Tyndzio będą wyglądać po trzydziestu pięciu latach tej maniackiej pracy. Skonstruował w laboratorium plastycznym odpowiedni projekt widma, dał do sprawdzenia komputerowi wraz ze wszystkimi możliwymi informacjami, a następnie z poprawkami komputera przekazał do laboratorium telewizyjnego. Tu powstał gotowy obraz widma przedstawiający Gigę i Tyn-ilzia w wieku pięćdziesięciu lat, fatalnie wyniszczonych przez bakcyła. Widmo to rzucił na ekrany informacyjne i prześladował nim arkę zatwardziałych „naukowców” na każdym kroku: gdy się budzili i zasypiali, podczas posiłków i podczas pracy.

Był to naprawdę przykry obraz. Jedno widmo przedstawiało pomarszczoną, zgarbioną, zasuszoną staruszkę w stylu Baby Jat. Gderając i skrzecząc, po-i mgląła kijem dwa kulawe roboty rozwieszające jakieś wstrętne szmaty na sznu-izc. Drugie widmo przedstawiało sapiącego, sklerotycznego starca z wielkim lizuchem i łysiną, szukającego na klęczkach okularów. Z laboratoryjnego ko-il;i wylewała się jakaś brudna piana i widać było, jak nieszczęsny starzec tonie v produktach swego szaleństwa.

Nie wiadomo, czy Giga i Tyndzio przestraszyli się w końcu tej wizji, czy i /| byli już zwyczajnie i po prostu wykończeni nadmierną pracą, dość że po ncsiącu nalegań i prób zgodzili się pójść z Leszkiem do kabiny hibernacyj-i-|. Wrzucili swoje dane informacyjne do komputera, a on uruchomił aparat-„Kada”. Gdy wszystko było gotowe, ułożyli się wygodnie w futerałach chłó-enia. Nie czuli jednak zimna, tylko przyjemną senność, a potem, sami nie i odzielili kiedy, pograżyli się w otchłani wielkiego spokoju, bez śladu świadomości i bez snów.

Nastąpiła autentyczna przerwa w ich życiorysie.

-154-

-155-

ROZDZIAŁ XVI

...Zdawało im się, że słyszą odległy dźwięk polifonów. Pędzili przez czarną otchłań kosmosu, coraz szybciej, aż ścisnęło ich w dołku, ku złotemu punktowi, co zamajaczył gdzieś daleko. Punkt rósł szybko, nabierał blasku, grzał jak słońce. Otworzyli oczy. To paliła się nad nimi żółta lampa budzenia.

Zgasło siedemdziesiąt sześć punktów kontrolnych pulsujących spokojnie zielonym światłem; elektroniczny automat wyłączył siedemdziesiąt szesc czujników nadzorujących sprawność działania systemu „Kada”, który czuwał nad organizmami uspiionych. Zgasła lampa niebieska. Wyłączył się system „Kada”. W tej samej chwili włączył się system „Tufa” sygnalizowany jasnożółtymi światłkami. Zaczął przywracać organizmom uspiionych naturalną sprawność. W miarę jak nasilały się ich procesy życiowe i wracało normalne krążenie krwi. barwy światel stawały się coraz bardziej nasycone, wyrazistsze, od intensywnej żółci przechodziły do czerwieni. Coraz głośniejsz rozbrzmiewała także muzyka, była to bardzo dziwna muzyka, o wolnym rytmie, zupełnie mepodopiw do tej, którą komponował Leszek. Zapobiegała ona szokowi pohibemacyjnc mu, działając tonizująco na nerwy.

Wstali jak zahipnotyzowani i unikając gwałtownych ruchów wzięli oci świeżający prysznic z rozpylonego balsamu pohibernacyjnego. W kabinu rannych toalet, gdzie automaty uczesały ich, osuszyły i namaściły im skon; spojrzeli z ciekawością i mimo wszystko z lekkim niepokojem w lustra. Lv naprawdę nie zestarzelii się? Nie! Stwierdzili z ulgą, że wyglądają tak sanv jak przed hibernacją, a nawet lepiej, bo wypoczęci i odprężeni.

- Zajrzę do mojego laboratorium - powiedziała Giga.

-I ja też- mruknął Tyndzio.

Giga ugrzęzła na dobre. Leszek spodziewał się, że ugrzęzme rowmez yi dzio i będzie się objadał po długim hibernacyjnym poście, toteż zdumiał w bardzo, gdy Tyndzio wrócił dosłownie po chwili, trzymając w ręku donic/ł z... bujną zieloną pietruszką.

Był bardzo podniecony i już w progu zaczął mówić, pokazując ją Leszków

- Zobacz! Wsadziłem korzeń na początku naszej podróży! Włączyłem /o szacz i zapomniałem, a ona żyje...

-Kto żyje?

- No, pietruszka. Ma zielone liście, wypuszcza kwiat... Zupełnie me ro/ rniem.

- Czego nie rozumiesz? - Leszek nie mógł się w pierwszej chwili połap;

156-

- Pietruszka jest rośliną dwuletnią. Jeśli wsadzimy korzeń jednoroczny, to wypuszcza zielone pędy i po dwóch, czterech miesiącach, w zależności od temperatury, zakwita. Skoro ja wsadziłem tę pietruszkę na początku podróży, a ona dopiero teraz zakwita, to znaczy, że nie mogliśmy lecieć trzydzieści pięć lat, to znaczy, że nie mogliśmy lecieć nawet jeden rok. Wypadałoby, że lecieliśmy około trzech miesięcy...

Leszek osłupiał.

- No, rzeczywiście, tak by wynikało, bardzo dziwne! Jesteś pewien, że to i; sama pietruszka?

- Całkowicie. Doniczka była zamknięta w gablocie świetlnej, nic tam nie /ostało ruszone, jest jeszcze nawet odcisk mojej ręki.

- W takim razie Datsun nas okłamał — rzekł Leszek. — Szybkość „Rhei” test o wiele większa. Z pewnością zbliża się do prędkości światła. Tylko oni ukrywają to jako tajemnicę wojskową.

- Nawet gdyby była równa prędkości światła, musielibyśmy lecieć ponad i /y lata! — zauważył Tyndzio.

- Tak, ale zapomniałeś, że przy prędkościach zbliżonych do prędkości świa-l.i następuje w statku względne zwolnienie biegu czasu, więc w tym wypadku Na nas i dla pietruszki mogło upłynąć tylko trzy miesiące.

- Nie... Nie wierzę; jest o wiele prostsza możliwość - powiedział Tyndzio. Ta mianowicie, że planeta Efen wcale nie jest tak daleko, jak chciał nam mówić Datsun.

- Ależ. Cyngiel! Nie ma innej bliższej gwiazdy niż Proxima Centauri, »więc nie ma i innego bliższego układu planetarnego.

- Tak, coś się tu nie zgadza, ale jedno jest pewne: nie lecieliśmy zbyt dłu-. Mam jeszcze jeden dowód...

- Jeszcze jeden? Jaki?

- Farfalla i jego podróże. Przypomnij sobie. Był porwany siedem lat temu itfiemi, siedem zwykłych, kalendarzowych lat ziemskich. W tym czasie, po programowaniu oczywiście, trzy razy zlecano mu misje na Ziemi, trzy razy

wiedział swoją rodzinę i znajomych i zastawał ich w dobrym zdrowiu, bynaj-iej nie postarzałych więcej niż on sam. Jeśli więc zdążył zmieścić się z tymi ilróżami w czasie, to widać nie było zbyt daleko...

Do licha, co to ma wszystko znaczyć? - zdenerwował się Leszek. -- Dla-

•)o nas okłamał i w tym punkcie?

Nie wiem, cały czas o tym myślę - rzekł Tyndzio. - Eksperyment psy-•logiczny?

Może chcieli, żebyśmy stracili nadzieję na powrót. A może... — Tyndzio zawahał się. A może co?

-157-

— Może tutaj w ogóle prawda należy do tajemnicy państwowej i robotom opowiada się z zasady bajki... - urwał, bo zjawił się goryl Mufi z uroczystą miną, wezwał Gigę z laboratorium i powiedział do wszystkich:

- Podróż państwa zakończyła się. Za chwilę wylądujemy w Centralnej Ka-kurgii, w bazie Ośrodka Badań Akademii Nauk. Uprzejmie proszę o zajęcie miejsca w fotelach, lądowanie na stojąco może być dla państwa niebezpieczne.

Ale chłopcy i Giga ani myśleli go słuchać. Ciekawość zwyciężyła strach przed skutkami lądowania

„na stojąco” i wszyscy rzucili się do luku widokowego, aby jak najprędzej zobaczyć, jak wygląda Kakurgia.

Przez chwilę statek przebijał się przez niezwykłą różową chmurę, potem przez ułamek sekundy ogarnął ich niepojęty mrok, i nagle... Odsonił się przed nimi zdumiewający widok: niebieskie niebo, malownicze palmy kokosowe z jednej strony, dorodne palmy daktylowe z drugiej, gaje cytrynowe i pomarańczowe, ogrody oliwne i wielkie jak staw źródło kryształowo czystej wody pośrodku. Coś w rodzaju cudownej oazy w Afryce. W dali widać było puszcze tropikalną, ustępującą stopniowo miejsca lasom parkowym i krzaczastej sawannie. Jakby wszystkie strefy roślinne Afryki zebrane tu były na niewielkim stosunkowo obszarze. Toteż patrzyli jak urzeczeni. Co za przyjemna niespodzianka! Ani śladu tej rzekomo wyjałowionej, nieurodzajnej i zatrutej gleby kakurgijskiej, o której mówił Mufi, ani śladu kambonów.

- Jak mogłeś tak nas oszukać, Mufi?! - wykrzyknął Tyndzio. Ale nim Mufi mógł im coś odpowiedzieć, potworna siła hamowania rzuciła ich na podłogę. Byliby porozbijali sobie głowy, gdyby Mufi w ostatniej chwili nie podsunął im materaca awaryjnego.

Wielka płyta kosmodromu była pusta. Tylko jedna postać stała daleko i nieruchomo, jak posąg-

- Boję się - powiedziała Giga. - Nie wysiadajmy lepiej.

Wszyscy troje byli sparaliżowani strachem. W końcu „Rhea” była ostatnią rzeczą, jaka ich jeszcze łączyła z Ziemią. Oswoili się już ze statkiem i czuli si^ę na nim w miarę bezpiecznie, o ile w ogóle można było mówić o bezpieczeństwie miliony kilometrów od Ziemi i w ich żalosnej sytuacji.

— Tak, nie wygląda to wszystko zbyt zachęcająco — przyznał Tyndzio, pa trząc na lądowisko. — Mufi, może byśmy na pożegnanie zjedli jakiś solidn) obiadek! - zaproponował, żeby zyskać trochę na czasie.

- To jest myśl! uczepił się propozycji Tyndzia Leszek. - Wyprawimy sobie ucztę, Mufi.

Ale Mufi gdzieś zniknął. Nie pomogło wywoływanie go przez kosmofoi
To jeszcze bardziej zdeprymowało Gigę i chłopców.

— Za Boga nie wysiądę — Giga śmiertelnie blada wczepiła palce w poręcz fotela.

I

-158-

- Tak, lepiej zostać - sapnął Leszek. - Tu mamy jakieś szansę, możemy zablokować wejścia, odpierać ataki poskramiaczem... - nie zdołał dokończyć, ho wszystkie luki otworzyły się nagle i bezceremonialnie „wysało” ich z kabiny. Czyżby na kosmodromie była próżnia? W każdym razie musiała być wielka różnica ciśnień, skoro przelecieli długim rękawem aż na koniec kosmodromu pod bramę, gdzie czekała na nich dziewczyna w żółto-czerwonym obcisłym kostiumie, lśniącem łuskami jak skóra węża; w rękę trzymała wielki bat; uśmiechała się szerokimi czerwonymi ustami do nowo przybyłych gości. Patrzyli na nią zdumieni. Jej twarz i sylwetka była dziwnie znajoma. Ależ tak, nie mogło być pomyłki. Znali ją doskonale z afiszów cyrku, który niedawno przyjechał do Warszawy i zrobił wielką furorę.

MELLA - POGROMCZYNI DZIKICH ZWIERZĄT

MELLA- KOBIEȚA BEZ TRWOGI MELLA NIEUSTRASZONA i NIEZWYCIĘŻONA

głosiły wielkie napisy reklamowe, anonsując jej występy w następnym sezonie.

Niewątpliwie była to ta sama osoba. Nim się otrząsnęli z wrażenia, gdzieś tuż koło nich zabrzmiał głos niewidocznego megafonu, tak głośno, tak blisko, i lak znienacka, że aż się wzdrygnęli.

„Tu Ósma Baza Naukowa Kakurgii. Tu Ósma Baza Naukowa Kakurgii! I waga kandydaci nowo przybyli z Ziemi. Wita was pani Adaptator Mella!”

W tym momencie Mella trzasnęła mocno z bata. Przez bramę kosmodromu u biegły dwa lwy i położyły się u jej stóp. Giga i chłopcy cofnęli się odruchowo.

„Nie bójcie się — zagrzmiał na nowo megafon. — Jesteście całkiem bezpieczni. Powtarzam: jesteście całkiem bezpieczni. Mella zadba o wasze po-:by. Zapewni wam dobre samopoczucie. Postara się spełnić wszystkie wa-najskrytsze marzenia. W imię Programu!”

„Niech się spełni!” - odpowiedział chór niewidzialnych, a Mella ponow-trzasnęła z bata.

To strzelanie z bata bardzo Gidze i chłopcom działało na nerwy. Nie wielu uśmiechowi czerwonych ust Melli ani zapewnieniom megafonu. Chcieli icc:, ale nogi jakby im przyrosły do ziemi. Wreszcie Leszek zebrał się na Iwagę. Dziesięć kroków od Melli, na prawo od bramy, zauważył dziurę płocie. Nie namyślając się wiele, rzucił się do niej biegiem i nim się Mella ientowała, dał rozpaczliwego susa w tę dziurę. Udało się. Już był po drugiej iiiie! Wprawdzie upadł, ale nie potłukł się, bo rosła tam gęsta, puszysta tra-. Chciał się zerwać na nogi, ale w tym momencie z przerażeniem poczuł, że

-159-

zjeżdża na dół — ta trawa była jakaś potwornie śliska, na próżno czepiał się rękami źdźbeł i badyli, urywały się, a on staczał się coraz szybciej i szybciej. Czyżby ten piekielny kosmodrom był na jakiejś górze? Co będzie, jak dalej stok zakończy się niespodziewaną przepaścią? Zacisnął powieki... Ale zamiast w przepaść, wpadł w coś bardzo miękkiego i przyjemnego. Kiedy otworzył oczy, ujrzał, że po szyję zanurzony jest w gęstej cieczy podobnej do gliceryny. Koło niego, na marszczącej się powierzchni płynu widać było długi cień. Podniósł głowę i zdrętwiał z wrażenia. Na trawiastym brzegu basenu stał... Tupał-

ka.

- Przepraszam - wykrztusił Leszek, widząc, że tłusta ciecz zapryskała nauczycielowi jasne spodnie. Tupałka stał nieporuszony. Wyraźnie nie poznawał Leszka. I dopiero teraz nieszczęsny chłopiec uświadomił sobie, że ten osobnik, aczkolwiek bardzo podobny do Tupałki, można powiedzieć „tupałkowaty”, nie jest jednak Tupał-ką. Włosy okalające łysinę miał rudawe, nos perkaty. I to Leszka jeszcze bardziej zmieszało. Chciał uciekać, lecz gdy się odwrócił, zdębiał na nowo. Pół tysiąca tupałkowatych postaci podskakiwało w olbrzymim basenie, a za nimi na zielonym brzegu drugie tyle ćwiczyło przysiady i wymachiwało rękami. W kostiumach w identyczne duże pasy, czarne i białe, podobni byli do dziwnych egzotycznych ptaków szykujących się do odlotu. Wyglądali jednakowo, jakby powielone kopie tej samej osoby; dopiero po bliższym przyjrzeniu można było dostrzec, że różnią się długością nosów -nosy jednych były bardziej zaokrąglone, drugich bardziej spiczaste i długie jak ryjki mrówkojadów; również kolor włosów za uszami mieli niejednakowy; ale wszyscy, zwłaszcza z daleka, wyglądali jak karykatury Tupałki w trzech odmianach: blond, ruda i czarna.

Leszek z początku pomyślał, że ktoś robi mu kawał. Do licha, tak przecież nie mogli wyglądać prawdziwi Kakurgijczycy! A może to znów jakiś eksperyment? Przypomniawszy sobie, co mówił Farfalla: „wszystko jest eksperymentem”. „No, to zobaczymy, co teraz zrobicie” — pomyślał i zniechęca chlusnął temu stojącemu na brzegu typowi lepka ciecżą w tupałkowatą twarz. Oślepiiony osobnik wydał piskliwy okrzyk i zaczął rękami ścierać sobie z oczu gęstą maź. Leszek skorzystał z jego zaaferowania i dobywając z siebie wszystkich sił, wygramolił się jak mógł najszybciej z basenu: zamierzał właśnie dać dyla w pobliskie krzaki, gdy w rękę Tupałkowatego błysnął poskramiacz. Nie była ani chwili do stracenia. Leszek padł na ziemię, oburącz poderwał KakurgijczyJ kowi nogi i obalił go na trawę. Z ręki Tupałkowatego wypadł poskramiacz Leszek chciał go złapać, ale spóźnił się o moment — poskramiacz stoczył si z pochyłości do basenu. Tupałkowaty tymczasem, choć wyciągnięty na trawie] nie zrezygnował bynajmniej z walki. Teraz jemu z kolei udało się chwyci^

I .eszka za nogę. Miał rękę jakby z żelaza, na próżno Leszek się szarpał i okładał go pięściami. Typ był niesłychanie odporny na ciosy i choć Leszek raz po raz pakował mu serię w łysinę, aż dudniło, nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Wreszcie zdesperowany chłopiec wyrwał mu kłak rudych włosów nad uszami i wtedy... Wtedy zrozumiał wszystko. Pod włosami ukazała się pęknięta skóra, a w jej szparze pulsowało czerwone światło, obok połyskiwała metaliczna płytka.

— Robot! — wymamrotał. — Robot na obraz i podobieństwo Tupałki?! Chciał zerwać mu twarz i wyłączyć go jak Datsuna na statku, ale w tej

samej chwili nadbiegł tłum Tupałkowatych. Mocne ręce uniosły go do góry. Inne wycelowały w niego setki poskramiaczy.

— Stop! — rozległ się nagle wysoki, kobiecy głos.

Leszek spojrział. Przed nim stała Mella. Tupałkowaci opuścili poskramiac/e i cofnęli się. Mella wzięła Leszka za rękę i poprowadziła go przez tereny i ckreacyjne do pobliskiej oazy z licznymi

palmami i zaroślami papirusów.

Z megafonu rozległy się słowa:

„Podaję komunikat specjalny. Dziś, to jest dnia trzydziestego stycznia o godzinie trzynastej zero pięć, niezaprogramowany człowiek wdarł się na teren basenów i zakłócił kąpiel Wielebnych Akademików. Dzięki przytomności umysłu Wielebnego Meczebe, który, aczkolwiek pochłonięty kalkulacjami, zdołał ująć intruza, niebezpieczeństwo zostało zażegnane, a człowiek oddany w ręce pani Adaptator Melli. Uprasza się Wielebnych Akademików o spokojny powrót do ćwiczeń i kąpeli. Powtarzam. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane...”

Przez pierwszych kilkanaście metrów drogi Leszek zastanawiał się, czy nie spróbować prysnąć Melli, lecz ona, jakby odgadując jego myśli, z łagodnym uśmiechem położyła mu rękę na głowie. W tej samej chwili w mózg chłopca wbiło się tysiące kłujących szpilek. Poczul, że cały drętwieje. Mella pogłaskała go, o parę razy z uśmiechem i cofnęła rękę. Ból ustąpił, Leszek wracał pomalutku do siebie. Zrozumiał, że ma do czynienia ze specjalistką i że nie ma przy niej żadnych szans. Potulnie, za rączkę jak przedszkolak, dał się zaprowadzić do oazy. Przy pierwszych palmach czekały lwy oraz mały helikopter. - Idź do kolegów. Lwy cię zaprowadzą - powiedziała Mella do Leszka i chciała go znów pogłaskać, ale Leszek uchylił się przestraszony. - I pamiętaj, bądź grzeczny, a na pewno zostaniemy przyjaciółmi. Do jutra, Leszku, po powitaniu będziecie mieć czas wolny. Przygotowałam dla was różne rozrywki. Na pewno nie będziecie się nudzić. A teraz żegnaj cię do jutra. Będę czuwać nad wami z góry.

To powiedziawszy, wsiadła do śmigłowca i szybko uniosła się w powietrze; po trzech sekundach widać już było tylko małą plamkę na tle jasnoniebieskiego nieba, krążącą ponad oazą jak sęp.

-160-

-161-

I

1ft iii;

M111

ffrNin

Sit" !!

Lwy zamruczały groźnie, patrząc krwawymi oczyma na Leszka. Zrozumiał, że każą mu iść. Ruszył więc zrezygnowany za nimi, w głąb oazy. Była to dosyć dziwna oaza. Leszek podciągnął się już nieco z geografii podczas podróży na pokładzie „Rhei”, toteż zdumiał go nie tylko fakt, że ujrzał tutaj rośliny znane mu z Ziemi, ale także i to, że w tej jednej, niezbyt wielkiej oazie rosły obok siebie rośliny z różnych kontynentów, palmy daktylowe obok kaktusów, baobaby obok araukarii i bananowców, a do tego drzewa chlebowe, eukaliptusy i awokado.

Pośrodku oazy znajdował się obszerny, wyłożony tworzywem podobnym do tartanu plac otoczony nieruchomymi strażnikami w białych hełmach. Leszek odetchnął z ulgą. Zobaczył Gigę i Tyndzia. Rozglądali się dookoła, zadzierając głowy do góry. Miny mieli niezbyt mądre, ale nie nieszczęśliwe. Na widok Leszka uśmiechnięci pomachali mu rękoma. Więc nic im się złego nie stało. Dołączył do nich i sam zaczął się rozglądać. Naprzeciw znajdowało się podium z komputerami, nadajnikami i inną, trudną do zidentyfikowania, nieznaną Leszkowi aparaturą, koło której uwijały się roboty laboratoryjne. Jeszcze wyżej ujrzał trzech tupałkowatych Akademików w czarnych togach. Czyżby naprawdę chodziło tylko o powitanie? Ci panowie wyglądali raczej na jakąś komisję śledczą lub naukową w najlepszym razie. Wyglądali by zresztą dość zwyczajnie i całkiem po ludzku, gdyby nie to, że zamiast siedzieć w wygodnych komisyjnych fotelach — kucali na okrągłych, wysokich na pół metra podstawkach, a to robiło dość zaskakujące wrażenie. Ale w końcu na Ziemi niektóre dzikie plemiona wciąż mają podobny zwyczaj. Leszek przypomniał sobie Indian kucających przy ognisku i pewne szczepy murzyńskie pokazywane w telewizji. Z megafonu rozległ się ponownie głos:

„Nareszcie wszyscy w komplecie. Wielebni Akademicy zechcą wybaczyć zwłokę. Można włączyć aparaturę i przystąpić do zapisu. Uwaga, przybył z Ziemi. Zgodnie z naszym zwyczajem, wypijcie teraz kielich ożywczy na znak, że przybywacie bez zdrady w sercu i nie żywcie do nas nienawści. W imię Programu!”

— Niech się spełni! — odparli chórem Akademicy.

— Nie pijcie niczego — szepnął Leszek do kolegów.

- Czemu? - zapytała Giga. - Strasznie mnie suszy po tej hibernacji.

- To może być aberracja - ostrzegł Leszek.

- Nie bój się - syknął mu do ucha Tyndzio. - Mam antidotum na aberrację z mojego laboratorium - chciał wetknąć Leszkowi jakąś pastylkę do ręki, |

Leszek nie przyjął.

— Chcesz mnie strucić?! Nie wierzę w żadne twoje cholerne pastylki. Zza krzaków bananowca wyłonił się robot-kelner z tacą i kielichami.

osiem par rączek, w każdej trzymał talerz z innym menu. Z piersi sterczało I

-162-

szesnaście kraników z kolorowymi kurkami, z których na życzenie wytaczał różne napoje. Teraz też odkręcił jeden z nich i napełnił trzy kielichy.

Giga i Tyndzio łyknęli po pastylce i śmiało sięgnęli po nektar.

- Błagam, nie! - krzyknął Leszek, chciał im wytrącić kielichy z rąk, ale oni jakby umyślnie, igrając z nim, odskoczyli każde w inną stronę i dwoma haustami wyduldali spiesznie nektar.

Leszek spojrział na nich ze strachem... I z żalem. Był przekonany, że w tym momencie stracił na zawsze kolegów. Z niepokojem czekał na pierwsze obja-

ROZDZIAŁ XVII

I Tyndzio odstawił ozdobny kielich na tacę robota gastronomicznego i mla-Miał z wielkim zadowoleniem.

- Wyśmienity napój. Bezbłędnie gasi pragnienie - powiedział.

- To fakt - oblizwała się Giga. - Jeszcze takiego nie piłam w życiu. Żałuj I i II, że nie skosztowałaś!

- Głupcy! A jeśli to był sok aberracji? - krzyknął Leszek.

- Wykluczone. Już prędzej uwierzę, że to był nektar z kambonów - roze-Mtuała się beztrudno Giga.

- Tak jest - przytaknął Tyndzio. - Aberracja to jest podobno wybieracz smutnych myśli. A mnie przecież wciąż prześladowuje smutna myśl, że ta podróż ci zaszkodziła, Bubeł. Naprawdę bardzo się o ciebie martwię. Zrobiłeś się drętwy i gderliwy... - urwał, bo z megafonu znów popłynął donośny serdeczny głos:

„Czujcie się jak u siebie! Zapomnijcie o waszej starej i zacofanej planecie. W. isza Ziemia jest teraz tutaj! Wysoka cywilizacja kakurgijska jest otwarta dla wstępnych dzieci Kosmosu. Lecz zanim przyzwyczajcie się do naszego życia, nie sięgajcie i używajcie do woli. Jesteśmy do waszych usług. Nasze komputery i malizowały wasze ziemskie marzenia i skłonności. Postaraliśmy się spełnić. Wytypowaliśmy dla was zestaw rzeczy, które powinny was ucieszyć. Wy-1 - 'cie z nich, co chcecie. Są wasze...”

Zanim jeszcze przebrzmiały słowa megafonu, ekipa wyspecjalizowanych iow transportowych wniosła i ustawiła przed oniemiałymi delikwentami

- i ożaki z bronią myśliwską, trzy manekiny ubrane w białe kolonialne stro-

• i u radne korkowe hełmy jak ze starych filmów i powieści, oraz przyprowa-

' na smyczach trzy wielkie tresowane lwy. Z kolei wniesiono trzy otwarte

-163-

! «

mu

JiT*

iii C||

511

.H4

u- i-

ii

ii 11

szafy z odzieżą wszelkiego rodzaju oraz tyleż stolików pełnych różnych smakołyków, ciast, tortów, owoców południowych i kuszących napojów. A potem jeszcze ustawiono przy każdym stoliku specjalne stojaki ze sprzętem sportowym, z raketami tenisowymi, piłkami, kompletnymi kostiumami pływackimi, kuszami, oszczepami i nożami do łowów podwodnych. A na koniec wjechały trzy samochody wyścigowe i nadleciały trzy helikoptery przeobrażalne: na oczach chłopców i Gigi spakowały się same do walizki i ustawiły przed nimi.

A chłopcy i Giga, patrząc na to wszystko, przypomnieli sobie, że jak byli mali, to marzyli o takich właśnie polowaniach w dalekich krajach, o takich maszynach i aparatach, o takim sprzęcie.

„Wybierajcie!” - powtórzył głos z góry.

- Czy można wybrać wszystko... Wszystko?... - w oczach Gigi zapaliły się niebezpieczne błyski.

Pożądliwie przyglądała się zwłaszcza wniesionym przez roboty strojom.

„Można wszystko. I w jakiej tylko chcecie kolejności. Pozostałe rzeczy będą tu czekać na was; gdy przyjdzie wam ochota pobawić się nimi, wróćcie i zabierzcie je. Są do waszej dyspozycji!” — oznajmił głos.

Widocznie wspomnienia o marzeniach z czasów szczenięcych były najsilniejsze, bo zarówno Giga, jak i Tyndzio rzucili się najpierw do manekinów, by przywdziać tropikalny strój, chwycić strzelbę i zakosztować przygody Wielkiego Safari.

— Najpierw muszę koniecznie zapolować z tym lwem! - wykrzyknęła Giga.

— I ja! — wrzasnął podniecony Tyndzio.

— Stójcie! — Leszek chciał ich powstrzymać, ale nadaremnie. Tyndzio już próbował strzelbę, czy jest prawdziwa, a Giga ujęła smycz z lwem i biegła naokoło palmy z potulnym zwierzęciem, sprawdzając, czy i jak reaguje ono na wydawane rozkazy.

— Co was napadło?! - krzyczał Leszek. - Opamiętajcie się! To przynęta! Wszystko, co oni nam tu pokazują, to przynęta! Zastawili na nas zasadzkę...

— Spokojna głowa! — odparł Tyndzio, strzelając do orzecha kokosowego na najbliższej palmie. — Nic nam nie będzie. Jesteśmy na to za cwani! Co nam szkodzi pobawić się trochę?

— Nie bądźcie śmieszni! — jęczał Leszek. — Wyrośliśmy już z tego! Nii-macie ośmiu lat!

— Nudny jesteś, Bubel — wysapała Giga, siadając beztrząsowo na lwa jak na konia. - Zawsze o tym marzyliśmy! Ale nigdy nie mogliśmy się tak bawić, chociaż tak bardzo chcieliśmy! No więc pobawimy się teraz! Zamiast gderać, dołącz do nas, trzeba trochę rozprostować kości po tak długiej podróży i odprężyć się! No, chodź, nie bój się! Te lwy nie gryzą...

||>>— Błagam was, nie dajcie się w to wciągnąć! - mówił zrozpaczony Leszek. - Odejdźcie od tych zabawek, to jest podstęp, rozumiecie? Podstęp Kakurgij-czyków! Nie dajcie się na to nabrać... Przysięgaliście! ...

— Głupi, wsiadaj i uciekaj z nami! — krzyknęła mu w ucho Giga i przejechała na swoim lwie tuż przed nosem Leszka. Za nią, wydając jakieś indiańskie okrzyki, popędził Tyndzio. Zniknęli w zaroślach bananowców.

Leszek odprowadził ich smutnym wzrokiem. Wszystko na nic!

Ulegli! Nie wytrzymali próby! Zrezygnowany usiadł na walizce z helikopterem i zastanawiał się, co robić w tej sytuacji.

„Czemu się nie bawisz, drogi chłopcze? - zapytał głos z megafonu. - Czyżby nasz komputer nietrafnie określił twoje skłonności? Może wolisz do zabawy balon? Raketę kosmiczną? Jacht? Wyraź swoje życzenie!”

Leszek milczał.

„Komputer nam podpowiada, że zawsze marzyłeś o torcie czekoladowym / ananasem na imieniny — oznajmił głos. — Oto twój ulubiony smakołyk!”

Zza palmy daktylowej wyłonił się robot-kelner z wielkim tortem na rękach i podszedł do Leszka. Widząc, że Leszek nie odbiera tortu, próbował sam go nakarmić wielką kryształową łyżką. Rozzłoszczony Leszek wyrwał robotowi tort i cisnął w Wysoką Komisję. Akademicy pospadali ze swoich podstawek. Wybuchł tumult i ogólne zamieszanie. Straż kakurgijska już miała użyć przeciwko Leszkowi poskramiaczy, gdy nagle rozległ się donośny dźwięk piszczałki. To przewodniczący Wysokiej Komisji, mimo iż leżał bezradnie na piasku, nadał przytomnie ten sygnał. Musiał to być rozkaz pozostawienia Leszka w spokoju, gdyż zbrojni Kakurgijczycy schowali od razu poskramiacze i wycofali się na poprzednie stanowiska. Tymczasem do akcji przystąpiły roboty transportowe i sprawnie poustawiały z powrotem Akademików na podstawkach. „Przykro nam, że nie odgadliśmy twych upodobań i marzeń, przybyszu / trzeciej planety gwiazdy Horro — rozległ się głos z megafonu. — Lecz na s/częście mamy zarejestrowany twój ostatni sen przed hibernacją. Co byś powiedział na to?”

Zza bananowców wybiegła tancerka kakurgijska w nader skąpym stroju / liści palmowych. Akademicy sięgnęli po zawieszona na szyi piszczałki; dziwna, egzotyczna melodia zawibrowała w uszach Leszka. „Skąd oni wytrzasnęli taką tancerkę?” - pomyślał, przyglądając się z zaciekawieniem karkołomnym wygibasom artystki. Był to taniec, który można było śmiało określić jako akrobatyczny. Ta kobieta miała chyba kości z gumy! Na Ziemi nie ma takich kobiet! A nie była przecież Kakurgijką. Jej ciało miało proporcje ludzkie. Nagle pewne podejrzenie przyszło mu do głowy. W momencie, gdy tancerka, naśladując „umierającego łabędzia”, pochyliła się i spuściła głowę, podbiegł do niej

-164-

-165-

blisko i spojrzał na jej szyję. Nie pomylił się. Nieco poniżej ucha miała śrubę, taką samą jak Datsun! Była po prostu robotem.

— A, więc to tak? — krzyknął Leszek i powiódł jeszcze raz wzrokiem dookoła. - Przejrzałem was! Teraz już wszystko jasne! Zafundowaliście nam teatr w sztucznych dekoracjach! Nic tu nie jest prawdziwe, ani tancerka, ani lwy, ani palmy i ta cała oaza! To jedno wielkie oszustwo i kłamstwo! Roboty i atrapy. Nic żywego! A wy? — doskoczył do członków Wysokiej Komisji i próbował obejrzeć im miejsce za uchem; niestety, okazało się to nader kłopotliwe, ponieważ miejsce to zasłaniały słuchawki monitora dźwięku; zbity z tropu Leszek zaczął więc szukać śrubek w innych miejscach ich „ciała”. Przerażeni Akademicy po raz drugi pospadali z podstawek. Leszek wciąż nie dawał za wygraną, lecz chwyciwszy przewodniczącego Komisji, zaczął nim potrząsać gwałtownie, wiedział bowiem, iż potrząsane roboty wy dają charakterystyczny chrzęst.

Tego już było czcigodnemu uczonemu za wiele. Chwycił zawieszoną u szyi piszczałkę w drżące rączki i zapisał na alarm. Straż kakurgijska wyciągnęła poskramiacze i rzuciła się do Leszka. Ale Leszek nie zamierzał tanio sprzedać swojej skóry. Też miał przecież w kieszeni poskramiacz odziedziczony po Datsunie. Wydobył go błyskawicznie i poraził trzech strażników, nim zdolali zrobić użytek ze swej broni. Być może zdołałby ująć cało, gdyby nie roboty bojowe. Na nowy sygnał piszczałki z zarośli bananowców wystąpił bowiem zwarty oddział ukrytych tam robotów bojowych i zagrozi Leszkowi drogę. W tej samej chwili nadleciał helikopter policyjny i zarzucił ni Leszka mocną sieć. Zaplątanego w nią jak szczupaka straż kakurgijska zanio sła na skraj oazy, tam gdzie stały koszary robotów, i umieściła w wolframowe klatce.

Tymczasem Tyndzio i Giga nie ujechali zbyt daleko. Lwy to jednak nil konie i jazda na nich na oklep już po pięciu minutach przestała sprawiać prz)J jemność. Zsiedli więc i dalej uciekali pieszo. Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy Giga, kompletnie wyczerpana, skapitulowała.

— Stań! - krzyknęła do Cyngla. - Już nie mogę dalej.

Cyngiel przystanął i obejrzał się. Dyszała ciężko zgięta wpół jak zawodni po maratonie.

|

— Muszę trochę odsapnąć... — wykrztusiła.

— A ja bym coś przekaśli - powiedział Tyndzio, oblizując wargi.

Giga sięgnęła do plecaka myśliwskiego, który zabrała ze stoiska w oazil i przetrząsnęła go.

|
-166-

- Tylko to jest do jedzenia - powiedziała, podając Tyndziowi czekoladę. -O, jest i tkanina „adekwatna” - wydostała mały pakunek podobny do sprasowanej waty.

- Co to jest? - mruknął zadyszany Tyndzio, przyglądając się podejrzliwie. Wata nam niepotrzebna. Potrzebne koce i namiot.

- Podobno z tego można zrobić wszystko. Czytałam o tym książkę. Była w moim laboratorium. Leszek opowiadał, że z takiej tkaniny Mufi zrobił mu puchowy ocieplacz po tej kąpieli w zoo. Można ją rozciągać na wszystkie strony i formować na różne sposoby. Zaraz spróbuję!

- Nie teraz - przestraszył się Tyndzio. - Tu jesteśmy na widoku - rozejrzał się czujnie dookoła.

- Myślisz, że nas wciąż szukają? Chyba urwaliśmy się im na dobre.

- Trudno mi w to uwierzyć. Wiesz, jaką oni mają technikę. Uciec im to... to prawie niemożliwe, to byłoby naprawdę duże szczęście.

- Założę się, że właśnie mieliśmy to szczęście - powiedziała Giga. -A w ogóle to dzieją się tu dziwne rzeczy. Na Ziemi nie potrafiłam przebiec nawet dwu kilometrów, a tu bite trzy godziny bez odpoczynku...

- Przyciąganie inne - mruknął Cyngiel. - Planeta musi mieć masę mniej-||i/.ą od Ziemi.

- A mnie się zdaje, że to po tym napitku.

- To fakt, że on nas piekielnie podekscytował.

- Czułam dosłownie, że coś mnie roznosi, a jednocześnie chciało mi się pękać ze śmiechu... - wyznała Giga. - Biedny Bubel...

- Biedny? - Cyngiel uniósł do góry brwi.

- On myśli, żeśmy oszaleli, bo to była aberracja.

- A skąd wiesz, że nie była?

- Bo nie mamy zaników pamięci.

- Nie mamy zaników pamięci, bo mój neutralizator działał bez zarzutu -i/ekł nie bez dumy Cyngiel.

- Ja go nie zażyłam - oznajmiła Giga.

- Co?! Przecież ci dałem pastylkę.

- Nie chciałam psuć sobie smaku - rzekła beztrąsko Giga. - Mam ją tu -u ściągnęła z kieszeni i podrzuciła na ręce różową drażetkę.

- Jak mogłaś tak ryzykować? - oburzył się Cyngiel.

- Skoro oni chcieli, żebyśmy się cieszyli spełnieniem naszych dawnych uuirzeń, to nie mogli nam odbierać pamięci. Inaczej propozycja, żebyśmy się •uwili w tamte stare zabawy, byłaby bez sensu... Nie, to nie był sok aberracji, to •>v!o coś innego.

!- Z pewnością mieli w tym jakiś swój ciemny interes, żeby nas tym sokiem podniecić - mruknął ponuro Tyndzio.

-167

- Och, wszystko musisz widzieć od najgorszej strony. Może to jest po prostu rodzaj szampana, którym się tutaj wznosi toasty. W końcu nic nam się złego nie stało, to ich raczej spotkała przykra niespodzianka, bo uciekliśmy im...

- Myślisz?

- Szkoda tylko, że Bubla nie ma z nami - sposepniała nagle. - To dlatego, że nie chciał pić tego soku. Czemu nie powiedziałeś mu, że masz antidotum na aberrację...

- Ależ powiedziałem mu! Tylko on chyba nie wierzył... - odparł Tyndzio. -Chciałem mu dać pastylkę, ale jej nie wziął. On bał się moich pastylek. W ogóle nie cenił mojej pracy. Ale teraz to nie ma znaczenia. I tak wszystkich złapią. I Bubla, i nas. Oni mają taką wspaniałą technikę... Muszą nas w końcu złapać.

- Wcale nie muszą - rzekła Giga.

- Nie mamy żadnej broni, nawet poskramiacz został przy Bublu.

- Ale mamy lwy. Wygląda na to, że są robotami podobnej klasy co Mufi...

- Nie potrafią mówić - przerwał Cyngiel.

- Ale rozumieją i wykonują rozkazy. Z pewnością też potrafią wytwarzać pole nieprzystępności jak Mufi.

- I co z tego? — skrzywił się Tyndzio. — Otoczeni polem, będziemy siedzieć jak w oblężeniu, a tu chodzi o to, żeby wyrwać się i wrócić na Ziemię. Teoretycznie to...

- Wrócimy — przerwała twardo Giga. — Wrócimy, jak nie będziesz teorety-zował. Dość tego biadolenia - zarzuciła z powrotem plecak na ramiona. — Te-I raz interesuje mnie tylko jedno. Jakaś dobra kryjówka... Może te lwy by znalazł zły - utkwiała wzrok w przeciągających się leniwie drapieżnikach.

- Nie — przestraszył się Tyndzio. — Lepiej nie ryzykować. Skąd wiesz, czy nie zaprowadzą nas prosto w łapy tej tupakowatej komisji albo do komisariatu policji... Spróbujmy lepiej sami.

- Okolice wydaje się niezamieszkała - zauważyła Giga. - Trudno będzie coś znaleźć. I

- Od biedy możemy przenocować w krzakach...

- Och, gdyby jakiś opuszczony dom - westchnęła Giga. - Gdyby tam było podręczne laboratorium, jak na statku. I

- Właśnie - zaszydził Tyndzio. - Najlepiej laboratorium tekstylne, żeby mogła się bawić, no i żywnościowe, żebyśmy mogli przeżyć...

- Tak, to byłoby cudowne. Mielibyśmy szansę przeczekać... Zanim by prz chesali całą okolicę, upłynęłyby tygodnie, może nawet cały miesiąc...

- A po miesiącu?

- Do tego czasu musimy zawładnąć jakimś statkiem i uciec.

- Zabawna jesteś — skrzywił się Tyndzio. — Czy tobie jednak nie zaszkodzi ten sok? Wierzysz w to wszystko, co mówisz? Naprawdę wierzysz? Będę szczerzy, jak jedną noc spędzę na wolności. Te lwy... — zerknął podejrzliwie na zwierzęta. — Spójrz, jak słuchają, jak na nas patrzą. Założę się, że bez przerwy nadają o miejscu naszego pobytu, one... One nas po prostu pilnują!

- Strach ma wielkie oczy, wiem, że jesteś wypompowany, ale weź się jakoś w garść, Cyngiel — powiedziała Giga.

- Udowodnię ci — zasapał Tyndzio. — Przekonasz się. Mam pewien pomysł.

- Jaki?

- Teoretycznie każdy robot powinien mieć pamięć. Więc one też. Spróbuję ją wyjąć i wyświetlić. Możemy się dowiedzieć różnych kapitalnych rzeczy. ('hodź, pomóż mi.

Zrezygnowana Giga podeszła do leżących lwów.

- Wstawać! - krzyknął Tyndzio. Lwy wstały posłusznie.

- Dawać głowy... tylko spokojnie, zrobimy wam małą operację.

Lwy nadstawiły głowy. Nie bez lęku zabrali się do zabiegu. Tyndzio odpiął icdnemu z nich grzywę w górnej części głowy, przez dłuższy czas medytował nad odsłoniętym układem, potem kazał Gidze uważać na wskaźniki i w razie zagrożenia wyłączyć natychmiast system zasilania. Podczas gdy Giga wpatrywała się czujnie w pulsatory kontrolne, dość łatwo wyciągnęła kasetkę z pamięcią. < idy jej dotknął, lew zamruczał i wyciągnął łapę. Spojrzeli zdumieni. W łapie lwa leżał płaski przedmiot podobny do puderniczki.

- Co to? - Giga wzięła go do ręki. „Puderniczka” rozwarła się nagle wyrzuciła z siebie coś w rodzaju pajęczynki... Pajęczynka rosła szybko, aż a końcu zawisła nieruchomo w powietrzu.

Już po kilkunastu sekundach na tej osnowie skropliły się drobniuteńkie /ijsteczki pary wodnej i tak się skondensowały, że utworzyły srebrzysty natu- i. ilny ekran idealnie odbijający obraz.

Projekcja okazała się równie ciekawa, co pouczająca. Pamięć włączano ! 'botom zapewne w momencie wyprowadzenia ich z magazynu fabrycznego, id pierwsze zapisy przedstawiały wnętrza obszernych pomieszczeń wypeł->ných świeżo wyprodukowanym

„towarem”. Na wielopiętrowych półkach, tanie posegregowane według kategorii i specjalności, stały nieruchomo igie rzędy człeko- i zwierzopodobnych istot, roboty usługowe różnych branż delikatnych, małych techników automatyków i informatyków, do wielo- i ciężkich dźwigaczy i stawiaczy gigakonstrukcji, a także wieloramien- h łapaczy meteorów, dalej na wyższych piętrach - roboty naukowe, tupał-wate z wypukłymi czołami i dużymi, okrągłymi brzuskami, a dalej jeszcze ioty szkoleniowe, roboty artystyczne. W osobnych, oszklonych grubym lemem gablotach zamkniętych na kilka zamków stało również parę robotów-L-nedżerów. Byli już wprawieni w ruch zapewne na próbę, biegali po gablo-

-168-

-169-

li

if,

!>L*iW

\\ > 11'.

stsriwli

ś^hiy

i:"

! ' i l'

l I k I

tach, wydawali dyspozycje, jeden z nich w rozpiętym wojskowym mundurze był szczególnie aktywny, uderzał pięściami w szkło, domagając się wypuszczenia. Dookoła jego głowy pojawiały się małe błyskawice, przez grubą szybę przebijały się raz po raz przytłumione grzmoty, a metalowe zamki gabloty iskrzyły wyraźnie - znak, że menedżer wytwarza silne pole. Rzecz wyglądała w sumie efektownie, potok rozkazów i dyspozycji mógł wprawić w zdumienie, lecz były one bezładne, chaotyczne, w większości bezprzedmiotowe i jałowe. Niewątpliwie brało się to stąd, iż roboty te nie były jeszcze zaprogramowane. Programy dla nich, jak głosiła świetlna informacja powyżej, wydawał Naczelny Urząd. Jedynie roboty paradne były zaprogramowane i robiły już właściwie to, do czego były przeznaczone - defilowały. Jeden za drugim wychodziły na teren wystawowy przed fabryką, wstępowały na podium jak na przeglądzie mody, uśmiechały się do widzów, demonstrując swoje kolorowe ozdobne stroje wzorowane na mundurach generalskich, admirałskich i dyplomatycznych ambasadorów z zeszłego wieku, błyszczące lampasami, szamerunkami, szarfami, epoletami, kapiące od złota, epatujące orderami i dystynkcjami, a potem znikwały z powrotem w magazynie w swych gablotach, czekając, aż zostaną zaangażowane do służb państwowych.

Całą prawą stronę magazynu zajmowały roboty zwierzopodobne - najczęściej było gorylowatych, niedźwiedziowatych i słoniowatych.

- Niesamowity wybór! - wykrzyknęła z podziwem Giga. - Jest ich tyle, że chyba nie wiedzą już, co z nimi zrobić!

- Być może są przeznaczone na eksport - zauważył Tyndzio.

Kolejne klisze przedstawiały szkolenie lwów-robotów z udziałem znanej im już treserki Melli. Z ulgą stwierdzili, że lwy me były tresowane do czynno- ści szpiegowskich i miały służyć wyłącznie do zabawy. Uczono je sztuk cyrko-1 wych i spełniania prostych czynności służebnych.

Mimo że znaleźli odpowiedź na dręczące ich pytanie, nie zaniechali dal szego przeglądu kaset.

Największe zainteresowanie wzbudziły kapitalne scen-przeglądu technicznego robotów. Giga i Tyndzio spostrzegli z osłupieniem, -przeglądowi podlegają także tupałkowaci członkowie Wysokiej Komisji.

Wszyscy do przeglądu mieli zdejmowane twarze, a także odkręcane r> i nogi. A więc byli robotami! Wszyscy co do jednego! Bez wyjątku! Podoi nie zresztą jak pracujący w usługach personel zarówno „biały”, jak i „cz;u ny”, podobnie jak „strażnicy”, „policjanci”, „żołnierze”, „artyści”, „mstrul torzy”, „trenerzy”, „urzędnicy” oraz wszystkie zaobserwowane poprzedni

„zwierzęta”.

- Prze... przerażające! - wykrztusiła Giga. - Czy tu w ogóle ma być istot? Nie napotkaliśmy dotąd ani jednej! Ani po drodze, ani w pamięci lwów.

- Tak, powiedziałbym, że to zdumiewające — Tyndzio poprawiał nerwowo okulary. - Ale jeszcze bardziej uderza mnie wygląd tych robotów... Rozumiesz, co mam na myśli?

- Ależ tak! To szokujące! One wszystkie podobne są do 1 u d z i! Jakby skopiowane z ludzi! A zwierzęta... Zwierzęta też mają dokładnie wygląd zwierząt ziemskich. Nic tu nie ma kakurgijskiego. Zupełnie nic. Po prostu w głowie się mąci. Można by powiedzieć, że jesteśmy gdzieś na Ziemi...

Cyngiel - przestraszyła się - a może rzeczywiście jesteśmy?

- Nie pleć głupstw - obruszył się Tyndzio. - To na pewno nie jest Ziemia. Świadczy o tym tutejsza technika... Jej poziom jest nieosiągalny na Ziemi, ani teraz, ani jeszcze przez wiele dziesiątków, a może setek lat... Inne rozwiązania, inne materiały, inna technologia, być może nawet inna w ogóle zasada produkcji. Wszystko z wyższego kręgu cywilizacji, każda rzecz, każde urządzenie, aparat, instrument, choćby ten projektor, ten ekran, a przede wszystkim te roboty...

- To prawda - powiedziała Giga - ale z drugiej strony nie słyszałam tutaj jeszcze żadnej mowy kakurgijskiej, oni wszyscy mówią ziemskimi językami i napisy są w tych językach, i cała roślinność, te palmy, te bananowce, te kaktusy są takie same jak na Ziemi. I taki sam dzień i noc, wygląd słońca i księżyca, konstelacji gwiazd, kolor nieba i chmury... Nie ma natomiast zupełnie kambo-mów, o których tyle było mowy. Co o tym myślisz?

- Nie wiem zupełnie, co myśleć - przyznał bezradnie Tyndzio. - Mimo wszystko to nie może być Ziemia. Mogę się z tobą założyć!

- Boję się — przyznała nagle Giga. - Coraz więcej jest tu rzeczy zupełnie niezrozumiałych. Oni nie powiedzieli nam prawdy. Ani Datsun, ani Mufi, ani Akademicy z tej Komisji, ani nawet profesor Farfalla! Nikt! Rozumiesz? Wszyscy kłamali. Ukryli przed nami coś bardzo ważnego. Czuję to. Tyndzio chrząknął zakłopotany.

- Nie łam się... Nic nam nie pomoże, jak będziemy biadolić. Zawsze byłaś taka odważna. Weź się w garść!

- Jestem odważna, jak wiem, z kim mam do czynienia, a tu... Tu nic nie wiemy, nic nie rozumiemy, jest w tym wszystkim jakaś straszna tajemnica... Więc jak mam walczyć?

- No, chyba nie jest tak źle - zaprotestował niepewnie Tyndzio - coś tam wiemy... Na przykład, że w tej bazie mamy do czynienia tylko z robotami... To n;un teoretycznie daje pewne szanse... i...

- Dostyc! - przerwała mu Giga. - Tylko nie zacznij znów teoretyzować! Hoże, co za pech! Że też musiałam być porwana z teoretykiem...

- Giga, proszę cię... W naszej sytuacji...

- W naszej sytuacji trzeba myśleć praktycznie. Rób coś, kombinuj, powiedz, co proponujesz praktycznie!

-170-

-171-

Tyndzio miał nader nieszczęśliwą minę.

- Praktycznie to... to proponuję obejrzeć resztę zapisu — wykrztusił. — Może... może zobaczymy tam coś, co nam się przyda... Może znajdziemy tam jakąś wskazówkę...

Przez kolejną godzinę studiowali więc pozostałe klisze pamięci. Słońce przestało prażyć, jego czerwona tarcza wisiała nisko nad płaskim horyzontem. Zniechęcona Giga odeszła od ekranu. Dręczyło ją pragnienie. O wodzie w najbliższej okolicy nie było co nawet marzyć, ale przecież rosło tu sporo palm kokosowych. Słyszała, że ich owoce zawierają orzeźwiająca ciecz — mleko kokosowe. Gdyby tak można zerwać kilka takich orzechów! Bagatela! Palma mierzyła na oko co najmniej 20 metrów. Czy potrafi wdrapać się tak wysoko? Chyba że te lwy... Bzdura! Lwy nie chodzą po palmach. Ale może mogłyby strząsnąć te orzechy? Nie zaszkodzi spróbować...

- Kuba, Lola, do roboty - zawołała. - Potrzebuję orzechów kokosowych, dużo orzechów. Tam są palmy. Palmy! Widzicie je. Na palmach są orzechy. Strząśnijcie je!

Lwy zerwały się na nogi i podbiegły do drzew. Ich sprawność i siła przeszła najśmielsze oczekiwania. Wspięły się na tylne nogi, przednimi łapami objęły pień palmy i zatrząsły nim z taką

łatwością, jakby to była młoda gibka grusza. Orzechy posypały się na piasek niby grad uleگاtek.
- A teraz zróbcie dziury w tych orzechach... Ale tak, żeby się sok nie wylał - powiedziała do lwów.
Była ciekawa, czy i ten rozkaz uda im się spełnić tak gładko, ale w tej samej chwili usłyszała wołanie Tyndzia.

- Giga, szybko! Mam to, o czym marzyłaś!

- Bujasz.

- Zobacz sarna — podniecony wskazywał na ekran. Giga podbiegła zaintrygowana i stanęła jak wryta.

Na ekranie widać było wyraźnie kompleks rozrzuconych po lesie palmowym niewielkich willi, a raczej może domków letniskowych czy bungalowów. Po schludnie utrzymanych uliczkach przechadzali się wojskowi w paradnych mundurach, wykwintni dżentelmeni we frakach i cylindrach oznaczonych wielką żółtą literą „T”, panie w długich powłóczyстых sukniach, a także dużo osobników ubranych bardzo indywidualnie i różnie, wymuskanych i zaniedbanych, zapewne artystów, gdzieś tam przemykali się wiecznie zaferowani Tupałkowaci.

- Ja o tym marzyłam? Żarty sobie stroisz! - mruknęła Giga. - Co to jest? - zapytała. - Jakaś miejscowość wczasowa? Uzdrowisko?

- Chyba coś w tym rodzaju - odparł Tyndzio. - Spójrz na reklamę na tym wysokim parkanie pośrodku!

DNI ODNOWY TO DNI KONSERWACJI!

**POLECAMY SZYBKIE PRZEGLĄDY TECHNICZNE, NAPRAWĘ UKŁADÓW WYMIANĘ
PODZESPOŁÓW BEZ NARUSZANIA PAMIĘCI! DIAGNOSTYKA I OBSŁUGA BIEŻĄCA!
PIELĘGNACJE SPECJALNE PRZEDŁUŻAJĄCE ŻYWOTNOŚĆ UKŁADU! ZAKŁAD
CZYNNY CO MIESIĄC W DNI ODNOWY. DNIA 30 STYCZNIA OD & DO 20, A DNIA 31
STYCZNIA OD**

- Nie bardzo rozumiem, co to znaczy „dni odnowy” - powiedziała Giga wpatrzona w ogłoszenie.

- To chyba jest tak - odchizaknął Tyndzio. - Faceci przyjeżdżają nad dwa dni w miesiącu do przeglądu i konserwacji, ewentualnie do napraw. Te dwa dni, chyba zawsze dwa ostatnie dni każdego miesiąca, nazywają się Dni Odnowy. Resztę dni pracują, to znaczy dwadzieścia osiem albo nawet dwadzieścia dziewięć dni w miesiącu...

- Cholerne pracusie! - mruknęła Giga.

- To są przecież roboty - Tyndzio wzruszył ramionami. - One nie muszą odpoczywać, me muszą regenerować siłę, im wystarczy konserwacja i przegląd raz na miesiąc.

fe

- No, me wiem... Chyba mają też jakieś swoje przyjemności i lubią im poświęcać czas... Popatrz na tamten sztyl, w tym domu na prawo, kolorowy świetlny sztyl! - wskazała Giga.

Tyndzio wlepił z powrotem oczy w ekran. Zobaczył napisy reklamowe - „Kasyno”, „Rozrywki umysłowe”, „Algorytmy”, „Gry liczbowe”, „Gry Pamięciowe”, „Gry kombinacyjne”, „Szachy”, „Karty”, „Układanki”, „Rebusy”

Co parę sekund zniknęło jedno słowo, pojawiały się nowe. Co sekundę nad dachy bungalowów, nad palmy, nad eukaliptusy wzbijał się kolorowy czerwony, zielony, żółty lub niebieski świetlny kwadrat, a w nim koń szachowy albo karta do gry, albo inne symbole gier, a w poprzek nich błyskał srebrzyście wielki ozdobny napis: „Monopoli, Monopoli”.

- Rzeczywiście, wygląda na to, że roboty mają swoje przyjemności, a może nawet pasje - przyznał nieco zbity z pantafel Tyndzio. - Co prawda niewiele na to mają czasu, tyle tylko co wyskrobia z tych dwu dni „odnowy i konserwacji”. Lecz to nam jest bardzo na rękę. Czy wiesz, Giga, co to znaczy, że oni mają tylko dwa dni wolne w miesiącu? To znaczy, że cała ta kolonia bungalowów przez resztę dni jest pusta!

- Pusta?!

- Kompletnie. Niezamieszкана! Wszystkie roboty pracują w odległej bazie, a tu nie ma nikogo...

- 172-

- 173-

— Jesteś, pewny?

— Gdyby było inaczej, konserwacje i przeglądy odbywałyby się przez cały miesiąc, a kasyno byłoby otwarte co wieczór... A jeśli jest inaczej, jeśli te usługi odbywają się tylko w ostatnie dwa dni miesiąca, to znaczy, że w inne dni nie ma klientów, to znaczy, że jest pusto... Giga, zasuwamy, do tej kolonii! Lwy na pewno znają drogę! To jest jednak to, o czym marzyłaś!

Giga zastygła na moment, a potem rzekła ponuro:

— Nic z tego, Cyngiel. Dzisiaj jest akurat 30 stycznia.

— Nie... Niemożliwe! — jęknął Tyndzio.

— Mówię ci. Roboty mają tam Dzień Odnowy. Pełno ich pewnie na ulicach i wszystkie domki zajęte. Strach się w ogóle pokazać.

— Co za piekielny pech! - wykrzyknął Tyndzio, wpatrując się w feerię świateł nad kasynem.

— Przerwij projekcję - powiedziała Giga. - Już robi się ciemno. Jeśli gdziekolwiek są tu jakieś chaty, na pewno są zajęte przez te przekłete potworki, rozejrzyjmy się lepiej za miejscem na biwak...

— Zaczekaj chwilę — Tyndzio wciąż wpatrywał się w migotające reklamy - chciałbym, żebyś na moment się skoncentrowała. Musisz wysilić wzrok do maksimum. Spójrz! Co tam widać na lewo, gdzie kończy się ten srebrny napis „monopoli” zaraz za literami „li”?

— Nic nie widzę — rzekła Giga, mrużąc oczy. - Jakaś tablica chyba, ale nic nie można odczytać...

— Poczekaj, aż rozbłyszną ostatnie litery i wtedy próbuj!

Kiedy kończył to mówić, właśnie reklama rozbłysła na nowo pulsującym światłem, po kolei każda litera wybuchała srebrzystą jasnością, rozświetlając ciemność wokół siebie. Kiedy zapaliły się ostatnie litery, w ich blasku Giga odczytała wyraźnie: „Centralne Laboratoria Doświadczalne w TOBE”. Były to słowa umieszczone na tablicy w kształcie drogowskiego.

— Myślisz, że powinniśmy spróbować... W tym... w tym... Tobe? - spojrzała niepewnie na Tyndzia.

— Jasne! — odparł wyraźnie ożywiony. — Jeśli dziś i jutro potwory obchodzą swoje „Dni Odnowy”, to znaczy, że nie ma ich w miejscach pracy, a więc i te laboratoria w Tobe są puste... Możemy się tam zadekować na dwie noce.

— Są puste, ale czy nie strzeżone?... — urwała nagle, jakby się jej coś przypomniało. - Tobe... - powtórzyła. - Skąd ja znam tę nazwę? Cyngiel! - poderwała się nagle. — Dawaj szybko te lwy! — Lwy? Ale po co?

— Przyrowadź je natychmiast! - powiedziała gorączkowo, a gdy przypędził zwierzęta, obejrzała dokładnie ich obroże. - Zgadza się! Czytaj! - wykrzyknęła.

Zaintrygowany Tyndzio pochylił się nad obrożą lwicy. Pod gardłem zwierzęcia widać było odcisnięty na obroży wyraźny napis „Tobe”.

- Co to może znaczyć? - zdziwił się. — Miejsce wyprodukowania? Nonsens. W laboratoriach nie wytwarzają robotów. A w takim razie...

- Jest to z pewnością miejsce stałego pobytu i rejestracji... - rzekła podniecona Giga. - Po prostu są to roboty z Tobe.

-A w takim razie...

- W takim razie w ich pamięci powinno być zanotowane Tobe.

- Projekcja już się kończy - oznajmił Tyndzio. - Sprawdziłem ostatnie „klatki”. Są to sceny naszego powitania na kosmodromie...

- Musieliśmy coś przeoczyć... Pewnie wtedy, kiedy klóciliśmy się... Cofnij projekcję do tego miejsca, gdzie zdejmują Akademikom twarze i odkręcają nogi do przeglądu...

Istotnie, Giga miała rację. Przeoczyli kilka obrazów. Bezpośrednio po przeglądzie technicznym lwy zostały odprowadzone na miejsce stałego pobytu, a tym miejscem, jak wynikało z projekcji, były laboratoria w Tobe. Najpierw ujrzeli białą gmatwaninę budynków wylaniających się zza szpalerów cyprysów i wysokich żywopłotów z tui. Nad ozdobnym, kutym na podobieństwo bram pałacowych wejściem widniała wielka tablica z napisem:

LABORATORIA DOŚWIADCZALNE

KAKURGUSKIEJ AKADEMII NAUK

ZAKŁAD DYDAKTYCZNY NR 5 W T05E

Następne kadry zapisu przedstawiały już wnętrze zakładu. Był to długi szereg laboratoriów

służących poszczególnym dziedzinom wiedzy. Giga za-irzywała się dłużej przy laboratorium żywnościowym.

— Coś dla ciebie, Cyngiel, chodź, zobacz! Czyja się nie mylę? Tam na stole leży tort.

Tyndzio wpatrywał się osłupiały, oblizując odruchowo wargi.

— Nie... niemożliwe! Taki wielki? Może to okrągłe pudełko z taśmą?

— Nie, to jest tort — orzekła stanowczo Giga. — Dwumetrowej średnicy! Napoczęty z jednej strony. Widzisz? A tam na półmisku są pączki.

— Pączki? — wybełkotał podniecony Tyndzio. — Może to tylko kule bilardowe?

— Nie, to są na pewno pączki z lukrem, przyjrzyj się dobrze, są niecałkiem loremne i lukier na nich popekał! Zresztą patrz, tam jest taka duża szarfa z napisem: „Smacznego!”

— Nic nie rozumiem! Roboty nie jedzą przecież tortów, w ogóle nic nie jedzą! - denerwował się Tyndzio.

174-

-175-

- Czekaj, może się wszystko wyjaśni w następnej scenie — Giga cierpliwie wpatrywała się w ekran. Do laboratorium wkroczył gęsiego mały korowód specjalistów: dwaj Tupał-kowaci i treserka Mella w swoim jaskrawym cyrkowym stroju oraz cztery negro-idealne roboty w białych cukierniczych kitlach i czapach, a na końcu fotograf. Tupałkowaci rozwinęli szarfę na całą długość i wtedy można było przeczytać dalszy ciąg napisu: „Komisja Akademii — pilnym uczniom w dniu zakończenia pierwszego etapu adaptacji”. Mella uśmiechnęła się jaskrawoczerwonymi ustami, Murzyny w białych kitlach unieśli nad nią do góry tort jak baldachim, a fotograf zrobił całej grupie pamiątkowe zdjęcie. Potem cukiernicy wynieśli tort i półmisek z pączkami, a obraz przesunął się w głąb sali...

- Patrz, patrz! Tam w głębi... - wykrzyknęła Giga, rozjaśniając obraz do maksimum. - Tam są dzieci! Co oni z nimi zrobili?!

Tyndzio wlepił z niedowierzaniem oczy. Na długich stołach, poukładane jedna obok drugiej, leżały rzeczywiście małe istotki podobne do ludzkich dzieci, niektóre poruszały jeszcze ustami i oblizywały resztę kremu czy lukru z warg, inne już zasypiały. Wszystkie wyglądały jak małe mumie, ponieważ omotane były ciasno oprzędem lśniących, cieniutkich, jedwabistych nici, tworzących niesamowity kokon, z którego wyglądały tylko twarzyczki i rączki złożone jak do modlitwy.

- Do licha! Jeśli tak wygląda programowanie, wolę zrobić sobie „upuku” -jęknął Tyndzio.

- Biedny Bubel - westchnęła wstrząśnięta Giga. - Jak pomyślę, że z niego też zrobili taki kokon...

- Nie rozczulaj się! - mruknął Tyndzio. — Cokolwiek z nim się stało, sam sobie winien... łobuz...

- Przestań, Cyngiel - Giga spojrzała na niego z takim potępieniem, że Tyndzio zmieszał się nieco i dodał z krzywym uśmiechem:

- Nie bój się, z Bublelem nie pójdzie tak łatwo. Jest zakażony bakcylem Pi i nie ma już mleka pod nosem jak te nieszczęsne szczeniaki.

Przez chwilę trwało pospelne milczenie. Wreszcie Giga rzekła:

- A więc nie my pierwsi zostaliśmy porwani. Ten proceder zaczął się grubo wcześniej. Ciekawe, co się z tymi dziećmi stało? Czy wciąż jeszcze są w laboratoriach?

- Wątpię - odparł Tyndzio, przerzucając w przyspieszonym tempie obrazy. Nagle zwolnił. - Oto jak teraz to wygląda - powiedział. - Obejrzyj sobie! Wszystko opustoszałe... Ani śladu dzieci, ani śladu robotów... To jest to same laboratorium w parę tygodni później.

- Po czym poznałeś?

- Filodendronowi przy oknie rozwinął się nowy liść. Chcesz porównać?

- Bystry jesteś - Giga spojrzała na Tyndzia zaskoczona. Ja w ogóle tego nie zauważyłam.

Tyndzio chrząknął skromnie.

- W dodatku widać pajęczyny - dodał - autentyczne pajęczyny w każdej pracowni! -przesuwał szybko obrazy, zatrzymując się dłużej tam, gdzie widać było siady zaniedbania i opuszczenia. - To wszystko świadczy, że laboratoria nie były sprzątane od wielu tygodni, a może nawet od paru miesięcy. Nie były sprzątane ani używane...

-Zatrzymaj! - krzyknęła nagle Giga. - Widzę laboratorium odzieżowe! Tyndzio unieruchomił taśmę.

- Bomba! - mruknął. - Jeszcze lepsze niż na statku! Wygląda, jakby było zatrzymane w pół obrotu... Istotnie, pracownia na pierwszy rzut oka robiła wrażenie opuszczonej przed chwilą, z aparatów syntezy zwisały poacie gotowych materiałów, jakby ktoś unieruchomił nagle maszyny i ich płaskie gardziele me zdążyły wypluć tego co miały w sobie. Na modelach w długim szeregu spoczywały uformowane już ubiory, które jakby zapomniano zdjąć i które pokrywała warstwa pyłu W fałdach wspaniałego materiału, który ktoś rozwinął na długim stole i porzucił spoczywały trupy much, motyli i chrząszczy. Zmatowiałe, popstrzone gładzie korpusów aparatów i zakurzone lustra dopełniały ten obraz zupełnego i niezrozumiałego zapuszczenia.

- Boże, takie tkaniny! Takie wspaniałe kreacje! Dlaczego przerwali pracę?! - wykrzyknęła Giga. - Idźmy tam - zdecydowała nagle.

- Ależ, Giga, zastanów się...

- Idźmy tam natychmiast.

- To może być niebezpieczne. Skąd wiesz, że laboratorium nie jest strzeżone!... Może być przecież nieczynne, ale mimo to pilnowane.

- O to będziemy się martwić na miejscu! - powiedziała Giga. - Ja żad-nych^strazników me widziałam, choć uważnie śledziłam wszystkie kadry

- Nie bądź śmieszna. Wiesz doskonale, że nie o strażników w mundurach i z pistoletami chodzi. Tam mogą być elektroniczne systemy alarmowe i zamki szyfrowe...

- Powiedziałam. Będziemy się martwić na miejscu. Zupełnie cię nie rozu-m.em. Sam proponowałeś, żeby tam spędzi dwie noce... To przecież twój pomysł! Co ci się nagle stało?! - Giga spojrzała na Tyndzia zdziwiona

- Powiedzieć ci prawdę? - mruknął przez zęby Tyndzi-o.

- Powiedz. Konam z niecierpliwości.

- No więc boję się zasadzki.

- Zasadzki? Dlaczego dopiero teraz?

-176-

-177-

ty

— Bo obejrzelśmy te kadry z Tobe. Nie podoba mi się to wszystko. Nic jeszcze nie rozumiesz, Giga?

— Do licha, mów szybko, o co chodzi.

— To są bardzo specjalne laboratoria... -W jakim sensie?

— To są laboratoria nie dla Kakurgijczyków, Giga. To są laboratoria dla ludzi.

Giga umilkła.

— Masz rację - rzekła po chwili. - To by wyjaśniało fakt, dlaczego były nieczynne przez tyle tygodni.

— Po prostu nie było ludzi...

— Tak, nie zdążyli ich porwać i przywieźć.

— Dopiero teraz my...

— Jest pewna różnica — zauważyła Giga. — My nie będziemy tam przywiezieni. My, się tam zakradniemy z własnej woli...

— Więc nie zrezygnowałaś ze swego planu i wciąż cię tam ciągnie...

— Nie, nie zrezygnowałam. -Ryzykujemy...

— Wiem, co ryzykujemy — przerwała szybko — ale ryzykujemy wszędzie, a najbardziej ryzykujemy, siedząc tu, gładząc i dyrdumając. Tam mamy przynajmniej jakieś szansę. Można będzie zorganizować żarcie i broń, w ostateczności nawet wyprodukować. Tam są te bajeczne laboratoria...

— Powiedz od razu, że o te laboratoria ci chodzi, a zwłaszcza o jedno Tyndzio złośliwie przymrużył oko. — Bakcyl Pi nie daje spokoju, co?

Giga zaczerwieniła się.

— Uważam, że warto je zwiedzić... Nauczyć się można czegoś, i w ogóle. Nie uśmiechaj się głupio,

Cyngiel, sam miałbyś tam też pole do popisu. Pami; |
tasz tamten tort?!

— Do licha, ależ ty umiesz bajtlować...

— Z pewnością byś upitrasiał coś rewelacyjnego - ciągnęła kusząco Giga. Jedną ze swoich specjalności... Och, wprost ślinka mi cieknie... Na przyki;ul| syntetyczna pieczeń w sosie z syntetycznych aminokwasów z niby-borówkai m | albo pulpet z rozpaćkanych protein! — prowokująco przymknęła rozmaryn oczy i oblizwała się z lubością. - Inna rzecz, że teraz zjadłabym nawet kotłci starych kaloszy!

Tyndzio, patrząc na nią, też odruchowo się oblizwał i przełknął ślinę. Pot była zbyt nęcąca.

— To fakt - chrząknął - że problem żywności mielibyśmy rozwiązany, ryzykować można... Ale jak się tam dowlec? I jakim cudem przeniknąć środka?... A w ogóle to konam z pragnienia...
178-

— Napijemy się mleka kokosowego — rzekła Giga i zwróciła się do lwów: -Kuba, Lola, pamiętacie, co wam kazałam?

Lwy posłusznie przyniosły w łapach przedziurawione orzechy. Tyndzio i Giga szybko ugasili pragnienie orzeźwiającym płynem, a potem na zapas opili się jeszcze do granic wytrzymałości. Resztę orzechów Giga wysypała do czterech worów z tkaniny „adekwatnej”, związała po dwa razem i objuczyła nimi lwy.

- Tobe! Tobe! - zawołał Tyndzio.

Lwy wydały pomruk zrozumienia i ruszyły w kierunku przeciwnym do słońca chowającego się właśnie za czarne palmy na horyzoncie. Tyndzio i Giga pobiegli za nimi.

KOZDZIA XVIII

Y rzeź pierwszą godzinę biegli, potem maszerowali, ile sił w nogach, robiąc tylko krótkie przerwy, aby mlekiem kokosowym ugasić trawiące ich pragnienie. Gdy minęła piąta godzina, skończyły się kokosy i wyczerpały siły. Wlekli się teraz ciężko, powłócząc nogami i coraz bardziej wątpili, czy dotrą kiedykolwiek do Tobe. Próbowali znów dosiąść lwów, choć wiedzieli, że nie icst to przyjemna jazda, ale byli tak osłabieni, że nie potrafili utrzymać się na grzbietach zwierząt i po paru bolesnych upadkach musieli zrezygnować z tego środka lokomocji.

W trupiosinym świetle księżyca półpustynny teren, przez który się prze-ilzicrali, nabierał złowieszczej aury. Raz po raz wydało im się, że widzą lądujące srebrzyste „rekiny”, czyli pościgowe statki policyjne, a to były tylko rybo-ks/tałtne obłoki wiszące nad skałami. To znów wyraźnie widzieli uzbrojone IHistaci robotów zagrządzające im dalszą drogę, a to były tylko pojedyncze ro-wicliate krzaki na wydmach i bezlistne, na pół uschnięte drzewa.

Wreszcie ujrzeli przed sobą cały rząd biało umundurowanych żandarmów |a spiczastych hełmach, każdy z wieloma dzidami w sześciu chyba rękach. Tym i.iA-m nawet lwy stanęły, jakby czekając na dalsze rozkazy.

Ale ani Tyndzio, ani Giga nie mieli już siły, by wydobyć z siebie chociaż Ino słowo, nie mieli sił, aby uciec. Wyczerpani padli na kolana i czekali, co -lanie...

.Ale nic się nie stało. Tyraliera białych robotów tkwiła wciąż nieruchomo, zakłęta, i jak zakłęta milczała. Wreszcie ta niepojęta, przejmująca cisza i u la do świadomości półprzytomnych zbiegów. Przetarli z niedowierzaniem
-179-

zamglone oczy... Księzyc właśnie wypłynął zza chmury i zalał jaskrawym światłem okolicę. W jego blasku nareszcie pojęli, że to, co brali za roboty w hełmach, to były w rzeczywistości grube, białe słupy ogrodzenia, a to, co wydawało się pękami ostrych dzid, to po prostu spiczaste pręty parkanu. Czyżby nareszcie dotarli do celu? Ożywieni nadzieją ruszyli wzdłuż linii sztchet, szukając bramy. Była za najbliższym rogiem, taka sama, jaką widzieli w wyświetlanej wieczorem pamięci, a nad nią napis, który przyprowadził ich o łomot serca: „Laboratoria doświadczalne... Zakład... w Tobe...” Zapominając o nakazie czujności, nie dbając o bezpieczeństwo, bimbając na ostrożność, hałaśliwie natarli na bramę, gotowi wyważyć ją siłą, ale ona,j o dziwo, ustąpiła bezszelestnie i gościnnie

rozwarła się szeroko, jakby zaprafr szając do wejścia. Podobnie jak druga mniejsza, w ścianie frontowej budynku] Chcieli zabrać ze sobą lwy, ale widać wstęp do zakładu był im zakazany, gdy zaparły się łapami na linii bramy, zjeżyły sierść i wydały groźne pomruki. Ze stawili je więc wystraszeni, a one zajęły miejsca po obu stronach wejścia niby dwa nieruchome sfinksy.

Tyndzio pierwszy wbiegł na zboląłych nogach do hallu głównego, rozgli dając się za informacją, gdzie można znaleźć laboratorium żywnościowe.

- To chyba tu! - Giga wskazała na płaską skrzynkę z tablicą pulsującą światełkami tuż przy wejściu. - Za bardzo się rozpędziłeś.

Tyndzio bezradnie rozglądał się po tablicy. Żadnych napisów, tylko guzy z numerami.

- Z tego wynika — rzekła po zastanowieniu Giga — że to musi działać i zasadzie gadulstwa.

Przemów do tego pudła, zobaczymy, co z tego wynikni

Tyndzio odchrząknął.

- Dobry wieczór... to znaczy dobranoc - zająknął się - to znaczy, cześć!

Gdzie tu można coś wsunąć? Aparat milczał.

- Chcieliśmy coś na ząb. Jakaś stolówka by nas urządziła, konamy z i du! Czy rozumiesz po ludzku, zgago?! Essen! Food! Alimentation! Piekieł! pudło, gadaj, bo ci rozwalę twój głupi łeb! Niech się potem dzieje, co chcej

- On spełni, co powiedział - postraszyła automat Giga. - Lepiej zrób, o prosimy, chyba tego nie zakazuje Program? Bo Cyngiel nie żartuje, prawda, j nie żartujesz, Cyngiel? On jest strasznie zły, jak jest głodny! On cię ro2

kopniakiem.

- Rozwalę! - Tyndzio zamachnął się nogą.

- Łobuz! - odezwało się pudło.

- Popatrz! Coś mu się odetkało! - ucieszył się Tyndzio.

- Ale czy prawidłowo? Szturchnij je na wszelki wypadek!

Z pudła popłynął głos:

- Kto mówi więcej niż trzeba, nie osiągnie szczęścia adaptacji. Kto dopuszcza się rękoczynów na sposób ziemski, będzie zawinięty w kokon...

- Nie gładź tyle i gadaj, gdzie żywność! - przerwał Tyndzio i chciał kopnąć automat, ale opuściły go siły, stracił równowagę i rąbnął jak długi na podłogę. Upokorzony zaczął gramolić się niezdarnie przy pomocy zdeprymowanej Gigi, pewien, że nie wydobędzie z aparatu żadnej informacji, gdy nagle na ścianie zabłysło jaskrawe, czerwone światełko i zaczęło pulsować intensywnie.

- Patrz, coś się dzieje! — wykrztusił uradowany.

Czerwony punkcik ruszył z miejsca i przesuwał się szybko wzdłuż korytarza.

- Za nim! - zawołał Tyndzio. - Giga, prędko, bo nam ucieknie.

Giga rzuciła się pierwsza w pogoń. Tyndzio, utykając, próbował dotrzymać jej kroku. Na szczęście droga, choć kręta, nie była zbyt daleka. Zaraz za piątym skrzyżowaniem korytarzy światełko zatrzymało się przy drzwiach oznaczonych numerem siódmym.

I co teraz? Drzwi nie posiadały klamki ani śladu jakiegokolwiek zamka. Jak je otworzyć? Tyndzio pchnął je z całej siły ramieniem. Nie ustąpiły. Prawdopodobnie otwierały się na jakieś hasło dźwiękowe. Lecz mimo iż przez pół godziny wykrzykiwali najróżniejsze wyrazy i zlepki słów, drzwi pozostawały nieporuszone i głuche.

- Nie ma sensu tak próbować na chybił trafił - rzekła Giga i usiadła pod drzwiami wyczerpana.

- Tak - zgodził się Tyndzio. - Nie ma innej rady, tylko musimy wrócić do tamtego informatora przy wejściu i jego zapytać, jak się otwiera drzwi.

- Myślisz, że powie?

- Jeśli zgodził się nas tu podprowadzić, to powinien także nas wpuścić do rodka. Nie sędzę, aby to było sprzeczne z Programem. Pędzimy?

- Ty popędź sam - wysapała Giga, przysiadając na piętach - ja muszę nochę odpocząć.

- I ja też - jęknął Tyndzio, zwalając się na ziemię.

W tej samej chwili drzwi drgnęły cicho i rozsunęły się na dwie strony, ukazując wnętrze laboratorium.

Giga i Tyndzio, mimo osłabienia, zerwali się na równe nogi. Drzwi się, u dziwo, natychmiast zamknęły.

- A więc jednak fotokomórka! - wykrzyknął Tyndzio. - To znaczy coś w rodzaju fotokomórki na opak.

- Ale dlaczego uruchomiła się dopiero teraz?

- Bo usiedliśmy - odparł Tyndzio.

- To znaczy, że...

-180-

181-

- To znaczy, że jak staliśmy, nie działała.

- Byliśmy za wysocy dla niej?

- Chyba - Tyndzio rozglądał się dokoła.

- Może jest dostosowana do wzrostu Kakurgijczyków?

- Może. A może oni tak zrobili specjalnie dla ludzi, żeby przed wejściem musieli klękać.

- Klękać?

- Albo zginać się w pół, czyli kłaniać.

- Ty masz niesamowite pomysły!

- Być może, ale lepiej wejdźmy i poszukajmy jakiegoś żarcia... Skłonili się więc nisko, a drzwi otworzyły się ponownie. Weszli.

- Ja tu nic nie widzę - jęknął Tyndzio. - Już dawno nikt tu nie pitraśił! Kurz, brud, pajęczyny... Zdechłe muchy...

- Może w chłodniach? - powiedziała Giga. - Powinny tu być chłodnie na zapleczu.

Istotnie, w chłodniach znaleźli wreszcie trochę jedzenia, ale nie było zbyt atrakcyjne. Kawałek elastycznej masy, jak określiła Giga, „ni to gumowa parówka, ni glista”, pół miski obrzydliwej papki o smaku zjełczałego tranu oraz kilkanaście suszonych daktyli. Te daktyle tylko im smakowały. Wyglądały na prawdziwe. Najważniejsze jednak, że nie brakowało picia. W wielkich, przezroczystych, rurowatych pojemnikach była woda. Spróbowali ostrożnie. Bali się, czy nie jest zatruta. Właściwie należało ją wlać do analizatora i poczekać, aż wynik badania ukaze się na tablicy, ale oni nie potrafili czekać. Gdy tylko stwierdzili, że płyn ma smak wody, dorwali się do pojemników i duldali zachłannie, aż zapełnili dokładnie brzuchy.

A potem, zapominając o obowiązku czujności i nie zważając na grożące im niebezpieczeństwa, padli na miękkie maty w małej dyżurce przylegającej do laboratorium i od razu zasnęli kamiennym snem.

Ale nic się złego nie stało. Ani woda nie była zatruta, ani nikt nie zakłócił im wypoczynku. Obudzili się, gdy zegary laboratoryjne wskazywały godzinę dwunastą w południe. Potwornie głodni, rzucili się ponownie na poszukiwanie żywności, lecz nigdzie nie znaleźli już ani daktyli, ani innej, jadalnej" żywności prócz owych „gumowych" parówek.

Odkryli natomiast wydrapany na ścianie przy windzie transportowej napis w języku angielskim: „Nie nadaję się do Programu. Jutro zrobią mi sekcję. Roboty wyjmą mój mózg i poddadzą badaniom w analizatorach. Jeśli komuś : uda się wrócić na Ziemię, niech zawiadomi rodzinę..." Tu napis się urywał, jego autor nie zdążył podać nawet nazwiska.

- Łotry, zabijających, których nie udało się zaprogramować - szepnął Tyndzio.

- Boję się, że to nie jest najlepsza kryjówka — powiedziała Giga. — W każdej chwili mogą tu przywieźć nowy transport kandydatów do zaprogramowania i co wtedy?...

- Nie będzie tak źle — próbował ją pocieszyć Tyndzio. — Nie damy się zaskoczyć. Wystawimy strażę, uruchomimy radary...

- Skąd je weźmiesz?

- Niech cię o to głowa nie boli. Roboty laboratoryjne załatwią nam wszystko.

- Roboty? Nie widziałam tu ani jednego.
- Na pewno gdzieś je pochowały.
- Przeszukaliśmy przecież całe laboratorium. Tyndzio myślał przez chwilę.
- Nie, jeszcze nie całe. Nie zaglądaliśmy do kubłów.
- Do jakich kubłów?!
- Na odpadki! - powiedział Tyndzio. Podeszedł do największego kubła i otworzył srebrzystą pokrywę.

Ostry zapach fenolu rozszedł się po pracowni.

Spod kawałków jakiejś gąbczastej i kleistej masy sterczały czerwone uszy robota zaopatrzone w czujniki radarowe.

- Zdaje się, że to wrak - zauważyła Giga. - Nie będziesz miał z niego pociechy, skoro wyrzucili go na śmieci.

- Może sam tam wlaź — mruknął Tyndzio. — Roboty laboratoryjne pracują pod dużym obciążeniem i czasem coś im się miesza w głowie... ulegają poważnym zamroczeniom. Pomóż mi wyciągnąć go z tego kubła.

Wydobycie robota z kubła nie było sprawą łatwą. Nie dawał się uruchomić i wyglądał rzeczywiście na wrak, ale Tyndzio nie dał za wygraną. Przy pomocy Gigi wyczyścił go i zataszczył do podręcznej narzędziowni. Przez następne pięć godzin dochodziły stamtąd przekleństwa i jęki Tyndzia - znak, że pracuje intensywnie.

Wreszcie wyłonił się z narzędziowni. W ręku trzymał głowę robota.

- Będzie jeszcze chodził jak zegarek — powiedział. — To całkiem nowy rocznik, tylko ktoś mu zrobił brzydki kawał i nafaszerował go nitrogliceryną zamiast olejem. Mikrowybuchy uszkodziły mu kilka układów, ale na szczęście były części zamienne w szafie. Już rozmawiałem z nim. Nazywa się Niki i ma opanowane wszystkie znane w Kakurgii procesy syntezy... Zna także zasady dietytyki ludzkiej, zasób jego pamięci jest naprawdę zdumiewający... Niestety, muszę mu jeszcze wymienić w głowie jeden mikroukład, bo się powtarza i jąka... Giga, słyszysz?

Nikt się nie odezwał. Zrozumiał, że cały czas mówił do ściany. Gigi już dawno nie było w laboratorium.

- 182-

-183

Nie czekając na wyniki remontu Tyndziowego robota, ruszyła na poszukiwanie „swojego” laboratorium, oczywiście laboratorium tekstylno-odzieżowego, tego, które widziała tak wyraźnie w wyświetlonej pamięci lwów. Zapuszczała się coraz dalej w głąb korytarza, zaglądając po drodze do wszystkich pracowni, ale żadna nie była podobna do tej zapisanej w pamięci. Potem korytarz nagle rozdzielił się na dwa korytarze; kiedy pobiegła prawym, zobaczyła, że ten rozgałęzia się na cztery dalsze, które znów mają swoje odnogi. Istny labirynt! Zgubiła się w nim w końcu, chciała wrócić do Tyndzia, lecz w żaden sposób nie mogła znaleźć drogi. Zrozpaczona usiadła pod ścianą i myślała, co robić w tej sytuacji. Wiedziała, że w ścianie wszystkich korytarzy co kilka metrów są wmontowane mikrofony. Z pewnością można było zasięgnąć przez nie dowolnej informacji pod warunkiem, że znało się hasło wywoławcze, lecz ona hasła, niestety, nie знаła. Próbować na chybił trafił nie ma większego sensu. A jednak wczoraj udało im się skłonić komputer informacyjny do pokazania drogi. Byli wtedy oboje wyczerpani i wściekli, nie liczyli się ze słowami, Cyngiel bluzgał potwornie i urągał... Czyżby automat zląkł się tego bluzgania i brutalnych gróźb? Nonsens! Bardziej prawdopodobne jest, że podczas tego bluzgania niechcący wypowiedzieli hasło włączające automat. Lecz co to mogło być? Przymknęła oczy i natężyła pamięć. Komputer włączył się po ich ostatnich słowach... Co oni na końcu mówili? Cyngiel powiedział: „Niech się potem dzieje, co chce”. Ona powiedziała: „On spełni, co powiedział. Lepiej zrób, o co prosimy, chyba tego nie zakazuje Program. Cyngiel nie żartuje... On jest strasznie zły, jak jest głodny! Prawda, że nie żartujesz, Cyngiel? Uważaj, pudło. On cię rozwali kopniakiem...”

Powtórzyć to jeszcze raz głośno do mikrofonu! Tak, powtórzyć koniec/ nie! Na pewno i tym razem będzie efekt! Musi być efekt! W tych zdaniach ukryte jest hasło.

Powtórzyła je więc głośno i wyraźnie. Zauważyła, że gdy wymawiała *peu ne* słowa, na ścianie zapalało się na moment słabe różowawe światełko. Zapisała, że były to słowa: „niech”, „się”, „spełni”, „Program”. Z emocji wstrząsała oddech w piersiach. A więc to one tworzyły hasło! I żeby nie było już żadnych wątpliwości wyrecytowała jeszcze raz pomału i dobitnie:

NIECH SIĘ SPEŁNI PROGRAM

W tej samej chwili światełko na ścianie rozgorzało jaskrawym czerwonym blaskiem. Giga zerwała się na nogi i zawołała: — Szybko do laboratorium tekstylnego! Światełko, miotając, zaczęło biec w głąb korytarza. Giga pognąła za nim

Tyndzio cisnął głowę robota w kąt laboratorium i wyjrzał zdenerwowany na korytarz. Gigi nigdzie nie było.

- Giga, gdzie jesteś?! - zawołał z rosnącym niepokojem- ~ Odezwij się! Gigaaa!

Odpowiedziała mu cisza. Ruszył w głąb korytarza, cały czas nawołując, aż znalazł się przy pierwszym skrzyżowaniu. Stał zadyszany i myślał, co robić dalej. Bał się zapuszczać w nieznaną korytarze. Najlepiej będzie, jak poprosi o pomoc ten komputer w hallu głównym przy wejściu. Niech werwie Gigę do mikrofonu, niech zarządzi alarm, niech jej szuka! Lecz jak, u licha połączyć się z tym przeklętym pudłem? Dopiero teraz uświadomił sobie, że wciąż nie zna włączającego komputera hasła. Tam, u wejścia, automat jednak jakimś cudem zareagował. „Okłamałem go - pomyślał - to dlatego! Przestraszył się, że go rozwalę”.

„Trzeba powtórzyć to jeszcze raz” - postanowił i do najbliższego mikrofonu w ścianie korytarza puścił wiązkę najbardziej soczystych przekleństw, jakie słyszał na Ziemi. Niestety, tym razem zupełnie nie poskutkowało. Komputer nie reagował ani na przekleństwa, ani na pogroźki. Tyndzio pomyślał, że być może to nie działa na odległość i operacji trzeba dokonać „twarzą w twarz”. Pobiegł więc korytarzem w przeciwną stronę, minął swoje laboratorium i na-gle... Znowu stanął przed skrzyżowaniem korytarzy. Po namyśle postanowił zaryzykować bieg dalej prosto przed siebie, lecz mimo że przebył dobre dwieście i netrów, zamiast spodziewanego hallu z komputerem natknął się na nowe skrzyżowanie. Zrozumiał, że pomylił drogę. Wtedy w nocy, półprzytomni ze zmęczenia, biegli głupio za światełkiem, zapominając zaznaczyć na skrzyżowaniach kierunek tego biegu. Teraz nic a nic nie pamiętał z tej drogi.

I nagle serce ścisnął mu strach, jakiego nie doświadczył od momentu wylądowania na tej dziwnej planecie. A jeśli to miejsce tutaj to pułapka doskonała? Jeśli stąd w ogóle nie ma wyjścia? I kto zaręczy, że to pudło komputerowe nie jest w zмовie z oprawcami? Może udziela tylko takich informacji, które służą zwabianiu do pułapki? A w takim razie Giga... W takim razie Giga mogła zostać zwabiona jeszcze dalej i głębiej w otchłanie tego labiryntu... Albo całkiem po prostu i zwyczajnie zostać porwana!

Co robić w tej sytuacji? Czy w ogóle można jeszcze coś zrobić? Przede wszystkim nie ulegać panice, i nie poddawać się rozpacz! „Jeszcze mnie nie i pali -powtarzał sobie. - Jeszcze mnie nie mają, jeszcze rlogC si? ruszać, nie i ręci mi oprędem jak tamte dzieci na ekranie, nie zrobić ze mnie kokonu! Nie dam się im tak łatwo”.

Opanowawszy nerwy, postanowił za wszelką cenę wrócić do laboratorium i zakończyć montażu robota. Być może Niki pomoże znaleźć Gigę albo przy-

-184-

-185-

najmniej wyjaśnić, co się z nią stało? Można będzie także wyświetlić jego pamięć i w ten sposób uzyskać jakieś wskazówki; choć z grubsza zorientować się w sytuacji.

Nie było to łatwe. Mimo że znał numer sali, błąkał się dobre pół godziny, zanim natrafił na właściwe drzwi... Jeszcze na korytarzu usłyszał głos dochodzący z wnętrza laboratorium.

Przypominał głos Gigi. Czyżby jakimś cudem szczęśliwie wróciła? Wpadł jak szalony do środka i stanął nieco rozczarowany. Gigi w pracowni nie było, natomiast z głośnika w pulpicie terkotał jej gniewny głos:

- Cyngiel, co to za zgrywy! Nie udawaj, że mnie nie słyszysz... Możesz odgrywać się, ale nie teraz... Ja nie mam czasu, Cyngiel...

Tyndzio po chwili osłupienia spiesznie nacisnął guzik.

- Spokojnie, stara... Już jestem. Przestań się pieklić! I mów, o co chodzi?

- Dzwonię już trzeci raz. Nie odpowiadałeś na moje wezwania. Gdzie byłeś'!

- Przestraszyłem się, Giga, zniknęłaś nagle, chciałem szukać cię przez komputer... i...

- Nagle?! Czekałam całą godzinę, aż raczysz się wynurzyć z narzędziow-ni, ale zrozumiałam, że to seans na pół dnia, więc ruszyłam na zwiedzanie tego labiryntu... Nie pogniewałeś się chyba...

- Stop! Mów, gdzie jesteś!

- W moim laboratorium, pod numerem sześćset dziewięćdziesiąt dziewięć, zapisz sobie... To jest to laboratorium, które widzieliśmy podczas projekcji Było strasznie zakurzone, ale technicznie w dobrym stanie. Można tu robić cuda, Cyngiel...

- Jak je znalazłaś?

- Przez komputer. Udzielił mi informacji. Wskazał drogę.

- Udało ci się go włączyć?! - zapytał z niedowierzaniem.

- Odkryłam hasło. -Ty?! W jaki sposób?!

- Nie mam czasu ci opowiadać, na razie wystarczy, jak je zanotujesz.

sło brzmi: „Niech się spełni Program”.

- Jak na to wpadłaś?

- Później ci powiem. Tym samym hasłem włącza się labofon. -Labofon? Co to jest?

- Tak moje roboty nazywają system łączności wewnętrznej między labor toriami. Cyngiel, ja naprawdę nie mam czasu. Zadzwoniłam, żebyś wiedział gdzie mnie szukać, jak przyniesiesz mi jutro obiad...

<

- Jutro?

- Nie chcę się odrywać od pracy. Właśnie widać pierwsze efekty... rewelacyjnego, Cyngiel. A teraz wyłączam się i błagam, nie przeszkadzaj. (mieć cały dzień spokoju. Zobaczymy się jutro o czwartej.

- Ależ posłuchaj, to pilne, musimy natychmiast porozmawiać — gorączkował się Tyndzio. - Natychmiast, słyszysz?! Pędzę do ciebie.

- Wykluczone. Nie wpuszczę cię. Wszystko byś popsuł... Nie mogę w żaden sposób przerwać doświadczenia.

- Giga, tu chodzi o nasze życie... Sama mówiłaś, że laboratoria to nie jest bezpieczne schronienie. Opaniętaj się! To może być zastawiona pułapka...

- Nie obchodzi mnie to w tej chwili. Cześć! Rozległ się trzask wyłączonego mikrofonu.

„Cholerny bakcyl Pi” - pomyślał Tyndzio, a potem stwierdził, że pozostaje mu tylko jedno: jak najszybciej uruchomić robota Nikiego, a potem roboty z innych laboratoriów, dużo robotów, jeśli to jest możliwe, niech staną na straży, niech zastąpią radary, niech otoczą laboratoria polem nieprzystępności, niech zamienią je w fortecę... Niech wyprodukują broń, dużo broni...

Pogrążony w myślach zamknął się w laboratorium i zabrał do pracy.

Upłynął cały miesiąc. Opanowani przez swoje pasje, spotykali się tylko przy obiedzie, który regularnie serwował Tyndzio.

Tego pamiętnego dnia Giga zakończyła początkową fazę eksperymentu. Z aparatury wyłoniły się pierwsze próbki produktu. Nie spodziewała się tak wspaniałego efektu. Co za rewelacyjne maszyny! W porównaniu z tutejszym wyposażeniem, laboratorium na statku wydawało się zgoła prymitywnym warsztatem. Gdyby mogła pokazać to, co dzisiaj tu się działo, tym wszystkim przemądrzałym koleżankom na Ziemi, które śmiały się z niej, że nie potrafiła obliczyć wartościowości siarki w paru pospolitych związkach! Gdyby one widziały, co tutaj Giga potrafi! Osłupiałyby z wrażenia, a najbardziej ta Funia Patrzałek, co kiedyś podłożyła Gidge flakonik od perfum ze stężonym siarkowodorem i miała duży ubaw, jak Giga go otworzyła i powąchała. Tak, zrobiła kolosalne postępy w chemii, w tej chemii, w której była ostatnią nogą i pośmiewiskiem w klasie. Ale która to już godzina? Boże, dochodzi piąta! Jak ten czas błyskawicznie zleciał...

Włączyła labofon i połączyła się z Tyndziem.

-No, stary, co z tobą? Głodna jestem.

Zamiast odpowiedzi usłyszała straszny rumor i brzęk.

- Halo, Cyngiel, co tam się wyrabia! Słyszysz mnie?! Z labofonu doleciało przekleństwo Tyndzia.
- Przepraszam cię... mam kłopoty. Mój robot jest to osobnik zdezelowany, nerwowy i, podejrzewam, narkotyzuje się...
- Narkotyzuje? Robot?

-186-

-187

"\VV

i mn

liii

' tr>'

! "3 J ił

•

i l li :

i f la

ij

i i-

•i)'

!; r """"

I

I

•<|

j

^111,-Hli1^!;

— Niestety, Giga, nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe... Przyłapałem go na tym... A potem drżą mu ręce. Potłukł mi już dwa analizatory smaku, nie licząc drobniejszego szkła labo. Ale to nic, i bez analizatora wiem, że cufumi ma doskonały smak, subtelny i wykwintny.

— Cufumi?

— Cufumi koloidalne. Tak Niki nazwał mój nowy preparat spożywczy. Pracowałem nad nim cały czas...

— No tak, mogłam się tego domyślić — rzekła skwaszona Giga — bakcyl Pi. Zapomniałeś z tego wszystkiego o mnie i o obiedzie...

— A która to godzina?

— Człowieku, już piąta. Obiad miał być na czwartą.

— Przepraszam, zupełnie zapomniałem o zegarku... Jak ten czas leci. To cufumi mnie tak pochłonęło... Fatalnie!

— Nie jęcz, na szczęście nic się nie stało — powiedziała Giga. — Pędź teraz do mnie z jakimś zarcieciem, bo skonam z wycieńczenia i będziesz mnie miał na sumieniu.

— Przyniosę ci cufumi, na pewno będziesz zachwycona.

— Byle szybko! - Giga wyłączyła labofon.

Tyndzio porwał garnek z preparatem i wybiegł spiesznie z laboratorium, oblizując palce po cufumi. Za nim wychylił się zatroskany robot Niki podobny do wielkiego niezgrabnego chrząszcza z sześcioma ramionami i kwadratów;), najeżoną „czułkami" głową.

— Niech pan uważa, bo gar-nek ma dziu-rę i cie-knie - wysylabizował, zacinając się.

Może właśnie na skutek tego zacinania ostrzeżenie przyszło za późno. Na zakręcie korytarza Tyndzio poślizgnął się na dwu kroplach cufumi i wyłożył fatalnie na błyszczącej posadzce.

Wprawdzie nie wypuścił garnka ani łyżki z rąk, ale stłukł sobie boleśnie kolano.

Miało to jednak ten pozytywny skutek, że ochłonął nieco i przypomniał sobie, iż biegnie właściwie na oślep i bez wskazówek komputera. Zawrócił więc, utykając, do najbliższego labofonu i

wyrecytował:

— Niech się spełni Program.

Nad labofonem na ścianie natychmiast zabłysło czerwone światełko.

— Prowadź do numeru sześćset dziewięćdziesiąt dziewięć — rozkazał Tynd/n -Światełko zamigotało, rozżarzyło się i szybko zaczęło się przesuwać wzdłuż ściany.

Labiryntem korytarzy, po ruchomych schodach, raz na górę, raz na dół i znów korytarzami dotarł po niespełna dziesięciu minutach do drzwi o znaczący numerem 699. Skłonił się w pas.

Fotokomórka otworzyła drzwi. Tynd/m stanął jak osłupiały. Takiego widoku w życiu jeszcze nie widział.

Wielka sala laboratorium wydawała się wypełniona aż po sufit kolorową pianą, kipiącą i ruchliwą. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że są to zwoje materiałów tekstylnych tak lekkich, że zwykły ludzki oddech unosił je w powietrze, a one falowały, zwijały się i rozwijały, kłębiły, raczej jak zwiewny dym niż jak tkanina.

- Giga! — zawołał.

Giga wynurzyła się z tej kipieli, rękoma rozgarniając materiał jak pływaczka fale.

- Niesamowite, prawda?

- To dym czy tkaniny? — zapytał złośliwie Tyndzio.

- Oczywiście tkaniny, niepospolite, co?

- Ale chyba mimo wszystko za lekkie - zauważył krytycznie.

- To dopiero półprodukt - wyjaśniła Giga. - Żeby otrzymać tkaninę użytkową, należy złożyć pewną ilość warstw tej materii, pozostawiając między nimi powietrze. Pokażę ci, ile może w ten sposób powstać odmian, gatunków i rodzajów tkanin...

- Może pokazesz mi później — przestraszył się Tyndzio. — Zdaje się, że byłeś głodna.

Chciał się jak najprędzej pozbyć niewygodnego garnka, a obawiał się, że Giga każe mu przymierzać te rewelacyjne tkaniny. I rzeczywiście zanosilo się na to.

- Chciałabym, żebyś wybrał coś dla siebie - powiedziała Giga. — Chyba najbardziej odpowiedni byłby ten gatunek - wskazała na szafirową delikatną tkaninę w gustowną kratkę. - Rewelacyjny, prawda?

Tyndzio przełożył garnek z ręki do ręki.

- Tak, epokowy — powiedział grzecznościowo, w ogóle nie patrząc na eksponat. — Zamawiam u ciebie dwie kufajki i chałat kuchenny... - dodał na od-czepne.

- No, wiesz! - Giga była wyraźnie dotknięta.

-To dorzuć jeszcze kimono wizytowe. A teraz oderwij się od materii, moja droga, trzeba także coś dla ducha. Oto cufumi spirituel, o którym ci wspominał - wetknął bezceremonialnie zaskoczony Gidge garnek w ręce. - Jest to U-kka, krzepiąca strawa, która rozjaśni ci umysł.

Spróbuj!

- Jesteś pewien, że to mi nie zaszkodzi? - Giga nie miała zbyt dużego zaufania do syntetycznych produktów Tyndzia.

- Ależ, moja droga - oburzył się Tyndzio. - Preparat został zweryfikowany przez komputer pod względem dietetycznym, jak i smakowym. Otrzymał on, 11 wyższą notę!

- Najwyższą?!

- Przekonasz się sama — wetknął jej łyżkę.

-188-

-189-

Giga powąchała ostrożnie, a potem skosztowała nieufnie ćwierć łyżeczki; zamrugła dziwnie i skosztowała całą. Tyndzio wpił się oczyma w jej twarz.

- No, jak znajdujesz? - dopytywał niecierpliwie podekscytowany. Giga spojrzała na niego podejrzliwie.

- Z czego to zrobiłeś?

- Z drobnoziarnistego granulatu, który nazywa się po kakurgijsku cufu.

- Przecież to kaszka manna!

- Kaszka? - Tyndzio zdębiał.

- Nie jadłeś nigdy na Ziemi kaszki manny?

- Ra... raczej nie przepadałem.

- Całkiem niezła - Giga pałaszowała z apetytem produkt. - Spróbuj!

- Nie rozumiem... - Tyndzio wetknął palec w garnek i spróbował z niedowierzaniem. - Naprawdę myślisz, że to kaszka?

- W dodatku prawdziwa - Giga wskrobała resztę i zapytała: - Masz więcej tego... tego cufu?

- Niestety, zostało bardzo mało. Schowałem na czarną godzinę. Ale zapraszam cię na kolację... Mam w retorcie parę doświadczalnych potraw... Proteidy smażone z syntetyczną cebulką... zaczął wymieniać całe pitraszące się menu, ale Giga go nie słuchała.

- Jakie to dziwne — powiedziała nagle. -Co?

- Bardzo dziwne, wręcz dziwaczne. Coś tu nie gra. Zastanów się, Cyngiel. Pamiętasz, co Mufi i Farfalla mówili o kambonach? A tymczasem... ja tu jeszcze nie widziałam nigdzie żadnego kambona, jak biegliśmy tutaj, mijaliśmy po drodze małe poletka pszenicy i kukurydzy, bananowce, palmy kokosowe, ale żadnej uprawy kambonów. Także w pamięci lwów nie było żadnych kambonów, natomiast był ten wielki tort i pączki z lukrem. A w chłodni laboratorium znaleźliśmy raczej coś bardzo papkowatego i „gumowego”, a nie ościstego jak kambony.

- Może to były spreparowane kambony? - zauważył Tyndzio.

- Nie sądzę. Podobno takie kambony smakują jak słodkie pigwy roztarte z piaskiem, a tamte „smakołyki” przypominały raczej zjelczaly tran i solone glisty. Poza tym znaleźliśmy oryginalne daktyle.

- Mogą pewne produkty sprowadzać z Ziemi - powiedział Tyndzio.

- Tak, pewne produkty, ale tu w s z z y s t k o jest jakby z Ziemi... Już podczas przeglądu pamięci lwów zdziwiło nas, że nie ma tu ani jednej rośliny, ani jednego gatunku zwierzęcia czysto kakurgijskiego. Wszystkie rośliny i zwierzęta są ziemskie. Nawet robotom nadają wygląd stworzeń ziemskich.

- Rzeczywiście - Tyndzio podrapał się w głowę. - Jakiś cholerny antro-po-morfizm, czyli człekokształtność.

-190-

- Pomyśl nad tym, Cyngiel.

Tyndzio zadarł głowę do góry i usiłował myśleć, mieszając odruchowo łyżką w garnku i oblizując się.

Zdenerwowana Giga wyrwała mu garnek i rzuciła na podłogę.

- Nie rób z siebie matola klasowego. Oderwij się choć na parę minut od żarcia i garnków i pomyśl o sytuacji, Cyngiel, o nas, o naszych problemach. Skup się!

Tyndzio zakłopotany otarł ręce o fartuch, a potem próbował się oderwać i skupić.

Giga westchnęła ciężko.

- Jaka szkoda, że nie ma Bublę. On zawsze coś wymyślił...

- Nie ma sensu go wspominać - mruknął pośepnie Tyndzio. - Z pewnością jest już zaprogramowany.

- Nie wolno ci tak mówić! - zganiała go Giga. - Biedak! Mam wyrzuty sumienia. Zostawiliśmy go tam bez pomocy.

Tyndzio wzruszył ramionami.

- Sam sobie winien. Był zbyt zarozumiały. Gdyby nie lekcewał tak moich wyrobów...

- Przestań! Musimy go uwolnić, nawet zaprogramowanego. Nie możemy go zostawić w ich rękach.

- Za bardzo się nad nim rozczulasz, a to wszystko przecież przez niego! To on namówił nas na spotkanie z Datsunem. To on przyniósł tę fatalną mysz do szkoły! Bubeł!

- Taka sama jego wina, jak nasza. Byliśmy lekkomyślni jak małe dzieci. Zamiast go ostrzec i powstrzymać, sami zlakomiliśmy się na te kakurgijskie wynalazki, na ich komputery i różne cuda techniki.

- Proszę, proszę, jak ty go bronisz! I wiem dobrze, dlaczego! - Tyndzio przygryzł wargi. - Myślisz, że ja niczego nie widziałem? Już dawno mdliło mnie, jak na niego patrzyłaś! Od razu się skapowałem!

- Oszalałeś?! Co ty bredzisz!
 - To przez ciebie tu jesteśmy! - wybuchnął.
 - Wariat! Opanuj się!
- Ale rozdrażniony Tyndzio wylewał gorycz na całego.
- Zawsze chciał cię poderwać i szukał sposobu... Nie rozumiesz? Chciał ci zaimponować znajomością z tym Kakurgijczykiem, zawrócić w głowie, oszołomić, no i udało mu się!
 - Zaimponować? Mnie? A tobie może nie?
 - Nie bądź śmieszna, nie zależało mu na mnie. Ja byłem tylko „Matosem Klasowym”, a ty... Drań kochał się w tobie.
 - Głupstwa pleciesz, Cyngiel - Giga zaczerwieniła się.
- 191-
- Przez te, jak mówisz, głupstwa, kretyn wpakował nas w niezłą kabałę. Głupi szczeniak! Zakochani szczeniacy są gorsi od wariatów...
 - Chyba przesadzasz, stary. A w ogóle nie rozumiem, dlaczego to cię aż tak rozjusza. Czy nie za bardzo to przeżywasz?
- Tyndzio połapał się, że jego wybuch może być potraktowany jako objaw zwykłej zazdrości i umilkł.
- Ja ci coś powiem, Cyngiel - rzekła po chwili Giga. - Uważasz, że Bubel jest kretyn, no więc pokaż, że ty jesteś mądrzejszy od niego, chyba cię stać na to. Pogłówkuj, pokombinuj! Znajdź jakieś wyjście!
 - Myślisz, że potrafię? - Tyndzio poprawił okulary. Miał raczej załosny wygląd.
 - Na pewno potrafisz - rzekła ostro Giga. - W budzie na tle tej bandy dzikich ludzi, wariatów i zgrywusów wyróżniałeś się zdrowym rozsądkiem.
 - Ja? Robisz mnie w konia?
 - Miałaś opinię myślącego. Sonia powiedziała, że masz niezależny umysł.
 - Ja? - Tyndzio wybałuszył oczy.
 - Tak, ty! Miałaś niezłe odezwania. Nie byłeś baranem. Nie przyłączałaś się do silniejszych tylko dlatego, że silniejsi. Nie szedłeś bezkrytycznie za pomysłami Kukula. Ty jeden, pamiętam, miałeś wątpliwości.
 - To prawda, miałem wątpliwości.
 - No widzisz, a od zwątpienia zaczyna się filozofia, tak mówił Tupałka A filozofia to mądrość. Czyli potrafisz być mądry... Więc spróbuj teraz...
 - Teoretycznie może potrafię — chrząknął — ale w tym wypadku...
 - Jeśli potrafisz teoretycznie, to znaczy, że masz dociekliwy umysł... I wli ściwie potrzebujesz tylko zrobić mały kroczek.
 - Mały kroczek? Jaki kroczek? — wybełkotał Tyndzio.
 - Od teorii do praktyki. Zrób ten kroczek!
 - Łatwo powiedzieć. Może... może mi się udawało tylko przy Kaflarzacli. bo Kukulski mnie prowokował. Może mam tylko zdolności polemiczne. Ale lu nie ma Kukulskiego, tu jest strasznie! Daleko od Ziemi i w ogóle rozpacz!
 - Nie rozczulaj się, nikt ci tu nie otrze łezki, mamusi nie ma! Bądź mężcz\zną!
 - Bądź mężczyzną! Bądź mężczyzną! Jak mogę być?! Wątpić, dyskulu wać, krytykować, owszem, czasem potrafiłem, ale wymyślić coś od początku to zupełnie co innego... Wiesz? To jest myślenie na innym, o wiele wyższym szczeblu. Poza tym ze strachu robi mi się mętlik w czaszce...
 - Nie bredź. Właśnie w niebezpieczeństwie mózg pracuje szybciej, bo m silny bodziec...
 - Mózg? Jaki mózg?! Czyj?
 - Normalny mózg.
- j - No to ja nie mam normalnego mózgu.
- Weź się w garść, skoncentruj się, ty tchórze! Nie rób z siebie na nowo matosa. Pomyśl przez dwie minuty spokojnie!

' Tyndzio spojrział na Gigę z niemym wyrzutem, ale spróbował się skoncentrować.

i Myślał przez dwie minuty, a potem powiedział do Gigi: - — Wiesz co, chodźmy coś zjeść.

Na takie dictum Gidze opadły ręce. Co tu dużo mówić! To jednak mato! W oczach zabłysły jej łzy. Były to zapewne łzy bezradności. Być w kosmosie miliony kilometrów od Ziemi z matołem!

Tyndziowi zrobiło się głupio.

- Przykro mi, Giga -jęknął - ale to naprawdę jedyny sensowny pomysł, jaki mi przyszedł do głowy. Może jakaś potrawa rozjaśni mi umysł. Ty też pewnie jesteś głodna po cufumi, a ja nam w retorcie pyszności, mówię ci: dwa befsztyki syntetyczne najszlachetniejszych protein i proteidy smażone z cebulką, o których ci wspominałem, i chrupiące bułeczki z polipeptydów integrowane i posypane granulatem makopodobnym, a do tego na deser budyń kazeinowy z syropem, galaretki galalitowo-glutaminowe, aromatyczną skrobię posypaną glikozą, jeśli zaś chodzi o alkohole... polecam w zastępstwie nalewkę glikokolową.

Giga pokiwała zrezygnowana głową.

- Znów wróciłeś do żarcia... I taka z tobą rozmowa. Jesteśmy dokładnie w tym samym punkcie, co na początku...

- Posłuchaj, to mnie skoncentruje, Giga, podejrzewam, że po prostu brak mi protein i glutaminy, tobie na pewno też! Chodź, stara, nie mogę patrzeć jak głodujesz... Chciałem to wszystko podać na kolację, ale serce mi się kraje. ('ufumi było stanowczo zbyt mało kaloryczne. - To mówiąc, przymknął oczy, jakby już w wyobraźni delektował się tymi przysmakami. - Poradzę się Nikie-uo, która z tych potraw najlepiej wpływa na koncentrację psychiczną i zjem dwie porcje. Głowa do góry, Giga, po takiej uczcie na pewno coś wymyślimy.

- Wątpię, czy tobie coś jeszcze pomoże...

- No, no, nie bądź złośliwa i pośpiesz się, bo nam się proteidy przypalą. Nic mam zaufania do pamięci Nikiego. Mówiłem ci już, że to stary, rozkoja-i/ony robot...

Giga westchnęła zrezygnowana. Wiedziała, że nie powstrzyma Cyngła, na nikcył nie ma rady. Oczywiście nie miała najmniejszego zamiaru dać się natrać na konsumpcję wyrobów kulinarnych maniaka. Ta zabawa w syntezę or-Miiczną wcześniej czy później skończy się śmiertelnym zatruciem, a w naj-cpszym wypadku ciężką niestrawnością. Więc choć czuła autentyczny głód, 'ustanowiła zjeść tylko nową porcję cufumi, no, najwyżej parę pulpetów ze

-192-

-193-

skrobi z dodatkiem glukozy - te pulpety wydawały jej się stosunkowo najbardziej niewinne.

Ruszyli przez labirynt korytarzy, omijając po drodze różne laboratoria specjalistyczne, do niektórych, najbardziej ciekawych Giga zaglądała na chwilę, obiecując sobie zwiedzić je dokładniej, gdy znajdzie więcej czasu, no i jeżeli nie będzie musiała uciekać z Tobe.

Zagapiona w cuda fotooptyki w laboratorium „Łączności z Kosmosem”, podziwiając dokładne kolorowe obrazy fragmentów pierścieni Saturna i „czerwonej plamy” Jowisza, nagle usłyszała piskliwe syreny alarmowe i rozpaczliwy krzyk Tyndzia. Popędziła w jego stronę, światelko prowadzące zatrzymało się wkrótce przed laboratorium żywnościowym, lecz zamiast przygasnąć, rozżarzyło się jeszcze bardziej i zaczęło wyrzucać pomarańczowe alarmowe błyski. Syreny jęczały coraz głośniejsze. Ale największe wrażenie robił... zapach. Z tak ohydny „bukietem” zapachów nigdy się jeszcze nie spotkała, z tak ohydny i oryginalny zarazem, nie przypuszczała, że coś podobnego może w ogóle istnieć. Jeden odór dominował niewątpliwie w tej palecie miazmatów: odór obrzydliwej spalenizny, jakby przypaliło się coś, co już przedtem było zgniłe...

W obłokach gryzącego dymu miotał się zrozpaczony Tyndzio. W ręku trzymał niewielki wykrywacz promieniowania.

— Nie wchodź, zanim nie włączę klimatyzacji awaryjnej — wykrztusił na widok Gigi w progu i zaniósł się strasznym kaszlem.

— Zostaw! - zawołała przerażona Giga. - Uciekajmy stąd! To pożar! Za chwilę może być za późno! Zatrujemy się...

— Nie, bez paniki, Giga, to nie pożar, nie ma także na szczęście szkodliwego promieniowania... po prostu... po prostu musiał się zepsuć samoregulator przy retortach, a ten łajdak Niki nie

dopilnował... Niki!!! Gdzie jesteś, łotrze?! Pewnie się znów narkotyzował... Łobuz wlewa w siebie fenol i nitrobenzen!

— Ale po co?

— Wytwarza w ten sposób coś w rodzaju ładunków wybuchowych i prowokuje serię mikroeksplozji w swoich podzespołach — wyjaśnił Tyndzio. — To go, widać, przyjemnie podnieca. Na próżno mu tłumaczę, że ten nałóg go niszczy, że wkrótce stanie się wrakiem... - urwał nagle, bo udało mu się wreszcie odnaleźć włącznik klimatyzacji awaryjnej. Gryzący dym w pomieszczeniu zaczął szybko znikać.

W chwilę później mogli już wtargnąć do sali syntez.

— Niki, ty narkomanie, nie kryj się! - krzyknął Tyndzio. - Wyłaż! Słyszysz, co mówię? Odezwij się, żelazna pało! — rozglądał się po kątach, ale robota nigdzie nie było. — Pewnie schował się w kuchni! — rzucił do Giga i doskoczył do szklanych drzwi z wyłupanymi dziurami w górnej części. Bezsukutecznie szarpnął za klamkę.

- Zamknął się od środka, czy co? Puszczaj, ty szmelcowany gruchocie! Ty dwubitowy przy głupie! Nie było odpowiedzi. Syrena alarmowa wciąż pojękiwała i błyskały ostrzegawcze światła. Nie namyślając się wiele, Tyndzio chwycił ciężki statyw laboratoryjny i rąbnął nim z całej siły w drzwi. Szło koło klamki rozprysło się na drobne kawałki, drzwi zaczęły obracać się szybko na zawiasach to w jedną, to w drugą stronę. Tyndzio lekkomyślnie chciał wbiec w nie i byłby się nadział na straszne ostrza połupanego szkła, gdyby Giga z całej siły nie chwyciła go za kitel i nie zatrzymała. Kiedy rozhuśtane drzwi uspokoiły się w końcu i mogli wejść do środka bez obawy skaleczenia, Tyndzio wydał okrzyk przerażenia. Kuchnia przedstawiała obraz zupełnej dewastacji. Powyrywane palniki, potłuczone retorty, patelnie samonawilżające się przylepione do ściany, jedna nawet na suficie! Kawałki masy podobnej do pasztetu — prawdopodobnie polipeptydy zintegrowane — walały się po posadzce pomieszane z granulatem makopodobnym, z przewróconego garnka wylewało się coś w rodzaju wodnistej gulaszu. Tylko jeden sagan bulgotał w dalszym ciągu na ostatnim nieuszkodzonym palniku i kipiał gęstą, ohydłą, bąblastą cieczą, która, padając na rozpalone ruszta palnika, wydzielala ów nieznośny odór spalenizny.

Zatykając nos, Giga odskoczyła na drugi koniec kuchni, aż pod białe drzwi chłodni, gdzie studziły się gotowe produkty. Zauważyła, że drzwi te nie są domknięte i wieje spoza nich przyjemnym, aromatycznym, jeśli tak można powiedzieć, chłodem.

Zajrzała zaintrygowana i zastygła z wrażenia.

- Prędko, Cyngiel - zawołała. - On chyba jest tutaj!

- Niki?

- Tak, w tej galarecie...

- Co takiego?! - Tyndzio podbiegł i podobnie jak Giga stanął osłupiały. W stojącym w chłodni kotle z gęstej i tłustej galarety galalitowo-glutami-

nowej sterczały żałośnie trzy pary rączek i dwie cienkie, zakończone przyssawkami nóżki.

-194-

-195-

ROZPZIAŁ XIX

frzy pomocy Giga Tyndzio wyciągnął nieszczęsnego robota z kotła i wytarłszy go z grubsza, poddał oględzinom. Już na pierwszy rzut oka widać było, że tym razem nienadużywanie fenolu oraz nitrobenzenu zaszkodziło Nikiemu. Po prostu miał w głowie dziurę wielkości ludzkiej pięści.

- Wymóżdżono go - orzekł Tyndzio. - Napastnicy chcieli prawdopodobnie zawładnąć jego pamięcią, lecz była zablokowana, więc musieli mu rozbić głowę, żeby się do niej dostać.

- Kto mu ją zablokował?!

- Ja sam. Po twoim zniknięciu byłem pewny, że wpadliśmy w pułapkę i bałem się, by nie odkryli, że pośląłem bakcyła Pi. To byłby na mnie wyrok śmierci. Jako zarażony nie nadawałbym się do zaprogramowania, więc by mnie zlikwidowali.

- To nie był najlepszy pomysł - powtórzyła Giga. - Oni i tak zawładnęli pamięcią, a ty straciłeś robota.

- Biedak, bronił się, walczył dzielnie — westchnął Tyndzio. — Świadczy o tym zdemolowane

wnętrze — rozglądał się dookoła, nagle schylił się i podniósł z podłogi jakiś mały, półprzezroczysty przedmiot. — Popatrz, to kawałek fotokatody, a tam szczątki jakiegoś mikroukładu... Wygląda na to, że Niki rozbił doszczętnie głowę co najmniej jednego napastnika, zanim sam nadział się na kontrę i wyładował w kotle. Ależ tu była nawałanka! Szkoda, że tego nie widziałem. Bitwa robotów! To musiało robić wrażenie.

Giga spojrzała na niego z naganą.

- Zamiast się tym podniecać, lepiej sprawdź, czy ich tu jeszcze nie ma. Twoja beztraska zdumiewa mnie... Przecież oni mogą teraz rzucić się na nas...

- Nie sądzę - odparł Tyndzio. - Gdyby mieli ten zamiar, już dawno by go zrealizowali. Oni przyszli wyłącznie po pamięć Nikiego. Żałuję, że jej wcześniej nie wyświetliłem. Na pewno było w niej coś bardzo ważnego. Oni nie chcieli, żebym się o tym dowiedział, dlatego za wszelką cenę postanowili ją zabrać Nikiemu...

- Czemu go po prostu nie wyłączyli? — zauważyła bystro Giga. — Pamiętasz, co mówił Mufi o robotach? Każdy robot wyższej kategorii może wyłączyć robota kategorii niższej. Roboty wyższej kategorii zaopatrzone są w tyr celu w odpowiedni kod służący do nadania sygnału wyłączenia.

- Brawo, więc zapamiętałaś to? - uśmiechnął się Tyndzio. — Masz rację Niki mógł być w razie nieposłuszeństwa i oporu wyłączony przez każdego

robota wyższej kategorii, a takimi są na przykład Akademicy z Komisji. Bałem się tego. Nie chciałem, żeby Niki miał prócz mnie jakichś innych panów, to mogłoby dla nas być niebezpieczne, więc zmieniłem mu układ sterowania i sygnał wyłączenia... Dlatego napastnicy nie mogli go ani podporządkować sobie, ani wyłączyć i musieli go obezwładnić mechanicznie. Oczywiście Niki stawiał opór, no i doszło do prawdziwej bitwy. Laboratorium wprawdzie nie jest zniszczone... Ale zniknęły prawie wszystkie surowce i materiały. Wygląda na to, że te łotry zabrały je...

— Zabrały? Jesteś pewien? Zaglądałeś do magazynku? - pytała zaniepokojona Giga.

— W magazynie już przedtem nic nie było — odparł Tyndzio.

Giga, nie dowierzając, otworzyła drzwi pomieszczenia obok kuchni, gdzie, jak świadczył napis, przechowywano surowce.

-No, widzisz, pomyliłaś się-powiedziała. - Coś tu leży na półkach. Chodź, zobacz.

Tyndzio podszedł i stanął jak wryty. W istocie, na półkach widać było różnego kształtu pojemniki i paczki.

— Ależ tego nie było tu przedtem! Podrzucili! — doskoczył do półek i zaczął oglądać opakowania.

— Nie rozumiem. Krzem? Siarka? Kwas kremowy? Produktor kwasu fluorowego? To przecież najbardziej agresywny kwas. Żre nawet szkło! Po co nam to wszystko? To nie są przecież surowce dla kuchni.

— Może chcą, żebyś usmażył na tym kotlet albo dodał do jakiejś sałatki.

— Giga, to makabryczne żarty!

— Z pewnością są ciekawi, czy i jak potrafisz to wykorzystać...

— Powiedziałem ci, to nie są surowce dla kuchni.

— Dla kuchni ludzkiej — zauważyła Giga — ale dla kakurgijskiej? U nas wszystkie związki organiczne, całe życie jest oparte na węglu, a u Kakurgij-czyków wszystko może być oparte na krzemie...

— Nonsens. Węgiel daje olbrzymią ilość związków. Wraz z innymi pierwiastkami, a zwłaszcza z wodorem, tlenem i azotem stanowi podstawę białka. Z kolei białka stanowią podstawę wszystkich funkcji życiowych...

— Istot na Ziemi - dokończyła Giga. - Ale gdzie indziej? Gdzie indziej może być zupełnie inaczej. Krzem może być tam podstawowym budulcem. Zresztą nawet na Ziemi wchodzi w skład wielu organizmów żywych. Kakur-gijczycy mogą go potrzebować w dużych ilościach, jest on, jak pamiętasz, ważnym składnikiem kambonów, więc chcą, żebyś się nim zajął w swoich eksperymentach.

— Giga, czy ty to mówisz poważnie?

— Najzupełniej poważnie.

— Ależ w takim razie...

-196-

197-

— W takim razie musimy stąd jak najszybciej uciekać - oświadczyła stanowczo Giga. — Miałeś rację. Te laboratoria to pułapka. Oni bez przerwy nas kontrolują...

— Poddają badaniom i próbom nasze zdolności i reakcje.

— Właśnie! A potem...

— Szkoda czasu na gadanie — przerwał Tyndzio. — Zmywamy się natychmiast!

— Zaraz, bez popłochu — powiedziała spokojnie Giga. — Jeśli nas w tej chwili nie podsłuchują, to nie ma znaczenia, czy opuścimy to miejsce teraz, czy pięć minut później, a jeśli nas podsłuchują, to i tak wszystko na nic... W każdym razie chciałabym zabrać z sobą parę rzeczy... z mojego laboratorium.

— Chyba nie ciuchy - przestraszył się.

— One zajmują bardzo mało miejsca. W pudełku od zapalek mieści się cała kreacja.

— A ile chcesz zabrać tych kreacji? — zapytał podejrzliwie.

— Wszystkie — odparła Giga.

— Oszalałaś!

-Nie bój się, zajmą zaledwie połowę mojej torby, zostanie jeszcze miejsce na notatki technologiczne i wzory know-how. Tobie też radzę spakować parę przepisów. Taka recepta na syntetyczne białka złożone to przecież prawdziwy skarb. Może kiedyś wylądujesz z nią na Ziemi jako zbawca, który uwolni świat od zmyru głodu?

W niespełna pół godziny później przemykali się już do wyjścia labiryntem korytarzy z wykrywaczem promieniowania w rękę, unosząc w torbach zapisy interesujących technologii, wzory, niezbędne dane, całe „know-how”.

Mimo wszystkich najgorszych podejrzeń wciąż żywili odrobinę nadziei, że uda im się wymknąć z zakładu bez specjalnych kłopotów. Ale ta nadzieja okazała się płonna. Brama wyjściowa była zatrzaśnięta; komórka „foto” nie reagowała ani na „ukłony”, ani na klęknięcie, ani na żadne hasła słowne.

— A więc mają nas — rzekła przygnębiona Giga.

-1 mieli od początku - odparł Tyndzio. - Nie należało się niczego innego spodziewać.

Próbowali uciec przez okna; na pozór wydawało się to proste, niektóre były nawet uchylone, ale spotkała ich nowa przykrość wszystkie zamykały się złośliwie, gdy tylko zbliżyli się do nich, mało tego, zatrzaśniały się stalowe okiennice.

— Jak na zakłęcie - powiedziała Giga.

— To gorzej niż zakłęcia — mruknął posepnie Tyndzio. Zdenerwowani zastanawiali się, co zrobić w tej sytuacji. Wysadzić brar wyłamać? Ale jak?

„j — Wypalimy ją! — zdecydował nagle Tyndzio. — Zaczekaj chwilę, przyniosę jedną rzecz z mojego laboratorium...

Nim Giga zdołała coś powiedzieć, pognął z powrotem w głąb zakładu. Liczyła niecierpliwie sekundy. Bała się, że już go nigdy nie zobaczy. W każdej chwili mogli przecież pojawić się strażnicy, uprowadzić w nieznanym kierunku albo ją, albo jego, uwięzić, zabić, wszystko mogli z nimi zrobić.

Wreszcie rozległy się spieszne kroki. Odetchnęła z ulgą. Poznała z daleka. To były kroki Tyndzia. Dźwigał dziwny aparat w kształcie potrójnego imbryka.

- Co to jest?! - zapytała zaintrygowana.

- Produktor kwasu fluorowego - wysapał zadyszany - ten, co mi podrzucili do kuchni razem z siarką i krzemem. Ciekawe, czy spodziewali się, że taki zrobię z niego użytek.

- Myślisz, że ci się uda?... - Giga spojrzała na masywną bramę, a potem na niepozorny aparat.

- To będzie trochę kłopotliwe, ale spróbujemy. Powinno się udać, fluor reaguje bardzo energicznie...

Przystawił do bramy jakieś puste skrzynie, wdrapał się na nie wysoko, zamontował pod sufitem

produktor, a w szparze między skrzydłami drzwi, u samej góry, umocował spłaszczoną końcówkę wylotu. Podłączył następnie wodę z kranu za pomocą elastycznej rurki. Gdy wszystko było gotowe, wycofali się do najbliższej, uszczelnionej kabiny rekreacyjnej, aby uniknąć zatrucia parami fluorowodoru.

Teraz pozostawało tylko czekać. Czas dłużył się niesłychanie. I to deprymujące wrażenie, że bez przerwy śledzą ich czujne oczy wroga! I ten strach! W każdej chwili mogły się przecież włączyć syreny alarmowe. Nasłuchiwali w napięciu... Ale panowała idealna cisza...

Wreszcie usłyszeli upragniony sygnał producenta - znak, że reakcja dobiegła kresu. Jednocześnie ku ich zaskoczeniu wszystkie światła kontrolne w kabinie przyćmiły się, a potem zgasły. Czyżby kwas fluorowodorowy spowodował uszkodzenie któregoś z elektronicznych układów? A więc może i wyłączenie automatycznej blokady oraz sygnalizacji? Może zniszczył także te śledzące ich „elektroniczne” oczy?... Zrobiło im się jakoś raźniej.

Tyndzio włączył klimatyzację awaryjną wraz z analizatorem powietrza. Poczekali jeszcze, aż wskaźniki zbliżą się do normy i ostrożnie wychylili się z kabiny.

Brama wyglądała jak przegryziona przez rdzę od góry do dołu nierówną, poszarpaną linią - widocznie materiał nie był zbyt jednolity. Tyndzio pchnął / całej siły. Resztki rygli ustąpiły ze zgrzytem.

Wysunęli się ostrożnie. Lwy siedzące nieruchomo przed bramą jak kamienne sfinksy zerwały się ze swych piedestałów i podbiegły, łaszcząc się i pomrukując

-198-

-199-

przyjaźnie. Ale ani Tyndzio, ani Giga nie dowierzali im. I choć wielka brama w parkanie otworzyła się sama (czyżby dlatego, że znów prowadziły ich lwy?), nie zdołali poskromić niepokoju. Raz po raz oglądali się czujnie, czy nikt ich nie ściga. Ale pogoni nie było, nawet lwy ich opuściły.

Dookoła królował senny spokój leśnego popołudnia. Wiatr szeleścił lekko wśród liści, co pewien czas rozbrzmiewały swojskie głosy ptaków, słodkie, usypiające brzęczenie pszczół i trzmieli miło łechtало ucho; mimo to dławiący strach ciągle ścisnął im gardło. Po ostatnich doświadczeniach byli pewni, że jest to spokój zwodniczy i że czekają już na nich nowe pułapki. Gdzie i kiedy w nie wpadną?

Maszerowali tak szybko, jak tylko mogli, dla bezpieczeństwa trzymając się lasu. Przenocowali pod wielkim baobabem. Giga przygotowała wygodne posłanie ze swych „puchnących” prefabrykatów. W parę minut przetworzyła je w przytulne poduchy, śpiwory i materace.

Rano posilili się owocami baobabu i bezzwłocznie ruszyli w dalszą drogę. Koło południa zza drzew wyłoniła się kolonia podobnych do siebie eleganckich domków letniskowych i bungalowów w starannie utrzymanych ogródkach. Wyglądało, jakby przed chwilą opuścili ją wszyscy mieszkańcy. Charakterystyczny dla tej okolicy czerwony pył nie zdążył jeszcze jej przykurzyć ani nie zdołały jej zaśmiecить suche liście. Na stolikach w ogródkach lokali rozrywkowych stały niesprzątnięte butelki i flakoniki, niektóre ledwie napoczęte, z olejkami, aerozolami, kosmetykami, używkami, emulsjami, kremami i innymi specyfikami, którymi raczyły się roboty. W centrum osiedla wielkie reklamy anonowały „przeglądy i konserwacje”, zachęcały do spędzenia czasu w salonach gier.

- Skąd my to wszystko znamy? — wyszeptła zdumiona Giga. — Widzieliśmy już to gdzieś, prawda, Cyngiel?

- Tak, w pamięci lwów - odpowiedział. - Tylko wtedy było tu rojno i gwarno...

- Tak, przypominam sobie! Było rojno, bo trwały „Dni Odnowy”. Którego dzisiaj mamy?

- Drugi marca. A więc do następnych „Dni Odnowy” mamy dwadzieścia osiem dni. Bite cztery tygodnie spokoju!

- Teoretycznie - powiedziała Giga. - Nie masz żadnej gwarancji, że przez ten czas nikt się tu nie zjawi. Spójrz choćby na to - wskazała na wielką planszę reklamującą „Loty służbowe i rekreacyjne na planety i ich satelity”. - Co kilkanaście dni wypada jakiś rejs kosmiczny. Należy przypuszczać, że przed takim rejsiem każdy pasażer zjawia się tutaj, aby się przebrać, spakować, przygotować do podróży...

Istotnie, rozkład lotów przewidywał, że za pięć dni odleci statek na Marsa z lądowaniem na satelitach Urana, za dwa tygodnie na Ziemię z lądowaniem na księżycach Saturna, za trzy dni na Wenus z lądowaniem na księżycach Jowisza.

- To prawda - Tyndzio podrapał się w głowę. - Nasz spokój może być zakłócony, ale nie powiedziałem przecież, że chcesz tu zostać przez cztery tygodnie. Nie, Giga, mam zupełnie inne plany.

Pograżeni każde w swoich myślach szli wzdłuż parkanów Centralnego Bulwaru. Po jednej i drugiej stronie stały największe i najbardziej wytworne wille osiedla, zapewne należące do elity robotów. W swej środkowej części Bulwar rozszerzał się w mały plac, przy którym stał okazały budynek w stylu neogotyckim, zapewne ratusz; na jego frontowej ścianie umieszczono wielki plan całego osiedla, z zaznaczeniem położenia i nazwy każdej nawet najmniejszej willi i bungalowu, oraz załączono spis mieszkańców. Ale uwagę Gigi i Tyndzia przyciągnął duży, pomalowany w żółte i czerwone pasy domek z wielkim białym napisem: „MELLA”. Czyżby to była własność tej instruktorki dobrych obyczajów, tej przebranej za amazonkę cyrkową Pani Adaptator, którą im przedstawiono po wylądowaniu?

Zaintrygowani sprawdzili z ciekawością w spisie. Okazało się, że willa „Mella” użytkowana jest przez dwie „osoby”: prócz instruktorki Melli zajmuje ją niejaki pan Entere, profesor Akademii i członek Komisji, a więc tupakopo-dobny...

- Wejźmy tam! - powiedział niespodziewanie Tyndzio.

- Są przecież ładniejsze domki — zauważyła Giga. - I ten Entere... będzie mi wciąż przypominał Tupakę.

- Nie szkodzi. Mam kapitalny plan! - oświadczył lekko podniecony Tyndzio.

- Co chcesz zrobić?

- Zatrzymamy się w tym domku i poczekamy na Mellę. -Jak to?...

- Posłuchaj, Giga. Ponieważ Mella występuje w cyrku na Ziemi, wcześniej czy później musi tam polecieć. Możliwe, że szykuje się na ten rejs. Pomyślałem, że mogłabyś odegrać rolę Melli...

- Ależ... — Giga zaniemówiła z wrażenia.

- To jest kapitalna szansa, żeby wrócić na Ziemię. Przemyslałem to. Po prostu ucharakteryzujesz się na Mellę i przebierzesz w jej strój. Przy tutejszych środkach i możliwościach technicznych to nic trudnego. Za kwadrans będziesz doskonałą kopią Melli i zgłosisz się na statek...

- A ty? Co z tobą?

- Ja? Nie bój się, coś wykombinuję. Nie tylko Mella lata na Ziemię. Na pewno jakoś zabiorę się z tobą. Muszę tylko zorganizować bilet...

- A Leszek? Zostawimy go tak?

-200-

-201-

ń

'i

i '

•mm

li WH

*i%"-

l < i ;

'! ,! ,#i tt^ll !'ll'

Tyndzio stropił się.

- Wiem, że to okropne, ale jak możemy mu pomóc? No, powiedz sama, jak?! Nie możemy go nawet szukać, bo sami musimy się kryć jak szczury... Trzeba tylko wierzyć, że tak jak my, on też nie da się łatwo zjeść w kaszy.

Zapadło przykre milczenie.

- No, dobrze - westchnęła zrezygnowana Giga. - A co zrobimy z prawdziwą Mellą? Czy pomyślałeś o tym?

- Prawdziwa Mella będzie musiała tu zostać z powodu niespodziewanej awarii pamięci.

- Co ty knujesz, Cyngiel?

- Niestety, to konieczne. Musimy przynajmniej częściowo zdemontować Mellę. Pomyślałem, że odebranie jej pamięci unieruchomi ją najskuteczniej.

- Jest jeszcze jeden szkopuł — powiedziała Giga. — Kontrola na kosmodromie. Wszystkie roboty są prześwietlane od czasu, jak pojawili się tutaj złodzieje pamięci... Co będzie, jak nas prześwietlą?

- Zgrywasz się, Giga...

- Dowiedziałam się o tym od moich robotów laboratoryjnych. Kradzieże pamięci stały się ostatnio plagą tej bazy. Doszło do tego, że roboty boją się poddawać przeglądowi i konserwacji, bo nagminnie zamieniają im pamięć w czasie tych zabiegów. Zresztą sam pamiętasz, co się przydarzyło twojemu Nikiemu. Bierze się to wszystko prawdopodobnie stąd, że pamięć jest najcenniejszą rzeczą, jaką posiada robot, oraz że są różne pamięci, bogate i biedne genialne i prymitywne. Pamięć bywa również pospolitym przedmiotem prze mytu podczas lotów kosmicznych na Ziemię. Niektórzy podróżni próbują przez szmuglować trzy, cztery, a nawet pięć pamięci. Sprzedają je potem na Ziemi jako specjalne, rewelacyjne wideokasety... Więc jeśli nas prześwietlą...

- Jakoś wymigamy się od tego - przerwał Tyndzio. - To przecież tylko roboty, tyle wiedzą, ile mają w programie. Z gorszych rzeczy wykręcaliśmy się w szkole. A teraz przestańmy o tym myśleć i włączmy do środka.

I

Domek zajmowany przez Mellę i profesora Entere był to bliźniaczy dwi mieszkaniowy bungalow z pozoru urządony na sposób ziemski, lecz oczy GiL i Tyndzia, wprawne już do wychwytywania różnic, od razu spostrzegły, że jest to lokal, w którym wykorzystano wszystkie zdobycze cywilizacji kakurgijskiej kompletnie zautomatyzowany i skomputeryzowany. Zamiast kuchni była kabin na „elm” z urządzeniami do wytwarzania silnego pola elektromagnetycznego mającego korzystny wpływ i działającego stymulująco na „organizmy” robotów. Każdy bungalow posiadał nadto system wzierników oparty na zasadzie telewizji użytkowej. Po ich włączeniu można było obserwować z jednego pomieszczenia, co dzieje się w drugim. Jak głosiła instrukcja obsługi, urządzenia to służyło również Kontrolerom Wielkiej Dyspozytorni. Zza swoich pulpitu\

-202-

w Urzędzie mogli oni obserwować zachowanie robotów wewnątrz pomieszczeń, a w szczególności przestrzeganie przez nie regulaminów i przepisów.

- To straszne bez przerwy być podglądanym! - szepnęła Giga. - Znow mam wrażenie, że czyjeś oczy nas stale śledzą.

Tyndzio wskazał jej w milczeniu jeden z napisów monitujących, którymi dość gęsto pokryte były ściany. „Pamiętaj, widzimy cię! Dobry robot nie ma nic do ukrycia”.

- Jak w tej sytuacji przeprowadzimy nasz plan? - zapytała z niepokojem Giga.

- Nie sądzę, by ta szpiegowska telewizja była włączona przez cały czas. Prawdopodobnie działa tylko w „Dni Odnowy” — odparł Tyndzio. — Albo włącza się, gdy ktoś wchodzi do domu.

- Zaraz sprawdzimy.

Podłączył do wzierników wykrywacz emisji.

- Nie działa w tej chwili.

- Może dlatego, że nie jesteśmy robotami. Może kamery włącza coś, co jest w nich...

- Oby tak było — powiedział Tyndzio.

Dla bezpieczeństwa przeszukali i zbadali cały bungalow. Nigdzie nie stwierdzili żadnego promieniowania. Aparatura domku była wyłączona z wyjątkiem zwykłego oświetlenia i klimatyzacji.

Giga obawiała się, że w ciągu tych co najmniej dwóch tygodni oczekiwania na Mellę zanudzi się na śmierć, ale na szczęście w suterenie pod bungalowem odkryli coś w rodzaju salonu gier.

Potwierdzało to jeszcze raz, co już zaobserwowali wcześniej - że roboty są namiętnymi amatorami rozrywek umysłowych i cały czas wolny spędzają przy rozmaitych grach, aczkolwiek, jak wynikało

z pobieżnego przeglądu salonu i zawartości szaf, największą przyjemność sprawiały im gry kombinacyjne typu szachów, gry pamięciowe i skojarzeniowe wymagające zdolności przewidywania, a wreszcie gry typu „Monopoli”. Ale czasu na te zabawy miały rzeczywiście bardzo mało. Jak głosiło pouczenie na ścianie, „dobry robot oddaje się rozrywkom tylko po starannym wypełnieniu obowiązków określonych w instrukcji”.

Z kolei „Instrukcja główna dla robotów I kategorii”, wywieszona na widocznym miejscu w hallu bungalowu obok spisu inwentarza, numerów telefonicznych policji i pogotowia technicznego, głosiła:

NIECH SIĘ SPEŁNI PROGRAM I
CO K03\ D05RY ROBOT I KATEGORII
?0 PRZYBYCIU DO DOMU?

-203-

LJJft ' '*

Dobry robot I kategorii po przybyciu do domu ściąga z siebie wierzchnią odzież indywidualizującą i rozbiera się w miarę możliwości na części. Następnie wyjmuje ze skrzyni piersiowej oraz z głowy podzespoły, które może wyjąć bez pomocy robotechnika. Wymontowane części i podzespoły myje i czyści starannie, zużyte lub uszkodzone zastępuje nowymi. Yo zakończeniu przeglądu poddaje się co najmniej przez godzinę działaniu konserwacyjnemu i tonizującemu pola ELM.

U W A G A I : Szczególnie ważne dla funkcjonowania organizmu podzespoły, czyli podzespoły zastrzeżone, są oznaczone znakiem Kleo. Nikt nie ma prawa ich ruszać z wyjątkiem Specjalisty Bazy. Samowolne grzebanie w podzespołach zastrzeżonych będzie surowo karane.

U W A G A II: Przy czyszczeniu i smarowaniu rąk przestrzegać ściśle następujących zasad: najpierw zdejmujemy rękę lewą przy pomocy ręki prawej, poddajemy kontroli łożyska przegubów, dokonujemy odpowiednich zabiegów konserwacyjnych, montujemy z powrotem przy pomocy ręki prawej rękę lewą, a następnie przy pomocy ręki lewej zdejmujemy rękę prawą, poddajemy kontroli łożyska jej przegubów, dokonujemy odpowiednich zabiegów konserwacyjnych i montujemy z powrotem przy pomocy ręki lewej tęże rękę prawą. Uważać, aby nie zdjąć sobie obu rąk jednocześnie! Mogą być problemy z montażem!

— Rzeczywiście, to mogłaby być nader kłopotliwa sytuacja — rzekła Giga. I

— Czyszczenie i smarowanie się robotów połączone z demontażem części i podzespołów zawsze jest dla nich kłopotliwe, więcej, niebezpieczne — pod-1 chwycił Tyndzio. - Widzę tu dla nas pewne możliwości. W czasie, gdy Mellal zajmie się czyszczeniem zewnętrznego selektora informacji, nie będzie w stanie odbierać sygnałów ostrzegawczych. Wystarczy wtedy podejść do niej, za brać jej przygotowaną do odkurzenia pamięć lub jakiś ważny podzespół, a sta nie się praktycznie bezbronna. Można ją stuknąć młotkiem, rozwalić jej ukłai albo zwyczajnie ogłuszyć pięścią... Druga możliwość rysuje się równie atrakcyjnie. Można będzie wprowadzić zakłócenia w polu ELM, które porażą trwał le lub na pewien czas najczulsze ośrodki sterownicze robota podczas leżaka wania w kabinie rekreacyjnej.

— Ten drugi pomysł bardziej mi odpowiada, chyba jest bardziej humanit;ii ny — rzekła Giga. — W przypadku wariantu pierwszego musielibyśmy prawitd podobnie działać bardzo brutalnie... Gdy wyobrazę sobie, że musiałabym liuj młotkiem bezbronnąMellę... Nie... Nie, daj spokój!...

-To tylko robot...

- Ale zawsze głupio byłoby, jakoś nie fair...

- No, wiesz... Takie skrupuły w naszej sytuacji...

- Zresztą wariant drugi wydaje mi się pewniejszy - rzekła zaczerwieniona Giga. - Przecież nie wiemy, czy przy ogłuszaniu ręcznym, to jest w razie fizycznego kontaktu obcego ciała z robotem, nie włączyłby się system alarmowy...

- Na twoje sentymentalne skrupuły gwizdź - oznajmił Tyndzio - ale ten drugi argument mnie przekonuje. Zgoda. Zrobimy niespodziankę tej czyścioszce w czasie leżakowania...

Do spodziewanego przybycia Melli pozostawało ponad dwa tygodnie. Próbowali je spędzić na luzie, oddając się rozrywkom umysłowym w salonie gier. Niestety, choć wiele z tych gier było nader ciekawych, oryginalnych i pomysłowych, „luz” okazał się niemożliwy. Ich myśli krążyły

natrętnie wokół planów ucieczki na Ziemię, a im dłużej o nich myśleli, w tym większą popadali rozterkę. Gdzie cały pomysł wydawał się wręcz nierealny, a i w samym Tyn-dziu w miarę upływu godzin zaczynały się budzić coraz poważniejsze obawy. Jedną była zasadnicza: czy oprócz Melli ktoś jeszcze poleci na Ziemię? To, że profesor Entere, wydedukowany na zasadzie prawdopodobieństwa pasażer tego lotu, pracuje nad „prolegomenami programowania istot ludzkich”, nie znaczyło przecież wcale, iż wybiera się najbliższym rejsem na Ziemię. I że w ogóle się tam wybiera. Żeby pisać o ludziach, nie musiał wytykać nosa poza bazę. Mogły mu wystarczyć studia nad ludźmi porwanymi z Ziemi i dostarczonymi do bazy, zresztą jego „prolegomena” mogły być rozprawą czysto akademicką, nieopartą na osobistych kontaktach z ludźmi, lub mógł w niej wykorzystać już dawniej zebrane materiały. Krótko mówiąc, nie było żadnych gwarancji, że profesor Entere zjawi się w bungalowie przed odlotem statku, na co właśnie liczyli, i raczej należało się spodziewać, że przybędzie tylko Mella, co też nie było takie pewne.

Tyndzio był zdania, że w takim wypadku Giga powinna próbować szczęścia sama, nie oglądając się na niego. Z kolei Giga za nic nie chciała go zostawić na łasce losu. Zostawienie Tyndzia po to, aby czekał na inną szansę, równałoby się, według niej, odebraniu mu wszelkich szans. Innej szansy nie będzie. Gdy wyjdzie na jaw ucieczka Gigi, kontrola zostanie tak zaostrzona, że /aden człowiek nie zdoła już wymknąć się z bazy. Ich głównym atutem, i zresztą pewnie jedynym, jest działanie przez zaskoczenie, a to się może udać tylko raz. Albo więc decydują się uciekać teraz razem, albo ucieczkę należy odłożyć i czekać na inną sprzyjającą okazję.

Tyndzio rzucił wtedy myśl, żeby przeszukać pozostałe bungalowy. Być może \ którymś z nich dwoje mieszkańców wybiera się w podróż na Ziemię i mają m zgotowane bilety, a może nawet przepustki.

-204-

-205-

Pomysł nie wydawał się zły, toteż cały następny dzień poświęcili na myszkowanie w sąsiednich domkach. Niestety, bez rezultatów. Sprawa się wyjaśniła, gdy w jednym z bungalowów znaleźli prospekt lotów, w którym zawarta była informacja, iż zamówione bilety biuro podróży dostarczy pocztą automatyczną wprost do domów dopiero na dzień przed odlotem. Wynikało z tego, że wcześniej bilety są nieosiągalne i że dalsze poszukiwania nie mają sensu.

Na pociechę spotkała ich przyjemna niespodzianka gastronomiczna. W zamożnej willi jakiegoś prominenta natrafili na akwarium z rybami ziemskimi. Dygnitarz miał zapewne hobby ichtiologiczne. Wśród wielu ciekawych gatunków znaleźli także karpie i karasie. Wyłowili je wszystkie za pomocą sieci zaimprovizowanej na poczekaniu przez Gigę z tkaniny „adekwatnej”, którą w stanie zgęszczonym stale nosiła z sobą. Przeczesali też parę ogródków, unosząc jako zdobycz różne jadalne owoce; najbardziej ucieszyli się z bananów, pomarańczy i ananasów.

W ten sposób przynajmniej problem żywności mieli rozwiązany na parę dni. Najedzeni, z większym optymizmem oczekiwali dalszego rozwoju wypadków, licząc na to, że poczta wreszcie podrzuci w jakimś bungalowie upragnione bilety i przepustki, którymi będzie można zawładnąć. Lecz rzeczywistość przeszła ich oczekiwania. Kiedy piętnastego rano chcieli wyjść na dwór czy pod osłoną żywopłotu upiec dyskretnie na różnie kolejnego karpia, spostrzegli w szklanej skrzynce na listy dwie małe koperty dostarczone widać przez pocztę automatyczną. Jedna adresowana była do Melli, druga do profesora Entere. I obie zawierały upragniony „prezent”: bilety na Ziemię i odpowiednie przepustki na kosmodrom.

- No i patrz, jak nam się pięknie składa - powiedział uradowany Tyndzio. - Ty polecisz jako Mella, a ja jako profesor Entere. W gruncie rzeczy z robota mi prostsza sprawa niż z ludźmi. Wystarczy tylko logicznie pomyśleć. Za bar dzo się ich przestraszyłaś.

- Masz rację, Cyngiel, zaczynam wierzyć, że wrócimy na Ziemię.

- Już się nie boisz, że nam za łatwo idzie?

-Nie.

- Znakomicie. Więc może nareszcie przestaniesz truć i weźmiesz się do roboty, musimy się przygotować...

- Przypuśćmy, że ty nie trućś.

- Ja tylko te-o-re-ty-zo-wałem - odparł Tyndzio. - A to jest pewna różnica,
- Dobra! To pędźmy się przebrać za roboty! "
- Bez paniki, moja droga. W planie była najpierw ryba, więc zacznijmy < ryby. Czeka nas ciężki dzień i musimy się solidnie pożywić.

Karp w takich okolicznościach! To nie było zbyt zdrowe. Z nerwowej podniecenia i pośpiechu Giga omal nie udławiła się ością. Po śniadaniu szybko

posprzątała, starannie zatarła ślady i udali się każde do swojej przebieralni, żeby przygotować się do przemiany w roboty. Zbadanie zawartości szaf, szuflad i półek w garderobie gospodarzy utwierdziło ich w przekonaniu, że nie powinno być żadnych kłopotów z charakteryzacją. Były tam nie tylko komplety zapasowych ubrań, lecz także zapasowe twarze, które naciągało się jak maski, zapasowe peruki, a nawet podobna do rękawiczek zapasowa skóra do rąk, nie mówiąc już o doskonałych kosmetykach, szminkach i różnych przyborach do makijażu.

Oczywiście nie mogli się powstrzymać i od razu zrobili generalną próbę transformacji w roboty. Tyndzio dokładnie sprawdził potrzebny do tego czas. Okazało się, że całe przeobrażenie nie powinno trwać dłużej niż dziesięć minut.

Przybycia obu robotów spodziewali się zaraz na początku przerwy południowej, która trwała w bazie od dwunastej do drugiej; w tym czasie kursowały po bazie helikoptery publiczne, a przylot pierwszego z nich do Kolonii, według rozkładu lotów, miał nastąpić o godzinie trzynastej.

Pozostawało więc niecałe trzy godziny na przygotowanie zamachu.

Czy wystarczy im wiedzy, by zorientować się w konstrukcji urządzeń kabiny ELM? Przez pierwszą godzinę przeżywali męki niepewności i pocili się ze strachu, że nie dadzą sobie z tym wszystkim rady. Jakże żalowali, że nie zapoznali się z tymi instalacjami wcześniej... Mieli tyle czasu!

Ostatecznie mogli przecież to zrobić wczoraj, mogli to zrobić wcześniej rano, zamiast bawić się w tę maskaradę w garderobie i mizdrzyć do luster.

Ale na szczęście były to tylko nerwy. Zasady konstrukcji Sztucznych Pól Elektromagnetycznych do Odnowy Robotów, czyli SPEMDORO, mieli przecież dość dobrze opanowane, żeby umieć się obchodzić z robotami w laboratoriach. Uczyli się ich podczas pierwszego miesiąca podróży na „Rhei”. Wystarczyło więc ochłonąć nieco i wziąć się w garść, a podwyższenie natężenia pola do maksimum, wymontowanie z kabiny samoregulatora i przełączenie na zdalne kierowanie z salonu gier stało się zupełnie łatwe.

Gdy wreszcie mieli to za sobą, już odprężeni i na luzie zamontowali do monitora system wzierników, a monitor umieścili w salonie gier, który stał się ich bazą operacyjną.

Teraz pozostawało już tylko zająć miejsca w tej „bazie” i czekać. Cała aparatura powinna zostać uruchomiona automatycznie z chwilą przekroczenia progu domu przez pierwszego robota.

-206-

-207-

ROZDZIAŁ XX

M.

I ella i profesor Entere zjawili się z robocią automatyczną punktualnością; Mella wyprzedziła profesora przy furtce i wbiegła do domu pierwsza. Profesor włókł się raczej ociężale, chyba nie tylko dlatego, że niósł pod pachą jakieś opasłe tomiska; widać było z daleka, że jest w fatalnym stanie technicznym: idąc, powłóczył prawą nogą, aż przykro było patrzeć.

Zgodnie z oczekiwaniami, kontrolna telewizja włączyła się natychmiast i ukryci w suterenie młodzi zbiegowie mogli obserwować wszystkie ruchy robotów. Było zaskakujące, że zarówno Mella, jak i Entere nader niefrasobliwie podchodzili do instrukcji wywieszonych w hallu. Czyżby to wskazywało na jakieś uszkodzenie w układach? A może tylko na zbyt duże luzy wymagające kontroli i regulacji? Dlaczego takich robotów nie zatrzymuje się w bazie? Dlaczego nie odbiera się im aktów homologizacyjnych? I dlaczego, co najbardziej zdumiewające, zezwala im się na długotrwałe, męczący rejs na Ziemię? Czy nie należało poddać ich wpiętej ostremu przeglądowi? Z pewnością wymagała tego Mella. Jej zachowanie świadczyło niedwuznacznie, iż bardziej jej zależało na strojach i kosmetyce niż na wypełnianiu podstawowych obowiązków robota w zakresie higieny osobistej i sprawności technicznej.

Nie kwapiła się bynajmniej do nakazanych powinności. Najpierw otworzyła przyniesione ozdobne pudełko w różowym papierze i wyjęła z niego parę ślicznych, maleńkich, złotoczerwonych pantofelków-czółenek. Ustawiła je na stoliku, a potem uklękła naprzeciw i patrzyła na nie z zachwytem. Trwało to tak długo, że stało się wręcz nudne.

Wprawdzie potem, zgodnie z instrukcją, zrzuciła swój „indywidualizujący” strój cyrkowy i wzięła ogólny prysznic w szamponie dla robotów, nasmarowała się kremami i z grubsza oczyściła sobie pamięć w przesiewalni pudełkowej, ale zamiast rozebrać się na części, zdjęła oszczędnościowo tylko same stopy, wsadziła je do myjni bębnowej, a następnie do lakierni, skąd wyszły po chwili odświeżone, z nowym różowym, aksamitnym naskórkiem i lśniącymi karminowymi paznokciami. I okazało się, że wszystko to jest wstępem do przymierzenia tych nowych czółenek. Niestety, przymiarka wypadła fatalnie. Lewy pantofelek w żaden sposób nie dał się wbić na masywną nogę Melli. I wtedy Pani Adaptator zrobiła rzecz zgoła niesamowitą jak na obyczaje ziemskie Giga i Tyndzio patrzyli zaszokowani — po prostu bezceremonialnie ściągnęli skórę z dużego i małego palca u lewej nogi i podpiłowała je z przodu, u góry i na dole, potem to samo zrobiła z piętą, i wreszcie po kolejnej przymiarce z ulgą wbiła pantofel na dopasowaną nogę.

Nie da się zaprzeczyć, śledzenie poczynąń Melli było interesujące, ale jeszcze bardziej interesujące były poczynania profesora. Jak już zauważyli przedtem, był to robot w nader kiepskiej kondycji, chyba po prostu stary, wysłużony, zdezelowany i zaniedbany technicznie. Nie dość, że powłóczył nogą, że utykał żałośnie, to jeszcze za każdym ruchem jego wypracowane przeguby trzeszczały nieprzyjemnie, dolna żuchwa raz po raz opadała mu na dół z głośnym klapnięciem, z klatki piersiowej dochodziło chorobliwe rżenie, z głowy - przykre zgrzyty i szумы. Zapewne zaniedbał odkurzania i okresowego smarowania pamięci. Lecz, co było już zupełnie niezrozumiałe, mimo tych wszystkich dolegliwości i ogólnie fatalnego stanu, wbrew nakazom regulaminu nie rozebrał się na części i nie podjął czynności naprawczych z wyjątkiem wymiany prawej kończyny dolnej; z widocznym wysiłkiem, skrzypiąc przeraźliwie, odkręcił sobie nogę i przymocował zastępczą. Następnie całą swą uwagę poświęcił tej wymontowanej nodze. Wykąpał ją starannie w specjalnej wanience, a potem poddał masażowi i naświetlaniu jakąś lampą. Odnosiło się wrażenie, że poza tą nogą stan jego zdrowia nic go nie obchodzi. Gdy tylko w wyniku zabiegów powłoka imitująca skórę zwiotczała, profesor ściągnął ją ostrożnie i rozwiesił, aby przeschnęła nad elektrycznym kominkiem. Następnie z nogą w ręku wszedł do bawialni, zamknął pokój na klucz i zasłonił okna. Obraz kontrolny w monitorze gwałtownie ściemniał. Zdawało się, że z dalszych obserwacji nici, ale Tyndzio zaraz uspokoił Gige:

- Nie bój się, przewidziałem to. Przechodzę na odbiór gamma.

- Jesteś pewien, że się uda?

- Powinno się udać.

Istotnie, po włączeniu promieni gamma na ekranie pojawił się znów obraz. Patrzyli z zapiętym tchem. Profesor Entere manipulował chwilę w skupieniu przy kulistym przegubie kolanowym, a następnie już bez żadnych trudności wyjął go z preparowanej kończyny. Z kolei za pomocą długich, wąskich szczypiec zaczął wyciągać z „piszczeli” i z „kości udowej” kawałki jakiegoś szarego metalu. Musiał to być izotop promieniotwórczy, gdyż na ekranie monitora świecił jasnym blaskiem. Jednocześnie nad głową Giga i Tyndzia zaterkotał ostrzegawczo wykrywacz promieniowania. Promieniowanie oscylowało na granicy bezpieczeństwa, mimo to nie mogli oderwać oczu od obrazu.

- Popatrz, popatrz, w co on się bawi! - wykrztusił podniecony Tyndzio. - To mi wygląda na uran...

Giga przerażona zacisnęła dłoń na jego ręce.

- Cyngiel, przecież to wariat! Jeśli to jest izotop U 235, lada chwila wylecimy w powietrze...

Wystarczy, że masa osiągnie krytyczną wielkość... A ten drań wyjmuję i wyjmuję...

-208-

-209-

M4

-U... uspokój się - wyjąkał Tyndzio.-On... On by też wyleciał, nie sądzą, aby był tak głupi...

— To tylko robot!

— Ale profesor. Nie bój się, widać, że facet ma w tym wprawę. Wszystko wskazuje, że... że to jakieś przemyślane działanie... i że robi to nie pierwszy raz! Lepszy numer z tego Entere! Ty wiesz, co on robi... łobuz?...

— Szmugluje izotop z laboratorium Akademii?

-I jak pomysłowo! Kto by pomyślał, że wynosi go w nodze!

— Niesamowite. Czy to możliwe, żeby robot... Jest przecież zaprogramowany... Czy to możliwe, żeby wyłączył się z Programu?

— Tak... to wszystko jest dziwne — zamruczał przejęty Tyndzio. - Trudne do pojęcia, ale... Ale w końcu nie niemożliwe.

— Przecież Program przewiduje wszystko!

— Wszystko? — Tyndzio zaśmiał się. — Moja droga, nie bądź dzieckiem. Tajemnice Wszechświata są zbyt wielkie i nigdy nie będą zbadane do końca. Nawet najlepszy program nie jest w stanie przewidzieć wszystkiego. I w tym nasza nadzieja.

— W każdym razie na pewno przewidział uszkodzenia robotów, ich awarie.

— Owszem, zwykle uszkodzenie, zwykle zużycie, roboty nie są przecież, niezniszczalne, ich układy i podzespoły starzeją się, nawet najlepszy materiał ulega w końcu zmęczeniu i roboty po prostu się psują. To wszystko rzeczywiście można uwzględnić z góry i Program to uwzględnia, ale na roboty mają przecież wpływ także inne czynniki, nieprzewidziane przez konstruktorów.

— O jakich czynnikach myślisz?

— Na przykład jakieś zakłócenia w promieniowaniu kosmicznym albo na głębie zmiany natężenia pola magnetycznego, albo przelot meteoru... Jest mnóstwo rzeczy, których nie sposób przewidzieć... A te roboty wyższych kategorii to przecież niezwykle czułe i delikatne maszyny, łatwo może się im poplątnąć w głowie. Czasem nawet trudno mówić o awarii, może nastąpić drobna, nies\gnalizowana zmiana w jakimś mikroukładzie albo, co gorsza, kumulacja tych zmian i facet wyłamuje się z Programu.

— Sądysz, że to właśnie wystąpiło u profesora Entere?

— Jestem przekonany.

— Zaraz, Cyngiel, żebyś się nie zagalopował jak zwykle. To są przeci samonaprawiające się roboty.

I

— Tak, ale mikroukład samonaprawy też może ulec awarii. Może od tego właśnie zaczyna się ta „nieuleczalna choroba” robotów. Może od tego w ogóle zaczyna się cała sprawa.

- Są także okresowe przeglądy, roboty podlegają im przymusowo, wymienia się im uszkodzone części. Widzieliśmy ogłoszenia... Przy takiej technice wszystko można naprawić.

- Wątpię. Można naprawić tylko to, co zostało wpisane w pamięć robo-techników i tylko tak, jak zostało wpisane. Nieprzewidziane uszkodzenia od nieprzewidzianych czynników nie mogą być przez nich naprawione. Są bezradni. Pamiętaj, to jest jedynie kolonia kakurgijska zamieszkała przez roboty, a one potrafią tylko to, czego ich nauczono, i tylko to. Niezdolne są do wymyślenia czegoś nowego, nie mają pomysłów i dlatego mogą być stale zaskakiwane przez rzeczy nieprzewidziane Programem, bo nie są w stanie ich przewidzieć, a nie są w stanie ich przewidzieć, bo nie są w stanie ich sobie wyobrazić; nie są w stanie sobie niczego wyobrazić poza Programem i dlatego nie mogą poprawić Programu, nawet tam, gdzie jego luki są dla nas oczywiste. Może one to w końcu zrozumiały! Zrozumiały swoje zasadnicze ograniczenie jako robotów. Sądysz, że one mogły to zrozumieć?

- Chyba tak - odparła Giga. - W chwili, gdy zetknęły się z ludźmi i porównały sposób myślenia swój i ludzi, musiały wyodrębnić w myśleniu ludzki czynnik Pi, o którym mówił Tupałka...

- I połapać się, że tego im właśnie brakuje.

- To by wyjaśniało, dlaczego porywają ludzi.

- I dlaczego ich wsadzają do laboratoriów.

- Liczą na to, że ktoś, mając do dyspozycji ich wysoką, ale jałową technikę, posłuży się nią do wymyślenia czegoś nowego.

- Jeszcze wyższej techniki.
- Że załatwi im postęp!
- Rozwój!
- I ocali je! To stało się dla nich sprawą życia i śmierci, bo jeśli narażone są na różne niesygnalizowane uszkodzenia, i te uszkodzenia kumulują się, a one są bezradne, bo nie są twórcze, bo trzeba by nowych pomysłów, innych koncepcji, nowych odkryć i wynalazków...
- Kto nie idzie naprzód, cofa się - mruknął Tyndzio.
- Cofa się? Gorzej! Ten upada! - mówiła, coraz bardziej rozpalając się, Giga. — Myślę, że to jest tak, jak z jazdą na rowerze. Rower nie upada tylko wtedy, kiedy jedzie. Musi jechać, inaczej klops! Powiem więcej, taka wysoka, bardzo, bardzo rozwinięta cywilizacja psuje się znacznie łatwiej niż prymitywna i o wiele trudniej utrzymać w niej wszystko na chodzie.
- Zgoda - rzekł równie podniecony Tyndzio. - Czyli zgadzamy się, że te wszystkie drobne, czasem nawet niezauważalne uszkodzenia, albo powiedzmy lepiej „schorzenia”, obejmują coraz większą liczbę robotów i coraz większa ich część...
- 210-
- 211-

ii

- _ pracuje poza Programem - dokończyła Giga.
- _ właśnie.
- _ go im się coś popsulo w „mózgu”? I dlatego Entere szmugluje w nodze te piekielne izotopy?
- Tak, ale to nie znaczy, że facet jest stuknięty. O, nie, Entere to nie wariat! Obawiam się, że on dobrze wie, co robi.
- _ Robi bombę - orzekła ponuro Giga. - Ale po co?
- Założymy zamach. _ zamach? Na kogo?
- _ zamach stanu. Chce opanować całą tę bazę. _ Qn? Ledwie się trzyma na nogach.
- _ -jo co z tego? Starcy są bardzo chciwi władzy. Nie musi zresztą działać ani sarru aru osobiście, może należeć do jakiegoś spisku. _ Terrorystów? _ czemu nie? Może przygotowują dla nich broń. Może po prostu nią handlować.
- _ gntere — handlarz śmiercią?!
- _ To nawet ładnie brzmi.
- Czy me ponosi cię fantazja, Cyngiel?
- _ posłuchaj, czyż nie zgodziliśmy się, że coś się może psuć w tym komputerowym państwie? Roboty, które raz wyłamały się z Programu, mogą prowadzić własną poetykę, mało tego, one mogą także produkować własne roboty, od początku pozostające poza Programem. Takich niezależnych robotów może być już bardzo dużo, mógł się zawiązać ich spisek przeciw robotom uległym Programowi.
- _ Rewolucja robotów?... - zakpiła Giga.
- Chciała coś więcej powiedzieć, ale uwagę jej zwróciło dziwne zachowanie profesora.
- _ patrz, co on robi! - rzuciła nerwowo do Tyndzia.
- Istotnie, czcigodny Akademik nie przestawał dostarczać obserwatorom zcurniewających sensacji. Oto zaczął wydobywać z półek bibliotecznych w bibliotekach grube książki, które okazały się tylko doskonałymi imitacjami książek. W rzeczywistości był to rodzaj pudełek pustych w środku. Do każdej z tych „książek” pakował po trzy sztuki promieniotwórczego metalu, przekładając je warstwą materiału ochronnego. Następnie cały ładunek umieszczał w czterech spośród pięciu walizek podróżnych, przygotowanych do podróży na Ziemię- W końcu podszedł do lustra, przez chwilę manipulował sobie w okolicy ucha pod siwymi włosami i wyjął ostrożnie małą, płaską, połyskującą pastelowymi kolorami kasetkę. Zamiast niej włożył sobie kasetę o jaskrawych kolorach:

czerwonym, zielonym, niebieskim oraz czarnym i białym.

- Wymienił sobie pamięć - szepnął przejęty Tyndzio - na bardziej świeżą. Tamta była zbyt przeciążona.

— Albo zbyt akademicka do jego aktualnego zajęcia — zauważyła Giga. — Chodzi mu zapewne o pamięć bez zbędnych intelektualnych balastów, o chłonną, pojemną, otwartą na rzeczy praktyczne pamięć.

- No, tak, facet przeszedł do praktyki i może mieć pewne problemy...

- Cyngiel - przerwała mu nagle Giga. - Przyszła mi do głowy straszna myśl. Z tymi izotopami nie jest tak, jak myślałeś. On je zabiera w tych walizkach na Ziemię! - w jej oczach pojawiło się prawdziwe przerażenie.

- Może przekaże komuś przed wyjazdem albo po drodze na kosmodrom...

— Nie! On je przeszmugluje na Ziemię, mówię ci. Powiedziałeś, że on chce zdobyć władzę, tak, chce, ale na Ziemi. Powiedziałeś, że ten proceder z izotopami uprawia już od dłuższego czasu. Tak, na pewno jedzie na Ziemię nie pierwszy raz. Z pewnością montuje inwazję kosmiczną...

— Ależ, Giga...

— Uzbraja swoich agentów na Ziemi, to mogą być nie tylko roboty... to mogą być także pewni ludzie... Dla nich ta broń...

- Mówisz przerażające rzeczy, na szczęście to tylko twoje hipotezy.

- Być może hipotezy, ale cieszę się, że tym razem będzie miał pecha, staruszek, i nie polecą na Ziemię. Nie masz pojęcia, jak mi ulży, gdy on zostanie tu jako kupka złomu...

Tyndzio chrząknął zakłopotany.

- Czy jesteś pewien, że pole ELM nie zawiedzie? Czy nie wyłączy się przedwcześnie? — dopytywała przejęta. — Czy sprawdziłeś wszystko?

— Sprawdziłem, ale może nas czekać niespodzianka — mruknął Tyndzio. — Zobacz, on wcale nie zamierza leżakować w kabinie ELM. Położył się na kanapie w bawialni i wlewa w siebie jakąś ciecz! Facet ma gdzieś instrukcję! To robot zdeprawowany.

Giga z niedowierzaniem spojrzała w monitor. Tyndzio miał rację. Profesor Entere zamiast w kabinie rekreacyjnej leżakował wygodnie w bawialni, wstrzykując sobie do nosa i do uszu jakiś przyjemny specyfik z małego rozpylacza i wydając błogie pomruki.

— I co teraz zrobimy? — zapytał wyraźnie zdetonowany Tyndzio.

— Musisz go załatwić ręcznie — orzekła nieco zakłopotana Giga.

— Ależ, Giga, jak to sobie wyobrażasz? — jęknął wyraźnie przestraszony Tyndzio. — Czy ty wiesz, jakie silne są takie roboty? Mają po sto, po dwieście koni mechanicznych, często więcej niż samochody!...

- Rąbniesz go od razu w czuły punkt koło ucha i wysiądą mu mikroukłady ruchu... To stary, zdezelowany robot, ma wydłużony czas reakcji, zanim się zorientuje...

I

-212-

-213-

- No, nie wiem, Giga, on wymienił sobie pamięć, może to jest pamięć dzudoka albo karateki...

Nadzieję się na kontrę i ładnie będę wyglądał!

- No więc podejdź go jakimś fortelem. Udaj, że przynosisz mu pozdrowienia od Farfalli i zaatakuj go z bliska, gdy się nie będzie spodziewał...

- To... to potworne ryzyko, sama widziałeś, to nie jest zwykły robot-inte-ktualista. Jemu coś się poprzestawiało w głowie, nie można przewidzieć, co zrobi... Może zaatakować na sam mój widok! Wpaść w szal... Szalejący automat! Giga, zrozum...

- Musisz zaryzykować!

- Posłuchaj, sama mówiłaś, że nie mogłabyś patrzeć, jak zabijam robota młotkiem... Mówiłaś, że one są podobne do ludzi i że nie byłoby e... etycznie...

- Nie mam już żadnych skrupułów. Entere to wróg, zimny zbrodniarz, handlarz śmiercią, terrorysta! A ty... Cyngiel... Ciebie po prostu obleciał tchórz! -sapała Giga. - No, więc dobrze, ja sama go zaatakuję i obezwładnię.

-Tak? Niby jak?!

- Omotam go.

- Omotasz? Nie pleć głupstw!

- Nie znasz jeszcze wszystkich możliwości tutejszych wyrobów włókienniczych - powiedziała Giga i wyciągnęła ze swej torby małą paczuszkę z płaskimi, białawożółtymi guziczkami. - Czy przypominasz sobie podczas wyświetlania pamięci lwów ten obraz z dziećmi omotanymi niemi tak dokładnie, że wyglądały jak makabryczne kokony? No więc ja także potrafię robić takie kokony...

-Ty?

- To jest jedna z dwunastu właściwości tej przędzy, którą ci pokazywałam w laboratorium. Roboty laboratoryjne mnie wtajemniczyły. Te małe guziki na mojej dłoni to sąwczepniki samoprzędu. Jeśli zdejmę plastikową osłonkę guzika i rzucę go na jakieś ciało emanujące jakąkolwiek energię w minimalnym choćby stopniu, a robot jest takim ciałem, wtedy guzik od razu wczepi się w takie ciało i zacznie natychmiast wytwarzać oprzęd, tym szybciej, im większa dawka energii promieniuje z ciała. Robot typu profesora Entere powinien być owinięty oprzędem w ciągu kilkunastu sekund, a w ciągu następnych dwudziestu zamienić się w gruby, szczelny kokon. - Giga wstała z fotela. - Zrobię to zaraz. Jest akurat stosowna pora. On leży, zajęty szprycowaniem...

- Nie rób tego - Tyndzio zerwał się przestraszony. — Skąd wiesz, że to zadziała...

- Wypróbowałam w laboratorium.

- Możesz nie trafić.

- Rzucę całą garść wczepników z bliska.

-214-

— Nie, nie, Giga... tam może być piekielne promieniowanie, zapomniałaś o tych izotopach, zapomniałaś, że tam jest ciemno, że Entere ma nową pamięć, mógł włączyć także specjalne czujniki, nie zaskoczysz go... — chciał zagrozić drogę Gidze, ale ona już pchnęła zdecydowanie drzwi.

— Giga! — krzyknął. - Nie pozwolę ci. Zostań! Ja to zrobię sam.

Giga odwróciła się. Patrzyła z niedowierzaniem to na spoconego z emocji Tyndzia, to na ekran monitora. A potem powiedziała:

— Nie musisz już tego robić, zobacz. Entere przestał się szprycować i ruszył jednak do kabiny rekreacyjnej ELM.

— Bujasz! — Tyndzio wlepił oczy w ekran, a potem wydał głębokie westchnienie ulgi, że nie musi już być bohaterem. Profesor istotnie wszedł do kabiny i położył się na łożu obrotowym.

Wstrzymali oddech. Żeby tylko nie przyszło mu na myśl sprawdzić działanie regulatora napięcia! Nie! Nie domyślając się niczego, Entere włączył pole. Giga z niepokoju przygryzła palce do krwi. Czy Tyndzio niczego nie przeoczył, czy wszystko odbędzie się, jak przewidywali, czy aparatura nie spleta jakiegoś figła? Mogła być przecież równie zdezelowana jak sam pacjent...

Na razie operacja przebiegała bez zarzutu. Straszliwa siła coraz bardziej rozpędzała łoże. W pewnym momencie rozległ się przeraźliwy, rozdzierający krzyk Akademika, lecz nie trwał dłużej niż sekundę. Łoże wirowało jak szalone, nabierając szybkości. Wkrótce prędkość osiągnęła punkt krytyczny. Wszystko zatarło się w ruchu, zlewając się w jeden obły kształt wrzeczona. W dwie sekundy później dał się słyszeć złowrogi świst. Narastał szybko, wspinając się na coraz wyższe tony, aż wreszcie oślepiający błysk rozjaśnił na moment kabinę. A potem ucichło wszystko jak nożem uciął. Tylko łoże obracało się jeszcze przez jakiś czas bezszelestnie, a na nim bezwładny wrak profesora; niebieski dymek cienką, wijącą się smuzką wychodził mu z uszu.

- Entere, gdzie jesteś?! - rozległ się z domofonu głos Melli. Tyndzio i Giga drgnęli, przenosząc wzrok na drugi monitor.

Mella w swoich nowych pantofelkach biegła drobnymi kroczkami przez bawialnię Akademika, radosna i rozświegotana.

- Nie słyszysz? Hej, staruszkule, odezwij się! Mam dla ciebie ten neser,

o który prosiłeś... Swoją drogą, po co ci tyle walizek? Zmiłuj się. Kto to będzie dźwigał? Przecież ta twoja noga... Czy już ją wymieniłeś? Ostatnio jakoś nóg jest rzeczywiście fatalna, i jaki mały

wybór! Nie mogłam w ogóle dopasować do pantofli, wyobraź sobie! Czemu się nie odzywasz? Czy coś się stało?! O, Boże, ten zapach... - rzuciła się przestraszona w drzwi kabiny rekreacyjnej. Nie było ani chwili do stracenia. Tyndzio i Giga wyskoczyli z salonu gier i jak szaleni pognali na górę. Zdażyli dosłownie w ostatniej chwili, bo właśnie Mella z przejmującym krzykiem wybiegła z kabiny niefortunnego Akademika

-215-

i drobnymi kroczkami, czując się niezbyt pewnie w swoich nowych czółenkach, śpieszyła do hallu, gdzie zainstalowany był aparat alarmowy. I chyba dzięki tym niewygodnym pantofelkom Melli Giga i Tyndzio zdażyli. Tyndzio zagroził jej drogę pośrodku bawialni. Sposobem praktykowanym od wieku w starej budzie Kromera, ofiarnym susem podłożył się Melli pod nogi. Potknęła się, zachwiała, chwilę balansowała z trudem nad przeszkodą, zdawało się, że upadnie, lecz ona z akrobatyczną zręcznością utrzymała się na nogach, udowadniając, iż była naprawdę produktem wysokiej klasy. Lecz ta sekunda chwiejnego balansowania Melli wystarczyła Gidze, żeby skutecznie ją zaatakować. Jednym błyskawicznym ruchem cisnęła jej w plecy garść wczepników. Nieszczęśliwie prawie wszystkie trafiły na gładź srebrzystej folii, z której zrobiony był peniuar Melli, i odpadły; tylko dwa wylądowały na gołej skórze poniżej szyi, tuż na krawędzi dekoltu. Czujniki instruktorki natychmiast zorientowały się w niebezpieczeństwie i zlokalizowały obce ciała w plecach. Prerażona Mella próbowała dosięgnąć je i zerwać, ale udało się jej tylko z jednym wczepnikiem. Drugi zdołał już zbyt mocno przywrzeć do skóry. Oszałała ze strachu chciała biec do domofonu alarmowego, od którego dzieliło ją kilka kroków, lecz Tyndzio już zerwał się z podłogi i zaparł się w drzwiach do hallu. Rozwścieczona instruktorka natarła na niego z furią o mocy średniego mercedesa, kopiąc i boksując niemal w tempie obrotów silnika.

Chyba zostałaaby z chłopca krwawa miazga, gdyby w porę nie uskoczył w głąb hallu. Zdawało się, że partia jest przegrana. Mella przeskoczyła próg, jej ręce wydłużyły się zniecka jak węże i już, już dotykały aparatu, gdy nagle zastygły w powietrzu... Ciałem instruktorki wstrząsnął dreszcz. Była to zapewne reakcja organizmu na zaczynający się oprzęd. Istotnie, z wczepnika wysunęły się, już pierwsze cieniutkie i ruchliwe niteczki. Wiły się jak żywe i pelzły na wszystkie strony po plecach Melli, rosnąc w oczach i grubiejąc. Prerażona próbowała je rozpaczliwie zrywać, lecz nie mogła nadażyć za wszystkimi. Multiplikacja nabierała rozpędu. Elastyczne nici owijały krzyczącą Mellę dookoła i tężały. Miotła się w nich jak schwytna w sieć tygryska. Na próżno szarpała je, na próżno gryzła, dobywając ostatnich rezerw mocy - oprzęd gęstniał z każdą chwilą. Już coraz mniej było widać spoza białych nici. Nagle krzyk ustał - nici zakneblowały Melli usta. Nie mogła już także poruszać rękami i nogami. Wijąc się w bolesnym uścisku, po raz ostatni natężyła siły i napęczniała jak beczka, chcąc rozsadzić dławiące więzy, lecz wyglądało to tylko jak nadymanie balonu. Ostatnie ruchy zamaryły... Jeszcze chwila i gotowy, makabryczny kokon zwałił się na podłogę, a potem potoczył pod ścianę.

— Jesteśmy uratowani! — wykrzyknęła radośnie Giga.

— Najgorsze jeszcze przed nami — powiedział Tyndzio nieswoim głosem, wciąż pod wrażeniem niedawnych przeżyć.

-216-

- Nie wyobrażam sobie, żeby coś mogło być gorsze. Myślałam, że ona cię zatłucze... - Giga pośpiesznie wepchnęła do torby bilety, przepustki i papiery homologizacyjne Melli. - Czemu jeszcze sterczysz? - rzuciła do zdrętwiałego chłopca. — Biegnij się przebrać i zabierz dokumenty profesora. Słyszysz, co mówię! Przeżywać będziesz później, a teraz działaj! — popchnęła go w stronę apartamentów Entere.

Dziesięć minut później przebrani za Mellę i profesora przeglądali się po raz ostatni w lustrze w hallu.

- Jak ty wyglądasz! - Giga załamała ręce na widok Tyndzia. Popraw tę twarz! Wszystko przekrzywione! Naciągnij lepiej nos! O, Boże, z tej strony same fałdy i zmarszczki! Wyglądasz, jakbyś kurczył się ze strachu.

- Bo się faktycznie kurczę - warknął Tyndzio.

- Typowe! Zuch i bohater, a zaraz potem - flak! Cała para z ciebie uszła! Jak to się dzieje?

Tyndzio wzruszył ramionami. Nie ma sensu tłumaczyć tej gruboskórnej dziewczynie, że jest bohaterem tylko dlatego, że musi, a nie że lubi, że jest zbyt wrażliwy i że te przeżycia nie są na jego nerwy. W milczeniu naciągnął twarz i poprawił tupawkowate włosy nad uchem.

ROZDZIAŁ XXI

' ygodna podróż helikopterem na kosmodrom uspokoiła wrażliwe nerwy chłopca i rozluźniła go ogólnie. Nikt z nielicznych zresztą pasażerów nie zwracał na zbiegów uwagi. Wyglądali jak roboty, bez zarzutu i jak roboty byli traktowani. Tyndzio odzyskiwał więc stopniowo równowagę psychiczną, tym bardziej że Giga zdobyła się na cierpliwość i starała się go nie drażnić.

Statek „Rhea” czekał już na rześcicie oświetlonej płycie kosmodromu. Otaczał go ciasny kordon uzbrojonych robotów-strażników w paradnych mundurach marynarzy z pomponami przy czapkach. Czterech podobnie ubranych pilnowało furty kontrolnej. Dowodził nimi kapitan w trój graniastym, niebie-sko-złotym kapeluszu jak z epoki admirała Nelsona i z wielkimi, czerwono--złotymi epoletami.

- W imię Programu! - pozdrowili go Giga i Tyndzio, podchodząc śmiało do furty.

- Niech się spełni! - zasalutował kapitan.

-217-

Tyndzio i Giga okazali dokumenty. Serca niespokojnie dudniły im w piersiach. Ale ani przepustki, ani ich wygląd nie wzbudziły żadnych podejrzeń w kapitanie. Nie przyglądał im się zresztą zbytnio. Widocznie nie przyszło mu nawet do głowy, by ktoś mógł się podszyć pod tak znane osoby, jak Adaptator Mella czy Akademik Entere. Powiedział tylko:

— Statek odlatuje dopiero jutro o dziesiątej i ośmielam się zauważyć, że państwo mają jeszcze ponad dziesięć godzin czasu.

— Nie szkodzi — powiedział Tyndzio i zaczął się przepychać przez bramę, ciągnąc za sobą Gigę.

— Mamy coś do załatwienia na statku przed odlotem.

W imię Programu!

— Niech się spełni — wyprężył się kapitan, ale nie ustąpił z przejścia.

— Kapitanie, my chcemy przejść, proszę nie blokować — zagrział Tyndzio.

— Przepraszam, ale została nam jeszcze jedna maleńka formalność — uśmiechnął się kapitan i mrugnął okiem.

— Tę maleńką formalność załatwimy jutro. Dzisiaj nie mam czasu — rzekł z godnością Tyndzio. -

Muszę sprawdzić, czy wykonano zalecenia Akademii i ukrócono narkomanię robotów laboratoryjnych oraz czy dokonano adaptacji urządzeń adaptacyjnych do adaptowania adeptów.

Jasne?

— Nie-niezupełnie... - wyznał kapitan.

— Winien pan poddać się chemicznemu czyszczeniu układów pojęć.

— Miałem czyszczone wczoraj.

— Winien pan złożyć zażalenie na wadliwe wykonanie usług! Proszę nas puścić i kazać ordynansowi wnieść moją walizkę.

— Przykro mi, ale zgodnie z regulaminem muszę wpierw poddać państwa prześwietleniu i sprawdzeniu pamięci — oświadczył grzecznie, lecz stanowczo

kapitan.

Ładna perspektywa! Tyndzio spojrział na Gigę i dał do zrozumienia, że sytuacja przerasta jego możliwości, że się boi, że w gruncie rzeczy ma wszystkiego dosyć i że jest zbyt delikatny, by go stawiać wobec podobnych perspektyw! I że najwyższy czas, aby Giga przejęła inicjatywę.

Ale Giga syknęła mu tylko do ucha:

— Zapomniałeś o kopercie, bałwanie!

Faktycznie! Miał przecież kopertę z banknotami, którą Entere przygotował wraz z dokumentami i biletem. Czyżby kapitanowi o taki załącznik chodziło?

— Ja mam dobrą pamięć, kapitanie, zaraz pana przekonam - powiedział, wydobywając kopertę. — Pan zapomniał?

-Nie ma nic cenniejszego nad pamięć Akademika - odparł kapitan, wpatrując się w kopertę. - My, pracownicy furty, nie mamy tak dobrej pamięci.

-218-

— Ilekroć przechodzę przez tę furkę, pamiętam, co muszę robić, aby mnie pan zapamiętał - plół Tyndzio.

— Dziękuję panu. Nasza pamięć jest chronicznie przeciążona i poważnie podniszczona, co gorsza, trudna do naprawy, toteż panowie Akademicy lito-śnie ofiarowują nam specjalne recepty na poprawienie pamięci.

— Wiem o tym i przygotowałem dla pana nową, skuteczną, jak mniemam, receptę - rzekł Tyndzio, wręczając kapitanowi kopertę.

— Od razu czuję poprawę — odparł zadowolony kapitan, zerkając do wnętrza koperty. — Załatwiliśmy więc z pamięcią. Przekonał mnie pan, że mam dobrą pamięć, lecz pozostaje sprawa prześwietlenia, ale to zupełny drobiazg, pamiętam, że poddawał się pan prześwietleniu bez wahań, a nawet z przyjemnością. Promienie bardzo dobrze działają na Akademików.

Tyndzio czuł, że ziemia się pod nim rozstępuje. Drugiej koperty już nie miał. Na szczęście Giga przejęła inicjatywę.

— Późno już, prześwietlimy się jutro — powiedziała.

— Chciałbym państwu iść na rękę, ale przepisy... — rzekł kapitan. — Chyba że państwo zostawią przed bramą walizkę. Będzie to znaczyło, że państwo weszli na statek niejako pasażerowie, lecz lustratorzy.

— Zgoda — rzekła szybko Giga i nie zważając na opór Tyndzia, wepchnęła go na kosmodrom.

— Moja walizka! -jęknął. - Moje kotlety proteinowe, bułeczki polipepty-dowe! Nalewki glikokolowe, moje gluty glutaminowe, galaretki galalitowe! Sześćset wzorów i przepisów!

— Przestań biadolić — powiedziała Giga. — Najważniejsze, że nas puścili! Droga wolna! Wykpiliśmy się tanim kosztem!

— Tak, tanim kosztem — pojękiwał Tyndzio.

— Posłuchaj, Cyngiel. Niepotrzebnie się łamiesz. Nie wiadomo, czy takie sztuczne jedzenie byłoby zdrowe, to raz, a poza tym, czy potrafiłbyś dokonać syntezy w warunkach ziemskich? Skąd wziąłbyś takie laboratoria, kto by ci je zbudował?! Tej technologii nie posiadasz.

— Tak, łatwo ci mówić, bo masz wszystkie przepisy i półprodukty w tej torbie.

-1 co z tego? Mam przepisy w torbie i mam ten sam problem, jak produkować bez tutejszej techniki. Co one są warte bez tutejszych urządzeń, laboratoriów, maszyn. Nie zabiorę z sobą mojego laboratorium, nie opiszę go nawet, bo nie umiem, nie znam się na tym, nie mam pojęcia, jak sieje konstruuje.. Ale to nic — dodała po chwili, cicho, jakby do siebie. — Jedno jest ważne. Przywieźć i pokazać to na Ziemi. Niech wiedzą, że takie rzeczy są możliwe, że gdzieś są urządzenia, które to robią. Jak uwierzą, to się kiedyś nauczą sami je budować, najważniejsze, żeby wiedzieli, że to jest możliwe!

-219-

— Ty pokażesz, a ja... ja co pokażę? — bełkotał Tyndzio.

- Na pewno zapamiętałeś jakiś przepis - uśmiechnęła się Giga. - Na przykład na cufumi koloidalne.

- Przestań! — Tyndzio poczerwieniał ze złości.

— Nie bój się, mam coś dla ciebie na pocieszenie — wyciągnęła z torby plik złożonych we czworo papierów, mocno sfatygowanych i zatuszczonych.

Tyndzio znieruchomiał.

— Skąd to masz?

— Wypadło ci z kieszeni, jak rzuciłeś się pod Mellę. To przepis na proteidy smażone z cebulką, o ile się nie mylę.

- Dziękuję, stara - Tyndzio porwał łąpczywie papiery. - Jutro rano odzyskam resztę, wymyślę jakiś sposób.

- Oszalałeś?! Nie będziemy czekać do jutra. Nie uśmiecha mi się podróż w towarzystwie przemądrzałych automatów. Z łatwością by nas zdemaskowały. Polecimy sami.

- Jak... jak to sobie wyobrażasz?

- Po prostu porwiemy statek.

— Żartujesz — wykrztusił przerażony Tyndzio.

— Bynajmniej.

- A Mufi?

- Zmusimy go do posłuszeństwa, a jak się nie uda, odbierzemy mu pamięć i wyświetlimy ją. W pamięci Mufiego jest zapisana instrukcja pilotażu statku. Zresztą praktycznie chodzi tylko o nadanie sygnałów startowych, wiesz przecież, że tu jest pilot automatyczny. On uruchamia statek i steruje nim. Mufi tylko kontroluje.

— Lepiej od razu odebrać mu pamięć — zaproponował Tyndzio. — Najłatwiej podczas czynności konserwacyjnych. Z pewnością dokona tego rodzaju zabiegów przed odlotem. Trzeba tylko uchwycić moment, kiedy będzie rozebrany na części, a odbierzemy mu pamięć z łatwością.

— Można spróbować — zgodziła się Giga. — Kto wie, czy nie poddaje się tym zabiegom akurat teraz. Chodźmy!

Ruszyli więc ochoczo na poszukiwanie Mufiego. Niestety, okazało się, że był już po zabiegach konserwacyjnych. Odświeżony i odprężony siedział w kabinie centralnej nad szachami; gdy usłyszał kroki Gigi i Tyndzia, podniósł zdumione oczy znad szachownicy. Myśleli, że ich rozpoznał, ale było to zdumienie z powodu przedwczesnego pojawienia się pasażerów. Zerwał się na nogi i skłonił.

- Ekscelencja? Ekscelencja Entere i pani Adaptator Mella? Już tutaj? Czemu przypisać ten pośpiech?

— Mamy coś do załatwienia na statku przed odlotem — odparł Tyndzio. Siadaj, Mufi, i powiedz, nad czym się tak głowisz?

-220-

- To mały problem szachowy: jak dać mata białym w trzech posunięciach. A może państwo spróbują.

- Nie jesteśmy w tej grze tak mądrzy jak ty - rzekł skromnie Tyndzio.

- Ekscelencja żartuje.

- Mówię ci, mam słabszą pamięć.

- Pan? Akademik? Taki uczony?

- Uczonym to się często zdarza.

- Nie wierzę.

- Zamienmy się na chwilę pamięcią, to zobaczysz! W mojej pamięci nie przechowuję nawet pięciu ruchów szachowych.

- Niemożliwe - wybełkotał oszołomiony Mufi. — Ja potrafię zapamiętać całą partię od początku i przewidzieć siedem posunięć.

- Przesadziłeś chyba trochę, Mufi — drażnił się Tyndzio.

- Nie, ani trochę! — zaperzył się Mufi.

- Robisz nas w konia.

- To ekscelencja robi... przepraszam...

- Pokaż no swoją pamięć! -Co?

- Powiedziałem: zamienmy się pamięcią, zobaczysz wtedy, kto żartuje.

- Ależ, ekscelencjo...

- Bardzo się zdziwisz, Mufi. Nie chcesz?

- Pro... proszę bardzo - skołowany Mufi wyjął sobie wkładkę z pamięcią. Tyndzio pochwycił ją i schował do kieszeni, ale zaraz potem dla pewności szybko przekazał Gidze, która wrzuciła ją do torebki.

- A pan, ekscelencjo? - Mufi spojrzał zaskoczony na Tyndzia. - To miała być przecież zamiana. Proszę sobie wyjąć pamięć, profesorze.

- Nie potrafię - odparł Tyndzio.

- Co takiego?

- Może ty mi pomożesz, Mufi — Tyndzio nadstawił głowę.

Mufi, zaskoczony, przez chwilę przebierał nerwowo swymi gorylimi palcami w powietrzu, a potem ostrożnie, z widocznym szacunkiem, sięgnął do łysej głowy „akademika”. Przez chwilę gmerał w

peruce, poszukując ukrytych zatrząsków kasetki pamięci, wreszcie zdziwiony, że ich nie znajduje, ściągnął całą perukę i osłupiał na dobre.

- No, śmiało, Mufi, szukaj dalej! - śmiał się Tyndzio. Skołowany Mufi wydał nieartykułowany dźwięk.

- Ekscelencja stroi sobie ze mnie jakieś żarty... To nie przystoi ekscelencji. Proszę mi oddać moją pamięć! — wybełkotał żałośnie. — Bez pamięci nic nie potrafię, nic nie umiem, proszę mi oddać moją pamięć! Ekscelencja nie oszukał mnie chyba?

-221-

- Spokojnie, przyjacielu - rzekł zakłopotany Tyndzio. - Istotnie, żartowaliśmy trochę, ale zaraz wszystko zrozumiesz - to mówiąc, ściągnął maskę z twarzy. - Poznajesz mnie?

Mufi przyglądał mu się zaintrygowany, lecz nie poznawał. I Tyndzio zrozumiał od razu dlaczego. Miał przecież wyjętą pamięć.

- Przypatrz się dobrze! - zachęcał Tyndzio. Mufi wciąż nie poznawał. Wykrztusił tylko:

- Pan nie jest Akademikiem, a ta pani nie jest pewnie panią Adaptator. Kim jesteście?

- Jesteśmy ludźmi.

- Nie pamiętam, kim są ludzie - wyznał Mufi - lecz czuję, że nie jesteście nami. Czemu zabraliście mi pamięć?

- Chcemy ją wyświecić, Mufi.

- Po co? Nie mam żadnych tajemnic, nie zrobiłem nic złego, żyłem zgodnie z Programem.

- Ach, więc j ednak pamiętasz o Programie!

-Na wypadek awarii wyposażono mnie w pamięć zastępczą, lecz jest ona nader ograniczona.

- Powiedz mi prawdę - włączyła się Giga. - Może zechce pomóc nam dobrowolnie.

- Zamierzamy uprowadzić statek - rzekł Tyndzio. - Ale bez zbędnego szumu, bez awarii i bez komplikacji, żeby się nikt nie połapał, że statek został porwany. Potrzebna więc nam jest instrukcja, jak nadać sygnały startu, żeby nas puścili z kosmodromu, i jak włączyć automatycznego pilota. Przerażony Mufi chciał wstać, ale zatoczył się i upadł. Prawdopodobnie nie mógł chodzić bez zainstalowanej pamięci.

- Więc jestem w rękach terrorystów, czy dobrze zrozumiałem? - wymamrotał, leżąc bezradnie na podłodze.

- Możesz tak to określić - wzruszył ramionami Tyndzio - ale nie bój się, jeśli nie będziesz nam szkodził, a przeciwnie, pomożesz, dostaniesz wszystko, co lubią roboty.

- Nie pamiętam, co lubią roboty - wyjąkał słabnącym głosem Mufi - lecz zawrzyjmy umowę: wy zwróćcie mi pamięć, a ja będę waszym posłusznym pilotem, polecę, dokąd tylko chcecie, choćby zaraz, bez względu na rozkład lotów...

- Co to?! - krzyknęła nagle Giga. - Patrz, Cyngiel! Patrz!

Na tablicy kontrolnej pojawiły się żółte i zielone światła. Jednocześnie Mufi podniósł się ciężko z podłogi i siadł, jakby odzyskiwał sprawność ruchów.

- Czy ktoś jeszcze jest na pokładzie? Odpowiadaj, Mufi - zapytał ostro Tyndzio.

-222-

- Tylko roboty laboratoryjne. Ale są jeszcze uśpione.

- To kto włączył te światła?! Co one znaczą?

- Nie wiem - odparł Mufi zbolalym głosem. - Jestem tylko pilotem. Polecę, dokąd zechcecie, ale oddajcie mi pamięć! Jestem tylko pilotem, jest dużo rzeczy, których nie znam. Dużo tajemnic, do których nie jestem dopuszczony. Polecę z wami, dokąd chcecie, tylko oddajcie mi pamięć — powtarzał w kółko z natarczywością automatu.

Tyndzio i Giga wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Jaką mamy gwarancję, że nie kłamiesz, że nie oszukujesz nas? — zapytała Giga.

- Możecie mi wyjąć wkładkę programową. Podam wam numer mojej karty homologacyjnej. Naciskając pod tym numerem zielony guzik w kartotece pokładowej, zwolnicie zacisk mocujący wkładkę w mojej głowie, z chwilą wyjęcia tej wkładki zostaną czasowo wyłączony z Programu.

- Co to znaczy „czasowo”?

- Najwyżej na jeden miesiąc.

- A potem?
- Potem, jeśli mi nie włączycie z powrotem tej wkładki, przestanę istnieć -eksploduję.
- To rzeczywiście przykre, ale chyba wyjmemy ci tę wkładkę, Mufi.
- Tak, dla pewności — powiedział Tyndzio. — Podaj ten numer, stary. Mufi podał numer karty homologizacyjnej, a Tyndzio podbiegł do kartoteki pokładowej i nacisnął zielony guzik pod podanym numerem.
- W porządku, Mufi - wysapał zadyszany.
- No to proszę mi teraz wymontować wkładkę - rzekł Mufi.
- Sam sobie wymontuj!
- To niemożliwe. Mogą tylko Akademicy, oni mają Aszu.
- Co to jest Aszu?
- Taki mały, błyszczący krążek z wypustkami. Kto go ma, ten może...

Goryl spojrział na Tyndzia zgorzony. Podniósł łeb do góry i oznajmił uroczystym głosem:

- Aszu jest groźne i święte. Aszu jest potężne. Aszu może... — zająknął się nagle.
- Co może? - zapytał zaintrygowany Cyngiel.

Ale Mufi nie odpowiedział. Jego ciałem wstrząsnęły dreszcze, zeszytywniał, sierść zjeżyła mu się dziwnie, to w jednym, to w drugim oku zaczęły się pojawiać czerwone błyski.

- Zna-la-złem się w po-lu za-ka-za-nym - recytował zdławionym głosem -nie wol-no mi nic wię-cej mó-wić... Zna-la-złem się w po-lu za-ka-za-nym...

!223-

Giga i Tyndzio spojrzeli na siebie. Takie same objawy, jak wtedy na statku. Aszu to chyba instrument o dużych możliwościach, przewyższający zakresem swego działania poskramiacz... Zapewne zastrzeżony dla władzy, skoro budzi taki respekt u Mufiego i znajduje się w strefie zakazanej.

Poczekali, aż Mufi wróci do siebie, a potem Giga zapytała:

— Jak możemy ci wyjąć wkładkę, skoro nie mamy tego Aszu?

— Jesteście ludźmi — odparł goryl wciąż jeszcze zdławionym głosem. — Ludzie mogą wymontować mi wkładkę, posługując się swoją bioenergią.

— Co ty pleciesz, Mufi? — rzekł Cyngiel.

— Tak mnie uczono. Proszę spróbować, przekona się pan. Wkładka jest już odblokowana, powinno panu pójść łatwo.

Tyndzio nie bardzo wiedział, jak ma użyć swojej bioenergii do tego zabiegu i spojrział pytająco na Gigę.

— Trzeba się skoncentrować - powiedziała. — Może wystarczy po prostu bardzo chcieć. Daj, ja spróbuję — zaofiarowała się.

W głowie Mufiego, obok szerokiej szpary pozostałej po wyjęciu kasety pamięci, tkwiła zielonkawa wkładka grubości nie większej od żyłki. Giga nacisnęła ją ostrożnie palcem. „Muszę to zrobić i potrafię, muszę i potrafię... -powtarzała w myśli. Płytką ugięła się lekko, rozległ się przyjemny dźwięk, jakby srebrnych dzwoneczków. Giga cofnęła palec z sykiem. Tysiąc drobnych igiełek przeszło jej ciało aż do kości! Rozzłoszczona, energicznie dwoma palcami wyszarpnęła wkładkę. Poszło zdumiewająco łatwo. Wrzuciła ją do swojej torby i oblizała bolący palec.

— Moja pamięć —jęknął Mufi.

— Zaraz, sprawdzimy cię przedtem — powiedziała Giga, ssąc palec.

— Jak chcesz go sprawdzić? - zapytał Tyndzio.

— Niech powie coś przeciw Programowi. Jeśli potrafi powiedzieć, to znaczy, że jest czasowo wyłączony.

Tyndzio nie zastanawiał się wiele.

— Powiedz, Mufi: „Precz z Programem!”

— Precz z Programem! - ryknął Mufi.

— Doskonale. Powiedz: „Nie będę mu służył. Oby się nigdy nie spełnił”.

— Nie będę mu służył, oby się nigdy nie spełnił! — ryczał Mufi bez najmniejszego skrepowania.

— On chyba jest rzeczywiście wyłączony — rzekł Tyndzio.

— Tak, wyłączony dokładnie. Oddam mu pamięć - Giga umieściła kasetę w głowie goryla.

— Pan Cyngiel i panna Giga! - wykrzyknął od razu uradowany Mufi. - Jakże przyjemnie znów państwu służyć.

-224-

ROZDZIAŁ XXII

Leżeli w fotelach kosmicznych i czekali na start. To było straszne oczekiwanie. Do końca nie byli niczego pewni. Raz po raz uderzała w nich fala koszmarnego strachu. Najgorsze, że to trwało. Minuty upływały za minutami, a start nie następował i nie wiedzieli dlaczego. To mogło każdego wykończyć.

— Mufi, jak długo jeszcze? Rób coś, Mufi! — Tyndzio chciał ostro przynaglić goryla, ale ze ściśniętego gardła wydobył tylko anemiczny skrzek.

— Wciąż nie mam przyzwolenia — zachrypiał głos Mufiego z ekranu naprzeciw nich. — Kiedy będzie przyzwolenie, sami państwo zobaczą, bo zapalą się zielone światła na tablicy kontrolnej w kabinie.

- Nie podoba mi się ta zwłoka, Mufi - rzekł Tyndzio.

- Proszę zachować spokój. Czasem czeka się i godzinę. W nocy ci z wieży są za bardzo na luzie. Szprycują się.

- Fenol?

— Czasem nawet nitrogliceryna. Poprzednią ekipę skazano na odebranie pamięci i zesłano do obozu deptaczy złomu.

Tyndzio opadł z powrotem na fotel. Czy można wierzyć Mufiemu? Czy zwłoka rzeczywiście wynika z narkomanii robotów? A może wydało się wszystko? A może Mufi zdradził i za chwilę wpadną tu strażnicy?

Tyndzio wytarł spocone czoło. „Spokojnie - starał się uciszyć obawy. - To wszystko tylko nerwy, tylko nerwy”. Wszystko było przecież załatwione o'key, jak mówił Mufi. Każdy statek miał prawo przed odlotem dokonać próby startu i sprawności w locie. Prawie wszystkie statki korzystały z tego prawa, odrywały się od płyty i jak helikoptery wisały godzinami nieruchomo w powietrzu nad kosmodromem, a w tym czasie piloci i mechanicy kontrolowali diagramy drgań i inne zapisy, a także sprawdzali pracę urządzeń pokładowych w ruchu. Mufi miał właśnie wykorzystać takie zezwolenie na start próbny, oderwać się od płyty, lecz zamiast zawisnąć kilka metrów nad kosmodromem, natychmiast po odblokowaniu rozruszników nabrać prędkości i czmychnąć. Rzecz wydawała się prosta, a jednak dławiący niepokój powracał. Wciąż nie był pewny, czy w ostatniej chwili nie wydarzy się coś nieprzewidzianego, czy nie zastawiono na nich nowej pułapki. Raz po raz z niepokoskromionym lękiem spoglądał w luk widokowy, czy nie pojawią się tam zaalarmowani strażnicy...

Nagle w wieży kontrolnej zgasły światła. Czyżby coś się zaczynało dziać?

- Giga, widziałaś? - szarpnęła rękę Gigi, ale ona leżała wciąż nieruchomo, jakby pograżona w drzemce.

-225-

Światła wieży kontrolnej zapaliły się powtórnie, lecz nie świeciły już normalnie, drgały, przygasały i rozbłyskiwały chaotycznie.

Giga przetarła oczy i gapiła się apatycznie. Wyglądało, jakby było jej już wszystko jedno.

- Weź się w garść - powiedział Tyndzio. - Nie odwalaj kryzysów nerwowych. Naprawdę to nie miejsce na to... - urwał, bo z wieży kontrolnej wybiegły spieszenie, jakby w popłochu, trzy postacie w czarnych strojach robotekm-ków. I zaraz się wyjaśniło dlaczego. W następnej chwili okna wieży rozbłysły przeraźliwie jaskrawym światłem, budynek uniósł się na chwilę w powietrze, jakby chciał wystartować w kosmos, a potem z ogłuszającym hukiem runął i okrył się kłębamii dymu.

- Co się stało, Mufi?

- Nic nie rozumiem. Wypadek? Sabotaż? Zamach? - wybełkotał goryl. Na tablicy naprzeciw foteli Gigi i Tyndzia zamrugały zielone lampki. Czyżby odblokowanie rozruszników?

- Mufi - zawołał Tyndzio - na co jeszcze czekasz! Odliczaj, łotrze!

Odpowiedział mu nieartykułowany bełkot goryla. Mufi wydawał się kompletnie zaskoczony sytuacją. Lecz wyraźny rozkaz uporządkował jego zakłócone układy i po chwili zabrał się do odliczania coraz pewniejszym głosem, a Tyndzio wtórował mu podniecony: trzy... dwa... j eden. Czy ruszą? Tak. Nie było żadnych kłopotów. Bez huku, bez płomieni, bez pióropuszy spalin, bez całej tej scenerii typowej dla rakiet ziemskich. „Rhea” wystartowała w noc kosmiczną cicho i pewnie jak nietoperz.

Od czasu opuszczenia Ziemi Tyndzio poczuł po raz pierwszy zupełne odprężenie. Może cokolwiek przedwcześnie. Do Ziemi było daleko, różne rzeczy mogły się jeszcze wydarzyć w podróży; przede wszystkim należało się liczyć z możliwością pościgu, ale, dziwnie jakoś, on zawsze taki nieufny, przesta! o tym myśleć. Ogarnęła go euforia. Może dlatego, że już za długo się bał i jego wyczerpane do ostateczności nerwy potrzebowały za wszelką cenę zapomnienia i odprężenia.

- Mufi! - zawołał.

- Słucham pana.

- Jestem głodny jak derwisz po Ramadanie i pragnę wyprawić ucztę -Tyndzio oblizał spieczone wargi. - Przyjdź tu zaraz!

Mufi zjawił się bezzwłocznie w czapce kucharskiej i białym fartuchu, co jeszcze bardziej pobudziło apetyt Tyndzia.

- Państwo życzą sobie?... - skłonił się i nadstawił czarne ucho.

- Zaczynaj - Tyndzio, mimo że wygłodzony, nie zapomniał o kurtuazji względem towarzyszkii. - Na co masz apetyt, Giga?

- Co mówisz? - Giga jakby oprzytomniała dopiero z letargu.

- Mufi da nam coś na ząb. Możesz zamówić wszystko.

- Nie mam specjalnie apetytu...

- Nie zawracaj głowy! Musisz coś wciąć!

- No to poproszę dużo, jak najwięcej soczystych owoców i... - spojrzała dziwnie na Tyndzia - i cufumi koloidalne.

- Giga, ty uwielbiasz drażnić się ze mną...

- Ale skądże, bez kompleksów, Cyngiel, cufumi było naprawdę wyśmienite i prawdopodobnie najzdrowsze. Żeby tylko Mufi dorównał ci w sztuce!

- Pociuszające, że wrócił ci przynajmniej humor - rzekł ponuro Tyndzio.

- Mylisz się, jestem w fatalnym humorze.

- Depresja z powodu braku protein - orzekł Tyndzio. - Zaraz na to znajdziemy radę.

Obrócił się do Mufiego i podyktował mu całą listę potraw z syntetycznych protein i polipeptydów, tudzież bukiety jarzynopodobne z fabrycznych glukozydów, glukozy i glikogenu.

Goryl wrócił niebawem z zamówionym menu. Mimo apetycznego wyglądu pieczeni z rusztu, szaszłyków na rożnach, kotletów, sznycli, jarzyn i przystawek, Giga zadowolili się swoim cufumi i owocami.

- Nie bądźże śmieszna - zdenerwował się Tyndzio. - Zjedz cokolwiek z mojej tacy! Zareczam ci, że białko w kotlecie jest tak samo zdrowe jak naturalne szaszłyki syntetyczne z rożna są nawet lżej strawne niż oryginalna baranina. Robiłem próby w laboratorium...

- Nie, Cyngiel, nie mam ochoty. Ja... ja naprawdę źle się czuję. Po prostu... po prostu chce mi się płakać.

- Płakać?! - Tyndzio zastygł z widelcem nad półmiskiem. — Ależ, Giga! Tobie chyba na dobre szajba odbiła, dziewczyno! Nie zdajesz sobie sprawy, jakie mieliśmy szczęście! Odzyskać wolność, wracać na Ziemię, do ludzi, ujść cało z takich pułapek!...

- Zapomniałeś, że nie wracamy w komplecie. -Co?!

- Mówię, że tak bardzo cieszyć się nie ma w końcu z czego. Do końca życia będzie mnie prześladować myśl o Leszku...

Tyndzio z brzękiem rzucił rożen na stół.

- Już ci sto razy mówiłem, że nie ma w tym naszej winy.

- Nie jestem przekonana, a gdyby nawet...

- Posłuchaj, za wszystko płaci się jakąś cenę. Śmierć na wyprawach odkrywczych nie jest niczym szczególnym. Magellan został zabity na Filipinach, Cook na wyspach Sandwich, Scott zamarł na Antarktydzie, Amundsen zginął w Arktyce, a ilu zginęło w Himalajach?... To jest haracz, jaki się płaci za odkrycia, nawet za małe odkrycia na Ziemi, a nasze zdobycie jest wielkie, więk-

-226-

-227!-

sze niż odkrycie Ameryki, niż zdobycie Everestu, niż wylądowanie na Księżycu — zapalał się chępliwie. — Tego z niczym nie można porównać. Coś podobnego było tylko w książkach i filmach, a myśmy przeżyli naprawdę... - urwał nagle i zamarł, bo gdzieś niedaleko rozległ się śmiech. Zupełnie jakby ktoś trzeci był w kabinie... głośny, szyderczy śmiech. Giga zerwała się z fotela, rozsypując owoce.

- Słyszałeś? Co to? Śmiech zabrzmiał ponownie.

- Znajomy głos! O, Boże!

- Nie poznajecie mnie? — powiedział ktoś niewidoczny.

- To głos Datsuna - wybełkotał Tyndzio.

- On tutaj jest?!

- Ale gdzie?

- Po prostu tutaj - odpowiedział głos.

Obrócili się nerwowo. Datsun stał przed nimi. Wyszedł z niewidocznych drzwi tak dobrze ukrytych w boazerii kabiny, że ich istnienia nawet nie podejrzewali. Wyglądało, jakby wyszedł ze ściany. Ten sam, a jednak odmienny. Tym razem miał na sobie pasiasty kostium atlety z końca zeszłego wieku.

- Witam znów na pokładzie — rzekł ironicznie.

- Jakim cudem pan tutaj — wykrztusiła Giga — przecież wtedy... Wtedy...

- Myślałem, że pan... że pan już... - bełkotał Tyndzio.

- Że nie istnieję? - Datsun ponownie zaśmiał się złowrogo. - Że poszedłem na złom? O, nie, przyjaciele, za wcześniej chcieliście mnie pogrzebać. Ze mną nie tak łatwo — uniósł do góry pięści i naprężył się jak kulturysta, ukazując potężne mięśnie. - Jak widzicie, jestem znów na chodzie!

Naprawiony, odnowiony, odświeżony, zmo-der-ni-zo-wa-ny! Zdolny do nowych, odpowiedzialnych zadań w służbie Programu. A ty, nędzny wymoczek, chciałeś mnie przerobić na cukier? - potrząsnął przerażonym Cynglem. — Nigdy ci tego nie daruję. Długo czekałem na tę chwilę, ale wreszcie czas nadszedł. Rozliczymy się, przyjaciele. Ale przedtem czeka was niespodzianka! — klasnął w ręce.

Na ten znak do kabiny wbiegł młody człowiek w obcisłym żółto-czerwo-nym, błyszczącym kostiumie i hełmie ochronnym z dużymi okularami na głowie, jakby wprost z zawodów motorowych czy samochodowych Formuły jeden.

- Oto wasz kolega, Leszek Kit, zwany Buble - rzekł Datsun. - Zdejmij okulary i hełm, chłopcze.

- Leszek?! - Giga podbiegła uszczęśliwiona, a Tyndzio cofnął się odruchowo.

- Cześć, stara! Jak tam, Cyngiel?! Mizernie wyglądasz, bracie — zagaił wesoło Leszek.

- Nie, to zupełny obłęd! - Giga rzuciła się na szyję Leszka. - Więc ty żyjesz, Bube!

— Oczywiście.

- Gdzie byłeś, co robiłeś przez ten czas?

- Uczyłem się w Akademii.

- Leszek nauczył się tam wielu zdumiewających rzeczy - uśmiechnął się krzywo Datsun. - Pokaż im sztukę, Leszek!

Leszek porwał ze stołu szklankę i jabłko, ścisnął je w dłoni i w dwie sekundy wygniół z niego pół szklanki soku. W rękę została mu tylko skórka i pestki. Podał z uśmiechem sok oniemiałej Gidze, a następnie uderzył kantem dłoni w stół i rozłupał go na dwie części. Talerze, półmiski, sztućce — wszystko wylądowało na podłodze. Giga i Tyndzio cofnęły się wystraszeni. Tymczasem Leszek podniósł z podłogi największy nóż i wbił sobie z zamachem w piersi aż po rękojęść — okrzyk zgrozy zamarł Gidze na ustach, bo Leszek jak gdyby nigdy nic wyciągnął sobie nóż z rany i pokazał jej z uśmiechem. Na nożu nie było ani kropli krwi.

— Zabawne, co? — powiedział, kpiąc wyraźnie z kolegów.

Dopał do palmy doniczkowej stojącej na górnej półce żardyniery. Dmuchnął na nią. Palma stanęła w płomieniach. Stracił ją z półki, a sam jednym susem wskoczył na szczyt żardyniery, otworzył usta jak do śpiewu, lecz zamiast ludzkiego głosu z jego ust popłynęły dźwięczne odgłosy trąbki, a potem grubych tub i puzonów. Na koniec fiknął w powietrzu koziołka, zeskoczył na podłogę i skłonił się jak artysta po występie.

— Dobry z niego iluzjonista, prawda? Może występować w cyrku — zaśmiał się Datsun.

Tyndzio i Giga cofnęli się jeszcze o krok, wpatrzeni uważnie w Leszka.

- Cóż to, nie ma braw dla artysty? - zapytał szyderczo Datsun. - Nie podobał się występ?

— To nie jest Leszek! — wysapał wzburzony Tyndzio.

— Jak to nie?! To wasz stary kolega, Leszek Kit, zwany Buble, obecnie adept sztuki cyrkowej, iluzjonista.

- Nie, to robot! — oświadczyła stanowczo Giga. — Pan kłamie!

— Co to wszystko ma znaczyć? — Tyndzio zdobył się na odwagę i doskoczył do Datsuna z różnym w rękę. — To jakieś niesmaczne dowcipy, ale nie damy się robić w konia!

— Jak śmieliście zrobić robota w kształcie Leszka? — oburzyła się Giga.

- Nie zaprzeczycie, że jest lepszy niż oryginał - odparł Datsun. - Wasz Leszek, co tu dużo mówić, był przygłupem. Sami przezwaliście go Buble.

-Nie pana rzecz! - krzyknął Tyndzio. - Gdzie jest prawdziwy Leszek? Co się z nim dzieje? Niech pan mówi albo...

-228-

-229-

- Mamma mia, znów ten rożen -jęknął teatralnie Datsun. - Niepotrzebnie się rzucasz, Cyngiel, i tak bym wam powiedział. Chciałem tylko trochę z wami pozartować, ale skoro nie znacie się na żartach... mogę wam powiedzieć od razu. Ten cymbał Kit nie żyje. Był niegrzeczny i musieliśmy go zlikwidować...

- Czyżby? - rozległ się nagle czyjś silny, dźwięczny głos. W drzwiach stanęła postać w czarnym stroju robotechnika.

- Widzę, Datsun, że próbujesz tu odstawić swój cyrk, ale szczęściem przybyłem na czas.

- Kto to?! Jak śmiesz się wtrącać, czarnopalcy! - warknął Datsun. - Wracaj do warsztatów, rozkazuję ci.

- Pomyłka, Datsun, nie możesz mi rozkazywać. Nie jestem robotem!

- To jest prawdziwy Leszek, szefie - powiedział Leszek-robot.

- Leszek? - Giga wciąż bała się uwierzyć, by nie przeżyć nowego rozczarowania. — Powiedz, jakim cudem...

- Zaraz, Giga - przerwał jej - pozwól, że skończę z nimi.

Datsun w posępnym milczeniu patrzył na niego, jakby to, co się stało, przekraczało skalę pojęć dostępną robotom pierwszej kategorii. W końcu jednak doszedł widać do wniosku, że pojawienie się żywego Buble nie jest zgodne z Programem, bo krzyknął do Leszka-roboty, wskazując na intruza:

- Bierz go! — a sam sięgnął po poskramiacz. Giga i Tyndzio zdrętwieli.

- Kryj się, Leszek! — przewyciężając strach, Giga zasłoniła Buble, ale on odsunął ją na bok.

W jego rękę ukazał się błyszczący krążek. Giga i Tyndzio patrzyli zaskoczeni. Czyżby to było A s z u?

Uniesiona do góry pięść Leszka-roboty zawisła nieruchomo w powietrzu, a potem zaczęła opadać powoli, jakby paraliżowana potężną, przemożną siłą. Jednocześnie rozległ się głuchy stukot. To z ręki Datsuna wyleciał poskramiacz i potoczył się po podłodze do nóg Tyndzia.

- Łap! — krzyknęła Giga.

Tyndzio chwycił poskramiacz, ale ta broń już nie była potrzebna. Leszek za pomocą Aszu panował w pełni nad obu robotami.

- Widziałem twoje popisy, bracie — zwrócił się do Leszka-roboty. - Robisz wspaniałe sztuki i

napęd masz nielichy, ale jeśli masz być moją kopią, to sporo jeszcze trzeba w tobie poprawić, biedaku. Masz zbyt nieruchomą, tępą twarz. Poruszasz się za sztywno, a przy tym coś cię szarpie, jak chodzisz, i podrygujesz za każdym krokiem. Przespaceruj no się do ściany i z powrotem! Pomału, jak najwolniej! Zaraz sprawdzimy jeszcze raz!

Robot przeszedł wolnym krokiem dystans wskazany przez Bublę, niczym model na pokazie mody.
-230-

— No tak, zgadza się. A do tego masz piszczące przeguby. Rozbierz się teraz na części i zobacz, co cię tak szarpie i co piszczy! Najlepiej połów się na stole, żebyś sobie czego nie zgubił!

Leszek-robot ruszył do rozłupanego stołu i chciał się na nim położyć.

— Nie na tym, matole! - zawrócił go Leszek. — Na bilardowym, tam w kącie! Na zielonym suknie będzie ci wygodniej.

Leszek-robot posłusznie zawrócił i położył się na stole bilardowym, a potem zaczął zdejmować sobie nogi...

— Buble, co z nim zrobisz? — zainteresował się Tyndzio.

— Nie wiem jeszcze. Chyba zostawię go Mufiemu do pomocy...

— Nie bądź frajer - powiedział Tyndzio. — Zabierz go na Ziemię. Przyda ci się taki sobowtór.

— Przecież podobno już mam tam jednego.

— Nie wiadomo, czy masz, skoro ten jest tutaj. A najwyżej będziesz miał dwa. Wyobrażasz sobie, jakie to da ci możliwości?

— Tak, masz rację, stary, co dwa sobowtóry to nie jeden. Gorsza sprawa z Datsunem. Trzeba cię chyba będzie zlikwidować, stary. Jesteś źle zaprogramowany... — zwrócił się do Datsuna, który w kącie przeżył mięśnie w bezsilnej wściekłości.

— Nie, nie... Niech pan tego nie robi! — jęknął Datsun. — To będzie wbrew Programowi! Jestem sługą Programu, wszyscy mu podlegają, pan też. Nie wywinie się pan z niego. Nikomu się to dotąd nie udało.

— Przestań bredzić!

— Pan mi zamyka usta. Pan się boi! •;•. -Milcz!

. < — Nawet skazaniec ma prawo do ostatniego słowa według waszych ziemskich praw.

Leszek westchnął.

— No, więc powiedz ostatnie słowo, tylko się streszczaj i bez kaznodziejstwa, stary, twój styl mi się nie podoba.

Datsun spojrział na niego ponuro i powiedział:

— Niech pan spojrzysz prawdzie w oczy, przyjacielu. Kim jest naprawdę człowiek? Jest to niebezpieczny pasożyt, który rozpanoszył się na Ziemi i niszczy tę oryginalną planetę. Wytepił już wiele gatunków innych istot, zatruwa i zanieczyszcza coraz to nowe obszary. Wieści o tym od niedawna rozchodzą się w Kosmosie i wywołują powszechne oburzenie. Panie Kit, nie jest pan aż tak głupi, jak myślałem. Niech pan spróbuje zapomnieć, że jest pan człowiekiem i spojrzysz na sprawę szerzej, z perspektywy całego Kosmosu i milionów lat świetlnych. Zrozumie pan wtedy, że ludzie to pomyłka w Programie, jakieś fatalne przeoczenie! Rasa całkowicie bez przyszłości, nie nadaje się do ery

-231-

kosmicznej. Wasza strefa życia to cieniutkie pasemko, nawet przy kilkunastu stopniach poniżej zera już marzniecie bez odzieży, a giniecie z „gorąca” już przy zaledwie pięćdziesięciu, możecie wegetować tylko pod namiotem tlenowym i na każdą wyprawę, choćby tylko na niespełna dziesięć kilometrów w górę, musicie brać z sobą bąbel powietrza jak jeden z tych pajaków wodnych... To żalosne. Nie, chłopcze, to nie wy jesteście przeznaczeni do zdobycia Kosmosu. Ludzie to ślepy zaułek ewolucji, pomyłka natury, boczny tor rozwoju wiodący donikąd. Bądź mądry, zrozum to, i nie sprzeciwiaj się Programowi. Oszczędzisz sobie i innym wielu złudzeń i cierpień...

— Wystarczy, Datsun — przerwał Leszek. — Wiem, co chciałeś powiedzieć i do czego nas przekonać. Wysłuchałem cię, ale nie sądzę, że uwierzyłem choć jednemu twemu słowu. Kto jest ślepym zaułkiem ewolucji, to się dopiero okaże. Na razie my jedni jesteśmy żywi na placu boju. Nie pokazałeś mi żadnego żywego Kakurgijczyka. Cały czas widziałem same roboty...

— W dodatku wiele w kiepskim stanie technicznym! — dorzucił Tyndzio.

— I wyłamujące się z Programu, jak profesor Entere! — dodała Giga.

— I skoro tak gardzicie ludźmi, to czemu ich porywacie i wsadzacie do laboratoriów? Czy nie dlatego, że potrzebujecie ich żywych mózgow? Wasz świat jest martwy, niezdolny do rozwoju i tylko oni mogą wymyślić coś nowego i uratować was od upadku i zagłady. Co, już nie śmiejesz się, Datsun?

Datsun wysłuchał ich spokojnie, a potem powiedział:

— Wieczność jest długa. Wcześniej czy później Kakurgia przyjdzie do was, bądźcie spokojni, a raczej... bójcie się!- podniósł głos. - A wy znów zdradzacie ten nienaukowy, śmieszny antropocentryzm! Nie przyszło wam nawet do głowy, że czcigodni Kakurgijczycy mogą brzydzić się wami jak robactwem i nie życzą sobie żadnego kontaktu fizycznego z wami. Dlatego zbudowali tę bazę, a nam, robotom, powierzyli zadanie przywrócenia Ziemi jej dawnego wyglądu, dawnej biocenozy, stosunków ekologicznych i piękna. Oznacza to między innymi, jak możecie się domyślać, usunięcie z Ziemi tak zwanych cywilizowanych ludzi. Zostawimy tylko najbardziej prymitywne, nieskażone, dzikie szczepy jako naturalny składnik biocenozy ziemskich puszczy i stepów. Lecz zanim to się stanie, przeprowadzamy studia nad człowiekiem, jego mózgiem, jego kulturą i działalnością, aby zapisać je w historii umarłych cywilizacji Kosmosu. Dopiero gdy te wszystkie zadania pomyślnie wykonamy, przylecą władcy nasi obejrzeć swoje dzieło, które jak wiele innych zostało wpisane do Programu — zakończył cichym, ale dobitnym głosem i pochylił głowę. — Niech się spełni!

— Kłamiesz! - wybuchła Giga. - To wam grozi zagłada i ratujecie się ludźmi!

— Twoje oczy są zakryte dla prawdy - rzekł Datsun. - Lecz widać tak być musi, aby spełnił się Program.

- Dobrze, powiedziałeś, co chciałeś — uciął zdenerwowany Leszek — a teraz smaruj do zamrażalni!

- Do zamrażalni? Dlaczego? - przestraszył się robot.

- Żebyś mi się nie pętał niepotrzebnie. Tu jest za mało miejsca, a tam są wolne kabiny.

- Rozumiem. Chcesz się mnie pozbyć, chcesz mnie najpierw zamrozić, a potem zniszczyć.

- Nie bój się, nie mam tego zamiaru, szkoda byłoby tak inteligentnego faceta. Przerobię cię na robota pożytecznego dla ludzi. Lecz zanim ułożę dla ciebie jakiś sensowny program, prześpisz się w komorze hibernacyjnej. To ochłodzi skutecznie twój zbyt egzaltowany, jak na mój gust, umysł. Zresztą, jak wyczytałem w instrukcji fabrycznej, niskie temperatury są bardzo zdrowe dla robotów. Świetnie je konserwują! A teraz marsz do komory!

Datsun opuścił głowę i ponuro, w milczeniu, jak atleta, który schodzi pokonany z areny, powłókł się do zamrażalni.

Giga poprosiła Mufiego, żeby przyniósł napoje i powiedziała do Leszka:

- Urządzimy mały koktajl na cześć twojego powrotu i szczęśliwego spotkania znów na pokładzie „Rhei”. A ty nam opowiesz o swoich przygodach.

- Wszystko po kolei - dorzucił Tyndzio.

- Jak im się wyrwałeś.

- I jak zdobyłeś Aszu.

- Zaraz, nie tak szybko - odparł Leszek. - Niech odsapnę!... Najważniejsze, że lecimy, że udało się odblokować start... Kiedy ujrzałem żandarmów przy wieży kontrolnej, myślałem, że już nie zdążę, że wszystko na nic... że nie pomoże mi nawet drużyna robotów, którą przyprowadziłem... Ale... dość niespodziewanie pomogła nam... narkomania kontrolerów. Korzystając z zarządzanej blokady, poszli sobie trochę poćpać w magazynie fenolu i nitrogliceryny, więc żandarmi...

- Zajęli się najpierw kontrolerami!

- Właśnie! Tam ich dopadłem, w tym magazynie chemikaliów. Obezwładniłem za pomocą Aszu cały patrol i kazałem im wysadzić wieżę. Tylko w ten sposób mogłem szybko zlikwidować blokadę. Nitrogliceryna była pod ręką. Poleciłem im odliczyć sto osiemdziesiąt sekund, to znaczy dałem sobie trzy minuty na przedostanie się na statek. Potem miał nastąpić wybuch. To były najbardziej dramatyczne chwile. Bo oni już zaczęli odliczać, a nas zatrzymał niespodziewanie na schodach

kapitan żandarmerii. Jako oficer był robotem najwyższej rangi, więc był także odporny na moje Aszu. A ja miałem tylko te trzy minuty, żeby się z nim uporać. Nie było innej rady, musiałem poświęcić aż pięć moich najsilniejszych robotów, żeby wytworzyć skuteczne pole ELM i spalić kapitanowi układy. A potem biegiem na statek...

1

-232-

-233-

- To ciebie widzieliśmy i dwa roboty, jak wybiegliście z wieży na moment przed wybuchem. Byliście w czarnych strojach robotechników.

- Tak, to my - odparł Leszek, wstając na widok Mufiego z dwiema tacami napoi. - Nie teraz, Mufi, za pół godziny - wyprosił goryla z kabiny.

- Ależ, Bubel, dlaczego? - zapytała zaskoczona Giga.

- Powiedziałem, że muszę się nieco odprężyć. Te przeżycia naprawdę dużo mnie kosztowały. Czuję się jak flak...

- Najlepiej odflaczy cię mały koktajl - oświadczyła Giga.

- Moja droga, pozwól, że ja sam zdecyduję, co mnie odflaczy — rzekł zniecierpliwiony i klasnął w rękę: - Ringo, Torra!

Natychmiast wbiegły dwa roboty, niosąc z sobą trzy składane polifony pedałowo-klawiszowe.

- Co ty?! - zdumiała się Giga. - Chcesz teraz grać?!

Leszek skinął głową.

- Mały koncertik rockowy, to mnie postawi na nogi.

- Nie bądź śmieszny, Bubel, pograsz sobie potem, masz całe miesiące do grania... Nie widzieliśmy się tyle czasu i tyle rzeczy mamy do opowiadania...

- Przykro mi, Giga, ale muszę teraz... Nie grałem od wczoraj i jestem dosłownie rozstrojony... To głupie uczucie, coś okropnego, wierz mi... - zatarł nerwowo rękę i usiadł przy polifonie. Roboty Ringo i Torra żwawo zasiadły do

dwu pozostałych.

- Stuknięty facet - mruknął Tyndzio nie bez złośliwej satysfakcji.

- Bubel, zmiłuj się - zawołała Giga.

- Tylko pół godziny - sapał podochocony Leszek, próbując z lubością pedałów. - A ty porozmawiaj z moim sobowtórem.

- Wyglądasz humorystycznie - rzekła Giga urażona. - Myślałam, że tylko Cyngiel jest skubnięty pod czaszką, ale ty jesteś taki sam! Faszzerowani bakcyłem faceci! Ciężko naszpikowani...

W odpowiedzi Bubel uruchomił polifon, przewracając z rozkoszy oczami. Giga zrezygnowana machnęła ręką. Nie było rady. Musieli wysłuchać niemal godzinnego koncertu, pocieszając się ukradkiem koktajlem truskawko wo-mali-nowo-ananasowym przemyconym przez Mufiego tak, by Bubel nie zauważył. Mógł to uznać za profanację koncertu. Choć nie mieli tego dnia nastroju do słuchania, musieli obiektywnie przyznać, że występ był na medal i mógł w kozi róg zapędzić największych idolów ziemskiego rocka, a przebojowych pomysłów muzycznych zaprezentował więcej niż wszystkie polskie renomowane zespoły od „Manaamu” do „Lady Pank” i „Republiki” w ostatnich dwu latach.

Na pół już ogłuchli, z ulgą wysłuchali ostatnich akordów przejmujących gitar i z przyjemnością stwierdzili, że mistrz Bubel wstał od polifonu rozluźniony i szczęśliwy i dał się namówić na szklankę apetycznych soków.

-234-

- Mam nadzieję, że nie jest to sok aberracji - zażartował. - Nie chciałbym zapomnieć tego, co grałem. A propos, jak wam się podobało? To pierwsza część koncertu, który przygotowuję z Ringiem i Torrą...

- O... obłęd! - wykrztusiła Giga przerażona, że za chwilę będzie musiała wysłuchać części drugiej. Ale to widocznie nie było na całe szczęście w planie mistrza, gdyż oba roboty wstały, złożyły polifony i wyszły bezszelestnie.

- No, to teraz opowiedzcie mi, co się z wami działo po tym, jak zamroczeni aberrą odjechaliście na lwach - zakomenderował Leszek, biorąc drugi koktajl z tacy.

- To wcale nie była aberrą - sprostowała gorąco Giga.

- Ciekawe! Więc nie złapali was wtedy?

- W ogóle nas nie złapali.

- Bomba, a ja tak się o was trułem. Opowiadaj szybko!

- Ty miałeś pierwszy!

- Nie, najpierw ty! A ja się będę krzepił napitkami. W gardle mi zaschło. Opowiadali ponad godzinę, na przemian Giga i Tyndzio.

Gdy wreszcie skończyli, Leszek odstawił szklanekę i powiedział:

- Los był dla was łaskawszy aż do ostatniego spotkania z Datsunem. Ze mną obszedł się z początku okrutnie. Przeżyłem męki. Programowano mnie!

- Tego się obawialiśmy! — powiedziała przejęta Giga. — Opowiadaj!

- Kiedy wyście odjechali na lwach, narozrabiałem trochę... Nie chciałem tanio sprzedać skóry i może też udałoby mi się prysnąć, ale oni omotali mnie siecią i odstawili do Centrum Adaptacji i Programowania...

- Mów dalej!

- To długa i przykra historia, ale opowiem ją w skrócie.

ROZDZIAŁ XXIII

O,

- "ni się nie śpieszyli. Najpierw umieścili mnie w celi do obserwacji i podglądali moje zachowanie przez wzierniki. Po trzech dniach przenieśli mnie do laboratorium. Był to prawdziwy cud techniki. Zamknęli mnie tam i sprawdzili, czy i po jakim czasie potrafię samodzielnie posługiwać się tymi urządzeniami oraz co mnie i w jakim stopniu zainteresuje. Postanowiłem niczego nie dotykać i czekałem, co będzie. Po tygodniu zabrano mnie do Oddziału Diagnostyki i zrobiono mi różne pomiary i badania. Widocznie wypadły według nich

- 235 -

pomyślnie, bo zaraz następnego dnia zostałem skierowany do zaprogramowania.

Z grubsza to wyglądało jak jeden długi całodzienny seans filmowy. Zawsze szły dwa filmy na przemian. Dwie godziny filmu o Ziemi i godzina filmu

o Kakurgii, potem znów o Ziemi i znów o Kakurgii, i tak przez piętnaście godzin. Te filmy były stale na jedno kopyto: jak źle jest na Ziemi i jak dobrze w Kakurgii. Pokazywali po kolei zbrodnie ludzi, ich żądze, ich chciwość i zawiść, ich głupotę i dzikość, i jak nienawidzą się wzajemnie. Jak jedne państwa uciskają drugie, jak narzucają im swoją wolę. Pokazywali, jak jedni umierają z głodu, a inni pływają się w bogactwach, i wszystkie wstrętne choroby, które gnębią ludzi. I jak ludzie niszczą Ziemię, jej wody, powietrze, glebę, jej roślinność i zwierzęta, i w końcu jak niszczą siebie. I wszystkie okropności wojen. Najstraszniejsze były filmy o torturach i różnych sposobach zabijania, które wymyślili ludzie. Widziałem z bliska, jak Kain zabił Abła, on też mnie widział

1 zamierzył się na mnie nożem. To nawet było z początku ciekawe, mówię wam, takie filmy stereo, dobrze zrobione, i tak wygląda, jakbyś był w środku wydarzeń. Jak ktoś na moment zapomni, że to tylko film, to może się zadławić strachem na śmierć. Co byście zrobili, jakby Dżyngis-chan celował do was z łuku? Albo jakby wrzucali was do studni z jadowitymi węzami, albo gdyby facet w czerwonym kapturze kiwał na was palcem, a w drugiej ręce trzymał za włosy świeżo odciętą głowę, z której kapie jeszcze krew? A ja to wszystko musiałem dzień w dzień, przez długie godziny oglądać i przeżywać, no bo nie jestem z kamienia, nie? Morderstwa i tortury, morderstwa i tortury, coraz obrzydliwsze, coraz krwawsze: nabijanie na pale, przybijanie do krzyży, palenie na stosach, przypiekanie żelazem, wydłubywanie oczu, wrywanie języków, obcinanie rąk, łamanie kołem, pręgierze i biczowania, i wszystko z bliska, ze szczegółami, masz wrażenie, że krew cię opryskuje, słyszysz chrupot łamanych kości, jęki, przekleństwa, śmiech oprawców, krzyki grozy, płacz dzieci... Po kolei to przeżywasz, od początku historii ludzkiej, chronologicznie ci to pokazują, aż po ostatnie wojny, po ostatnie zamachy terrorystów, po wszystkie autentyczne zbrodnie ostatnich dni... Wicie, nie jestem tak delikatny jak Cyn-giel, ani specjalnie wrażliwy, ale nigdy nie mogłem wytrzymać

całego seansu i już nieraz po kilku minutach robiło mi się mdło.

Oni od razu wiedzieli, że mam dosyć. Jak tylko próbowałem odwracać oczy albo jęknąłem zbyt głośno, natychmiast przerywali projekcję i dawali od razu drugi, kontrastowy film — zawsze na temat, jak fajnie jest w Kakurgii. Żadnych zbrodni, tortur, porwań, gwałtów i w ogóle mucha nie siada... A jaka wysoka technika! Jednym słowem, wszystko miło i cacy! Nie, trzeba powiedzieć, że jak na taką reklamówkę, zrobiony również cacy, a nawet z ikłą. Nie nudziłem się. Dawalo się oglądać.

-236-

- Naprawdę widziałeś jakichś Kakurgijczyków? - zapytała Giga.

- Oczywiście.

- Skąd wiesz, że to nie były roboty?

- Bo jedli, to znaczy... żuli.

- Kambony?

- Niezupełnie. To były już spreparowane kambony w formie pastylek.

- Czy Kakurgijczycy są człekokształtni, tak jak te roboty tutaj w bazie?

- Nie, to znaczy niezupełnie. Raczej podobni są do owadów. Ich narządy wewnętrzne osłonięte są powłoką krzemianową - czymś w rodzaju twardej skorupy; mają osiem par kończyn, ale chodzą tylko na dwu tylnych, pozostałych używają w charakterze wyspecjalizowanych rąk, każdą z trzech par do czego innego. Dzięki temu mogą wykonywać jednocześnie trzy skomplikowane czynności. Te sześć sprawnych rąk oraz mózg stanowiący ćwierć wagi całego ciała przyczyniły się zapewne do szybkiego rozwoju ich cywilizacji, a zwłaszcza techniki. Są niezwykle odporni na zmiany temperatury, nie noszą żadnych ubrań, malują sobie tylko na różne kolory te swoje twarde powłoki, żeby wyglądać ładniej niż w naturze.

- Czy rosną? — zapytała Giga.

- Oczywiście. Wskutek tego zanim osiągną wiek dojrzały, muszą dziesięć razy „zmieniać skórę”, to znaczy zrzucić starą skorupę, a potem czekać, aż im wyrośnie i stwardnieje nowa. To dosyć długo trwa. Przez ten czas są słabi i bezbronni i zamykają się w specjalnych sztucznych kapsułach ochronnych. Ale nic im nie grozi, cały czas są pilnowani, pielęgnowani i karmieni przez roboty. Zresztą tak jest przez całe życie Kakurgijczyków. Wszystko za nich robią roboty. Tak jak tutaj, w bazie.

- To co robią Kakurgijczycy? Ci żywi.

- Mnóstwo rzeczy. Bawią się w różne gry z sobą, z komputerami albo z robotami, latają w „kieszonkowych” mikrośmigłowcach, pływają w niezatapialnych mikrołodziach, grają na polifonach, tańczą, otoczeni polem nieprzy-stępności walczą z dzikimi zwierzętami za pomocą poskramiaczy, urządzają wyścigi na różnych pojazdach, podróżują w Kosmosie, najbardziej lubią bawić się w wyprawy karne...

- Nie rozumiem.

- Zakładają dla rozrywki stacje satelitarne w pobliżu planet z mieszkańcami na niższym poziomie rozwoju technicznego niż Kakurgia i bawią się w wymierzanie im „sprawiedliwości za grzechy”. Urządzają tym nieświadomym niczego istotom powodzie, tajfuny, zakłócają pole elektromagnetyczne, łączność, powodują różne katastrofy techniczne i żywiołowe, wywołują epidemie - wszystko to, co ludzie określają jako plagi.

- Czy... robią to także ludziom?

-237-

- O, tak! Uważają ludzi za wyjątkowo złe i zepsute istoty, które należy karać za ich zbrodnie wobec natury. Widziałem parę takich filmów przedstawiających katastrofy, którymi „ukarali” Ziemią, co prawda były to stare filmy z końca zeszłego wieku. Nie lubiłem na to patrzeć. Wolałem filmy o tych cudach na Kakurgii. To była dla mnie fantastyka i egzotyka... Choćby takie zawody Bi! Zapasy na bioenergią. Oni mają sposób na niesłychane koncentrowanie tej energii, jak się taki Kakurgijczyk skoncentruje, proszę was, to potrafi złamać drzewo podobne do stuletniej palmy, bez dotykania go, samym tylko spojrzeniem. Albo podnieść do góry drugiego faceta - to potrafi nawet dziecko. Widziałem Kakurgijczyka, który podnosił na dwa metry wyładowaną ciężarówkę i głązy ważące po

pięć ton!

- Może to były jakieś tricki filmowe - zauważył Tyndzio.

- Cały czas się nad tym zastanawiałem - odparł Leszek. - Ale w końcu jeśli nawet ludzie za pomocą bioenergii mogą robić dziwne rzeczy z przedmiotami, to czemu by nie mogli Kakurgijczycy? Film - nie film, trick - nie trick, ale to wyglądało fantastycznie! A najbardziej kapitalne były zapasy w tej dyscyplinie. Wyglądało to tak: dwu zawodników staje jeden naprzeciw drugiego najpierw w odległości dziesięciu kroków, koncentrują swoją bioenergię i próbują podnieść jeden drugiego. Jeśli się z tej odległości nikomu nie uda, to zmniejszają dystans o dwa kroki i znowu próbują. Wygrywa ten, kto pierwszy podniesie przeciwnika. Nieraz się zdarza, że obaj podnoszą się równocześnie. Wtedy wygrywa ten, kto wyżej podniósł. Mówię wam, to obłędnie wygląda: dwaj faceci zawieszeni na metr, na półtora naprzeciw siebie w powietrzu, raz widziałem nawet zawodnika podniesionego tak wysoko, że mógł od razu wsiąść na słońca i odjechać.

Fajowe widowisko, ale w sumie propaganda. Nikt tam nie cierpi, nikt nie umiera, nikt nie choruje, żadnych zbrodni, żadnych gwałtów, nikt nikogo do niczego nie zmusza, stuprocentowa wolność i bezpieczeństwo. Tylko taka przyjemna tematyka. A wszystko, żeby pokazać, jak tam cacy i fajnie, i jaki poziom techniczny!

No, ale i tak wolałem to oglądać niż te okropności na Ziemi, tymczasem oni zaraz przerywali seans i znów dla kontrastu pokazywali ludzi. Zatykałem uszy, żeby nie słyszeć tych krzyków grozy, tego płaczu i jęków torturowanych, ale oni zaraz zakładali mi słuchawki i wiązali ręce i wszystko słyszałem jeszcze wyraźniej.

Dwa tygodnie to wszystko znosiłem, a po dwu tygodniach postanowili skontrolować, czy majajakieś wyniki. I poddali mnie różnym próbom, czy już obrzydziłem sobie dostatecznie Ziemię i czy chciałyby żyć tak, jak się żyje w Kakurgii, oraz czy biorę się z ochotą do żucia kambonów, co miało być „decydującym wskaźnikiem”. Ale ja nie kwapiłem się ani do kakurgijskich zabaw, ani tym bardziej do żucia kambonów.

-238-

Zaskoczeni, zaaplikowali mi dodatkowe seanse, nawet na noc nie zostawili mnie w spokoju, tylko próbowali programować w czasie snu, podrzucając mi odpowiednie sny, gdy moje własne okazywały się mało warte.

A gdy i to nie pomogło, postanowili mnie poddać badaniom, czemu jestem tak odporny. Nie wiedzieli oczywiście, że jestem zarażony bakcylem Pi, bo starannie ukrywałem moje zainteresowania.

Teraz też, gdy sprawdzali mnie powtórnie, pilnowałem się, żeby nie wyskakiwać z żadnymi zamięłowaniem, a zwłaszcza żeby nie zdradzić się z moją słabością do muzyki i gdy kazali mi śpiewać, chrypiłem tak fałszywie, że szybko dali mi spokój.

Moja sprawa oparła się o senat Akademii. Urządzono zwołać specjalne posiedzenie dla omówienia tego przypadku. Dla mnie miało to ten przyjemny skutek, że na kilka dni przerwano programowanie i po raz pierwszy od miesiąca dysponowałem dużą ilością wolnego czasu, zacząłem więc rozmyślać nad moim położeniem i rozważać możliwość ucieczki. Pilnowały mnie roboty. Gdybym mógł je sobie podporządkować! Zastanawiałem się gorączkowo, jak to zrobić. Najprościej byłoby wypróbować do tego celu własną bioenergię. Za jej pomocą udało nam się kiedyś uruchomić wrak Datsuna. Może udałoby się również drogą odpowiedniej manipulacji w mikroukładach tych robotów zmusić je do posłuszeństwa? Niestety, zdawałem sobie sprawę, że moja bioenergia jest słaba; wymagałoby to działania kontaktowego „na styk”, jak w wypadku Ala, dosłownie operowania palcem w „mózgu”, ale, u diabła, nie mogłem przecież tego zrobić z normalnym robotem w dobrym stanie technicznym, z robotem na chodzie. Należało więc poszukać robota-wraka lub przynajmniej robota uszkodzonego, którego mógłbym obezwładnić i zmusić do poddania się próbom. W tym celu wałęsałem się godzinami po zaułkach Ośrodka. Wprawdzie robotów-wraków nie znalazłem, ale za to poczyniłem pewne cenne obserwacje. Szybko zauważyłem, że robot robotowi nierówny, że mają różne rangi i że obowiązuje tu specjalna hierarchia robotów. Roboty niższej rangi są bezwzględnie podporządkowane robotom rangi wyższej. Na czele wszystkich robotów Ośrodka stał najwyższy z nich rangą — Akademik Merle. Był to robot o

twarży podobnej do Tomasza Edisona, z białymi długimi włosami, w długiej kapocie, sztywnym kołnierzyku z zawiniętymi rogami i sztuczkowych spodniach w prążki. Zapamiętałem, że gdy chciał przywołać robotników, wołał: „ a h u m i ! ”. Wtedy oni rzucali każdą robotę i stawali przed nim posłusznie w postawie zasadniczej. Tego samego słowa używali także oficerowie straży porządkowej, kiedy patrolowali uliczki pod koniec Dni Odnowy. Za jego pomocą wyciągali z kasyna gry najbardziej zapalonych hazardzistów.

Spróbowałem więc i ja tym tajemniczym słowem podporządkować sobie kogoś na próbę i wołałem wieczorem w ciemnych zaułkach „ahumi” na prze-

-239-

chodzące roboty, ale żaden nawet się nie obejrzał. Zrozumiałem, że samo hasło nie wystarcza.

Akademik Merle i oficerowie straży muszą mieć przy sobie nadajniki zdalnego sterowania wysyłające rozkazy odbierane przez inne, niższe rangą roboty. Potem dowiedziałem się, że to się nazywa „Aszu”. Czyja mógłbym sobie skonstruować taki nadajnik? Oczywiście, gdybym miał do dyspozycji jedno z laboratoriów Ośrodka i gdybym znał sygnał „zniewalający” roboty. Dostęp do laboratorium mógłbym sobie jakoś załatwić, ale sygnał?... Jest to z pewnością pilnie strzeżony zapis impulsów, którego nikt mi nie zdradzi. Jak więc go zdobyć? Jak odszyfrować? Myślałem nad tym do późna w nocy, lecz nic nie mogłem wymyślić, dopiero rano, jeszcze w betach, coś sobie ważnego przypomniałem i coś skojarzyłem. Pamiętacie te dziwne przypadki z Datsu-nem? Te niezrozumiałe zjawiska już po jego zniszczeniu? Wydawało się, że z niego kompletny szmelc, leżał już w kabinie złomu, a tu nagle jakby wstępowało w niego życie. Słyszeliśmy przez drzwi jego bełkot, zmieniał pozycję, raz nawet usiadł, żarzyła mu się lampka kontrolna. Powiedziałeś wtedy, Cyngiel, że on odbiera impulsy.

To sobie właśnie przypomniałem i nagle przyszło mi na myśl, że za każdym razem, kiedy Datsun „ożywał”, coś było nie w porządku z polifonem. Pierwszy raz usłyszeliśmy rezonans z kabiny złomu, gdy Tyndzio uszkodził Akademię polifon ścienny. Drugi raz, gdy był ów nieszczęsny wybuch w laboratorium tegoż naszego niezrównanego badacza... Mój polifon osobisty zaczął wtedy nadawać sygnały uszkodzenia, a równocześnie usłyszeliśmy gdzieś potężny jęk i rumor. Okazało się, że znów dochodzi ze złomowiska. Pobiegliśmy tam i zastaliśmy Datsuna w pozycji siedzącej. Cały dygotał. Był ciepły, niebieski dymek wychodził mu z uszu. Chciał nawet wstać... Pamiętasz, jak się przestraszyłaś, Giga?

— Tak, oczywiście.

— Trzeci raz podobny wypadek zdarzył się, gdy podczas kłótni w moim laboratorium roboty rozwalily mi procesor polifonu. Nie wspominałem wam o tym wtedy, bo już nie sposób było z wami rozmawiać, zbyt byliście opanowani przez bakcyła, nie miałem z wami po prostu kontaktu... Faktem jest w każdym razie, że trzy razy nastąpiła ta znamienna zbieżność...

— Już wiem, co chcesz powiedzieć — włączyła się Giga. — Datsun reaguje na dźwięki uszkodzonego polifonu, na muzyczny sygnał awaryjny.

—No, niezupełnie tak... Naprawdę to reaguje na impulsy sterujące tym dźwiękiem. Polifon, jak wiecie, jest instrumentem sprzężonym z komputerem i przez niego sterowanym. Komputer notuje awarię polifonu i wysyła odpowiednie impulsy elektryczne, które uruchamiają sygnał awaryjny. Uświadomiłem sobie, że są to widać podobne impulsy do tych, jakie wysyłają nadajniki zdalnego sterowania robotami.

-240-

Wiedziałem już, że wpadłem na pierwszy trop i że to dobry trop. Teraz potrzebowałem „tylko” czterech rzeczy: komputera, polifonu, laboratorium i swobody działania. Bagatela!

Ale postanowiłem spróbować szczęścia. Cóż zresztą miałem do stracenia? Przede wszystkim należało zmylić czujność moich „pedagogów” z Ośrodka. Gdy więc ponowili próby zaprogramowania mnie według nowej, ulepszonej (jak im się zdawało) recepty ułożonej przez komputery, u d a ł e m, że tym razem im się powiodło i że ulegam adaptacji.

- Jak to robiłeś?

- Całkiem zwyczajnie. Po prostu podczas seansów zacząłem coraz częściej wydawać okrzyki zachwyty nad Kakurgią, a jednocześnie przeklinać ludzi i złorzeczyć Ziemi. Żeby wyglądało

naturalnie, moja niechęć do Ziemi narastała stopniowo, najpierw zacząłem sobie podkpiwać z jej nędznej cywilizacji, z prymitywizmu jej techniki i zacofania nauki, potem pozwoliłem sobie na prześmiewki z ludzi, z ich wyglądu, obyczajów i kultury, nabijałem się z ich dwu (zaledwie) rączek, z ich miękkiego ciała (zamiast krzemianowego pancerza), z ich zębów i włosów (Kakurgijczycy nie mieli ich wcale), rzucałem wyzwiskami, z których „bękartu kosmosu”, „zakały natury” i „trupożercy” (przytyk do diety) należały do najłagodniejszych...

- Czy zacząłeś także żuć kambony?

- Nie przejawiałem w tym kierunku żadnych chęci, ale Komisja uznała, że to mi przyjdzie z czasem, a na razie jestem na dobrej drodze. Moi adaptatorzy, zadowoleni z postępu, jaki uczyniłem, dawali mi teraz więcej luzu. Mogłem sam sobie układać niektóre zajęcia, wybierać filmy, majsterkować w laboratoriach i warsztatach; mogłem także grać i komponować na polifonie. Żeby jednak podjąć reabie prace nad konstrukcją Aszu, potrzebowałem jeszcze komputera klasy A oraz dobrego robota. Niestety, komputery tej klasy były zastrzeżone dla Akademików i nie miałem do nich dostępu. Z robotem poszło mi łatwiej. Urządziłem coś w rodzaju dyskoteki dla robotów zatrudnionych w Ośrodku. Obsługę muzyczną zapewniał polifon. Większość była niemuzykalna i niewrażliwa na uroki tańca, ale kilku osobnikom z obsługi kasyna rytmiczny ruch sprawiał widoczną przyjemność, zwłaszcza po zastrzyku nitrogliceryny, której im nie żałowałem (otrzymywałem ją łatwo w laboratorium z gliceryny, a tę z tłuszczów). Wyselekcjonowałem jednego imieniem Kwako, był on namiętnym tancerzem. Kiedyś, dobrze zaprawionego nitrogliceryną, zmusiłem do tańca na najwyższych obrotach, przyspieszając rytm polifonu do maksimum. Wytrzymał trzy kawałki, przy czwartym nastąpiło przegrzanie układu i wyładowanie elektryczne. Facet zasłabł. Wyniosłem go po cichu do mojej celi i ukryłem w szafie. W ten to sposób opanowałem robota bez Aszu. Ponieważ nie miałem dostępu do komputerów klasy A, pozostawało mi tylko jedno: przeprowadzić żmudne analizy. W tym celu psu-

-241-

1

I

łem polifony i nagrywałem ich sygnały awaryjne, po czym przekazywałem je komputerowi, zwykłemu komputerowi w laboratorium, którym dysponowałem. Następnie podłączałem do niego robota Kwako i kazałem wyszukiwać związki między mikroukładami robota a impulsami, które w polifonie wywoływały taki właśnie sygnał. Komputer potwierdził, że takie związki istnieją, zanalizował je i szczegółowo określił. Kazałem z kolei wybrać impulsy, które wpływały bezpośrednio na układ sterowania, to znaczy zmuszały robota do posłuszeństwa. Komputer wyodrębnił je i zanotował... Wykonać teraz Aszu nadające takie impulsy było drobiazgiem.

- Do licha, Bubeł... Nie chcesz chyba powiedzieć, że zapanowałeś nad wszystkimi robotami! Znaczyłoby to, że praktycznie stałeś się władcą i panem Kakurgii!

- Nie, moje Aszu działa tylko na roboty klasy I A, to znaczy klasy Datsuna, czyli na wykonawców pierwszej kategorii, i oczywiście na roboty kategorii niższych. Nie mam żadnej władzy nad kastą robotów koncepcyjnych oraz nad oficerami. Nie mam władzy nad Wielebnym Akademikiem Merle i nad tupałkowatymi... Swoją drogą ci Tupałkopodobni to zaskakujący fenomen! Większość członków Akademii jest tupałkowata. Zastanawiałem się, czy tupałko-waty wygląd wielu Akademików ma jakieś znaczenie i zapytałem o to robota Kwako. Odparł, że jest to jeden z dziwnych pomysłów Wielebnego Merle. Wiele lat temu, podczas jednej z podróży naukowo-badawczych na Ziemię trafił podobno w klubie „Spectrum” w Warszawie na odczyt Tupałki pod tytułem „Czy grozi nam inwazja Kosmitów”. Zafascynowany osobowością i wyglądem prelegenta, zlecił zakładowi wzornictwa w Bazie, by nowy model robota-Akade-mika był wierną kopią Tupcia. W tej chwili większość Akademików ma mniej lub bardziej zmodyfikowany kształt Tupałki. Pełnej wierności, jak zauważyłem, nie udało się osiągnąć.

- Nie wydaje mi się, by ten Merle kierował się tylko zafascynowaniem -mruknął Tyndzio. - Mógł mieć w tym jakiś swój perfidny cel.

— Niestety, boję się, że nie dowiemy się o nim, póki nie zacznie go realizować. Ale nie będę się

tym martwił na zapas. Istotne jest, że mamy Aszu...

— Czy nikt cię nie przyłapał, jak nad nim pracowałeś? — zapytała Giga. — Byłeś pilnowany?

- Wykonałem je specjalnie podczas Dni Odnowy, kiedy była przerwa w zajęciach i mogłem być pewny, iż żaden pedagog nie zajrzy do laboratorium i warsztatów. Na strażnika Czete, który mnie pilnował, miałem sposób. Typ miał kłopoty z częściami zamiennymi, był bowiem nałogowym graczem i dwa razy przegrał nowe nogi w kasynie. Na trzecią parę nie mógł już liczyć w tym kwartale. W dniu, kiedy miałem przystąpić do potajemnej konstrukcji Aszu, rozebrałem biednego robota Kwako na części, jego nogi zaniósłem ukradkiem

-242-

do warsztatów i wręczyłem zaskoczonemu strażnikowi Czete. Następne pół dnia przymierzał je i próbował na nich chodzić. Był zachwycony i wdzięczny. Kwako miał naprawdę dobre nogi.

Odtąd patrzył przez palce na to, co robię, i przynosił mi banany z ogródka komendy straży.

Zostaliśmy przyjaciółmi. Niestety, na trzeci dzień, kiedy uciekłem z Ośrodka z gotowym Aszu, musiałem go obezwładnić i wyjąć mu pamięć, żeby utrudnić ewentualny pościg.

- Ucieczka z Aszu w ręku nie była już chyba trudna.

- Nie, panować nad robotami jest bardzo łatwo, kiedy ma się w ręku nadajnik sterowania. Bez trudu utworzyłem z robotów w stacji obsługi cały oddział. Właściwie mogłem się pokusić o zdobycie władzy nad Bazą, ale dalszy pobyt na tej przeklętej planecie, która was pochłonięła, nie bawił mnie zupełnie. Byłem pewien, że nie żyjecie. Od początku pobytu w Ośrodku co dzień pytałem o was. Stale mi odpowiadano, że wasz los jest nieznan. Dopiero kilka dni temu zawiadomiono mnie, że zginęliście podczas eksperymentów w miejscowości Tobe, gdzie się ukrywaliście przez dłuższy czas. Pokazano mi fotografie zdemolowanego laboratorium i wasze zmasakrowane ciała.

- To... to musiał być jakiś fotomontaż! - zasapał wzburzony Tyndzio. - Owszem... w moim laboratorium miał miejsce mały wypadek, ale my...

- Jasne, że fotomontaż, ale wtedy wszystko wydało mi się bardzo przekonujące. Znałem przecież wasze szaleństwa związane z zakażeniem bakcyłem Pi... Po tej wiadomości nabrałem ostatecznego obrzydzenia do Kakurgii. Moją jedyną ideą było uciekać stąd za wszelką cenę, moim jedynym pragnieniem - jak najszybszy powrót na Ziemię. Wiedziałem, że najbliższy statek startuje siedemnastego. Postanowiłem przedostać się do niego w przebraniu robotechnika z całą drużyną podobnie przebranych i posłusznych mi robotów. Bramą dla obsługi technicznej. Jeszcze przed wejściem o mało nie dostałem paraliżu szczęki. Ze zdziwienia. Zobaczyłem... zdrowego, naprawionego Datsuna! Znow na chodzie! Minał mnie bardzo zaaferowany i popędził na kosmodrom. Miał przy sobie... mojego sobowtóra! Bardzo mi się to nie podobało. Zgapiłem się fatalnie, co tu gadać! Powinienem go być od razu zatrzymać... Wkrótce potem moje roboty przechwyciły w swych receptorach polecenie żandarmerii zablokowania wszystkich startów z powodu, jak podawano, przeniknięcia na kosmodrom dwojga zbiegów — niezaprogramowanych ludzi, dziewczyny i chłopaka. Pobiegłem do wartowni wieży kontrolnej. Nie było wątpliwości, że to o was mowa. Monitory pokazywały wasze podobizny. Jak pijecie nektar powitalny i jak jeździecie na lwach. Więc żyjecie! Co więcej, domyślałem się, że jesteście tu niedaleko, na pokładzie „Rhei”! Ogarnęła mnie radość, lecz zarazem wiedziałem, że grozi wam śmiertelne niebezpieczeństwo, że muszę jak najprędzej odblokować start „Rhei”. Jak to zrobiłem, już wiecie.

-243-

ROZDZIAŁ XXIV

Leszek urwał nagle opowieść, bo za drzwiami rozległy się ciężkie kroki podobne do uderzeń młota w podłogę. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i wszedł Datsun, prowadząc za sobą na łańcuchu dziwnego robota o twarzy podobnej do buldoga, torsie szerokim jak beczka i słoniowatych nogach. Całe jego „ciało” połyskiwało metalicznie. Ubrany był w obcisły szary kostium, niemal merożniący się od „ciała”. Był to robot obronny, zbyt ciężki do służby w straży, używany w bazie do wart przy ważnych obiektach.

- Ty tutaj?! - Leszek zerwał się na nogi i wyciągnął w kierunku Datsuna Aszu. - Jak ty wyglądasz? - patrzył na poszarpaną koszulkę atlety, na jego rozdartą skórę. - Wdałeś się w jakieś bijatyki? Co to za potwór na łańcuchu? Po co go tu przyprowadziłeś? Skąd w ogóle coś takiego na statku?!

- Napadli na mnie - wykrztusił Datsun. - Byli ustawieni na warcie w oddziale hibernacji.
- Co takiego?!

- Kiedy zjrzałem do oddziału, zobaczyłem z wielkim zdziwieniem, że wszystkie komory zamrażania są zajęte, proszę pana.
- Kto je zajął, u licha?!

- Poukładano tam, proszę pana, fabrycznie nowe roboty laboratoryjne i jakieś kontenery. Kiedy chciałem opróżnić jedną komorę, napadły mnie roboty wartownicze...
- Czemu nie włączyłeś alarmu?
- Nie wiedziałem, czy pan by sobie życzył. Pewne rzeczy lepiej załatwić dyskretnie...
- Udało ci się to?
- Niezupełnie. Trafiłem wprawdzie tego osiłka w czułe miejsce w czaszce i rozbiłem mu pamięć, ale sam zainkasowałem od drugiego wartownika cios, po którym mnie zamroczyło. Leżałem bez czucia chyba pół godziny; kiedy się ocknąłem, byłem wyrzucony na złom wraz z tym ciężkim kolegą. Wylałem drzwi gradami, wziąłem faceta na łańcuch i przywlokłem. Może się panu przyda?

- Idziemy do hibernacji! - powiedział Leszek. - Są tu chyba prócz nas jacyś inni pasażerowie z bardzo dużym bagażem. Muszę to zaraz wyjaśnić.
Pobiegli wszyscy, łącznie z robotem-Leszkiem, który już zdążył zrobić sobie przegląd części i złożył się z powrotem.

-244-

Istotnie, komory zajęte były co do jednej przez kontenery i roboty laboratoryjne, wszystkie zupełnie nowe, w przezroczystych opakowaniach fabrycznych i z naklejkami biura ekspedycji. Leszek spojrział na jedną z nalepek. Jako cel podróży wpisano „Mimas”.

— Co to jest Mimas? — zmarszczył brwi.

— To jeden z księżyców Saturna, proszę pana — odparł Leszek-robot.

— Dobry jesteś - pochwalił go Leszek. — Ty mi się możesz przydać!

— Kto tam?! — zawołał z głębi korytarza zaspany, zachrypły głos. — Ciszej, proszę!

Wszyscy znieruchomieli na moment. W ciemnym korytarzu zabłysło światło. Snop reflektora oślepił ich na kilka sekund.

— Kogo ja widzę! — głos ożywił się wyraźnie i nabrał nieoczekiwanie jakby przyjacielskich tonów. — Toż to moi starzy znajomi! Widzę, mój chłopcze, że masz Aszu w rękę. Czyżbyś został Akademikiem? Co za błyskotliwa kariera! No, proszę, jak niebezpiecznie importować w Kosmos takich patentowanych obwiesiów! Naciąłeś się zdrowo, co, Datsun?

Leszek zbaraniał zupełnie. Przetarł z niedowierzaniem oczy.

— Profesor Farfalla? Co pan tu robi?!

— Podróżuję w okolice Saturna.

— Na Mimasie?

— W rzeczy samej. Mam tam stację badawczą i zespół laboratoriów. Za barierą magnetyczną.

— To pański bagaż? - Leszek wskazał na roboty w komorach hibernacyjnych.

— Tak jest, chłopcze.

— Jak zdołał się pan zaokrętować? - zapytał zdumiony Tyndzio. - Nie widzieliśmy pana.

— Mam przepustkę z Akademii jako kierownik stacji na Mimasie. Zawsze wsiadam wcześniej, żeby uniknąć tłoku i szumu oraz spokojnie załadować wyposażenie.

— Bardzo przepraszam, ale pan zajął wszystkie komory hibernacji — rzekła zdenerwowana Giga. - Zupełnie nie wiem, co teraz będzie!

— Właśnie! Gdzie położymy się do snu? — jęknął Tyndzio.

— Musi pan usunąć część bagaży — rzekł ostro Leszek.

— Niestety, to bardzo wrażliwe automaty. Muszą być przewożone w niskich temperaturach, podobnie jak kontenery. Jest w nich żywność i cenne surowce laboratoryjne.

— Są do tego inne chłodnie, towarowe - powiedział Leszek.

— Wszystkie zajęte - odparł Farfalla. - Co ty sobie wyobrażasz, młodzieńcze? Moja następna wyprawa zaopatrzeniowa nastąpi dopiero za dwa lata, czy wiesz, jak trudne warunki są na

Mimasie? Ale po cóż wam oziębiacze?!

-245-

- Nie wiemy, jak długo będzie trwała podróż - rzekł Leszek i czy nie będziemy musieli się uśpić.

- Nie wiecie?! - zdziwił się Farfalla.

- Mamy poważne podstawy przypuszczać, że lot będzie trwał trzy miesiące - oświadczył Tyndzio. - Ale gdyby się jednak okazało, że dłużej...

- W żadnym wypadku nie chciałabym się zestarzeć na tym statku, proszę pana - rzekła Giga.

- Zupełnie ci to nie grozi, dziewczyno - mruknął profesor.

- Jest pan pewien? - wpatrywali się w niego z napięciem.

- Oczywiście.

- Datsun mówił, że planeta Efen jest odległa o ponad trzy lata świetlne...

- Nie byliście na planecie Efen. Nie ma nawet pewności, czy w ogóle istnieje.

- To gdzie byliśmy?! - chłopcy i Giga aż podskoczyli.

- Byliście na stacji kosmicznej Efen umieszczonej na orbicie Neptuna, „zaledwie” cztery miliardy trzysta milionów kilometrów od Ziemi. „Rhea” pędzi z szybkością dwudziestokrotnie większą od trzeciej prędkości kosmicznej, to jest około sześciuset kilometrów na sekundę...

- Datsun mówił, że trzydzieści tysięcy na sekundę...

- Bajki robotów! Nawet cywilizacja Kakurgii nie zdołała zbudować statków o tak wielkiej prędkości... Powtarzam, pędzimy z szybkością maksymalną sześciuset kilometrów na sekundę, a biorąc pod uwagę, że są żywe organizmy na pokładzie i że wskutek tego „Rhea” nie może zbyt prędko nabrać tej szybkości oraz że będziemy mieli wejście na orbitę Saturna, gdzie ja się z wami pożegnaj, wasz lot na Ziemię będzie trwał niespełna cztery miesiące. Ja wysiądę z moim bagażem po około trzech miesiącach, więc będziecie się mogli przez cały miesiąc wyspać, o ile nie będzie wam żal widoków, bo przelot koło pierścieni Saturna i w pobliżu Jowisza słynie z olśniewających panoram!

- Więc cały czas tkwiliśmy jednak w Układzie Słonecznym, zbulwersowany Tyndzio wciąż nie mógł ochłonąć. - Stacja kosmiczna, mówi pan. Nie, to niepojęte!

- Tam było przecież słońce Efenu, wielkie jak nasze Słońce; gdybyśmy byli na orbicie Neptuna, Słońce musiałyby się wydawać malutkie, chyba takie jak gwiazdka... - zauważył Leszek.

- 1 palmy, prawdziwe palmy kokosowe, jedliśmy ich orzechy i dużo innych roślin! Była gleba, był piasek i kamienie - mówiła zdeorientowana Giga.

- A przede wszystkim powietrze! Mogliśmy oddychać bez kłopotów, zupełnie jak na Ziemi. Czy może nam pan to wytłumaczyć?

Farfalla miał zakłopotaną minę.

- Może najpierw się prześpię. Opowiem wam za miesiąc.

-246-

- Wykluczone! Nie wytrzymamy z niepokoju... - 1 na nowo zaczniemy się bać...

- Pan na pewno ukrywa przed nami coś strasznego! Giga złożyła błagalnie ręce.

- Zamówię obiad u Mufiego, zaprosimy pana do kabiny centralnej i pan nam opowie przy obiedzie!

- Nie! W żadnym wypadku! - zaprotestował Farfalla. - To może wydać się wam dziwne, ale nie mogę się stąd ruszyć.

- Dlaczego?!

- Tylko niskie temperatury utrzymują mnie jeszcze przy życiu. Umarłbym już trzy lata temu, gdyby nie hibernacja.

Spojrzeni na niego przerażeni. Dopiero teraz zauważyli błądliwość jego skóry, koszmarną błądliwość.

- Jestem od dawna chory. Nieuleczalnie w pojęciu medycyny ziemskiej. Muszę przespać czas oczekiwania... I nadziei - dodał po chwili.

- Nadziei?!

- Za rok, może już za pół roku w moim laboratorium na Mimasie wejdzie do produkcji nowy lek.

Prace badawcze są w końcowym stadium... Jeśli wytrzymam ten rok... Ale to bardzo długo... bardzo długo. Tylko hibernacja daje mi szansę. Jeśli nie boicie się zimna, zapraszam do mojej kabiny - wskazał gestem dłoni pobliską kabinę. — Przekażę wam tajemnicę tej zagadkowej stacji orbitalnej.

Pięć minut później, włożywszy puszyste szuby i grube buty w szatni oddziału, zasiedli wokół łoża Farfalli.

- Czy mam wam opowiedzieć w kolorze różowym czy niebieskim? — zapytał Farfalla, podłączając sobie wzmacniacz głosu.

- Niech pan wali prawdę - rzekł Leszek.

- Całą prawdę - dodał Tyndzio.

- I tylko prawdę! - zastrzegła Giga.

- Brawo! - szepnął Farfalla. - Więc powiem wam całą prawdę. Zasługujecie na to. Przede wszystkim fakty, gołe fakty. Zapewne was dziwiło, że choć stale była mowa o Kakurgijczykach i Kakurgii, nigdy nie widzieliście żywego mieszkańca tej krainy. Ja też go nie widziałem, choć siedem lat spędziłem w tej zagadkowej cywilizacji. Siedem lat temu uprowadziły mnie z mojej posiadłości w Vincennes roboty, podstawiając na moje miejsce kukłę, robota-sobowtóra, i odtąd miałem do czynienia tylko z robotami. Kakurgijczyków widziałem jedynie w filmach, czy aby współczesnych, czy aby prawdziwych? Mogły to być bardzo stare filmy, a w dodatku filmy trickowe, wy też widzieliście je pewnie. Na placu boju pozostają więc roboty. I tylko roboty.

- Lecz przecież ktoś musiał je zrobić - zauważył Tyndzio.

-247-

I

— Zrobiły je roboty.

— Wszystkie?

— Ilekroć miałem okazję, sprawdzałem, i mogę stanowczo stwierdzić: wszystkie generacje robotów, z którymi miałem wątpliwą przyjemność obcować, były wyprodukowane na znanej nam stacji orbitalnej w Bazie kierowanej i obsługiwanej wyłącznie przez roboty. Mają znaki fabryczne Bazy. Żaden nie był wyprodukowany w Kakurgii.

— Lecz przecież ktoś zrobił pierwsze roboty i nie mógł to być robot.

— Oczywiście. Tylko pytanie, kiedy? Sto lat temu? Dwieście? A może tysiąc? Czy przed powstaniem stacji orbitalnej, czy po jej powstaniu? Możemy tylko snuć hipotezy. Jedna z nich wygląda mniej więcej tak. Bardzo dawno, co najmniej dwieście lat temu, jakieś istoty rozumne, założmy, że właśnie Kakur-gijczycy, zbudowały na krańcach Układu Słonecznego dokładnie na orbicie Neptuna, wielką stację satelitarną celem penetracji tegoż układu, a następnie opanowania go, innymi słowy, coś w rodzaju bazy wypadowej. Już pobieżna penetracja wszystkich planet zwróciła uwagę przybyszów na planetę trzecią, jedyną planetę „żywą”. Musieli być zafascynowani Ziemią, skoro wszystko na tej stacji jest dokładną imitacją Ziemi. Sprowadzili prawdziwą ziemską glebę, posadzili prawdziwe ziemskie rośliny, nakryli wszystko wysokim na dziesięć kilometrów kloszem i wpompowali w niego „prawdziwą” atmosferę, mało tego, zawiesili na sztucznym niebie sztuczne wędrujące słońce i sztuczny wędrujący księżyc, zafundowali sobie sztuczną grawitację, pory dnia i pory roku, no i deszcz z prawdziwego H₂O! Gigantyczne przedsięwzięcie dające wyobrażenie o poziomie i potędze tej cywilizacji. Sam pomost, na którym opiera się wszystko, liczy trzysta kilometrów długości, zadałem sobie trud pomiaru... I wszystko szczelnie odcięte od próżni kosmicznej - prawdziwa oaza, gorąca oaza na mroźnych krańcach Układu Słonecznego, czy może raczej ogrzewana energią jądrową szklarnia.

Czemu to ziemskie wyposażenie, ten ziemski wystrój bazy miał służyć? Czy był to tylko kaprys zdobywców, czy naprawdę fascynacja urodą Ziemi? Należy sądzić, że nie. Bardziej prawdopodobne wydaje się twierdzenie, że miało to być coś w rodzaju terrarium dla przywiezionych z Ziemi okazów rasy ludzkiej. Zdobycy mieli tu hodować ludzi, jak my hodujemy złote rybki w akwarium, a sama Ziemia miała być oczyszczona z jej pierwotnych mieszkańców, zamieniona w kolonię zdobywców i zasiedlona prawdopodobnie przez ich roboty. I prawdopodobnie w tym właśnie celu modelowali je na kształt ludzi, a całą zbiorowość robotów na kształt społeczeństwa ludzkiego. Widać to także po sposobie zaprogramowania tych robotów. Cała ich działalność jest nastawiona na kontrolowanie i stopniowe opanowywanie Ziemi. Działają według niezmiennej, raz ustalonej rutyny, poprzez swoich agentów-ludzi oraz swoich

-248-

agentów-roboty. To pewne na przykład, że słynny cyrk „Kosmos” jest kierowany przez nich. Kiedy dziewięć lat temu rozpoczął działalność, od razu został uznany za rewelację roku. Do dziś cieszy się, jak na pewno wiecie, niesłabnącym powodzeniem, zostawiając daleko w tyle wszystkie renomowane cyrki światowej sławy z Barnumem na czele. Znamcy twierdzą, że „Kosmos” to przewrót w sztuce cyrkowej. Niespotykana sprawność artystów, zapierająca dech brawura treserów, cudowna inteligencja zwierząt, niezrównane popisy iluzjonistów, niewiarygodna siła i wytrzymałość atletów, mrozące krew w żyłach, niewidziane nigdy dotąd wyczyny akrobatów - nieludzkie - jak napisał pewien dziennikarz, i miał rację. Dosłownie. Rzeczywiście były „nieludzkie”, ponieważ wszystkie numery wykonywały roboty, nie ludzie, roboty-treserzy, roboty-zwierzęta, roboty-zonglerzy i akrobaci! I tylko jeden recenzent rzucił raz krytyczną, nader znamiennej uwagi: „Temu świetnemu cyrkowi brak jednak jednej kapitalnej rzeczy - humoru... Dlaczego? Nie wiem. Jego kłowni straszą i zadziwiają, ale nie śmieją i nie wzruszają”.

- Tak, to w tym cyrku występowała Mella, pogromczyni lwów, i Mufi, i Al Datsun! - przypomniał Tyndzio. - I szczur Thuri, który narobił im tyle kłopotu.

- Widziałem te występy - powiedział Leszek. — Faktycznie, niektóre były fantastyczne, ale nie czułem się tam zbyt dobrze... Pamiętam dziwny niepokój... I ta muzyka...

- Urowadzenia to jeden z głównych punktów Programu - ciągnął Farfal-la. — Porwać do bazy wybranych ludzi, zastąpić ich na Ziemi sobowtórami, przeprowadzić badania i różne eksperymenty z porwanymi, a następnie drugą selekcję. Przydatnych poddać zaprogramowaniu, po czym zatrudnić w laboratoriach, a nieprzydatnych zabić.

- Datsun mówił, że na nasze miejsca też podstawiono roboty — wtrąciła Giga. — Podobno jakieś bardzo dobre kopie.

- Z pewnością tak zrobiono - rzekł Farfalla.

- My także w to wierzyliśmy, tymczasem tu, na statku, parę godzin temu okazało się, że Datsun ma kopię Leszka przy sobie, pokazał nam...

- Cóż z tego? To prawdopodobnie nowa kopia. Poprzednia mogła okazać się wadliwa albo uległa jakiemuś wypadkowi i musi być zastąpiona... To się zdarza. Bywa i tak, że wstawia się umyślnie dwa identyczne roboty-sobowtóry dla dezorientacji lub wręcz dla celów przestępczych. Jeden sobowtór morduje, a drugi w tym czasie tańczy w klubie i ma żelazne alibi. Zbrodnia prawie doskonała...

- To straszne, jak pomyślę, co te roboty mogły tam wyczyniać na nasze konto! - zaniepokoiła się Giga.

- Nie sądzę, by zrobiły już teraz coś złego. Przeciwnie, jestem przekonany, że cały ten czas poświęciły na uspienie czujności otoczenia i wyrobienie sobie

-249-

jak najlepszej opinii. Na pewno były wzorowymi uczniami. Roboty kategorii IA odznaczają się nie tylko wybitną pamięcią, ale i rekordową pilnością. Uczą się jak szatany!

— Ładna historia! - teraz Giga przeraziła się już nie na żarty.

— A więc Datsun nie kłamał! - jęknął Tyndzio.

— Urządził nas! — westchnął Leszek. — Jesteśmy załatwieni. Na dobre! Spojrzeli na siebie z mocno niewyraźnymi minami.

— Co was tak przygnębia? - profesor zaskoczony uniósł się z łoża. — Zastąpienie was imitacjami to nader szczęśliwe i korzystne posunięcie...

— Dla Programu — mruknął Leszek.

— Dla wszystkich. To w waszej sytuacji rozwiązało wiele problemów...

— Rozwiązało?! Przeciwnie! To narobiło wiele problemów!

— Spokojnie, chłopcze. Zgodzisz się, że oszczędziło waszym rodzicom strasznego wstrząsu i niepokoju o wasz los. Nie zauważyli waszego zniknięcia, a więc nie cierpieli. To chyba coś znaczy, mój młodzieńcze? Uświadomcie to sobie dobrze. To wszystko ich ominęło. Dla nich nic się nie stało.

— Ale się stanie, jak wrócimy - rzekła ponuro Giga.

— Nie sędzę. Nie powinni się zorientować, że nastąpiła nowa zamiana. To odbędzie się cicho i gładko. Macie przecież Aszu. Bez trudności usuniecie „zastępców”. Zajmiecie swoje dawne miejsce w rodzinie. I swoje miejsce w szkole. Włączycie się z powrotem do życia.

— Profesorze! Czy pan nie widzi zasadniczego problemu?

— O co chodzi?

— Sam pan powiedział, że oni byli idealni... Gdy wrócimy, to od razu rzuci się w oczy okropna różnica! Na ich tle wypadniemy z pewnością fatalnie!

— To będzie szok dla rodziców.

— Zauważą rażące obniżenie poziomu.

— To będzie kompromitacja.

— Biedni starzy nie rozumieją, skąd ta degrengolada, ten nagły upadek. Farfalla zaśmiał się nieco złośliwie.

— Jaki upadek?! Jaka degrengolada! Kto to mówi?! Wielcy kosmonauci rekordziści! Wybitni eksperymetatorzy! Sławni badacze. Artyści-polifoniści! Odkrywczy i wynalazcy! Słyszałem o waszych wyczynach. I wy mielibyście być gorsi od robotów? Wy mielibyście im nie dorównać? — zamachał rękami. — Nie, nie! Bez hipokryzji! Spójrzcie, jakie to dla was wygodne — ciągnął — ominą was wszelkie tłumaczenia i usprawiedliwiania wielomiesięcznej nieobecności, oczywiście, jeśli będziecie mądrzy i nie puściecie pary z gęby, a jedno drugiego nie wsypie. Nie straciecie roku, nie będzie kłopotów w szkole; wasze kopie podciągnęły was ze wszystkich przedmiotów, zainkasowały dla was same piątki, wyrobiły wam nienaganną opinię...

-250-

- Opinię kujonów i lizusów — przerwał gwałtownie Tyndzio. - Dziękuję. Już wolałbym być dalej Matołem Klasowym. Pan nie zna układów w naszej budzie, pan nie wie, jacy cwani są Kaflarze. Jestem pewien, że poznali się od razu na tych podstawionych imitacjach... A jeśli nawet ich nie zdemaskowali, to na pewno wyrzucili z paczki i trzymają się od nich z daleka. Pan sobie nie zdaje sprawy, jakiego oni mają nosa!

- To fakt — mruknął ponuro Leszek. - Kaflarze nie znoszą takich zimnych, poprawnych sztywniaków. Mamy u nich popsute wszystko... W ogóle u Małorolnych. Trzeba będzie pomалу wszystko odkręcać! Strach pomyśleć, jakim kosztem.

Farfalla zakaszła, nieco zaskoczony.

- Z pewnością nie ma rozwiązań idealnych, ale tak jest chyba mimo wszystko lepiej, niż gdybyście nie mieli żadnych zastępców na Ziemi. Przemyślcie to spokojnie.

- Profesor ma rację - Giga otarła kąt oka. - Zastanówmy się lepiej, jak się podstawić zręcznie na miejsce tych zastępców i jak ich i kiedy zlikwidować...

- I czy ich w ogóle likwidować — mruknął Cyngiel.

- Swoją drogą strach pomyśleć, ile takich robotów-sobowtórów włączy się już po świecie — zauważyła Giga. — Myśli pan, że mogłabym spotkać jakiegoś, ot, tak, na ulicy? — zapytała profesora.

- Według moich obliczeń na razie szansa jest nikła - odparł. - Jak jeden do dwu milionów, jeśli chodzi o aglomeracje miejskie.

- Szkoda — zakpił Leszek, zwracając się do Gigi. - Za pomocą Aszu mogłabyś bezpiecznie poczynić niesamowite spustoszenia w szeregach tych džentelmenów, seryjne podrywy i obłądne podboje!

- No, wiesz! Niesmaczne żarty - obraziła się Giga. Tyndzio jak zwykle był dociekliwy.

- Zastanawiam się, jak to się dzieje, że takie sztuczne kreatury jeszcze nigdy nie zostały zdemaskowane. W każdym razie nie słyszy się o tym. Są przecież różne okoliczności, w których się można przekonać, że to nie ludzie. Wyobraźmy sobie katastrofę, pożar, atak terrorystów, wybuch gazu, są ranni, uszkodzony jest także robot udający człowieka, lekarze w szpitalu go badają i nagle wychodzi na jaw, że ogólnie szanowany prezes X jest robotem... Takie wypadki musiałyby się zdarzać!

- Niewątpliwie — odparł Farfalla. — I z pewnością Program wziął je pod uwagę. Należy podejrzewać, że w takich wypadkach następuje błyskawiczna dezintegracja robota. W wyniku

reakcji chemicznych zmienia on całkowicie swoją postać, a nawet stan skupienia, część jego masy przechodzi w stan lotny i po prostu „wyparowuje”, część rozsypuje się w nieefektywny proszek, a reszta dematerializuje się całkowicie, to znaczy zamienia w energię. Zrywa się nie-

-251-

I
spodziewanie silny wiatr, wybucha pożar, drży ziemia. Nikt nie wie, że gdzieś niedaleko „umiera” robot. Prezes X znika niespodziewanie. Zwłok nigdy nie odnajdują. Czy nie czyta się o takich i podobnych wypadkach? Tak, moi drodzy, mechanizm wciąż działa bez zarzutu, jak dobrze nakręcony zegarek, ale...

- Ale zegarmistrz przestał się nim interesować i gdzieś znikł — dokończył Leszek. - Jeśli z takim nakładem środków, z taką pomysłowością i rozmachem Kakurgijczycy nakręcili to wszystko, to czemu przestali się tym interesować, czemu nie kontrolują wyników, czemu nie przyjeżdżają, nie kontaktują się z bazą, choćby drogą radiową czy telewizyjną?

- Rzeczywiście, to fascynujące pytanie — rzekł Farfalla. — Sam zastanawiałem się wielokrotnie nad tym.

- Może znaleźli inną, ciekawszą planetę niż Ziemia — odparła po chwili

Giga.

- Albo może skończyła się ich cywilizacja! - rzucił Tyndzio.

- Mogli zostać wytepieni przez roboty! - wtrącił podniecony Leszek. -Przez roboty, które sami stworzyli. Niezły materiał na kosmiczny dramat, co?

- Tak, bardzo możliwe, że oni już po prostu nie istnieją- rzekł Farfalla. -Byłoby naprawdę ironią losu, gdyby ta baza z robotami to było wszystko, co po nich zostało, po tych pysznych kosmicznych zdobywcach; biedna Ziemia miałaby więc jakąś szansę.

- Właśnie! - podchwycił Leszek. - Jeśli tamtych żywych, twórczych su-peristot już nie ma i ocalał świat robotów, nakręcony przez nich jak wielka, monstrualna zabawka, to można sobie z tym dać radę...

- Nawet najlepsze zabawki się psują... — zauważył Tyndzio.

- A te, które się jeszcze nie popsują, muszą robić wciąż te same ruchy, na nic innego ich nie stać.

- A takie ruchy można nauczyć się przewidywać i bronić przed nimi. Pan powinien wrócić na Ziemię, profesorze. Pan poznał ich posunięcia. Pan mógłby bardzo pomóc... Zorganizować obronę... demaskować ich agentów...

- Z taką wiedzą, jaką pan tutaj zdobył, mógłby pan na Ziemi zrobić dużo dobrego dla ludzi! Niech pan wraca z nami!

- Wracać? — Farfalla patrzył na nich zdumiony i przestraszony zarazem. — Co za pomysł! A moje laboratoria na Mimasie? To są cuda techniki, jakich nie ma i być nie może na Ziemi! Czy tego nie rozumiecie? Ja jeden z tysięcy uczonych stanąłem przed wielką, kosmiczną szansą. Jestem na tropie wielkich odkryć i wynalazków. W dziedzinie fizyki, chemii, a także farmacji. Mnóstwo rzeczy, których na Ziemi wyprodukować się nigdy nie da z powodu choćby zanieczyszczeń atmosfery i siły przyciągania ziemskiego, tu wytwarzam bez żadnych trudności...

- Ale wolność, profesorze, czy nie ważniejsza jest wolność?

- Wolność! - Farfalla zaśmiał się gorzko. - Na Ziemi też byłbym więźniem. Jeszcze bardziej by mnie pilnowali niż tu. Człowiek z moją wiedzą, z taką jak ja tajemnicą, z takim skarbem doświadczeń musi być pilnowany. Jak sztaba złota. Czy wiesz, gdzie się przechowuje sztaby złota? W Forcie Knox, za murami, za kratami. Czy mógłbym swobodnie chodzić po ulicach, pokazywać się w parku, łowić ryby, tam gdzie chcę, podróżować, tak jak lubię?

- Ale dla dobra ludzi... - zaczął Tyndzio.

- Skąd wiesz, czy to, co bym przywiózł na Ziemię, byłoby dobre dla ludzi?

- Choćby te leki...

- Wraz z lekami musiałbym przywieźć całą tutejszą technikę, no, powiedzmy, pół tej techniki... Z tą techniką musiałaby nastąpić gwałtowne zmiany w życiu, w obyczajach, w zachowaniu ludzi. To byłby szok cywilizacyjny. Czy Ziemia by to wytrzymała? Bardzo wątpię. Człowiek musi dochodzić do Wielkiej Techniki powoli, wspinać się ostrożnie - to niebezpieczna wspinaczka.

- Mógłby pan wrócić na ziemię incognito - wpadła na pomysł Giga. - Nikomu byśmy nie powiedzieli...

- Dziecko - zamruczał Farfalla - szalone dziecko, ja umieram... Czyż nie powiedziałem wam, że umieram? Moją szansą jest Mimas... tylko Mimas... mam tam napięte prace... jeśli wytrzymam rok...

- No, więc dobrze, wrócimy po pana za rok, kiedy pan będzie już zdrowy.

- Nie... to nierealne projekty. Oni nie będą czekać, uderzą w was, wezmą odwet za wasze wyzwanie... A pierwszą odpowiedzią będzie blokada Ziemi. Nie zobaczymy się już nigdy.

- Pan przywykł tutaj do ciemnych okularów - powiedział Leszek. - Pan widzi wszystko w czarnych kolorach. A przecież Kakurgijczyków już nie ma! Sam pan mówił...

- Mówił pan, że mamy szansę... - przypomniała Giga.

- Dziecko, to szansa dalekiej przyszłości. W tej chwili przewaga jest po stronie tej żelaznej kongregacji robotów. Zemściliby się nie tylko na mnie, lecz także na mojej rodzinie. Póki tu jestem, moja żona i dzieci mogą żyć spokojnie. Nikt nie uczyni im krzywdy...

- Panie profesorze, my przecież możemy się bronić, już nie jesteśmy bezradni. Mamy Aszu, mamy z sobą roboty. Możemy jak na redzie zakotwiczyć „Rheę” na orbicie Ziemi i kazać naszym robotom czuwać dniem i nocą. Żaden statek z Bazy, żaden napastnik i agent nie zdoła się przedrzeć! Pan nam też pomoże, gdyby pan pomógł ulepszyć obronę... Na przykład skonstruować barierę magnetyczną, taką jak pan zrobił wokół swojej stacji na Mimasie?

•252-

-253-

— Nie mieszajcie mnie do tego! - Farfalla zamachał rękami. - Nie znacie ich całej potęgi, ich techniki, ich możliwości. Dosięgną was wcześniej czy później. Porwaliście ich statek. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Dosięgną was. Nie ujdzie wam to na sucho, dobiorą się wam do skóry!

— Profesorze...

— Nie, nie, nie chcę o niczym słyszeć! Upłyną jeszcze wieki, nim Ziemia osiągnie ich poziom... Czy w ogóle osiągnie? Czy przetrwa? Skąd wiecie, że jutro nie wyleci w powietrze? Arsenale jądrowe już są pełne. Nie rzucajcie wyzwania! Wasz mózg widać przestaje z zimna pracować, skoro lęgną się w nim takie pomysły! Zostawcie mnie już... A jeśli wrócicie cało, nie mówcie, żeście mnie spotkali. Na waszym miejscu w ogóle milczałbym o tej przygodzie. Wierzcie mi, tak będzie lepiej - zadzwonił na robota służebnego. Robot wszedł i zaczął nastawiać urządzenia do hibernacji.

— Nikomu na Ziemi ani słowa o tym, co was spotkało — powtórzył, kładąc się na łożu. — A teraz idźcie już! I nie rzucajcie im wyzwania! — wyszeptał, zamykając oczy.

Wycofali się w kiepskim nastroju. Farfalla miał obrzydliwy talent burzenia dobrego samopoczucia.

— Żałuję, że wdałem się z nim w dyskusję - rzekł wyraźnie przygaszony Tyndzio. - Typ wyjątkowo źle działa na moje nerwy.

— Zawodowy pesymista.

— Co się dziwisz! Zaprogramowany facet! — Leszek wzruszył ramionami. — On po prostu nie chce wracać na Ziemię.

— Może ma osobiste powody? — rzekła Giga. — Nie znamy całej prawdy. Mógł mieć zapapraną przeszłość.

— Facet może być spalony na Ziemi. Może zrobił komuś jakieś świństwo? Może skompromitował się na uniwersytecie?

— Albo wiecie co? Mam inną hipotezę - zażartowała Giga. — Może ta kukła, ten robot-sobowtór lepiej przypadł do gustu jego żonie i biedak Farfalla nie bardzo ma do kogo wrócić.

Próbowali się uśmiechnąć, ale im nie wyszło. Wrócili w milczeniu do kabiny centralnej.

— Może faktycznie lepiej nic nikomu nie mówić? - powiedział nagle Leszek. - I tak na pewno nie uwierzą. Jesteśmy wciąż małolaty... W ich pojęciu. Pomyślą, że bredzimy. Zabiorą nas do lekarzy, a jak się dowie milicja...

— Przecież mamy dowody — mruknął Tyndzio. — W razie czego można im pokazać Datsuna. Takiego robota nie ma nigdzie na Ziemi i długo nie będzie.

— Zwariowałaś?! Odebraliby nam! — przestraszył się Leszek.

— A nas by wzięli na spytki — dodała Giga. — I zabraliby nam „Rheę”!

— I pilnowaliby nas.

-254-

- Lepiej zostawić „Rheę” na dalekiej orbicie Ziemi i wylądować w rakiecie desantowej gdzieś w pustym miejscu, niepostrzeżenie. Cichaczem. A raketę odesłać z powrotem.

- To jak się zaokrętujemy na „Rheę” w razie czego? Bo myślę, że nie rezygnujesz z lotów „Rheą” w przyszłości, choćby po to, żeby zwiedzić najbliższe planety?

- Nie ma obawy. Mufi spuści nam nową raketę w umówionym czasie i w miejscu, będziemy z nim w stałym kontakcie radiowym. Jest tylko jeden problem. - Giga spojrzała nieufnie na Tyndzia. - Że Cyngiel wszystko wypaple.

- Przysięgniesz, że nie wypaplesz, bo inaczej!... - Leszek pogroził Tyndziowi.

- Przysięgnę, nie bójcie się - uspokoił ich Tyndzio. - Na pewno nic nie powiem, ale pomyślcie, czy nie szkoda?...

- Czego szkoda?

- Tyle przeżyć, tyle przygód do opowiadania i nikomu...

- Nikomu ani słowa! — przerwał Leszek.

- Ale mógłbym przynajmniej podrzucić im próbki moich wspaniałych protein, hormonów i enzymów, które robiłem w laboratorium. Schowałem w pudełeczkach do kieszeni... I ten przepis na proteidy z cebulką, który schowała Giga... Nikt by nie wiedział...

- Komu podrzucić? - przestraszył się Leszek.

- No, jakiemuś instytutowi. A ty, Giga, mogłabyś tę cudowną tkaninę...

- Co by im z tego przyszło? To nie na ich poziom. I tak nie potrafiliby tego robić w swoich laboratoriach. Nawet gdybyś im dostarczył całą technologię — rzekła Giga. - Laboratoria w bazie robotów były oparte na zupełnie innych zasadach...

- To nic — odparł Tyndzio. — Sama powiedziałaś przecież, Giga: ważne jest, żeby pokazać, że takie rzeczy są możliwe... Głupio wrócić z takiej podróży bez żadnego podarku.

- On chyba ma rację, Bubel - powiedziała Giga. - Gdyby podrzucić ukradkiem albo przesłać pocztą bez podania nadawcy...

- Musimy to przemyśleć - mruknął zaafierowany Leszek. - Dużo rzeczy musimy przemyśleć, żeby nie palnąć głupstwa!

- Wszystko musimy przemyśleć - szepnęła Giga.

- A gdyby tak zadzwonić do Tupąki? - zażartował nagle Leszek.

- Kapitalna myśl!

- Lepiej mu się pokazać w telewizorze! - rzucił Tyndzio.

- Technicznie to jest do zrobienia.

- Wywołać go po nazwisku. „Nagły komunikat do obywatela Tupąki”. „Kto tam?” - przestraszy się Tupąka. A my: „Tu Kosmici do pana!” Ale będzie miał minę!

-255-

— Pomyśli, że znów mu robiajakiś kawał. Uśmiechnęli się, ale zaraz zasepili na nowo.

W luku widokowym czarna tarcza Neptuna rozjaśniła się powoli. Wstawał smutny dzień nad planetą. Spowijające ją chmury nabierały szmaragdowej barwy. Tu i tam rozjaśniały się niespodziewanie, połyskując metalicznym blaskiem niczym żywe, pulsujące morze. Gidze i chłopcom zdawało się momentami, że widzą już fale Bałtyku... Zza krawędzi globu ukazał się świetlisty, kłujący w oczy punkt.

- Słońce - powiedziała Giga.

Powitali je z cichym wzruszeniem i nadzieją.

Po sztucznym słońcu bazy Efen wydawało się małe i nieefektywne. Ale już teraz, choć tak dalekie i niepozorne, miało jedną niepodważalną zaletę — było prawdziwe.

MBP Zabrze

nr inw.: K7 - 7063

F 7 Illp/Prz

-256-